

Nie chowaj tej książki przed żoną! I tak kupi sobie nową!

Stoneczko



DC
DIGITAL

JUDE DEVERAUX

SŁONECZKO

Key West, Floryda, 1942

J.T. Montgomery wyciągnął przed siebie długie nogi i oparł gojącą się łydkę o skrzynię na dnie łodzi. Był wyjątkowo przystojnym tworem wielu pokoleń wyjątkowo przystojnych ludzi. W marynarce przycięto mu czarne włosy stanowczo za krótko, ale i tak nie mąciło to ogólnego wrażenia: lśniące błękitne oczy, wargi, które mogły być zimne jak marmur lub delikatne jak aromatyczne powietrze, niewielki dołek w podbródku i nos, który zapewne wydawałby się za duży, gdyby należał do drobniejszego człowieka. Tę ostatnią część ciała matka zwała nosem Montgomerych. W jej przekonaniu Bóg chciał w ten sposób ochronić ich twarze przed pięściami tych wszystkich ludzi, którym nie podobały się charakterystyczne dla członków rodziny upór i zdecydowanie.

- Nadal uważam, że to bez sensu - powiedział Bill Frazier, manewrując łodzią. Bill stanowił jawne przeciwieństwo J.T. Był od niego piętnaście centymetrów niższy, mimo zaledwie dwudziestu trzech lat rzedły mu już włosy, a budową ciała przypominał stertę betonowych płyt. Bardzo się cieszył, że ma takiego przyjaciela jak J.T., bo ciągnął za nim sznur dziewczuch. Korzystając z tego pół roku temu Bill wyszukał w jego orszaku żonę dla siebie.

J.T. nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć przyjacielowi, tylko po prostu na chwilę zamknął oczy i wciągnął do płuc czyste, słone powietrze. Co za niebiańskie uczucie oderwać się od smrodu ropy naftowej, hałasu maszyn, odpowiedzialności za innych ludzi, wyjaśniania prostych rzeczy...

- Gdybym był kawalerem tak jak ty - podjął Bill - poszedłbym w kurs i zabawił się na całego. Nie rozumiem, po co chcesz udawać Robinsona na jakiejś kretyńskiej bezludnej wyspie.

J.T. otworzył jedno oko, zerknął na Billa, a potem odwrócił się ku oceanowi i potoczył wzrokiem po okolicznych wysepkach zarośniętych mangrowcami. Nie potrafił wyjaśnić przyjacielowi, co czuje. Bill dorastał w wielkim mieście, natomiast J.T. spędził młode lata w stanie Maine, z dala od zgiełku, który robią ludzie i ich maszyny. Zawsze mieszkał nad morzem. W wieku szesnastu lat, gdy inni chłopcy dostają pierwszy samochód, J.T. stał się posiadaczem łodzi żaglowej. Nim skończył osiemnaście lat, miał już za sobą trzydniowe samotne rejsy. Ale potem Japończycy zbombardowali Pearl Harbor, wybuchła wojna i...

- Hej! - krzyczał do niego Bill. - Zostań jeszcze chwilę na tym świecie. Czy jesteś pewien, że masz dość prowiantu? Na moje oko coś mało tego żarcia. Dolly narzeka, że została z ciebie skóra i kości.

Na wzmiankę o malutkiej żonie Billa J.T. uśmiechnął się.

- Mam dość - odparł, znów zamykając oczy. Ludzie z miasta nigdy nie potrafili spojrzeć na morze jak na długi stół bankietowy. J.T. wziął z sobą sieć, wędkę i haczyki, dwa kubki, pudełko warzyw, menażkę i niezbędnik. Zamierzał przez najbliższe dni żyć jak król. Na myśl o ciszy, samotności i wyzwoleniu się od wszelkiej odpowiedzialności poruszył się na twardym siedzeniu.

Bill wybuchnął śmiechem, aż na jego bardzo pospolitej twarzy pojawiły się zmarszczki. Z

taką urodą był znakomitym materiałem na szpiega, potrafiłby bowiem idealnie wtopić się w każdy tłum.

- Niech ci będzie. Dla mnie masz nie po kolei w głowie, ale ostatecznie to twoje życie. Komandor chce cię widzieć w przyszły poniedziałek, przyplynę po ciebie wcześniej. A Dolly kazała mi powiedzieć, że jeśli nie przysięgniesz pamiętać o maści na oparzenia, to jutro osobiście zjawi się na wyspie, żeby cię nacierać. - Parsknął śmiechem na widok przerażenia wyzierającego z szeroko otwartych oczu J.T. - A teraz powiem ci, jak ja sobie wyobrażam pobyt na takiej wyspie - powiedział. - Bujałbym się w hamaku, otoczony dwiema, nie: trzema wspaniałymi panienkami, które karmiłyby mnie owocami mango.

- Żadnych kobiet - powiedział J.T. i oczy mu spochmurniały. - Proszę, tylko bez kobiet.

Bill znowu się roześmiał.

- Sam sobie jesteś winien, że tak się skończyło z tą ślicznotką w marynarskim mundurze. Wszyscy widzieli, że aż się pali do małżeństwa. I czemu właściwie się z nią nie ożeniłeś? Gorąco ci polecam małżeński stan.

- To jest moja wyspa - powiedział J.T., ignorując uwagę na temat małżeństwa.

- Nijak nie kapuję, jak odróżniasz jedną wyspę od drugiej, ale to twoja działka. Za to jak posiedzisz tu sam przez tydzień, będziesz dziko zachwycony powrotem do pracy.

J.T. skrzywił się z niesmakiem. Spokój, pomyślał, chcę mieć nareszcie święty spokój. Posłuchać wycia wiatru i deszczu bijącego o brezent. I mieć taaaką wyzerkę. Zamiast konserw świeże ryby, homary, krewetki, małże i...

- Wyłącz silnik - zawołał do Billa. - Przed nami brzeg.

Bill posłusznie wbił łódź dziobem w wąski pas białego piachu.

Trzymając sztywno lewą nogę, żeby w miarę możliwości nie napinać poparzonej skóry, J.T. wyprostował swe ciało, metr osiemdziesiąt wysokości, i wszedł do płytkiej wody przy brzegu. W ciężkich wojskowych buciorach źle mu się szło po śliskim dnie. Nagle poczuł, że nie może się doczekać, kiedy Bill odpłynie. Chciał wreszcie wyskoczyć z krępującego munduru.

- Ostatnia szansa - powiedział Bill, podając przyjacielowi pierwszą skrzynkę. - Jeszcze możesz się rozmyślić. Gdybym dostał urlop, spiłbym się w trupa i nie trzeźwiał, dopóki bym nie musiał.

J.T. wyszczerzył w uśmiechu równe, białe zęby. Przy okazji prawie zniknął mu dołek w podbródku.

- Dziękuję, nie skorzystam. Powiedz Dolly, że obiecuję się nacierać i będę się starał trochę przytyć. - Przeniósł na brzeg drugą skrzynkę.

- Ona i tak na pewno będzie się o ciebie martwić. Jak wrócisz, zorganizuje ci komitet powitalny z dwudziestu ślicznych pańienek.

- Do tej pory nabiorę gotowości. Lepiej już płyn z powrotem, bo zbiera się na deszcz. - J.T. nie potrafił ukryć zniecierpliwienia.

- Rozumiem, że mam się wynieść. Dobra, zabiorę cię stąd w niedzielę.

- W niedzielę wieczorem - z naciskiem uzupełnił J.T.

- Dobra, w niedzielę wieczorem. Ale Dolly będzie mi zatruwać życie troską o ciebie. Bądź co bądź, to nie ty z nią mieszkasz.

- Ta propozycja jest całkiem niezła - powiedział J.T. zwracając ku łodzi. - Nawet przyzwolta. Ja pomieszkam z Dolly, a ty posiedź tutaj.

- Ej, dowcipniś. - Bill przestał się uśmiechać. W swojej kształtnej żonce był zakochany na zabój. Wciąż jeszcze niemal bez przerwy dziwił się, że ktoś taki wziął go za męża. Mimo iż J.T. był jego przyjacielem, a nawet osobiście poznał go z Dolly, swą prezencją wzbudzał w Billu zazdrość.

J.T. roześmiał się, widząc minę Billa.

- Jazda, stary, zmykaj stąd i nie zgub się po drodze.

Bill zapalił silnik i z pomocą J.T. wycofał łódź na morze. J.T. stał na samym brzegu i patrzył śladem łodzi, póki Bill nie opłynął sąsiedniej wyspy i nie zginął mu z oczu. Wtedy szeroko rozłożył ramiona i wziął głęboki oddech. Otoczony wonią gnijących wodorostów i soli oraz podmuchami wiatru, szeleszczącymi w mangrowcach, poczuł się prawie jak w domu.

Chwilę później ciągnął większą część swego dobytku wzdłuż brzegu, na północ. Niecały rok temu, gdy dowództwo marynarki dało mu przydział na Key West, gdzie miał nadzorować prace stoczni remontowej, zobaczył tę wyspę przez lornetkę z pokładu okrętu. Od razu wiedział, że chciałby móc spędzać w tym miejscu swój wolny czas.

Przez ostatni rok przeczytał kilka książek o okolicach Key West. Dzięki temu zdobył wyobrażenie, czym pachnie obozowanie na nieprzyjaznej człowiekowi wyspie porośniętej mangrowcami.

Sformułowanie, iż w głąb takiej wyspy nie można dotrzeć, okazało się bardzo subtelne. Gałęzie drzew zwisały aż do ziemi, broniąc wstępu do tej twierdzy.

J.T. zdjął koszulę, wyciągnął maczetę i zaczął wycinać wąskie przejście w gęstwinie. Zamierzał dotrzeć do polany ze słodką wodą, znajdującej się dokładnie pośrodku wyspy.

Pokonanie planowanego dystansu zajęło mu cztery godziny katorzniczej pracy. Tymczasem zdążył rozebrać się do bielizny. Dolly miała rację mówiąc, że za bardzo wychudł. Przez trzy tygodnie pobytu w szpitalu stracił sporo na wadze, a lewą część ciała wciąż miał silnie zaróżowioną. Teraz

czuł tam swędzenie od potu. Na chwilę przystanął zdyszany i rozejrzał się dookoła. Od trzech stron był całkowicie zasłonięty przez mangrowce, niskie drzewa z połyskliwymi liśćmi, przed sobą widział jednak mały kawałek gołej ziemi, pokryty resztkami wyrzuconymi przez morze. Sączył się tam strumień, wypływający gdzieś spod drzew. Miejsca starczało akurat na namiot, ognisko i ułożenie niewielkich zapasów. Tyle właśnie J.T. potrzebował do szczęścia.

Otarł pot z twarzy i obrócił się ku ścieżce, którą pracowicie wyciął. Szlak obfitował w zwroty i zakręty, a w dwóch miejscach ginał całkowicie. J.T. nie pracował tam maczetą, lecz przeczołgał się pod nisko zwieszającymi się gałęziami. Nie chciał, żeby świeżo wycięta ścieżka prowadziła prosto do jego obozowiska. Zdarzało się, że do wysp u wybrzeży Florydy podpływały niemieckie łodzie podwodne, a J.T. nie zamierzał zbudzić się którejką nocy z bagnetem przy szyi.

Zanim ową ścieżką ściągnął do obozowiska wszystkie rzeczy, słońce chyliło się ku zachodowi. Gdy wreszcie skończył, chwycił za dużą szmatę i mając na sobie jedynie szorty i wysokie buty, z nożem przytroczonym do pasa, wrócił na brzeg. Tam ściągnął buty i wszedł do ciepłej wody.

- Coś by się tu jeszcze przydało - mruknął pod nosem, wspominając orzeźwiający chłód wody w swoim rodzinnym miasteczku, w stanie Maine.

Gdy zanurzył się po szyję, zanurkował i bez wysiłku dopłynął pod wodą do najbliższego wraku, wystającego nad powierzchnię. Wojna sprawiła, że na płycznach wokół Key West leżało niestety pełno żelastwa. Woda była nieprzezroczysta, ale J.T. widział miejsca, gdzie cień się pogłębiał. Wetknął szmatę do dziury w resztkach jakiegoś wraku i skręciwszy ją kilka razy, wyciągnął z powrotem. Z jej fałdów sterczały czułki czterech homarów.

Jeden wyswobodził się jeszcze w morzu, ale trzem pozostałym J.T. szybko podsunął kij, a gdy zacisnęły na nim szczypce, poniósł je do obozowiska. Wkrótce rozpałił ognisko i zagotował wodę. Zręcznym, wyćwiczonym ruchem złamał homarom kręgosłupy i po kolei wrzucił je do garnka. Były nieco inne niż te, które pamiętał z dzieciństwa, mniejsze, z plamiastą skorupą, ale poczerwieniały tak samo.

W godzinę później cisnął puste skorupy do wody i z uśmiechem wspiał się do hamaka, zawieszzonego między dwoma drzewami. Powietrze było łagodne, wiatr ledwie poruszał gałęziami. Woda plaskała o brzeg, a on był najedzony. Wreszcie poczuł błogi spokój.

Dawno już nie spał tak smacznie jak tej nocy. Śniła mu się góra krewetek na śniadanie. Pierwszy raz od tygodni nie dręczyły go koszmary z nocy, gdy doznał poparzeń. Wreszcie nie widział wokół siebie ognia.

Wzeszło słońce, a J.T. spał dalej. Podświadomie czuł, że nie ma wokoło pielęgniarek, które o piątej rano podetknęłyby mu pod nos tacę z nierdzewnej stali i spytały radośnie: „I jak się dzisiaj czujemy?” Uśmiechnął się i śnił dalej o żółtoogoniastym lucjanie pieczonym w ognisku.

Gdy rozległy się strzały, J.T. był zbyt głęboko uspiiony, by je usłyszeć, a tym bardziej zdać sobie sprawę z natury hałasu. Spał z przekonaniem, że jest bezpieczny, i w jakiś sposób wiedział, że nikt nie celuje do niego.

Obudził się raptownie i natychmiast usiadł wyprostowany. Czuł, że coś jest nie tak, ale nie wiedział co. Zeskoczył z hamaka, nie zwracając uwagi na ból lewej strony ciała, naciągnął buty, zasznurował je, jak umiał najszybciej, chwycił za karabin i znikł z polany; miał na sobie szorty, a przy pasie nóż.

Dotarł do brzegu, ale nie usłyszał niczego podejrzanego, niczego też nie zobaczył. Zaśmiał się ze swojej nagiej płochliwości.

- Coś mi się przyśniło - mruknął i chciał ruszyć z powrotem ku wyciętemu przez siebie szlakowi, lecz zanim zrobił pierwszy krok, rozległy się następne strzały.

Nisko pochylony, puścił się biegiem po brzegu, wzdłuż zarośli. Szybko dostrzegł źródło dźwięków. Dwóch mężczyzn płynęło łodzią motorową, jeden sterował, drugi stojąc celował do czegoś z karabinu.

J.T. zamrugał kilka razy, aż wreszcie dojrzał w wodzie ciemny, okrągły kształt. Ludzką głowę.

Nie zastanowił się nad tym, co robi. Była wszak wojna i głowa mogła należeć do niemieckiego szpiega, który w pełni zasługiwał na swój los. Przez myśl przeszło mu tylko, że walka dwóch na jednego jest nie fair. Oparł karabin o pień drzewa, zrzucił buty i skoczył do wody.

Płynął najciszej, jak potrafił, usiłując nie tracić z pola widzenia ani mężczyzn, ani głowy. Gdy głowa znikła pod wodą i nie wróciła na powierzchnię, zanurkował głęboko pod dziób łodzi.

- Tam! - usłyszał okrzyk nad sobą w chwili, gdy się zanurzał. Zaraz potem seria pocisków przecięła wodę. Jeden z nich trafił go w ramię. J.T. dalej płynął w dół, szukając tonącego człowieka. Uświadomił sobie, że musi nabrać powietrza, i właśnie wtedy zauważył zwiotczone ciało, opadające na dno. Energicznie poruszył więc nogami i zszedł jeszcze niżej.

Chwycił tonącego w talii i dopiero wtedy zaczął płynąć ku powierzchni. Po prawej stronie widział korzenie mangrowców, więc starał się do nich dotrzeć. W płucach czuł ogień, uszy wypełniało mu łomotanie serca.

Kiedy się wynurzył, myślał tylko o zaczerpnięciu powietrza, ludzie w łodzi nic już go nie obchodzili. Niezręcznie chwycił głowę topielca za włosy i wyciągnął nad powierzchnię. Próbując ustalić swoje położenie, zdał sobie sprawę, że nie słyszy krztuszenia się wodą. Ciało, które trzymał, było bezwładne. Tamci w łódce zgasili silnik i znajdowali się o parę metrów od niego, ale byli odwróceny plecami.

Po cichu podpłynął do korzeni mangrowców. Mimo wolt syknął, bo małą z ostrą skorupą, przyklejony do korzenia, przeciął mu skórę na zranionym boku. Mimo to wsunął się głębiej w gąszcz, nie zważając na następne małe. Tamci tymczasem manewrowali łodzią za pomocą wiosła.

- Załatwiłeś ją - powiedział jeden z nich. - Spadamy.

- Chcę być tego pewien - odrzekł mężczyzna z karabinem.

Ją? - pomyślał J.T. i przyjrzał się głowie opartej na jego ramieniu. Zobaczył delikatną, bardzo sympatyczną twarz. Wydało mu się, że kobieta nie żyje.

Poczuł złość. Miał ochotę zaatakować mężczyzn w łodzi, którzy napadli na kobietę, ale nie miał broni oprócz noża, ciało pokrywały mu na pół zagojone oparzeliny, a do tego nie wiedział, jak głęboko w ramieniu tkwi mu kula.

Odruchowo przyciągnął kobietę do siebie, chroniąc ją przed ostrymi skorupami małży. Natrafił na krzywiznę piersi. Poczuł nagły przypływ uczuć opiekuńczych i objął ją niemal czule. Zerknął gniewnie na mężczyzn próbujących zobaczyć coś w wodzie.

- Coś słyszę, chyba motor - powiedział mężczyzna siedzący w łodzi. - Ona na pewno nie żyje. Wynośmy się stąd.

Jego kumpel założył broń na ramię, usiadł i odpowiedział skinieniem głowy. Pierwszy zapalił silnik i łódź szybko się oddaliła.

J.T. odczekał, aż mężczyźni znikną z pola widzenia, po czym, osłaniając kobietę własnym ciałem, wypłynął pomiędzy korzeni. Trzymał ją postrzelonym ramieniem, a drugim zagarniał wodę. W końcu dopłynął do brzegu.

- Nie umieraj, słoneczko - powtarzał, niosąc ją na brzeg. - Nie umieraj.

Najdelikatniej, jak potrafił, ułożył ją na brzuchu i zaczął wypompowywać jej wodę z płuc. Miała na sobie długą suknię, pod szyję, długie włosy były upięte szpilkami do góry. Materiał oblepił kobietę tak, że rysowały się pod nim kontury jej pięknego ciała. Była wysoka, wąska w biodrach, talię miała taką, że J.T. objąłby ją chyba samymi dłońmi, za to wypukłość piersi zaznaczała się bardzo wyraźnie. Twarz kobiety zwrócona była w bok, oczy były zamknięte; gęste, ciemne rzęsy kontrastowały z bladym, niemal porcelanowym policzkiem. Wyglądała jak rzadki, drogocenny kwiat, którego nigdy nie wystawiono na słońce. Jak ktoś mógł strzelać do takiej kruchej piękności? - pomyślał z gniewem J.T. Obudził się w nim instynkt opiekuńczy.

- No, śliczna dziewczyno - powiedział uciskając jej zębra w na wpół pieszczotliwy sposób, a potem unosząc jej ramiona. - Odetchnij dla wujka Montgomery'ego. Dalej, malutka.

Krew płynęła mu z postrzelonego ramienia i ze skaleczonej skóry rozciętej przez małże, ale nie zwracał na to uwagi. Walczył o życie tej pięknej, młodej kobiety. I modlił się, żeby Bóg ją oszczędził.

- Spróbuj, słoneczko, proszę cię - błagał. - Nie możesz się teraz poddać. Już jesteś bezpieczna. Będę cię chronił. proszę cię, dzieciaku, zrób to dla mnie.

Zdawało mu się, że minęły godziny, wreszcie poczuł jednak lekkie drzenie jej ciała. Żyła! Pocałował ją w policzek, poczuł chłód skóry i ze zdwojonym wysiłkiem wrócił do sztucznego oddychania.

- Dobrze, słoneczko, jeszcze troszkę. Weź solidny, głęboki oddech dla wujka Montgomery'ego. No, oddychaj, do cholery!

Jej ciało znów przebiegł dreszcz. Wydała z siebie taki odgłos, jakby się dławiła, po czym zwróciła potężną porcję morskiej wody. Potem następną. Rozkasłała się i próbowała usiąść.

J.T. uśmiechnął się. Ogarnęła go wielka radość. Dziękując Bogu, ułożył sobie dziewczynę na kolanie.

- Dalej, mała, wylej z siebie to wszystko. - Poglaskał ją po wilgotnych włosach, pogładził po delikatnych plecach. Czuł się w tej chwili tak, jak musiał czuć się Bóg po stworzeniu człowieka. Wierzchem palców pieszczotliwie dotknął jej policzka, zakołysał ją jak dziecko i dalej czule do niej przemawiał: - Już jesteś bezpieczna, słoneczko. Całkiem bezpieczna. - Przytulił ją do siebie.

- Za nic... - Zakrztusiła się.

- Nic nie mów, słoneczko, odpoczywaj. Wylej z siebie całą wodę, zabiorę cię do domu. - Znów zaczął ją kołysać.

- Za nic... - Znów się zakrztusiła. - Za nic nie... - Zaniósła się kaszlem.

- Słucham, kochanie? Podziękować możesz później. Na razie musimy cię przebrać w coś suchego. Co sądzisz o gorącej zupie rybnej?

Dziewczyna desperacko starała się coś powiedzieć. J.T. pozwolił jej więc odchylić się jeszcze o kilka centymetrów, żeby mogła na niego spojrzeć. Znów wziął ją w ramiona i kołysał, jakby była najcenniejszym przedmiotem na ziemi.

- Już w porządku, mała. Nikt nie będzie próbował cię skrzywdzić.

Zaczęła się wyrywać, więc ją puścił i uśmiechnął się do niej wyrozumiale. Znów zdumiała go jej uroda. Dziewczyna była piękna nie we współczesnym, lecz bardzo staroświeckim rozumieniu. Wyjątkowo delikatne rysy i kształtna głowa sprawiały, że wyglądała jak z bardzo starej fotografii. Przypominała bohaterki bajek, które czytała mu matka, gdy był dzieckiem. To była dama w niebezpieczeństwie, a on był jej wybawicielem. Ogarnęły go ciepłe uczucia.

- W porządku, słoneczko. Co chciałaś powiedzieć? - spytał czule.

Znów się rozkasłała. Kiedy próbowała zapanować nad sobą, jego oczy wypełniły się czułością.

- Za nic... za nic nie wolno ci... - kaszel - ...mnie dotykać... - znów kaszel. - Jestem... - kaszel - ...z królewskiej rodziny.

Zanim zdążyła skończyć, J.T. zeszywniał, jakby połknął kij. Znaczenie tych słów docierało do niego przez dłuższą chwilę. Głupio wybałuszył na nią oczy.

- Jestem następczynią tronu, a tobie - spojrzała wyniośle na jego obnażony tors - nie wolno mnie dotykać.

- Jasna cholera - syknął J.T. i wysunął ręce spod jej pleców. W okamgnieniu wyprostował się, zostawiając dziewczynę w pozycji siedzącej. - Ty mała, niewdzięczna... - zaczął i natychmiast urwał. Zacisnął zęby, oczy sypnęły mu gniewnymi iskrami. Odwrócił się i zostawił ją tam, gdzie siedziała. - Sama sobie poszukaj śniadania, księżniczko - burknął i szybko odszedł.

Aria siedziała bez ruchu na nadmorskim piasku. Głowa ją bolała, płuca paliły, w nogach czuła łamanie. Najbardziej miała ochotę wyciągnąć się jak długa na brzegu i wypłakać. Ale następczyni tronu nie wolno płakać. Następczyni tronu nikomu nie ma prawa okazywać uczuć. Przy ludziach musi zawsze się uśmiechać, nawet jeśli cierpi. Wyuczono ją tego tak dokładnie, że stało się to jej drugą naturą.

Gdy miała zaledwie osiem lat, spadła z kuca i złamała rękę. Nawet wtedy nie płakała. Wstała, trzymając uszkodzoną rękę przy ciele, i poszła do pałacu, do matki. Ani koniuszy, ani guwernantka nie wiedzieli, jak bardzo ją boli. Potem, gdy już nastawiono jej złamanie, podczas czego Aria również nie uroniła ani jednej łzy, matka serdecznie jej pogratulowała.

Teraz Aria siedziała w tym dziwnym kraju po całonocnej walce o życie, a człowiek, który ją uratował, zachowywał się doprawdy oryginalnie. Spojrzała na gęstwinię drzew i zaczęła się zastanawiać, kiedy wróci z tą zupą rybną, którą jej obiecał. Naturalnie będzie musiała wtedy zażądać od niego, żeby się ubrał. Mama surowo jej zabroniła dopuszczać do siebie nie ubranych mężczyzn, wszystko jedno czy byłby to sługa, mąż, czy tubylec z jakiejś egzotycznej wyspy.

Mniej więcej dwa metry od brzegu rosło samotne palmowe drzewo. Powoli wstała i powlokła się w tamtą stronę. Miała silne zawroty głowy, ale trzymała się najprościej, jak umiała - następczyni tronu nie garbi się i nie zatacza. Mama powiedziała jej, że tak jest zawsze i wszędzie, bez względu na to, jak zachowują się ludzie dookoła. Księżniczka musi pozostać księżniczką i przez cały czas to demonstrować, bo inaczej będą chcieli ją wykorzystać.

Wykorzystać tak, jak ten mężczyzna dziś rano, pomyślała Aria. Takie nazwy dla niej wymyślał! Zła była, że na samą myśl o nich palą ją policzki. A sposób, w jaki jej dotykał! Czyżby nie rozumiał, że następczyni tronu nie wolno dotykać?

Usiadła w cieniu palmy. Miała ochotę oprzeć się o pień i odpocząć, ale nie odważyła się. Prawdopodobnie zapadłaby w sen, a nie byłoby dobrze, gdyby tamten człowiek zastał ją śpiącą, gdy wróci z posiłkiem. Wyprostowała więc plecy i spojrzała na ocean. Mimo woli natychmiast przypomniała sobie wydarzenia ostatniej doby.

To była najpotworniejsza noc w jej życiu. Aria szczerze wątpiła, czy komuś mogła się kiedykolwiek przytrafić jeszcze gorsza. Trzy dni temu pierwszy raz opuściła granice Lankonii, zaproszona przez rząd Stanów Zjednoczonych. Przedstawiciele rządu amerykańskiego mieli przeprowadzić rozmowy z lankońskimi ministrami, a dla niej w tym czasie zaplanowano podróż po kraju, wypełnioną oficjalnymi spotkaniami. Dziadek Arii, król Lankonii, wyjaśnił jej przedtem, że Amerykanie są tacy uprzejmi, bo chcą namówić go do sprzedania Stanom Zjednoczonym wanadu, uważał jednak, że wnuczka może wykorzystać tę sytuację.

Aria wyruszyła więc w długą, męczącą podróż pociągami, a potem wojskowym samolotem, naprędce wyposażonym w stylowe krzesła i brokat, którym wyklejono wnętrze kadłubu. Część trzymającej go taśmy puściła, ale Aria nie dała Amerykanom poznać, że cokolwiek zauważyła. Miała zamiar pośmiać się z tego później, razem z siostrą.

Amerykanie traktowali ją dobrze, chociaż dosyć dziwacznie. W jednej chwili ktoś się jej kłaniał, w następnej łapał ją za łokieć i wołał: „Uważaj, skarbie, bo się przewrócisz!”

Dotarli do miejsca zwanego Miami i natychmiast zaprowadzono ją do samolotu, który miał polecieć na Key West, najbardziej wysunięty na południe kraniec Stanów Zjednoczonych. Tam czekało Arię zwiedzanie wielkiej bazy marynarki wojennej i stoczni remontowej, w której naprawiano okręty uszkodzone podczas wojny. Doprawdy niefortunnie się złożyło, że na jej dwutygodniową podróż składały się wyłącznie odwiedziny w bazach marynarki i szpitalach wojskowych oraz luncze z bogatymi Amerykankami ze stowarzyszeń charytatywnych. Aria wołałaby przeznaczyć przynajmniej jedno popołudnie na konną przejażdżkę, ale nigdzie nie widziała wierzchowców. Szkoda, bo bardzo lubiła galopować. Dziadek zapowiedział jej jednak, że Amerykanie będą chcieli przekonująco pokazać, jak bardzo ich kraj potrzebuje wanadu, więc przyjęcia z udziałem przystojnych młodych ludzi byłyby nie na miejscu.

Aria wysiadła z samolotu prosto na czerwony dywan, rozwinięty na płycie lotniska. Czekają na nią kilka otyłych pań, ubranych w suknie z pastelowego szyfonu, notabene nieprzyzwoicie krótkie. Kobiety dzierżyły obfite wiązanki kwiatów. Aria przyjęła te wszystkie bukiety z uśmiechem, chociaż nogi bolały ją jak nieszczęście, a upał na Key West przyprawiał o szum w głowie. Trzy razy musiała dyskretnie maskować ziewnięcie - w tym czasie kwiaty, przekazane przez nią damie dworu, powędrowały dalej do amerykańskiego oficera, następnie do szeregowego i wreszcie do kierowcy, który włożył je do bagażnika długiej, czarnej limuzyny.

W bazie marynarki odprowadzono ją do przygotowanego dla niej pokoju. Tam kompletnie osłupiała. Pokój wyglądał tak, jakby Amerykanie ogołocili wyspę z wszystkich połączanych mebli, jakie tylko mogli znaleźć, i wstawili je w jedno miejsce. Postawiony w pośpiechu kanciasty barak z czysto użytkowymi pomieszczeniami zupełnie nie pasował do rzeźbionych, połączanych mebli.

Aria przesłała damie dworu uspokajające spojrzenie w obawie, by w jakiś sposób nie obraziła Amerykanów, sama jednak lękała się, że ten pokój będzie ją straszył po nocach. Na razie dwie garderobiane miały godzinę na przygotowanie jej do bankietu.

W czasie przyjęcia siedziała na podwyższeniu, przy długim stole, w otoczeniu generałów i miejscowych znakomitości ubranych w garnitury cuchnące gałkami antymolowymi. Każdy czuł się w obowiązku przemówić, a Aria usiłowała ukryć to, że po prostu zasypia. Była wściekle głodna, ale nie mogła nic zjeść, bo Amerykanie wpuścili reporterów i pozwolili im robić zdjęcia przez cały czas trwania posiłku. Następczyni tronu nie wolno fotografować podczas jedzenia, Aria siedziała więc sztywno wyprostowana do czasu, gdy zabrano jej sprzed nosa prawie nietknięty talerz.

Gdy wreszcie przyszedł czas na spoczynek, Aria dotkliwie czuła, jak bardzo ciąży jej suknia. Była północ, a już o szóstej rano czekała ją pobudka. Miała w programie śniadanie z jakimś politykiem, a o siódmej oglądanie czegoś, co zwało się pracownią doświadczalną żyrokompasów.

Stojąc pośrodku pokoju czekała, aż przyjdzie garderobiana i zdejmie z niej czarną suknię, a pokojowa przygotowuje kąpiel. Właśnie w ciągu tych kilku minut zarzucono jej na głowę czarną szmatę i wyniesiono ją z pokoju, a najprawdopodobniej również z budynku. Gdy wreszcie dwaj mężczyźni zdjęli jej szmatę z głowy, była na wpół uduszona.

- Zostaniecie wynagrodzeni, jeśli mnie nie skrzywdzicie i odprowadzicie z powrotem do pokoju... - zaczęła, ale wsadzili jej do ust knebel, a potem związali ręce i nogi, wepchnęli ją na tylne siedzenie samochodu i odjechali.

Obaj siedzieli z przodu, w milczeniu. Wreszcie zatrzymali samochód i wysiedli. Poczowała wiatr znad oceanu. Podczas jazdy zdołała wyswobodzić ręce i nogi, ale dla niepoznaki znowu lekko je obwiązała. Wiedziała, że z pewnością podniesiono już alarm i ludzie jej szukają, musiała jednak wyczekać na dobrą sposobność do ucieczki.

Mężczyźni wrócili i zanim zdążyła sprawdzić, gdzie dojechali, znów ją okryli. Tym razem wsadzili ją chyba na łódź.

- Daj jej pooddychać - powiedział jeden, zapalając silnik. Zdjęto jej więc ścierkę z twarzy.

Dobrze przyjrzała się mężczyznom. Z przerażeniem uprzytomniła sobie, że jeśli pokazują jej twarze, to na pewno chcą ją zabić. Czowała zapach oceanu i widziała niebo, ale nic więcej.

Po jakiejś godzinie jeden z mężczyzn powiedział:

- Wystarczy. Skończmy z tym. - Zmniejszył obroty silnika.

Aria miała wrażenie, że widzi liście drzewa. Potem zobaczyła, że mężczyzna podnosi karabin i sprawdza, czy jest naładowany.

Zareagowała natychmiast. Pod szmatą uwolniła się z więzów i skoczyła przez burtę motorówki do wody. Zakołysała przy tym łodzią i dzięki temu zyskała kilka drogocennych sekund. Zanurkowała, ale gdy wypłynęła na powierzchnię, żeby zaczerpnąć powietrza, mężczyzna z karabinem strzelił. Znowu zanurkowała. Pamiętała jeszcze czwarte zanurzenie, a potem już nic, dopiero człowieka, który ją trzymał i ordynarnie się do niej odzywał.

No i siedziała teraz pod palmą w kraju, który był stanowczo za upalny. Doskwierał jej brak snu i głód. Miała jednak wrażenie, że jedynym mieszkańcem tej okropnej wyspy jest na wpół nagi człowiek z ludu.

Wstała, spróbowała wygładzić suknię i odgarnąć włosy do tyłu. Postanowiła poszukać tego człowieka. Amerykanom z pewnością brakowało stosownego wychowania. Dlaczego człowiek z ludu nie przeprosił za to, że jej dotyka? I dlaczego dotąd nie przyniósł jedzenia? Wyglądało na to, że sama musi go znaleźć, żeby oddał ją z powrotem w ręce rządu Stanów Zjednoczonych. Tamci na pewno szaleją z niepokoju od chwili, gdy znikła.

Zadanie okazało się niełatwe. Przez godzinę chodziła tam i z powrotem po cuchnącym, wąskim pasie wybrzeża, ale nie zauważyła ani śladu człowieka z ludu. Co za dziwaczny sposób odnoszenia się do następczyni tronu! Naturalnie Aria czytała, że Amerykanie nigdy nie mieli króla, ale nawet to nie usprawiedliwiało zachowania tego plebejusza. W jej kraju wszystkim ludziom niskiego stanu zależało na zadowoleniu władczyni. Ilekroć wychodziła z pałacu, stawali szpalerem wzdłuż ulic, by ją pozdrowić i wręczyć jej podarki. A może ten mężczyzna był księciem i dlatego

rościł sobie prawa do tak śmiałego zachowania? Pomysł wydał jej się jednak absurdalny. Amerykanie żyją w równości, wszyscy są z ludu, nie ma wśród nich następcy tronu, nie ma arystokratów. Po prostu naród plebejuszy.

Znów usiadła na brzegu. Dlaczego ten człowiek z ludu nie wraca? Nawet Amerykanin powinien mieć dość wychowania, by przynieść księżniczce posiłek.

W południe wróciła pod palmę. Gorąco, głód i brak snu wreszcie ją pokonały. Wyciągnęła się na piasku i zasnęła.

Gdy się zbudziła; panował mrok. Wokoło krzyczały jakieś dziwne ptaki, w okolicznych zaroślach słyszała szelesty. Przysunęła się bliżej do pnia palmy i podciągnawszy kolana pod brodę, objęta je ramionami. Chwilami zapadała w drzemkę, ale na ogół rozmyślała, co dzieje się w bazie marynarki wojennej. Gdyby zawiadomiono jej dziadka króla o porwaniu, byłby bardzo zmartwiony. Musiała jak najszybciej wrócić do cywilizacji i dać światu znać, że jest cała i zdrowa.

Weszło słońce. Aria wyprostowała plecy. Może nagi człowiek opuścił wyspę i została sama? Może jednak przyjdzie jej umrzeć?

Padł na nią cień. Podniosła głowę i ujrzała mężczyznę. Miał na sobie rozpiętą koszulę, spod której wyzierała znaczna część obficie owłosionego torsu. Wiedziała, że nie powinna kierować wzroku prosto na tego osobnika.

- Głodna? - spytał.

- Tak - odrzekła.

Wyciągnął przed siebie ryby nabite na patyki, ale odwróciła głowę. Rzucił ryby na kępkę trawy i zaczął zbierać drewno.

- Wiesz, chyba źle nam się zaczęła znajomość - powiedział. - Może trochę za bardzo się spoufalilem. A poza tym ten postrzał na dzień dobry, jeszcze przed śniadaniem, nie wprowadził mnie w najlepszy humor. Spróbujmy od początku. Nazywam się J.T. Montgomery.

Popatrzyła, jak kucnął przy ogniu i obraca ryby nabite na gałązki. W rozpiętej koszuli, z nagim, owłosionym torsem i czarnymi bakami na policzkach wyglądał niezwykle prymitywnie, bardziej jak ktoś wyjęty żywcem z książki o Attyli, wodzu Hunów, niż dobrze wychowany człowiek. Matka ostrzegała Arię przed tak wyglądającymi mężczyznami, a w każdym razie przed niestosownie ubranymi, bo w istnienie kogoś takiego jej matka zapewne w ogóle by nie uwierzyła. Takim mężczyznom nigdy nie pozwolono by na podobne impertynencje.

- Jak masz na imię? - spytał z uśmiechem.

Nie spodobał jej się ten przesadnie poufały uśmiech. Należało natychmiast położyć temu kres.

- Mów do mnie „wasza wysokość” - odparła surowo.

Mężczyzna odwrócił głowę; przestał się uśmiechać.

- Dobra, księżniczko, niech ci będzie. Masz. - Podsunął jej pod nos rybę na witce.

Aria spojrzała oszołomiona. Księżniczka powinna jeść wszystko, czym ją częstują, ale jak właściwie należało jeść coś takiego?

- Masz - powiedział J.T. i zsunął rybę na palmowy liść. - Wcinaj.

Aria spojrzała na to danie ze zgrozą. Po chwili zdumiała się jeszcze bardziej, gdy zobaczyła, że mężczyzna zamierza usiąść po drugiej stronie ogniska i tam zjeść swoje ryby.

- Nie możesz. - Zachnęła się.

- Czego nie mogę? - spytał, zerkając na nią z ukosa. Właśnie pchał sobie do ust kawałek ryby.

- Nie możesz siedzieć ze mną. Jesteś z ludu, a ja jestem...

- No, nie! Znowu! - Zerwał się na równe nogi i stanął nad nią. - Mam cię po uszy. Najpierw ryzykuję życie, żeby cię uratować, i w podziękowaniu słyszę tylko: „Nie wolno ci mnie dotykać, jestem następczynią tronu!” Potem nie chcesz jeść ryb, a do tego mam cię nazywać „wasza wielbność” i...

- Wysokość - powiedziała.

- Co?

- Mówi się do mnie „wasza wysokość”, nie „wielbność”. Jestem następczynią tronu. Któregoś dnia zostanę królową. Musisz zwracać się do mnie „wasza wysokość” i natychmiast odwieźć mnie do waszej bazy marynarki. Potrzebuję również noża i widelca.

Mężczyzna wypowiedział kilka angielskich słów, których jej nauczyciel nie przewidział w programie.

Czy to możliwe, że ten człowiek się złości? - pomyślała Aria. Nie potrafiła sobie wyobrazić, z jakiego powodu miałoby tak być. Powinien być zaszczycony, że będzie mógł odwieźć ją do bazy. O czymś takim można opowiadać wnukom.

Napady złości plebejuszy najlepiej było ignorować. To brak wychowania i pracy nad sobą sprawiał, że okazywali tyle uczuć.

- Chcę opuścić to miejsce zaraz po posiłku. Jeśli umyjesz nóż, który nosisz przy sobie, zjem posługując się tym nożem.

Mężczyzna wyjął nóż zza pasa, otworzył i cisnął nim tak, że ostrze wbito się w piasek centymetry od jej dłoni. Aria ani drgnęła. Plebejusze byli nieobliczalni, a z powodu swoich nastrojów również niebezpieczni. Należało traktować ich z wyższością.

Wyciągnęła nóż z ziemi i skinęła nim na plebejusza, dając mu tym samym odprawę.

- Możesz teraz iść przygotować łódź. Zaraz będę gotowa.

Usłyszała śmiech nad głową. To dobrze, pomyślała, przynajmniej jest teraz w lepszym nastroju. Sam musiał zrozumieć, jak dziecinnie się burmuszył.

- Dobra, księżniczko, siedź tu sobie i czekaj. - Z tymi słowami odwrócił się i odszedł.

Aria odczekała, aż zniknie z pola widzenia, po czym znów spojrzała na rybę.

- Mówi do mnie „księżniczko”, jakbym była owczarkiem collie - mruknęła pod nosem.

Minęło sporo czasu, nim dociekła, jak można zjeść rybę, nie dotykając jej palcami. Znalazła gałązkę, oczyściła ją w dogasającym ognisku i wreszcie zaczęła skubać zimne mięso gałązką i nożem. Ku swemu zdumieniu dała radę nie tylko jednej rybce, lecz również dwóm innym, które zostawił jej mężczyzna.

Nadeszło południe, ale on nie zameldował, że łódź jest gotowa. Pomyślała, że bardzo ospale wypełnia swoje obowiązki. Potrzebował całego dnia, żeby złowić trzy ryby, więc sprowadzenie łodzi zajmie mu prawdopodobnie dwa razy tyle. Dzień płynął, a człowiek z ludu nie wracał. Czy wszyscy Amerykanie są tacy jak on? - zastanawiała się Aria. Dziadek nie tolerowałby takiego zachowania u jakiegokolwiek służącego w pałacu. Ale Stany Zjednoczone są bardzo młodym krajem w porównaniu z Lankonią. Aria poważnie zastanawiała się nad ich zdolnością do przetrwania. No, bo jeśli wszyscy Amerykanie są tacy tępi i ciemni jak ten tutaj? Jak Stany Zjednoczone chcą wygrać wojnę, skoro panuje tam taki brak dyscypliny? Ten kraj wyraźnie potrzebuje nie tylko wanadu, lecz również nowej ludności.

Po południu zaczął padać deszcz. Najpierw tylko lekko mżyło, potem jednak wiatr się wzmógł i zrobiło się chłodniej. Aria skuliła się pod drzewem i owinęła nogi spódnicą.

Deszcz ściekał jej po twarzy, zęby szczękały. Nie przedstawię go do odznaczenia, postanowiła. Zaniedbuje swoje obowiązki wobec następczyni tronu.

Błyskawica przecięła niebo. Deszcz siekł teraz z wielką siłą.

- Nie masz nawet tyle rozumu, żeby się schować przed deszczem?

Podniosła głowę i znów zobaczyła nad sobą mężczyznę. Nadal nosił bardzo skąpe odzienie, a policzki miał jeszcze bardziej zarośnięte niż przedtem.

- Gdzie jest łódź? - zawołała, przekrzykując szum deszczu.

- Nie ma żadnej łodzi! Musimy tu wytrzymać jeszcze trzy dni.

- Nie mogę tu zostać. Ludzie będą mnie szukać.

- Porozmawiamy o tym kiedy indziej, dobrze? Wcale mi się to nie podoba, ale musisz się schronić w moim obozowisku. Wstawaj i chodź za mną.

Wstała, przytrzymując się pnia.

- Masz iść za mną - powiedziała.

- Gdzieś ty żyła do tej pory, że nikt cię nie zamordował? No dobra, niech szanowna pani prowadzi.

Natychmiast zrozumiała, że nie ma pojęcia, w którą stronę iść.

- Możesz iść pierwszy - powiedziała z wdziękiem.

- To wielka uprzejmość z pani strony - odrzekł. Pierwszy raz powiedział coś, co było do przyjęcia.

Ruszył w stronę gąszczu. Aria odczekała, aż oddali się o kilka kroków, i ruszyła jego śladem. Nie należało zanadto się do niego zbliżać, nie był człowiekiem godnym zaufania. Podążała więc kilka metrów za nim, ale wkrótce deszcz całkiem go zasłonił i straciła go z oczu. Stała nieruchomo i czekała. Zawrócił po kilku długich minutach.

- Trzymaj się blisko mnie! - krzyknął przez szum deszczu. Potem odwrócił się i chwycił ją za rękę. Była zdumiona, że on mówi tak głośno.

Arię znów ogarnęła trwoga. Dotknął jej, mimo iż wyraźnie mu zabroniła. Spróbowała się wyrwać, ale nie rozluźnił chwytu.

- Możesz sobie nie mieć ani krzty rozumu, ale ja mam! - ryknął i zaczął ją ciągnąć.

Doprawdy brak słów na określenie impertynencji tego człowieka, pomyślała. Tymczasem J.T. parł przed siebie, ściskając rękę Arii niczym pies pilnujący kości. Od czasu do czasu wykrzykiwał do niej jakiś rozkaz, na przykład kazał jej się schylić. Raz nawet schwycił ją za ramiona i pchnął na ziemię. Wyobrażał sobie, że będzie się czołgała pod gałęziami! Usiłowała mu wytłumaczyć, że musi wyciąć trochę gałęzi, ale wcale jej nie słuchał. Nie miała wyboru. Groziło jej, że plebejusz będzie ją ciągnął na brzuchu. Co za upokarzająca i absurdałna sytuacja.

Gdy w końcu dotarli do polanki pośrodku wysepki, potrzebowała dłuższej chwili, żeby pojąć, co to za miejsce. Po ciężkich przejściach z tym prostakiem była kompletnie zdezorientowana. Stała na deszczu i rozcierała nadgarstek w miejscu, gdzie mężczyzna ją trzymał. Czyżby on tu mieszkał? Dookoła nie zobaczyła żadnego domu, właściwie nie zobaczyła niczego oprócz paru skrzyń i czarnej tkaniny tworzącej niewielki namiot. Nikt w Lankonii nie bytował w takim ubóstwie.

- Właź! - krzyknął, wskazując kawałek tkaniny, rozpięty między gałęziami drzew.

Było to schronienie wyjątkowo prymitywne, ale suche. Aria wpełzła tam na kolanach. W chwili gdy ocierała wodę z twarzy, przeżyła wstrząs. Mężczyzna wsunął się pod tkaninę za nią.

Takiego zachowania nie wybacza się nawet Amerykaninowi.

- Wynoś się! - powiedziała stanowczo. - Nie wolno ci...

Dotknął nosem jej nosa.

- Posłuchaj mnie, paniusiu - powiedział najciszej, jak można było wśród szumiącego deszczu. - Naprawdę mam cię serdecznie dość. Jest mi zimno, zmokłem, jestem głodny, dostałem kulę w ramię, mam pociętą skórę na nie zagojonej oparzelinie, a ty doszczętnie zepsułaś mi pierwszy urlop, jaki dostałem w czasie tej wojny. Wybieraj: możesz zostać w namiocie ze mną albo dalej siedzieć w deszczu na swojej królewskiej dupie. To wszystko. A jeśli powiesz jeszcze słowo o tym, co mi wolno albo czego nie wolno, to z przyjemnością wywalę cię z namiotu na zбитy pysk.

Aria raptownie zamrugła. Jak dotąd Ameryka w ogóle nie odpowiadała jej wyobrażeniom. Może powinna spróbować nieco innego podejścia, skoro ten plebejusz zdradza gwałtowne usposobienie? Nie wiedziała przecież, czy nie zacznie do niej strzelać tak jak tamci.

- Czy mogę dostać coś suchego do ubrania? - spytała i obdarzyła go wyćwiczonym uśmiechem, jakim nagradzała poddanych, którzy ją zadowolili.

Mężczyzna jęknął, odwrócił się i otworzył metalową skrzynkę stojącą w kącie namiotu.

- Mam galowy mundur marynarski i nic więcej - powiedział. Rzucił jej zawiniątko na kolana, po czym wyciągnął się na gumowej podłodze, nasunął na siebie koc i zamknął oczy.

Aria z najwyższym trudem ukryła wstrząs. Czyżby cała Ameryka była właśnie taka? Pełna ludzi, którzy porywają i strzelają, nazywają kobiety „słoneczkiem” i ciskają nożami? Postanowiła jednak zachować godność; pod żadnym pozorem nie mogła sobie pozwolić na łzy.

Nie miało sensu próbować rozpinania guzików sukni. Aria nigdy nie rozbierała się sama i zupełnie nie wiedziała, jak się to robi. Przycisnęła sobie do piersi suchy mundur i położyła się jak najdalej od tubylca. Nie mogła jednak powstrzymać dreszczy.

- Co tam znowu? - burknął plebejusz i usiadł. - Jeśli się boisz, że cię zgwałcę, to niepotrzebnie. Nigdy w życiu nie spotkałem mniej interesującej kobiety.

Aria dalej drżała.

- Czy jeśli wyjdę na deszcz, to zdejmiesz z siebie ten żagiel, w który jesteś zawinięta, i przebierzesz się w suche ubranie?

- Nie wiem jak - odparła zaciskając zęby, żeby nie było słychać szczękania.

- Czego nie wiesz?

- Czy byłbyś łaskaw na mnie nie krzyżeć? - spytała. Usiadła i wyprostowała plecy. - Nigdy w życiu sama się nie rozbierałam. Guziki... nie wiem jak...

J.T. otworzył usta ze zdumienia. Ale czego właściwie miał się spodziewać? Jak niby wyobrażał sobie następczynię tronu? Czyżby myślał, że taka paniusia pucuje srebra i ceruje skarpetki? Dziewczyna usiadła jeszcze bardziej sztywno.

- Nigdy nie musiałam się sama ubierać. Na pewno mogłabym się nauczyć. Gdybyś wytłumaczył mi od początku...

- Obróć się - powiedział i okręcił ją za ramię, żeby ustawiła się plecami do niego. Zaczął rozpinać suknię.

- Mam wrażenie, że nie zniosę więcej dotykania... jak ty się właściwie nazywasz?

- J.T. Montgomery.

- Więc dobrze, Montgomery, sądzę...

Obrócił ją z powrotem twarzą do siebie.

- Porucznik marynarki Stanów Zjednoczonych Montgomery, a nie jakiś tam Montgomery! Nie twój pieprzony kamerdyner, tylko porucznik. Dotarło, księżniczko?

Czyżby ten człowiek musiał wyrzaskiwać każde słowo?

- Oczywiście. Rozumiem, że chcesz używać swojego tytułu. Czy ten tytuł jest dziedziczny?

- Lepiej, księżniczko. Jest zapracowany. Dostałem go za... za zapinanie własnej koszuli. Dobra, wyskakuj z tej sukni... a może chcesz, żebym osobiście cię rozebrał?

- Dam sobie radę.

- W porządku. - Odwrócił się od niej i z powrotem się położył.

Zdejmując suknię, Aria nie spuszczała z niego wzroku. Nie odważyła się ściągnąć kilku warstw przemoczonej bielizny, więc gdy jakoś wciągała przez głowę biały mundur, wciąż było jej nieprzyjemnie. A dopełnienie tej operacji kosztowało ją wiele wysiłku. W każdym razie minęło sporo czasu, nim i ona mogła się położyć.

Gumowa podłoga namiotu była wilgotna, bielizna kleiła się Arii do ciała, mokre i splątane włosy sprawiały okropne wrażenie. Po paru minutach znów zaczęły nią trząść dreszcze.

- Cholera jasna - powiedział porucznik Montgomery, przetoczył się na drugi bok, okrył Arię kocem i przyciągnął ją do siebie. Była odwrócona do niego plecami.

- Chyba nie mogę... - zaczęła.

- Zamknij się - burknął. - Zamknij się i śpij.

Jego potężne ciało dawało tyle ciepła, że przestała protestować. Przed zaśnięciem zdążyła się jeszcze pomodlić z nadzieją, że matka nie patrzy teraz na nią z nieba.

Gdy Aria zbudziła się rankiem, była sama. Przez chwilę leżała nieruchomo i przypominała sobie wydarzenia poprzedniego koszmarnego dnia. Koniecznie musiała wrócić, do bazy marynarki wojennej i dać znać całemu światu, a szczególnie swemu dziadkowi, że jest bezpieczna. Wypęzła z namiociku i stanęła. Na polanie paliło się małe ognisko, ale nie zauważyła ani śladu mężczyzny. Munduru, który miała na sobie, było stanowczo za dużo: dłonie ginęły jej w rękawach, bluza sięgała do kolan, a mankiety spodni plątały się pod stopami. Potykając się, podniosła z ziemi mokrą suknię.

Deszcz przestał padać i poranek zapowiadał się pogodnie. Słoneczny żar już palił. Polana była naprawdę nieduża, otoczona dookoła drzewami z lśniącymi liśćmi. Ten prostak nadal nie dawał znaku życia. Aria nasłuchiwała chwilę, po czym ostrożnie zdjęła z siebie marynarski mundur.

- Jest za gorąco na tyle bielizny - powiedział mężczyzna za jej plecami.

Aria głośno zaczerpnęła haust powietrza i przycisnęła suknię do piersi. J.T. podniósł z ziemi swój biały mundur z marsową miną przyjrzał się plamom.

- Nie szanuje pani cudzej własności, to pewne.

- Nie „pani”. Jestem...

- Wiem. Jesteś moją królewską kulą u nogi. Nie mogłaś trochę poczekać? Niechby urządzili to polowanie na ciebie w niedzielę rano. No, więc jak? Zamierzasz wsadzić ożaglowanie na siebie czy będziesz je trzymała do końca świata?

- Musisz odejść. Nie mogę się ubierać w obecności mężczyzny.

- Księżniczko, stanowczo przeceniasz swoje wdzięki. Mogłabyś paradować przede mną nago tam i z powrotem, a i tak nie byłbym zainteresowany. Ubierz się szybciej. Będziesz obierać krewetki.

Aria potrzebowała dłuższej chwili, żeby ochłonać.

- Nie wolno ci mówić do mnie w taki sposób.

Podszedł do niej i chwycił za ciężką czarną suknię, którą się zasłaniała. Nie bacząc na jej przerażenie, wziął nóż i obciął długie rękawy, a potem również połowę długości spódnicy. Zwrócił odzienie Arii.

- Tak powinnaś czuć się lepiej. I zdejmij z siebie przynajmniej połowę bielizny. Nie wyobrażaj sobie, że znowu będę cię ratował, tym razem z powodu udaru słonecznego. Już wystarczająco dostałem w kość.

Wziął z ziemi siatkę na ryby i stanął nad małym strumieniem.

Aria nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Ciotka ostrzegała ją, że

Amerykanie są barbarzyńcami, nie znają manier i nie należy im ufać, ale ten mężczyzna z pewnością był gorszy od pozostałych. Niemożliwe, żeby cały kraj zamieszkiwali osobnicy, którzy nie przejawiają najmniejszego szacunku dla władców.

W dziesięć minut później, gdy J.T wrócił z masą wijących się krewetek, Aria wciąż stała w tym samym miejscu.

- Czekasz na służącą? Dobra, zaraz ci pomogę. - Odrzucił krewetki na ziemię, chwycił za suknię i bezceremonialnie naciągnął ją Arii przez głowę, przy okazji zadrapując jej nos usztywnieniem talii. Szarpnął jeszcze raz i przełożył ręce Arii przez krótkie już rękawy. Wreszcie zapiął jej guziki na plecach z delikatnością rekina atakującego zdobycz.

Przez cały czas Aria stała sztywno wyprostowana. Ten człowiek był nienormalny. Umysłowo chory. Odsunęła się od niego i usiadła na drewnianej skrzyni. Suknia sięgała jej do pół łydki i odsłaniała ramiona.

- Teraz możesz podać mi śniadanie - powiedziała najuprzejmiej, jak umiała.

Nawet na nią nie spojrzął, tylko cisnął jej na kolana siatkę z wijącymi się krewetkami. Aria nie krzyknęła, nie zerwała się ze skrzyni, nie okazała odrazy, jaką poczuła.

- Czy możesz pożyczyć mi nóż? - spytała.

Popatrzył na nią zaciekawiony i podał jej narzędzie.

Księżniczka je to, co przed nią stawiają, powtarzała sobie w myśli jak zakęcie. Nie wolno obrażać poddanych odmową skosztowania ich potraw. Ostrożnie otworzyła siatkę. Na widok dziesiątek stworzeń z wylupiastymi oczami i niezliczonymi odnóżami żołądek podszedł jej do gardła. Wzięła głęboki oddech, żeby zapanować nad słabością, potem nadziała krewetkę na nóż i wolno zaczęła podnosić stworzenie do ust. Im bliżej celu było, tym wolniej poruszała ręką. Odnóże krewetki dotknęło jej warg. Zamknęła oczy. Bała się, że zwymiotuje.

Mężczyzna złapał ją za rękę w chwili, gdy zamierzała wsadzić sobie krewetkę do ust. Podniosła powieki i spojrzała na niego.

- Taka jesteś głodna? - spytał cicho.

- Wasze jedzenie na pewno jest wyśmienite. Po prostu nigdy dotąd go nie jadłam. Na pewno będzie mi smakowało tak samo jak wam.

Spojrzał na nią dziwnie, po czym odebrał jej nadzianą na nóż krewetkę i zdjął siatkę z kolan.

- Najpierw trzeba je oczyścić i ugotować.

Patrzyła, jak mężczyzna zwała całą porcję krewetek do garnka z wrzątkiem.

- Nigdy dotąd nie widziałaś krewetek?

- Widziałam, ale tylko na talerzu. Wtedy nie są podobne do tych różowych wijących się istot. Nie poznałam.

- A mimo to zamierzałaś zjeść je na surowo. Skąd pochodzisz?

- Z Lankonii.

- Ach, słyszałem. Góry, kozy i winogrona, prawda? Co robisz w Stanach Zjednoczonych?

- Zaprosił mnie wasz rząd. Na pewno bardzo się niepokoją z powodu mojego zniknięcia. Musisz...

- Nie zaczynaj od nowa. Gdyby był sposób, żeby natychmiast zabrać cię z tej wyspy, to na pewno bym cię zabrał. Wierz mi, siostró.

- Nie jestem twoją siostrą, jestem...

- Królewską zarazą. Dobra, obetnij im łebki i obierz je, a ja tymczasem przyrządzę sos.

- Wybacz, ale nie jestem twoją kucharką ani pokojową.

Stał nad nią, zasłaniając słońce. Znow był w szortach i nie dopiętej koszuli. Miała przed oczami jego potężne, śniade, gęsto owłosione uda.

- Jesteś teraz w Stanach Zjednoczonych, księżniczko, a tu wszyscy jesteśmy równi. Żeby jeść, trzeba pracować. Nie będę podawał ci posiłków na złotym półmisku. - Cisnął do jej stóp nóż i kawałek drewna wyrzuconego przez morze. - Obcinaj i obieraj.

- Nie sądzę, żeby waszemu rządowi spodobało się takie traktowanie mojej osoby, poruczniku Montgomery. Rząd Stanów Zjednoczonych bardzo interesuje się naszym wanadem, a ja wcale nie jestem pewna, czy zgodzę się na sprzedaż, jeśli nie będę dobrze traktowana.

- Dobrze traktowana! - burknął. - Uratowałem ten twój kościsty tyłek i zobacz, ile mnie to kosztowało. - Ściągnął koszulę z lewego ramienia. Ujrzała głębokie, nabrzmiałe, paskudnie wyglądające bruzdy i na wpół zabliznione rany na ramieniu, żebrach i dalej w dół, aż do gumki szortów. Nogę także miał uszkodzoną. Tam rany wydawały się głębsze i zagojone znacznie gorzej.

Odwróciła się od tego widoku.

- Nie pokazuj mi takich rzeczy. Proszę, żebyś w mojej obecności przebywał ubrany.

- Ach, rozumiem. Uważasz za normalne, że ludzie ryzykują dla ciebie życie, tak?

- Moi poddani...

- Do diabła z twoimi poddanymi! Zabieraj się do krewetek! Jeśli będę musiał oczyścić je sam, nie dostaniesz ich do jedzenia!

- Nie wierzę, że odmówiłbyś mi żywności.
- Nie denerwuj mnie, dziecino.
- Poruczniku Montgomery, nie może nazywać mnie pan...
- Dość tego! - ryknął na nią.

Podniosła nożem ugotowaną krewetkę, położyła ją na drewnianym kłucie i spróbowała wykonać cięcie. Krewetka się poruszyła, ale skorupka pozostała nietknięta.

- Czy ty nie umiesz zrobić dosłownie niczego? - Wziął od niej nóż, chwycił krewetkę lewą dłonią i zręcznym ruchem obciął stworzeniu głowę, potem odłamał ogon i wyłuskał krewetkę ze skorupki. - Widziałas? Proste?

Aria spoglądała na niego, nie kryjąc już przerażenia.

- Dotknąłeś jej.
- Krewetki? Oczywiście, że dotknąłem.
- Nie mogę tego zrobić. Jedzenia nie dotyka się rękami.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- A jak jecie kukurydzę? Hot dogi? Hamburgery?

- Nigdy nie jadłam żadnej z tych rzeczy, ale jeśli trzeba ich dotykać, to nie zamierzam próbować.

- A jabłka?
- Oczywiście nożem i widelcem.

Zamilkł na chwilę, ale przyglądał się jej, jakby przyleciała z odległej planety. Potem energicznie wepchnął jej w dłoń tłustą krewetkę. Trzymał uparcie, mimo że Aria próbowała się wyrwać. Zmusił ją do wzięcia w drugą rękę noża i przećwiczył z nią czyszczenie krewetki.

Aria starała się powstrzymać odruch wymiotny. Zamknęła oczy, ale ten ohydny człowiek odczekał, aż znów podniosła powieki, i dopiero wtedy przystąpił do pracy.

- Dotarło, księżniczko? Jak wrócę, ma tu być góra oczyszczonych krewetek.

Jego odejście powitała z ulgą, ale sterta krewetek wyglądała imponująco. Czuli się jak księżniczka, która musi utkać ze słomy złotą matę, bo inaczej rano zostanie ścięta.

- Rządowi Stanów Zjednoczonych bardzo się to nie spodoba - mruknęła pod nosem. - Kiedy o

tym usłyszą, z pewnością skazą tego człowieka na wiele lat więzienia. Będzie gnął z łańcuchami u nóg w zaszczurzonym lochu. Albo jeszcze lepiej niech przekażą go Lankonii. Dziadek będzie wiedział, co z nim zrobić.

Aż podskoczyła, bo dokładnie nad jej głową rozległo się gniewne parsknięcie mężczyzny.

- Musisz anonsować swoje nadejście - powiedziała. - Nie wolno ci wchodzić bez pozwolenia do mojej komnaty.

- To jest moja komnata. Nie oczyściłaś nawet dziesięciu krewetek. Przy takim tempie grozi nam głód.

Spodziewała się, że weźmie od niej nóż i dokończy pracę, ale się zawiodła. Zamiast tego wziął witkę z nadzianymi rybami. Innym, wielkim nożem poobcinał im głowy, potem przymocował łby do witki i powiesił tak, że swobodnie kołysały się w wodzie.

- Na lunch będziemy mieli błękitnego kraba... naturalnie jeśli najpierw zjemy śniadanie.

Tak ją zdenerwował, że zacięła się w kciuk. Wstrząśnięta usiadła nieruchomo i zapatrzyła się w kąpiącą krew. J.T. chwycił ją za rękę i przyjrzał się skaleczeniu.

- Widzisz: czerwona, tak samo jak u nas, śmiertelników - powiedział. - Idź i wsadź rękę do wody.

Nie poruszyła się, więc postawił ją na nogi i pociągnął do strumienia. Tam przygiął ją, żeby zanurzyła dłoń.

- Szanowna pani jest najbardziej bezużyteczną osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Nie nadaje się pani do życia, chyba że w wieży z kości słoniowej. Co wy, ludzie, robicie w życiu? Pewnie tylko się pobieracie i produkujecie następne bezużyteczne bachory.

Aria czuła bolesne pulsowanie w skaleczonej dłoni.

- Jestem zaręczona z hrabią Julianem Heskim.

- No, no. - J.T. zbadał skaleczenie Arii. - Spotkałaś go kiedyś?

- Oczywiście. Spotkałam go trzy razy, a tańczyłam z mm czterokrotnie.

- Czterokrotnie! Dziwię się, że nie zaszłaś od tego w ciążę. Nie patrz na mnie takim wzrokiem, obmyj to skaleczenie i kończ robotę z krewetkami.

Bezдушny, ordynarny plebejusz. Szkoda dla niego lochu. Powinna wymyślić lepszą karę, coś upokarzającego i ohydneho.

- Jestem ranną. Nie mogę... Gdzie są tutaj... urządzenia toaletowe?

- Widzisz te drzewa? To jest jedno wielkie urządzenie toaletowe.

Próbując zachować godność zaczęła się oddalać. Weszła na wąską ścieżkę i już się nie zatrzymała. Ten mężczyzna był odrażający. Nikt nigdy nie odzywał się do niej w taki sposób jak on. W ogóle nie zdawała sobie sprawy, że ludzie mogą tak ze sobą rozmawiać. Postanowiła nie zniżać się do jego poziomu. Była głodna, spragniona, zmęczona, było jej gorąco, ale przynajmniej znalazła się z dala od tego wulgarnego prostaka.

Odszukanie drogi na brzeg okazało się trudne, ale w końcu odniosła sukces. Miała nadzieję, że dostrzeże jakiś statek przepływający niedaleko wyspy i zdoła zwrócić jego uwagę. Szła wzdłuż brzegu, zapadając się po kostki w zwałach gnijących wodorostów. Przez cały czas z napięciem wpatrywała się w horyzont.

Na brzegu leżało trochę różnych muszli; Arię zainteresowały te, które wyglądały jak dziwne, wąskie, niebieskie baloniki. Przystanęła, żeby jeden podnieść.

- Nie dotykaj!

Odsunęła dłoń i gniewnym wzrokiem popatrzyła na mężczyznę. Stał na wzgórku, nieco powyżej poziomu plaży.

- Śledzisz mnie?

Miał ze sobą karabin. Opuścił go nagle, stawiając kolbę na ziemi.

- Mówisz, że twój kraj ma wanad?

- Bardzo dużo. - Znów pochyliła się nad niebieskim balonikiem.

- To stworzenie jest uzbrojone jak okręt wojenny - ostrzegł ją. - Pod spodem ma parzące czułki. Ludzie, którzy go dotkną, nieraz umierają z bólu.

- Ojej - zdziwiła się. Znów stanęła wyprostowana, po czym ruszyła brzegiem. - Możesz odejść.

Podążył za nią.

- Odejść i zostawić cię, żebyś sprowadziła na siebie nieszczęście? Masz niezwykły talent do pakowania się w kłopoty. Nie chcę, żebyś pokazywała się na brzegu. Te dwa typy, które próbowały cię zabić, mogą wrócić.

- Wasza marynarka pewnie wyśle okręty, żeby mnie szukały.

Zatrzymali się przy palmie, więc J.T. usiadł i oparł karabin o pień drzewa.

- Właśnie to przemyślałem i doszedłem do wniosku, że moim obowiązkiem jest zapewnić ci ochronę, a przynajmniej zapewnić ochronę wanadowi, który stanowi twoją własność. Będziesz

musiała wrócić na polanę pośrodku wyspy.

- Dziękuję, nie skorzystam, poruczniku Montgomery. Wolę posiedzieć tutaj i powypatrywać okrętów. - Usiadła nad samą wodą, sztywna, jakby połknęła kij, i splotła dłonie na podolku.

J.T. oparł się o palmę.

- Niech będzie, tylko mi nie znikaj z oczu. Mamy jeszcze spędzić na tej wyspie trzy długie dni, a zamierzam oddać cię w ręce rządu Stanów Zjednoczonych całą i zdrową. Jak przestaniesz żywić się dumą, to daj znać. Mam w obozowisku błękitne kraby.

Aria zignorowała go. Położyła się i udała, że przysypia. Słońce paliło, a ją ściszał głód. Wyobraziła sobie pieczone jagnię i fasolkę szparagową z tymiankiem. W oceanie odbijało się słońce, ale nigdzie nie było śladu niczego pływającego.

Tuż przed jej nosem leniwie przesuwała się w wodzie wielka ryba. Aria przypomniała sobie, jak ten prostak przebijał ryby włócznią i piekł je nad ogniskiem. To był jej ostatni posiłek, wiele godzin temu. Ognisko może udałoby się jej rozpaścić, ale jak złapać rybę?

Zerknęła jeszcze raz na mężczyznę i zauważyła, że zasnął. O pół metra od niego stał karabin. Na broni palnej się znała, bo od dziecka chadzała na polowania.

Cicho, tak żeby go nie zbudzić, wspięła się po piaszczystym brzegu i chwyciła za karabin. W tej samej chwili poczuła uścisk dłoni na nadgarstku.

- Co ty kombinujesz? Chcesz się mnie pozbyć?

- Chcę złapać rybę.

Zamrugął kilka razy, a potem kpiąco się uśmiechnął.

- Co takiego? Masz zamiar zamienić karabin w wędkę? I używać nabojów na przynętę?

- Nigdy w życiu nie spotkałam głupszego człowieka od ciebie. Mam zamiar strzelić do ryby.

Uśmiechnął się szerzej.

- Z karabinu M - 1?! Nie udałoby ci się nawet oddać strzału z czegoś takiego, a tym bardziej trafić. Odrzut powaliłby cię na ziemię.

- Naprawdę? - Wzięła karabin, sprawdziła, czy jest naładowany, podrzuciła go do ramienia, wycelowała i strzeliła. - Drugi nabój - zażądała, wyciągając ku niemu rękę.

Oniemiały J.T. podał jej na dłoni mocno wydłużony nabój.

Aria załadowała broń ponownie, ale tym razem poderwała lufę wyżej i wycelowała do stadka kaczek. Wystrzeliła i ptak spadł z kilku metrów do oceanu. Odstawiwszy karabin, popatrzyła

na porucznika.

J.T. minął ją i wszedł do wody. Wyciągnął z niej dużego czerwonego lucjana z precyzyjnie odstrzeloną częścią łebka. Przeszedł jeszcze parę metrów w wodzie i znalazł bezgłową kaczkę.

- Księżniczki też co nieco umieją - powiedziała Aria. Obróciła się na pięcie i szybkim krokiem ruszyła do obozowiska. - Możesz mi to podać na lunch.

Zarzucił karabin na plecy i szybko ją dogonił. Wrzucił jej w objęcia rybę i kaczkę.

- Będziesz jadła swoją zdobycz, ale najpierw ją oczyścisz. Musisz się nauczyć, że nie jestem twoim służącym, nawet gdybym siłą miał ci to wbić do głowy.

Uśmiechnęła się do niego.

- Mężczyźni zawsze się złością, kiedy okazuje się, że lepiej od nich strzelam. Niech pan mi powie, poruczniku Montgomery, czy pan umie jeździć konno?

- Umiem się ubrać i nie głoduję. A teraz wracaj do obozowiska i oskub kaczkę z piór. Tym razem masz zrobić swoje od początku do końca.

Nienawidzę go dzisiaj - powiedziała Aria pod nosem, zeszkubując małe piórko z kaczki. - Nienawidzę go jutro. - Oderwała następne piórko. - Nienawidzę go wczoraj.

- Jeszcze nie skończyłaś?

Aria podskoczyła.

- Musisz anonsować swoje przybycie.

- Właśnie to zrobiłem. - Spojrzał na jej nagie ramiona. - Czy wiesz, że znowu siedzisz w słońcu?

- Będę siedzieć, gdzie mi się podoba.

J.T. wzruszył ramionami, pochylił się nad krabami i zaczął je czyścić.

- Nienawidzę go na zawsze - szepnęła Aria do siebie. - Skończyłam - powiedziała wstając. Ku jej zdumieniu świat zawirował.

Gdy się zbudziła, leżała w hamaku. Porucznik Montgomery nachylał się nad nią z zatroskaną miną.

- Ty cholerna paniusiu - mruknął pod nosem, a potem odezwał się głośniejszym, mierzącym ją nienawistnym spojrzeniem. - Jest ci za gorąco w tej przeklętej sukni, spaliłaś się na słońcu, a do tego jesteś głodna. - Odwrócił się z myślą, że powinien dostać za te dni Srebrną Gwiazdę.

Aria czuła się fatalnie, a gdy spojrzała na swe ramiona, spostrzegła, że z każdą chwilą bardziej różowieją. Po kilku minutach J.T. wrócił, niosąc metalową miskę z rybą i krabami. Przyjęcie pozycji siedzącej w hamaku sprawiło jej pewne trudności, skończyło się więc na tym, że porucznik Montgomery zaklął kilka razy pod nosem i wziął ją na ręce, uprzednio odstawivszy miskę na ziemię.

- Nie wolno ci tego robić - syknęła, drętwiejąc w jego ramionach.

Posadził ją na drewnianej skrzyni i postawił jej jedzenie na kolanach. „

- Miałbym tu mniej kłopotu z trójką bachorów. - Aria nie zaczynała jeść, więc z jękiem wręczył jej swój nóż. - Czy ty w ogóle nie znasz słowa „dziękuję”?

Zignorowała go i wzięła się do jedzenia. Trudno było jej zachować maniery. Miała wielką chęć spałaszować wszystko z wielkim apetytem. Siedziała jednak sztywno, od czasu do czasu powoli unosiła nóż i wsadzała sobie kęs do ust, po czym odkładała nóż. Tymczasem mężczyzna pochylił się nad ogniem i zaczął coś robić z ustrzelonym ptakiem.

Zanim skończyła jeść kraba, cisnął jej na talerz ćwiartkę pieczonej kaczki. Dość długo musiała się zastanawiać, jak to zaatakować, ale przytrzymując mięso czubkiem palca, zdołała je podzielić i wsadzić sobie do ust nożem. Na widok jej pustej miski mężczyzna zrobił zaskoczona minę, lecz posiadała mu takie spojrzenie, że nie ośmielił się zrobić żadnej uwagi.

- Teraz wyłuskamy cię z tych ciuchów.

- Słucham?

- Zemdląłeś. Już zdążyłaś zapomnieć? Floryda jest zbyt upalna, żeby nosić tyle na sobie. Odepnę ci suknię, a ty pójdziesz za drzewo i ściągniesz z siebie bieliznę. Nie patrz na mnie w ten sposób. Gdybym chciał kobiety, wybrałbym sobie bardziej mięsistą i bardziej przyjaźnie nastawioną do świata.

Aria poszła w stronę drzew z wysoko uniesioną głową. Wiedziała, że porucznik Montgomery ma rację, nie mogła sobie pozwolić na następne omdlenia. Nie znaczyło to jednak, że wolno mu wydawać jej rozkazy na prawo i lewo.

Pozbyła się sukni i spojrzała na liczne warstwy swej bielizny. Najpierw zdjęła halkę, którą dotąd musiała trzymać podwiniętą, żeby nie wystawała spod brutalnie skróconej spódnicy. Potem przysła kolej na jedwabną koszulkę. Wreszcie została tylko w ciasno ściągniętym gorsecie z różowego atlasu, majtkach i pończochach.

Mimo że wykręcała ciało we wszystkie strony, nie mogła dosięgnąć sznurówek gorsetu. Włożyła więc z powrotem suknię, wzięła do ręki halkę i koszulkę, i wyszła pomiędzy drzew.

J.T. zmierzył ją szybkim spojrzeniem i powiedział:

- Za mało.

- Nie będę...

Obrócił ją dookoła osi, rozpiął jej suknię i przeciął sznurówki gorsetu. Ręką wskazał ku drzewom.

Ściągnawszy resztę bielizny, Aria miała wrażenie, że znalazła się w niebie. Wreszcie wyswobodziła się z ciasnego usztywniacza gorsetu, od którego zostały jej tylko ślady na ciele. Zdjęcie pończoch przywróciło oddech jej skórze. Gdy zaś z powrotem włożyła suknię i pantofelki na płaskim obcasie, poczuła się jeszcze lepiej. Dotyk jedwabiu na nagiej skórze sprawił jej wielką przyjemność.

Oczywiście suknia zrobiła się teraz tu i ówdzie obcisła. Bez elastycznego gorsetu Aria zaokrągliła się zarówno na górze, jak i na dole. Nigdy dotąd nie zdarzyło jej się pokazać publicznie bez bielizny. Gdy miała czternaście lat, matka natychmiast zareagowała na pierwszą oznakę rosnących piersi córki i zamówiła dla niej gorset.

- Ciało księżniczki jest tak samo niewzruszone jak ona - mawiała. Od tej pory Aria nosiła gorset bez przerwy, z wyjątkiem godzin spędzanych w łóżku.

Przed wyjściem zza zasłony drzew przeżyła wahanie, zauważyła bowiem, że wyraźnie przybyło jej z przodu. Trudno, pomyślała. Była pewna, że jeśli zignoruje to zjawisko, ten straszny mężczyzna postąpi podobnie.

Omyliła się. Wprawdzie gdy stanęła na polanie, zerknął na nią i zaraz się odwrócił, ale prawie natychmiast popatrzył na nią ponownie, tym razem dużo bardziej wnikliwie. Zlekceważyła go. Ruszyła ścieżką prowadzącą na brzeg.

- Co ty znowu wymyśliłaś?

- Idę zobaczyć, czy nie widać jakichś statków.

- Nie idziesz. Zostajesz tutaj.

- Poruczniku Montgomery, nie przyjmuję rozkazów od nikogo niższego rangą od króla.

- W porządku, dziecino. Tutaj ja jestem królem. Skoro posiadasz coś, czego potrzebuje rząd Stanów Zjednoczonych, to obowiązkiem amerykańskiego marynarza jest zapewnić temu ochronę. Masz się stąd nie ruszać, żebym cię stale widział.

Aria zaszczyciła go jeszcze przelotnym spojrzeniem i dalej posuwała się ścieżką. Chwycił ją za ramię.

- Zdaje się, że masz kłopoty ze słuchem. Po oceanie pływają nie tylko Amerykanie. Meldowano o niemieckich łodziach podwodnych w tym rejonie.

Wyrwała mu się.

- Mam niemieckich kuzynów. Może zechcą odwiedzić mnie do domu, do mojego dziadka. Stany Zjednoczone już nic mnie nie obchodzą.

Mężczyzna cofnął się o krok i popatrzył na nią jak na potwora.

- Toczmy wojnę z Niemcami - szepnął.

- Twój kraj toczy wojnę z Niemcami, mój nie - odparła. Postąpiła jeszcze kilka kroków ścieżką, nim złapał ją ponownie.

- Posłuchaj, ty mała zdradziecka zmijko. Zostaniesz tutaj ze mną, czy ci się to podoba, czy nie. A jutro, jak przyplynie po mnie mój przyjaciel, oddam cię do dyspozycji rządu... rządu Stanów Zjednoczonych. - Ujął ją za ramię i zaciągnął z powrotem na polanę. Potem przestał się nią interesować, jakby po wydaniu rozkazów nie widział już tematu do rozmów.

Aria usiadła pod drzewem i czekała. Nie zamierzała się tłumaczyć przed tym człowiekiem, który widział tylko jedną stronę problemu, wiedziała jednak, że każdą minutą nieobecności w bazie skraca życie dziadkowi. Na pewno już wiedział o jej zniknięciu i bardzo się tym martwił. Dziadek przygotował swego jedyne go syna, ojca Arii, do objęcia tronu, ale gdy Aria miała pięć lat, jej ojciec zginął. Dziadek musiał pogodzić się z tą tragedią. Od tej pory skupił swe nadzieje na wnuczce. Arię zaczęto wychowywać na królową. Uczono ją historii, ekonomii i polityki.

Człowiek, który teraz leżał w hamaku i czytał, sądził, że rozumie, czym jest patriotyzm, a przecież właśnie miło spędzał czas, podczas gdy jego kraj toczył wojnę. Żaden król i żadna królowa nie mieli ani chwili wytchnienia, gdy ich kraj był w stanie wojny. Ludzie przyglądali się swoim władcom i brali z nich przykład.

Jej dziadek zdołał uchronić Lankonię przed wojną, która objęła większą część świata. Teraz miał poważne obawy, co zrobią Niemcy, gdy sprzeda wanad Amerykanom, ale Lankonia potrzebowała pieniędzy, ogłaszając neutralność odcięta się bowiem od importu towarów z otaczających krajów.

Ten Montgomery powiedział, że Lankonia to góry, kozy i winogrona. Niestety, winogrona ostatnio marniały. Dziadek wysłał więc Arię do Ameryki, mimo że liczył się z próbami porwania. Sprzedaż wanadu była wyjątkowo ważna.

No i tkwiła teraz na tej wyspie, w niewoli głupkowatego człowieka, który był stanowczo za prymitywny, by zrozumieć jej sytuację. Nie miała jak się stąd wydostać.

Żywiła nadzieję, że Amerykanie nie od razu zawiadomią dziadka o jej zniknięciu. Miała jednak wrażenie, że amerykańskie gazety uwielbiają wywlekać wszystkie sensacje.

Zauważyła, że mężczyzna przysnął. Jak najciszej wstała i poszła ścieżką w stronę oceanu. Dotarła na brzeg, ale słońce już zachodziło, więc widoczność była słaba.

Nagle usłyszała wyraźny odgłos silnika. Puściła się biegiem. Za cyplem przybijała do brzegu łódź motorowa. Trzech mężczyzn wyciągało ją na piasek. Uniosła ramię i otworzyła usta, żeby ich

powitać, lecz w tej samej chwili znalazła się na ziemi. Przygniótł ją ciężar, który mógł być tylko ciałem tego porucznika.

- Ani słowa - szepnął jej J.T. do ucha. - Ani jednego słowa. Nie wiem, co to za ludzie, ale na piknik tu nie przyplłynęli.

Arii najbardziej zależało w tej chwili na odzyskaniu tchu. Uniosła dłoń i słabo nią skinęła. J.T. zsunął się z niej, ale nadal przyciskał ją do siebie, tak że była na wpół przygnieciona jego ciężarem.

- Nie wolno ci...

Zacisnął jej dłoń na ustach.

- Ciszej! Patrzą w tę stronę.

Odepchnęła jego rękę od twarzy i popatrzyła na przybyszy. Jeden stał na łodzi i palił papierosa, dwaj pozostali zniknęli tymczasem między drzewami, niosąc ciężką skrzynię. Wrócili z pustymi rękami.

J.T. trzymał Arię mocno, póki mężczyźni nie odpłynęli.

- Możesz już mnie puścić - powiedziała, gdy znikli za horyzontem. J.T. trzymał ją nadal. Przesuwał dłoń w stronę jej biodra.

- Co za bieliznę miałaś przedtem na sobie? Różnica jest kolosalna.

Wychowanie matki nie przygotowało Arii na takie sytuacje. Zareagowała więc zgodnie z głosem kobiecego instynktu: wbiła mężczyźnie łokieć między zębra, przetoczyła się na bok i poderwała się.

J.T. leżał na ziemi, rozcierając bok.

- Jak zaczynasz przyzwoicie wyglądać, to czuję, że jestem tu już za długo. Wracaj do obozu.

- Co jest w skrzyni, którą zostawili ci mężczyźni?

- O, księżniczka jest ciekawska. Szkoda, że nie pozwoliłem ci zakazać im zaśmiecania twojej wysepki.

- Ta wysepka należy do Stanów Zjednoczonych - powiedziała zmieszana.

- Chodź - jęknął. - Czy w twoim kraju ludzie w ogóle nie mają poczucia humoru? - Ruszył brzegiem. Aria podążyła za nim.

- Nie wtedy, gdy się ich więzi - odparła. - Trzymaj ręce z dala ode mnie.

- Ktoś powinien był położyć na tobie ręce już dawno temu. Ile masz lat?

- Nie sędzę... - Westchnęła. - Dwadzieścia cztery.

- W Stanach Zjednoczonych to już wiek staropanieński. Jaki jest ten hrabia, który ma zostać twoim mężem?

- Jest spokrewniony z angielską i norweską rodziną królewską.

- Rozumiem. Będiesz hodować smarkacze czystej krwi. Czy z tobą też jest spokrewniony?

Nie podobał jej się ton tego człowieka.

- Bardzo daleko. Jesteśmy kuzynami w czwartym pokoleniu.

- Czyli zidiociało potomstwo wam nie grozi. Kto go wynalazł?

- Poruczniku Montgomery, stanowczo nie odpowiadają mi takie osobiste pytania.

- Próbuję się czegoś dowiedzieć o twoim kraju, zwyczajach i takich tam. Ciebie nie interesują Amerykanie?

- Studiowałam wasze zwyczaje. Pielgrzymi przybyli tutaj w siedemnastym wieku, wszystkich Teksaszczyków zabito pod Alamo, władzę macie konstytucyjną, wasze...

- Miałem na myśli nas, ludzi.

Przez chwilę milczała.

- Amerykanie wydają mi się bardzo dziwni. Jak dotąd nie jest to dla mnie najprzyjemniejsza podróż.

Parsknął śmiechem. Przystanęli w miejscu, gdzie niedawno przybiła do brzegu łódź.

- Nie ruszaj się stąd. Nie żartuję, naprawdę masz się nie ruszać. - Znikł między drzewami i wrócił w chwilę później. - Kradzione wyposażenie marynarki. Jest tu cały magazyn. Na pewno sprzedają to potem na czarnym rynku.

- Czarny rynek?

Chwycił ją za ramię.

- Zabierajmy się stąd. Tamci mogą tu jeszcze dziś w nocy parę razy przyplynać. Jak wrócę na ląd, dam znać, komu trzeba.

Aria wyrwała się z jego uścisku i ruszyła przed nim brzegiem.

- Tylko królom wolno chodzić z tobą, co? Powiedz mi, czy ten hrabia Juliusz chadza razem z

tobą.

Przystanęła i zmierzyła go morderczym spojrzeniem.

- Hrabia Julian, nie Juliusz. I nie. Nie pokazuje się ze mną publicznie.

Odwróciła się i ruszyła dalej.

- A jak już będzie twoim mężem i królem?

- Nie będzie królem, chyba że wydam taki dekret, a tego nie zrobię. Zostanę królową, a on księciem małżonkiem.

- Jeśli nie będzie królem, to po co się z tobą żeni?

Aria zacisnęła dłonie w pięści. Przy tym człowieku zdarzało jej się zapomnieć, że nie wolno okazywać uczuć.

- Lankonia - odpowiedziała krótko. - Poza tym mnie kocha.

- Po czterech spotkaniach?

- Trzech - poprawiła. - Na więcej pytań nie odpowiem. W waszych bibliotekach na pewno są jakieś książki o Lankonii. Co podasz na obiad?

- Przygotujemy sevice. Razem! Kroiłaś kiedyś cebulę, księżniczko? Nie? Zobaczysz, spodoba ci się to zajęcie.

Aria powąchała dłonie. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek wydzielały tak odrażającą woń. Cały ocean nie wystarczyłby do zmycia z nich potwornego smrodu cebuli. Odwróciła się z powrotem do obozowiska i zobaczyła porucznika Montgomery'ego, który układał się w hamaku na nocny spoczynek. Dla niej miejsca nie było.

- Gdzie mam spać?

Nawet nie otworzył oczu.

- Gdzie chcesz, księżniczko. Jesteśmy w wolnym kraju.

Robiło się chłodno. Roztarła ramiona.

- Chciałabym spać w hamaku.

Wyciągnął ramię, nie podnosząc bynajmniej powiek.

- Czuj się zaproszona, dzieciно.

Aria westchnęła.

- Jak rozumiem, nie mam co liczyć na to, że zostawisz hamak tylko dla mnie.

- Zdecydowanie nie. Przypląnąłem tu przygotowany na jednego obozowicza. Jest jedno miejsce do spania i jeden koc. Ale możesz z tego korzystać do spółki ze mną, proszę bardzo. Zapewniam, że będę spał i nie mam nic innego w głowie.

Aria usiadła na ziemi i oparła się plecami o pień drzewa. Czowała, że z każdą chwilą noc staje się chłodniejsza. Znad oceanu powiała bryza. Dziewczyna miała już gęsią skórkę Ina ramionach. Popatrzyła na J.T., który przysypiał w rozkosznym ciepłe hamaka. Zamknęła oczy i znów oparła się o pień, ale nie mogła się odprężyć - szczykały jej zęby. Wstała i obeszyła polanę.

Gdy znów spojrzała w stronę hamaka, J.T. zdawał się spać, ale zapraszająco wyciągnął ku niej ramię. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, wspięła się do hamaka i ułożyła obok. Próbowwała odwrócić się do niego tyłem, ale w hamaku leżeli tuż obok siebie, więc w sztywnej, skulonej pozycji szybko rozboleły ją plecy.

- Przepraszam - powiedziała takim tonem, jakby potrafiła go na ulicy, odwróciła się i ułożyła mu głowę na ramieniu. Próbowwała zebrać poły jego koszuli, ale materiał zaczepił się gdzieś pod spodem, więc zrezygnowała. Była zmuszona przytulić głowę do obnażonego męskiego torsu. O dziwo, wcale nie było to nieprzyjemne.

J.T. objął ją i cicho zachichotał. Wolała nie zastanawiać się nad tym, co w tej chwili robi. Ekstremalna sytuacja zmusiła ją do podjęcia ekstremalnych środków. Poza tym naprawdę było jej

przyjemnie przy tym olbrzymim, ciepłym ciele. Ułożyła nogi wzdłuż nóg porucznika, a po chwili przerzuciła jedną łydkę na drugą stronę. Westchnęła z zadowolenia i zasnęła.

Obudź się, już rano. - Kwaśny głos powiedział jej to prosto do ucha. Nie miała ochoty się budzić, więc tylko mocniej przytuliła się do mężczyzny.

Chwycił ją za ramiona, odepchnął i wlepił w nią wzrok.

- Powiedziałem ci, wstawaj! I zwiąż sobie włosy, bo są rozpuszczone.

Była jeszcze na wpół uśpiona. Uchyliła powieki i zobaczyła, że istotnie, włosy spadają jej na ramiona.

- Dzień dobry.

W chwilę później J.T. wypchnął ją z hamaka na ziemię. Szeroko otworzyła oczy i zaczęła rozcierać stłuczone pośladki.

- Jesteś najbardziej tępą kobietą, jaką w życiu spotkałem - mruknął zirytowany. - Czy nigdy nie chodziłaś do szkoły i nie uczyłaś się o pszczołkach?

- Jeśli masz na myśli szkołę publiczną, to nie. Miałam prywatnych nauczycieli i guwernantki. - Przeciągnęła się. - Dobrze mi się spało. A tobie?

- Nie! - burknął. - Prawdę mówiąc, prawie wcale nie spałem. Dzięki Bogu, że to nasz ostatni wspólny dzień. Po tym urlopie z przyjemnością wrócę odpocząć na wojnie. Powiedziałem ci, że masz sobie spiąć włosy. Zbierz je z tyłu, tak jak przedtem. I włóż z powrotem bieliznę - dodał ze złością i powlókł się ścieżką w stronę brzegu.

Aria gapiła się za nim przez chwilę, a potem uśmiechnęła się. Nie bardzo wiedziała, co mu tak dopiekło, ale wprawilo ją to w niemal bezgraniczny zachwyt. Podeszła do strumyka i przejrzała się w niewielkim rozlewisku.

Wielu mężczyzn prosiło ją o rękę, ale często proponowali jej małżeństwo w ciemno, nawet nie próbując jej przedtem poznać. Chcieli ożenić się z królową, niezależnie od tego, jak wyglądała. Hrabia Julian, szesnaście lat od niej starszy, poprosił dziadka o zgodę na małżeństwo, gdy Aria miała osiem lat.

Aria poczuła ciężar swych włosów. Były teraz brudne, ale po umyciu... Zerknęła ku ścieżce. Nie zobaczyła ani śladu mężczyzny, więc zajrzała do skrzyni z zapasami. Szamponu nie było, jednak znalazła tam dużą kostkę mydła i symboliczny ręcznik.

Pośpiesznie się rozebrała i weszła do strumienia. Właśnie mydliła włosy, gdy J.T. wrócił. Stał jak wryty z wytrzeszczonymi oczami i otwartymi ustami.

Aria złapała ręczniczek i spróbowała zasłonić swą nagość gałęzią.

- Idź sobie. Wynoś się stąd.

Z wyrazem tępego posłuszeństwa J.T. odwrócił się i oddalił z obozowiska.

Aria uśmiechnęła się pod nosem, a potem radośnie wyszczerzyła zęby. Zaczęła nucić jakąś melodyjkę. Dziwny facet. Takie potworności jej przedtem mówił. Że ma kościsty tyłek. I że mogłaby paradować przed nim nago tam i z powrotem, a i tak nie byłby zainteresowany. Jaką przyjemność zrobiło jej teraz jego spojrzenie. Oczywiście nie był to nikt znaczący, ale czasem taki człowiek... O tym nie powinna była wiedzieć, słyszała jednak, że jej kuzynka urodziła nieślubne dziecko, którego ojcem był służący, przychodzący do niej co wieczór o ósmej nakręcić zegar. Matka Arii twierdziła, że służący zahipnotyzował biedną dziewczynę. Uśmiechając się jeszcze szerzej, Aria pograżyła się w rozmyślaniach.

Ubieranie zajęło jej sporo czasu, w każdym razie nie włożyła z powrotem bielizny. Wzięła się do rozczesywania włosów. Wciąż jeszcze mozoliła się z grzebieniem, gdy wrócił J.T.

- Mam na śniadanie homara, a w skrzyni są suchary...

Urwał. Zdała sobie sprawę, że się jej przygląda. Uśmiechnęła się nieznacznie, okręcając sobie na palcu kosmyk długich, czarnych włosów, rozwiewanych przez wiatr. Niespodziewanie J.T. chwycił ją za ramiona i spojrzał jej z bardzo bliska prosto w twarz.

- Igrasz z ogniem. Pewnie myślisz, że jestem służącym, którego wolno ci bezpiecznie prowokować, ale się mylisz.

Wpijając jej palce w ramiona, wycisnął na jej ustach żarłoczny pocałunek. Po chwili odepchnął ją od siebie.

- Jesteś dwudziestoczteroletnim dzieciakiem, niewinną małą dziewczynką, więc zamierzam zostawić cię w tym stanie dla twojego arcyksięcia Juliana. Ale pamiętaj, dziecino: nie prowokuj mnie. Nie jestem twoim służącym i nie możesz się przy mnie tak zachowywać. A teraz wstawaj i przynieś mi sieć z krewetkami.

Aria zareagowała z pewnym opóźnieniem. Przytknęła dłoń do ust. Julian raz ją pocałował, ale bardzo delikatnie, i najpierw zapytał o pozwolenie. Nie był to brutalny, namiętny pocałunek, taki jak ten.

- Nienawidzę cię - szepnęła.

- No i dobrze! Ja też nie mam dla ciebie miłosnych uczuć. A teraz zjeżdżaj!

Śniadanie minęło w napiętym milczeniu. Żadne z nich się nie odezwało. Po posiłku J.T. zapalił papierosa. Aria otworzyła usta, chcąc mu powiedzieć, że nie dostał na to pozwolenia, ale zrezygnowała.

Nie była w nastroju, żeby z nim rozmawiać, a ponadto zaczęła odczuwać przed nim pewne skrępowanie. Och, jak bardzo chciała już odpłynąć z tej wyspy i znaleźć się jak najdalej od tego

człowieka.

Wypaliwszy papierosa, J.T. wstał, ponurym głosem nakazał Arii zostać w obozowisku i odszedł ścieżką ku oceanowi. Aria siedziała dłuższą chwilę z kolanami podciągniętymi pod brodę i rozmyślała o dziadku. Bardzo chciała wrócić do domu, do znanych miejsc i ludzi.

Mężczyzna nie wracał kilka godzin, w końcu poszła więc na brzeg. Leżał pod samotną palmą. Oczy miał zamknięte, koszulę rozpiętą, karabin oparł o drzewo.

- Chcesz ustrzelić jeszcze jedną rybę? - spytał, nie otwierając oczu.

Nie odpowiedziała. W tej chwili oboje usłyszeli odgłos silnika łodzi. J.T. zerwał się w ułamku sekundy.

- Padnij! - zakomenderował. - I czekaj tutaj. Nie zbliżaj się, póki nie powiem, że wszystko w porządku. - Chwyił za karabin i puścił się biegiem wzdłuż brzegu.

Aria przycupnęła za drzewem, ale po chwili zobaczyła jakiegoś człowieka - stał i machał w stronę brzegu w powitalnym geście. Poczula się dość głupio; mimo to wstała, wygładzając suknię i poprawiając dłonią włosy. Zrobiła wszystko, co w jej mocy, żeby wyglądać jak najlepiej w sukni bez rękawów, skróconej ponad miarę, i z włosami, które od tygodnia nie widziały fryzjera.

Ćwiczonym przez wiele lat krokiem pełnym wdzięku poszła na sam brzeg, do porucznika Montgomery'ego i mężczyzny, który nie wysiadł z łodzi.

- Nigdy w życiu tak się nie cieszyłem z widoku znajomej twarzy - mówił J.T. do drugiego mężczyzny, znacznie niższego od niego.

- Dolly kazała mi przypląć wcześniej. Wyobrażała sobie same najgorsze rzeczy, które mogą ci się przydarzyć. Poza tym pomyślałem, że mógłbym tu chwilę posiedzieć i przed odjazdem złowić jakąś rybę.

- Nic z tego. Chcę wrócić w jakieś bardziej przytulne miejsce.

- Czyli jednak poczułeś się osamotniony. Mówiłem ci... - Urwał widząc Arię. - Ech, ty diable - zachichotał i spojrzał na nią z nie ukrywanym podziwem. Dziewucha z dużą klasą, pomyślał. Było to natychmiast widać po jej chodzie i postawie. Bill wiedział, że rodzina J.T. jest bogata, wyobrażał więc sobie, że tak mniej więcej będzie wyglądać dziewczyna porucznika. Bardzo chciał, żeby J.T. się ożenił. Może wtedy przyjaźń J.T. z Dolly nie budziłaby w nim takiej zazdrości. - Aleś mnie nabrał.

- Wcale nie jest tak, jak ci się zdaje - burknął w odpowiedzi J.T. i odwrócił się do Arii. - Powiedziałem ci, że masz się nie pokazywać.

Bill uśmiechnął się znacząco. Sprzeczką kochanków, pomyślał. Potem dokładniej przyjrzał się Arii.

- Czy ja pani gdzieś nie widziałem? - spytał. - Ej, J.T., może nas przedstawisz?

J.T. westchnął.

- To jest Bill Frazier, a to jest jej wysokość... - Obrócił się do Arii. - Nie wiem, jak masz na imię.

- Księżniczka! - sapnął Bill. - Właśnie tak pani wygląda. Jak księżniczka, która przedwczoraj odwiedziła naszą stocznię.

- Ale ja byłam tutaj, na wyspie - powiedziała Aria, w zdumieniu wytrzeszczając oczy. - Jestem tu od wielu dni. - Raczej od lat, pomyślała.

J.T. gniewnie zmarszczył brwi i pociągnął Arię ku palmie.

- Hej - powiedział nerwowo Bill - czy jesteś pewien, że powinieneś traktować księżniczkę w ten sposób? Jej kraj ma chyba jakieś znaczenie.

- Trudno powiedzieć. - J.T. przystanął pod palmą. - Powiedz mi - zwrócił się do Arii - dlaczego ci mężczyźni do ciebie strzelali.

- Strzelali? - spytał Bill, biegnąc za nimi. - Kiedy ją widziałem, kręciło się dookoła niej z pięćdziesiąt osób służby. Nic nie słyszałem o żadnym strzelaniu.

- Widzisz, Bill - powiedział J.T. - Kiedy twoja księżniczka zwiedzała stocznię, moja była tu ze mną na wyspie.

Bill wydawał się zmieszany.

- Czy pani ma siostrę?

- Mam, ale wcale nie jest do mnie podobna - powiedziała Aria, równie zmieszana.

- Dlaczego do ciebie strzelali? - powtórzył J.T.

Aria zwięźle opowiedziała o porwaniu i swojej ucieczce.

- Umiesz wyswobodzić się z więzów, a nie potrafisz rozpiąć guzika? - zdziwił się J.T.

- Człowiek robi to, co musi. - Spojrzała na niego gniewnie.

Bill próbował chrząknięciem zwrócić na siebie ich uwagę.

- Czy to możliwe, że ludzie, którzy panią porwali, podstawili sobowtóra?

- Sobowtóra? - Aria nie zrozumiała.

- Kogoś, kto gra twoją rolę - wyjaśnił J.T.

Zaszokowana Aria zamilkła.

Bill spojrział dociekliwie na J.T.

- A skąd możemy wiedzieć, która jest fałszywa?

J.T. zmierzył Arię spojrzeniem od stóp do głów.

- Ta jest prawdziwa. Postawiłbym na to własne życie i życie całej mojej rodziny. Nikt nie potrafiłby tak udawać.

Bill spojrział na Arię tak, jakby dotąd jej nie widział.

- Moja żona bardzo chciałaby panią poznać. Kiedy przedwczoraj wróciłem do domu, zadawała mi setki pytań na pani temat, to znaczy na temat tamtej kobiety. Chciała wiedzieć, jak pani wygląda, w co się pani ubiera, czy nosi pani koronę. - Urwał. - Ale to przecież nie była pani.

Aria uśmiechnęła się blado.

- Może któregoś dnia będę miała okazję udzielić pana żonie audiencji.

Bill przeniósł wzrok na J.T. Oczy miał jak spodki.

- Ona naprawdę jest księżniczką?

- Mniej więcej. Trzeba wykombinować, co z tym fantem zrobić.

Arii wydawało się, że rozwiązanie jest oczywiste.

- Musicie przekazać mnie z powrotem waszemu rządowi. Wyjaśnię, co się stało, i ludzie z waszego rządu usuną tę oszustkę.

- A skąd będą wiedzieli, która księżniczka jest prawdziwa? - spytał J.T. tonem ojca tłumaczącego coś niegrzeczemu dziecku.

- Ty im powiesz. Jesteś Amerykaninem.

- Jestem człowiekiem z ludu, już zapomniałaś? - irytował się J.T.

- Myślałam, że wszyscy Amerykanie są równi - odpała. - Z tego, co czytałam, każdy Amerykanin jest tak samo ważny. Każdy jest sobie królem.

- Ty... - zaczął J.T.

- Chwileczkę - przerwał im Bill. - Czy moglibyście na chwilę przestać się sprzeczać?

J.T. popatrzył na Arię.

- Czy znasz kogoś wysoko postawionego w Waszyngtonie? Generała? Senatora?

- Tak. Generał Brooks spędził tydzień w Lankonii, namawiając mojego dziadka, żeby pozwolił mi na tę podróż. Mojemu dziadkowi nie spodoba się...

- Jej dziadek jest królem - wyjaśnił J.T. Billowi. - To znaczy, że musimy odstawić cię do Waszyngtonu, do generała Brooksa.

Aria wyprostowała się.

- Jestem gotowa. Gdy tylko dostanę z powrotem moją garderobę, będę mogła udać się z wami do Waszyngtonu. Ojej... - Nagle uświadomiła sobie powagę sytuacji. Nie miała szansy odzyskać garderoby ani garderobianych, ani pokojowych. Nie miała nawet sposobu na powrót do Lankonii. - Czy ta kobieta rzeczywiście jest do mnie podobna? - spytała szeptem.

- Jak pomyślę, to widzę, że nie jest nawet w połowie tak ładna - oświadczył Bill i uśmiechnął się szeroko.

J.T. spojrział na Billa z niechęcią.

- Słuchajcie, chodzi o zdobycie wanadu dla Stanów Zjednoczonych. Moim zdaniem podstawiono kogoś na twoje miejsce - zwrócił się do Arii - żeby fałszywa księżniczka mogła sprzedać wanad przeciwnej stronie.

- Wanad? - spytał Bill.

- To taki metal, który dodaje się w małych ilościach do stali, żeby była bardziej wytrzymała - zniecierpliwionym tonem wyjaśnił J.T. i popatrzył badawczo na Arię. - Żaden generał nie przyjmie cię, jak będziesz w takim stroju. Bill, czy sądzisz, że uda nam się dotrzeć tą łodzią do Miami?

- Do Miami!?! To zajmie całe godziny.

- Mamy właściwie tyle czasu. Kupimy jej nowe ciuchy, wsadzimy ją w pociąg do Waszyngtonu i to wszystko. Będziemy mogli uznać, że zrobiliśmy, co do nas należy.

- Ale ona jest cudzoziemką w obcym kraju - zaproponował Bill. - Czy ktoś nie powinien z nią jechać?

- Jest wojna. Jutro o dziewiątej rano obaj mamy stawić się w pracy. Podczas wojny za spóźnienia nie obcinają premii, tylko strzelają w łeb. A jej nic nie grozi. Chodzi jedynie o to, żeby dostała się do generała Brooksa. - Zawahał się. - Zresztą ja nie mogę z nią jechać. - Odwrócił się ku ścieżce. - Zbieramy się i płyniemy po zakupy.

Bill nerwowo uśmiechnął się do Arii i pobiegł za przyjacielem.

- J.T, oszalałeś. Do Miami dopłyniemy o północy, a poza tym jest niedziela. Wszystkie sklepy będą zamknięte. I czym chcesz zapłacić za te zakupy? Ona nie ma pieniędzy, a ty nie możesz kupić jej

pierwszej lepszej kiecki w domu towarowym, dobrze o tym wiesz. Zresztą obowiązują kartki na ubrania. Moim zdaniem musisz przekazać ją w ręce rządu i niech oni dalej się martwią.

- Nie - zdecydował J.T.

- Rozumiem, że nie potrafisz tego rozsądnie uzasadnić, hm? Pamiętaj, że ja też mam w tym swoją działkę.

J.T. przystanął i odwrócił się.

- Ktoś na Key West próbował ją zabić. Jeśli ona teraz się ujawni i zdemaskuje fałszywą księżniczkę, to nie miną dwa dni, jak rozstanie się z tym światem. Generał Brooks ma podobno tęgi łeb. Będzie wiedział, co z nią zrobić.

- Masz stanowczo więcej zaufania do kadry niż ja. - Bill przeczołgał się za J.T. pod zwisającymi gałęziami.

W pół godziny później rzeczy J.T. znajdowały się na łodzi. Byli gotowi do odpłynięcia. Bill wyciągnął ramię i pomógł Arii wsiąść do łodzi.

- Polec na bużkę, zanim dotknie twojej dłoni - burknął J.T.

Aria próbowała stanąć na rozchwianym pokładzie.

- Cholera jasna, nie mamy czasu - rozzłościł się J.T. Chwycił Arię wpół i prawie przerzucił ją przez burtę. - Teraz siedź i zachowuj się przyzwoicie.

Aria usiadła sztywno wyprostowana, nie patrząc na J.T. Nie potrafiła jednak powstrzymać fali krwi, która uderzyła jej do głowy. Lochy stanowczo byłyby za łagodną karą dla tego człowieka.

Wolałaby odpłynąć z nieco mniejszą szybkością, trzymała się jednak jedynego siedzenia na łodzi tak mocno, jak tylko umiała. Ten dziwny człowiek niewątpliwie przeżyłby głęboką satysfakcję, gdyby przeleciała przez burtę.

Po chwili J.T. przejął ster od Billa i w niewytłumaczalny sposób zdołał wycisnąć z silnika jeszcze więcej obrotów. Słony wiatr bił Arię po twarzy. Gdy pierwszy szok ustąpił, uznała, że jest to nawet przyjemne. Od czasu do czasu Bill pytał ją, czy dobrze się czuje, ale porucznik Montgomery przez cały czas wbijał wzrok w ocean przed sobą.

Późnym popołudniem zatankowali na Key Largo. Aria miała mięśnie zeszywniałe od kurczowego trzymania się oparcia, ale trwała na swoim miejscu. Była wyćwiczona w wielogodzinnym siedzeniu w bezruchu.

- Gdzie mogę kupić coś do jedzenia? - spytał J.T. właściciela przystani.

- Tam, na końcu nabrzeża.

Bill został na łodzi z Arią, a J.T. poszedł do baru.

- Co to? - spytał Bill, gdy J.T. wrócił. Zajrzał do torby z prowiantem. - Nóż i widelec do kanapek? I porcelanowy półmisek?

J.T. wyjął torbę z rąk Billa.

- Gotów do drogi? - spytał.

- Czekamy tylko na ciebie - odparł Bill równie burkliwie.

J.T. odepchnął łódź i wskoczył na pokład. Bill zapalił Silnik. Gdy znowu ruszyli na północ, J.T. wytrząsnął z torby kanapkę z pastą jajeczną na tani fajansowy półmisek, za który musiał zapłacić majątek, i podał to Arii wraz z nożem i widelcem.

Pierwszy raz od wielu dni poczuła się swobodnie przy jedzeniu. Nie zwróciła uwagi na to, że Bill wytrzeszcza na nią oczy.

- Prawdziwa księżniczka - powiedział. - Niech no tylko Dolly o tym usłyszy.

- Dolly nic o tym nie usłyszy - powiedział z naciskiem J.T. - Nikt o tym nie usłyszy. Zatrzymamy tę historię dla siebie.

Bill chciał się odezwać, ale spojrzawszy na J.T. zamknął usta.

Dopłynęli do Miami o północy.

- Musimy poczekać do rana na otwarcie sklepów - powiedział Bill i jęknął. - Dowództwo bardzo się krzywi na spóźnienia. Myślisz, że dostaniemy odsiadkę?

J.T. zeskoczył na stały ląd, zanim jeszcze przybili do nabrzeża.

- Przywiąż łódź i ściągnij naszą damę na ląd. Muszę zatelefonować.

Aria niepewnie zeszła na przystań i wspięła się po drabince na nabrzeże. Starła się nie pokazać po sobie, że jest wykończona.

- Załatwione - powiedział J.T. - Za kilka minut podjedzie tu taksówka. Umówiłem się z przyjacielem pod sklepem z ubraniami. Pociąg do Waszyngtonu odchodzi o czwartej rano. Ruszamy, księżniczko. Nie jesteś chyba na tyle zmęczona, żeby nie móc kupić czegoś do włożenia?

Siłą woli Aria się wyprostowała.

- W ogóle nie jestem zmęczona.

Taksówka podjechała z piskiem hamulców. J.T. bez wahania wepchnął Arię na tylne siedzenie.

- Dla mnie ona jest urocza - usłyszała Aria słowa Billa skierowane do J.T. - Może nie powinieneś jej tak traktować.

J.T. nie odpowiedział. Zajął miejsce obok kierowcy i podał adres. Ruszyli przez opustoszałe, mroczne ulice.

- Czy jesteś pewien, człowieku, że tam będzie otwarte? - upewnił się kierowca.

- Zanim dojedziemy, otworzą.

Przystanęli przed niewielkim sklepem w willowej dzielnicy. Wielkie, kosztowne rezydencje chowały się tam za murami obrośniętymi dzikim winem.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy byli w dobrym miejscu. Może powinniśmy spróbować szczęścia w śródmieściu.

J.T. wysiadł z samochodu.

- O, jest - powiedział, ruszając w stronę długiego, czarnego Cadillaca, który podjechał do krawężnika.

Bill wyskoczył z taksówki.

- Przepraszam za kłopot, Ed - mówił tymczasem J.T., wyciągając dłoń do mężczyzny. - Gdyby to nie było dla wspomnienia czynu wojennego, nigdy bym cię o to nie poprosił.

- Jaki tam kłopot - powiedział starszy, siwowłosa mężczyzna. Miał brzusek i zadbane wygląd bogatego człowieka. - Sprzedawczyni jeszcze nie przyszła? - spytał i zmarszczył czoło.

- Nie - odparł J.T. - Jak tam twoi?

- Dobrze. Jeden chłopak w Yale, drugi w lotnictwie. A jak twoja matka?

- Martwi się o synów, oczywiście.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się i wyciągnął portfel z wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Mam nadzieję, że wam wystarczy.

Bill wytrzeszczył oczy na widok pliku banknotów dziesięciocentymetrowej grubości.

- Powinno - przyznał J.T., uśmiechając się od ucha do ucha - ale wiesz, jak to jest z kobietami.

- Czy mogę ją poznać?

J.T. podszedł do taksówki i otworzył drzwi. Aria z wdziękiem stanęła na chodniku.

- Wasza wysokość, jestem zaszczycony - powiedział starszy mężczyzna.

Aria pomyślała, że nigdy nie przyzwyczai się do amerykańskich manier. Mężczyzna nie powinien być odezwać się pierwszy. Ale zważywszy na sposób, w jaki traktował ją na wyspie ten dziwny porucznik Montgomery, zachowanie nowo poznanego sięgało protokolarnych wyżyn. Aria skłoniła przed nim głowę.

J.T. już miał ją złącać za jakieś przewinienie, gdy przystanął obok nich ciemny Chevrolet. Wsiadła z niego chuda kobieta z krogulczym nosem. Najwyraźniej była wściekła.

Jak wszystkim kobietom wiadomo, nie ma gorszego snoba od sprzedawczyni ekskluzywnej odzieży. A tę sprzedawczynię wyciągnięto z łóżka w środku nocy. Popatrzyła na mężczyzn.

- Nie podoba mi się to - burknęła. - Nic mnie nie obchodzi wojna. Nie mam ochoty znosić takich fanaberii. - Popatrzyła na Arię z góry, w czym nieco przeszkadzał jej długi nos. - I z takim czymś mam pracować?

Trzej mężczyźni jednocześnie otworzyli usta, chcąc coś powiedzieć, ale Aria ich uprzedziła. Wystąpiła przed nich.

- Otwórz ten sklepik i pokaż mi towary. Jeżeli będą wystarczająco dobre, kupię jeden lub dwa. - Powiedziała to takim autokratycznym tonem, jakby robiła sprzedawczyni łaskę. Mężczyźni osłupieli. - Natychmiast!

- Dobrze, proszę pani - potulnie zgodziła się sprzedawczyni, gorączkowo szukając kluczy.

Aria weszła do środka, gdy tylko zapalono światła. Była zaciekawiona, bo jeszcze nigdy nie widziała wnętrza sklepu w Stanach Zjednoczonych. Okazało się, że nie ma tu katalogu z projektami i próbek materiałów, lecz gotowe stroje. Aria dziwnie się czuła na myśl o tym, że będzie nosiła suknię nie zaprojektowaną specjalnie dla niej.

Za jej plecami sprzedawczyni rozmawiała z porucznikiem. Aria dotknęła bluzki na wieszaku. Jedwab w kolorze kości słoniowej wydał jej się całkiem ładny. Obok wisiała żółta bluzka w drobny rzucik. Aria zawsze chciała zobaczyć, jak jest jej w żółtym. Jeśli to był akurat jej rozmiar, miała okazję.

Zaczęła dostrzegać zalety sprzedawania gotowej odzieży. Gdyby pokazano jej materiał przed uszyciem, mogłaby mieć bardziej ryzykowne pomysły.

- Ma pan - syknęła sprzedawczyni do J.T., podając mu karteczkę papieru z numerem telefonu. - Niech pan tani zadzwoni i powie Mavis, żeby migiem się tu zjawiła.

J.T., jak wszyscy mężczyźni, czuł się bardzo nieswojo w tym wybitnie kobiecym miejscu, więc posłusznie spełnił żądanie.

- Kto to? - spytał szeptem Bill, wskazując głową starszego mężczyznę, który zdołał doprowadzić do otwarcia sklepu w środku nocy.

- Przyjaciół mojej matki. Jest właścicielem jednego banku albo dwóch - odrzekł J.T., wybierając numer. - Halo, czy to Mavis? - powiedział do słuchawki.

- Czekam - odezwała się z garderoby zniecierpliwiona Aria.

Bankier odszedł, przyjechała Mavis, a Bill z J.T. spoczęli na złotych krzesłkach w oczekiwaniu. Bill wkrótce zapadł w drzemkę, ale J.T. siedział jak na szpilkach.

- To zupełnie się nie nadaje - powiedziała Aria, przyglądając się swemu lustrzanemu odbiciu.

- Przecież to jest Mainbocher - zaprotestowała kobieta. - Można zebrać w kilku miejscach, dopasować rękawiczki.

- No, może. Spójrzmy dalej.

- Schiaparelli?

- To biorę. Proszę porządnie zapakować.

- Dobrze - odparła niepewnie sprzedawczyni. - Czy pani ma z sobą bagaż?

- Nie mam bagażu. Musisz postarać się o walizkę.

- Ależ proszę pani, w tym sklepie nie sprzedajemy walizek.

Aria uznała, że kobieta stwarza sztuczne problemy.

- No, to znajdź gdzie indziej. To ma być porządnie zapakowane, w bibułę. - Amerykanie naprawdę wydawali jej się dziwaczni. Ciekawe, co też wyprawiają z ubraniami.

Kobieta wycofała się z garderoby. Szepnąwszy coś do Mavis, która wybiegła ze sklepu, zwróciła się do J.T.

- To chwilę potrwa. Trzeba będzie dopasować.

J.T. wstał.

- Nie mamy czasu. Za kilka godzin muszę stawić się na Key West. Jaki rozmiar nosi ta pani?

- Szóstkę. Idealną szóstkę, tyle że stroje nie zawsze są idealne - odrzekła dyplomatycznie sprzedawczyni.

- No, więc niech pani da jej wszystkie szóstki, które są w sklepie.

Kobieta wytrzeszczyła oczy.

- To będzie mnóstwo kosztowało. Poza tym kartki na ubrania...

J.T. wyjął z kieszeni rulonik banknotów, składający się ze studolarówek. Zaczął odliczać.

- Niech pani powie, że wszystkie szóstki, które były w sklepie, miały usterki i trzeba je było wycofać ze sprzedaży. Proszę mi wierzyć, że wuj Sam nie będzie miał nic przeciwko poświęceniu kilku ciuchów w zamian za to, czym ta pani może mu się zrewanżować.

Kobieta wytrzeszczyła oczy na pieniądze.

- Mamy też pantofle.

J.T. nadal wyciągał banknoty z pliku.

- I rękawiczki. I pończochy. I, oczywiście, bieliznę. Jest też dział z biżuterią.

J.T. przestał odliczać pieniądze.

- Księżniczko - ryknął, budząc tym Billa, który omal nie spadł z krzesła. - Chcesz jakąś biżuterię?

- Szmaragdy i parę rubinów, ale tylko jeśli są w odcieniu ciemnoczerwonym. No i naturalnie diamenty oraz perły.

J.T. mrugnął porozumiewawczo do sprzedawczyni.

- Nie sędzę, żeby ona chciała nosić szklane i złocone świecidełka, a pani?

- Z prawdziwych diamentów mamy parę bardzo ładnych kolczyków.

J.T. dołożył kilka setek.

- Weźmie je. Proszę dać wszystko, co jej pasuje.

W tej chwili ukazała się w drzwiach Mavis. Za nią stał rozespany człowiek zręcznym wózkiem, na którym znajdowała się piramida walizek z niebieskiego płótna i białej skóry.

- Gdzie mam to postawić? - spytał ponuro.

J.T. cofnął się, zostawiając dowodzenie sprzedawczyni.

- Jak pani ślicznie wygląda - wykrzyknęła kobieta w chwilę później, wszedłszy do garderoby.
- Jest pani w tym doprawdy uroczo.

Aria przejrzała się w lustrze. Przez całe życie była na widoku publicznym, więc dbałości o wygląd nauczyła się w bardzo młodym wieku. Stroje ze sklepu istotnie były piękne, wprawdzie dość skąpe w materiał, ze względu na wojnę, ale dobrze skrojone, więc bardzo ładnie układały się na ciele. Aria miała jednak wrażenie, że od szyi wzwyż bardzo różni się od Amerykanek. Długie Włosy miała zebrane do tyłu i związane w nieporządną kok, twarz bladą, całkiem pozbawioną rumieńców.

- Ten pani przystojny młody człowiek bardzo się już niecierpliwi - powiedziała przepraszająco sprzedawczyni.

- Nie jest mój, a poza tym wcale nie wydaje mi się szczególnie przystojny - stwierdziła Aria, wykręcając głowę, żeby sprawdzić, jak układa się szew na pończosze. - Czy jesteś pewna, że Amerykanki noszą takie krótkie sukienki? - Sprzedawczyni nie odpowiedziała, więc Aria obrzuciła ją spojrzeniem. Stwierdziła, że kobieta wybałusza na nią oczy.

- Nie jest przystojny? - powiedziała w końcu.

Arii przeleciało przez myśl, że w zasadzie nigdy do tej pory nie przyjrzała się porucznikowi Montgomery'emu. Rozchyliła zasłony garderoby i zerknęła.

J.T siedział rozparty na niezbyt udanej kopii antycznego krzesła. Nogi wyciągnął przed siebie, tak że Mavis każdorazowo musiała go obchodzić łukiem, dłonie wsadził do kieszeni. Miał szerokie ramiona, płaski brzuch, długie i niezwykle umięśnione nogi. Ciemne włosy układały się faliście ku tyłowi głowy, pod gęstymi rzęsami było widać niebieskie oczy. Nos prosty, wąski, wargi o bardzo ładnym rysunku; w podbródku znajdował się niewielki dołek.

Aria wróciła w głąb garderoby.

- Ten kapelusz chyba mi się przyda.

- Dobrze, proszę pani. Jednak przystojny, prawda?

- Wezmę też wszystkie pończochy. I możesz zapakować ten zielony komplet.

- Dobrze, proszę pani. - Kobieta wyszła z garderoby, nie otrzymawszy odpowiedzi na pytanie.

Aria uśmiechnęła się do swego odbicia w lustrze. Spędziła na bezludnej wyspie kilka dni z niezwykle przystojnym człowiekiem i nawet nie zwróciła na to uwagi. Naturalnie, trzeba było wziąć pod uwagę jego rozpaczliwe maniery, które przesłaniały wygląd. Jeszcze w Lankonii siostra pokpiwała sobie z Arii, że będzie spędzać czas z przystojnymi amerykańskimi żołnierzami, a tymczasem ona spędziła w romantycznym osamotnieniu tydzień z nadzwyczaj przystojnym mężczyzną i wcale tego nie zauważyła.

- Księżniczko, czas na nas. Pociąg odjeżdża za godzinę, a musimy jeszcze dostać się na dworzec - powiedział ze złością J.T. siedząc za zasłonką.

Aria odczekała chwilę i wyszła z garderoby. Dość dumania o przystojnym mężczyźnie, pomyślała. Diabeł też podobno jest przystojny.

Mężczyzna imieniem Bill powitał ją gwizdnięciem, co wydało jej się obraźliwe, ale zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, ten, który przyniósł walizki, zareagował tak samo. Wyglądało więc na to, że gwizdnięcie stanowi dość osobliwy komplement.

Porucznik Montgomery naturalnie nie powiedział ani słowa, tylko chwycił ją za ramię i energicznie pociągnął do wyjścia. Wyrwała mu się, co już weszło jej w krew, i usiadła.

- Nigdzie nie jadę z takimi włosami.
- Będziesz robić to, co ci każę. Ciesz się, że...

Sprzedawczyni stanęła między nim i Arią i wyjęła z kieszeni sukienki grzebień.

- Jeśli wolno mi zaproponować, chętnie panią uczeszę.
- Nie mamy czasu na takie kaprysy - burknął J.T.

Kobieta szybko rozczesła splątane włosy Arii i zebrała je w warkocz, który owinęła jej dookoła głowy.

- Wygląda jak korona - powiedziała z zadowoleniem.

Aria spojrzała w małe lusterko i zobaczyła swą fryzurę, ale natychmiast zauważyła też, jak pogardliwie przygląda jej się Mavis. Pomocnica sprzedawczyni miała włosy do ramion, efektownie zaczesane do tyłu. Wyglądała niezwykle modnie. Fryzura Arii doskonale pasowała do Lankonii, ale w Stanach Zjednoczonych sprawiała bardzo staroświeckie wrażenie.

J.T. odebrał jej lusterko.

- Będziesz mogła się podziwiać w pociągu. Chodźże. Czekają dwie taksówki, jedna na nas, druga na twój przeklęty bagaż.

Wyciągnął Arię ze sklepu na ulicę. Kiedy wciskał ją do taksówki, sprzedawczyni wybiegła ze sklepu z flakonikiem perfum.

- To dla pani - powiedziała. - Na szczęście.

Aria wyciągnęła do niej rękę, dłonią w dół. Jakimś atawistycznym instynktem, który przetrwał lata amerykańskiej wolności, kobieta ujęła Arię za czubki palców i dygnęła. Uświadomiwszy sobie, co robi, splonęła rumieńcem.

- Mam nadzieję, że podobają się pani nowe stroje - powiedziała na pożegnanie i wróciła do sklepu.

J.T. dalej popychał Arię ku tylnemu siedzeniu taksówki, ale Bill ich rozdzielił.

- Powóz zajechał, wasza wysokość - zaanonsował.

Aria przesłała mu oszałamiający uśmiech i z wdziękiem wsiadła do samochodu. Bill wsiadł drugimi drzwiami, a J.T. za nim.

- Bardzo bym chciał móc opowiedzieć o tym wszystkim żonie - odezwał się Bill, gdy taksówka gnała przez ulice Miami. - Pewnie mi nie uwierzy, że poznałem prawdziwą księżniczkę.

- Może kiedyś będziecie mogli odwiedzić Lankonię. Mój dom stoi dla was otworem.

- Dom? Pani nie mieszka w pałacu? - Bill wydawał się rozczarowany jak mały chłopiec.

- Zbudowano go z kamienia trzysta lat temu. Ma dwieście sześć komnat.

- To właśnie jest pałac - powiedział Bill, uśmiechając się z satysfakcją.

Aria ukryła uśmiech. Była zadowolona, że nie sprawiła mu zawodu. Obiecała powitać Billa z żoną w koronie z rubinem wielkości kurzego jaja.

- Jeśli skończyliście pogawędki, to mamy ważne sprawy do załatwienia - wtrącił się J.T. - Masz, księżniczko. - Wyciągnął do niej dłoń z plikiem zielonych papierków.

- Co to jest? - spytała, oglądając papierki w przyćmionym świetle.

- Pieniądze - odburknął J.T.

Aria odwróciła się w drugą stronę.

- Nie dotykam pieniędzy.

- Najprawdziwsza księżniczka - syknął Bill, najwyraźniej pod wrażeniem tej sceny.

J.T. przechylił się nad nogami przyjaciela i chwycił z kolan Arii elegancką skórzaną torebkę. W środku znajdowała się koronkowa chusteczka do nosa i nic więcej.

- Popatrz, wsadzę ci pieniądze tutaj. Jak dojedziesz do Waszyngtonu, zawołaj tragarza, żeby przeniósł ci bagaże do taksówki i daj mu ten banknot, z jedynek. Żadnych zer, rozumiesz? Każ mu sprowadzić taksówkę, która zawiezie cię do hotelu Waverly. Taksówkarzowi daj piątkę. W hotelu spytaj o Leona Cattona. Jeśli go nie będzie, każ do niego zatelefonować. Powiedz mu, że jesteś przyjaciółką Amandy Montgomery.

- Nie znam takiej osoby.

- Znasz mnie, a to jest moja matka. Jeśli nie wspomnisz jej nazwiska, nie dostaniesz pokoju. Leon zawsze chowa apartament na wszelki wypadek, ale żeby go dostać, musisz wspomnieć o mojej matce. Nie zaszkodzi, jeśli przy okazji pomachasz czymś małym, zielonym.

- Zielonym?

- Pokaż im studolarówkę, to zwróci uwagę. Zresztą zdaje mi się, że twój bagaż i zachowanie też cię wyróżnia. Aha, masz. - Wyciągnął z kieszeni pudełeczko i podał Arii.

Otworzyła je i znalazła kolczyki - w każdym z nich zobaczyła pięć diamentów. Podniosła je do światła reflektora przejeżdżającego samochodu. Kolczyki wcale nie były w najlepszym gatunku, ale mimo to je włożyła.

- Czy ty nigdy za nic nie dziękujesz?

- Dam Stanom Zjednoczonym wanad - powiedziała, patrząc przed siebie.

- Tego nie przebijesz, J.T. - stwierdził Bill.

- Pod warunkiem, że ona wróci do swojego kraju. I najpierw musi jej się udać przekonać nasz rząd, że doszło do podstawienia fałszywej osoby. I do tego...

Bill poklepał Arię po dłoni - wzdrygnęła się.

- Nie martw się, słoneczko. Każdy widzi, że jesteś prawdziwą księżniczką.

- Nie dotykaj jej i nie nazywaj słoneczkiem. To jest jej królewska wysokość - oświadczył sarkastycznie J.T.

- Odczep się, dobra? - burknął Bill.

Przez resztę podróży wszyscy milczeli.

Aria siedziała nieruchomo w apartamencie hotelu Waverly. W uszach wciąż dzwonił jej śmiech personelu. Nigdy dotąd nikt się z niej nie śmiał. Nie chciała czegoś takiego więcej przeżyć.

Pociąg był brudny, zatłoczony, a co gorsza jechały nim setki żołnierzy, którzy bez przerwy jej dotykali. Kiedy powiedziała im, że nie wolno tego robić, ryknęli gromkim śmiechem.

Zanim dotarła do Waszyngtonu, była już tak oszołomiona, że pomyliły jej się pieniądze. Tragarz prawie obcałował ją po rękach po otrzymaniu zapłaty, za to taksówkarz był ordynarny i nawrzeszczał na nią z powodu bagażu.

Przy kontuarze recepcji była kolejka, a kiedy kazała ludziom zejść z drogi, zachowali się bardzo nieprzyjemnie. Usłyszała też mnóstwo komentarzy na temat sterty bagażu.

Aria nie miała pojęcia, jak czeka się w kolejce, szybko jednak się nauczyła. Gdy doszła do kontuaru, była już bardzo zmęczona i zniecierpliwiona. Na nieszczęście recepcjonista znajdował się w podobnym stanie. Gdy zażądała apartamentu, roześmiał się jej w twarz, a potem jeszcze bardziej ją zakłopotał, powtarzając to życzenie ludziom w kolejce. Wszyscy zaczęli się z niej śmiać.

Przypomniawszy sobie radę porucznika Montgomery'ego, żeby pomachać zielonym, wcisnęła temu ohydному człowieczkowi swoją torebkę. Z nie wyjaśnionej przyczyny to rozbawiło go jeszcze bardziej.

Po nie przespanej nocy Aria i bez tego czuła się fatalnie. Nienawidziła Ameryki i Amerykanów, a poza tym nie była w stanie przypomnieć sobie nawet połowy z tego, co powiedział jej porucznik Montgomery. No i zawodziła ją znajomość angielskiego. Im bardziej była zmęczona i zdezorientowana, tym silniejszy stawał się jej lankoński akcent.

- Amanda Montgomery - zdołała wybąkać.

- Nie rozumiem - powiedział recepcjonista. - Czy pani jest Niemką?

Tłum dookoła nagle zamilkł i wlepił w nią wrogie spojrzenia. Aria powtórzyła nazwisko właśnie w chwili, gdy zza jej pleców wyszedł mężczyzna. Okazał się dyrektorem hotelu, a nazwisko Amandy Montgomery sprawiło cud. Dyrektor zrugął recepcjonistę, strzelił palcami na chłopców hotelowych i po chwili zaprosił Arię do windy. Bardzo gorąco przeproszał za urzędnika i tłumaczył, że podczas wojny nie można znaleźć fachowca.

Gdy Aria wreszcie została sama w pokoju, poczuła się zagubiona. Jak przygotowuje się kąpiel? Dyrektor, pan Catton, powiedział, żeby dzwonić, gdyby czegoś potrzebowała, ale nigdzie nie było sznura od dzwonka.

Rozległo się pukanie do drzwi, a gdy nie odpowiedziała, do pokoju wszedł mężczyzna, toczący na wózku jej bagaż. Umieściwszy walizki w szafie, stanął wyczekująco.

- Jesteś wolny - powiedziała Aria. Mężczyzna prychnął pod nosem i ruszył do drzwi. - Poczekaj! - zawołała, chwytając za torebkę. Z jej doświadczeń wynikało, że zielone banknoty są w stanie skłonić Amerykanów do wszystkiego, a najbardziej ich uszczęśliwia, jeśli na banknotach są zera. Wyciągnęła więc jeden. - Potrzebuję pokojówki. Czy znasz kogoś, kto mógłby mi pomóc w ubieraniu się, przygotowaniu kąpieli i rozpakowaniu rzeczy? Na widok studolarowego banknotu mężczyźnie oczy wyszły z orbit.

- Na jak długo? Moja siostra mogłaby trochę popracować, ale wiecznie czyjaś służącą nie będzie.

Tym razem osłupiała Aria. W jej kraju bycie w służbie wcale nie stanowiło dyshonoru. Jej damy dworu były arystokratkami.

- Na kilka dni - zdołała wybąkać.

- Zadzwoń do niej - odparł mężczyzna i podszedł do czarnego aparatu telefonicznego przy oknie.

Arii zdarzało się dawniej używać telefonu, ale zawsze ktoś wybierał za nią numer. Z zainteresowaniem przyjrzała się mężczyźnie kręcącemu tarczą. Gdy zaczął rozmowę z siostrą, odwrócił się do niej tyłem. Aria przeszła do sypialni.

Kobieta przyjechała dwie godziny później. Była naburmuszona i jasno dała Arii do zrozumienia, że w rzeczywistości nie jest niczyją służącą i tylko ze względu na wojnę zgodziła się komukolwiek usługiwać. Zrobiła to, co Aria jej poleciła, ale bardzo niechętnie.

O czwartej po południu Aria się położyła. Przedtem wzięła kąpiel i umyła włosy oraz zjadła bardzo przeciętny obiad. Zamierzała kilka godzin pospać.

Ledwie zamknęła oczy, zbudził ją głośny dzwonek telefonu. Półprzytomna podniosła słuchawkę.

- Słucham? Mówi jej królewska wysokość.

- Czy ty nigdy nie przestajesz, nawet kiedy śpisz? - spytał znajomy głos.

- Czego pan chce, poruczniku Montgomery? - usiadła wyprostowana w łóżku.

- Bill kazał mi zatelefonować i sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku.

- Naturalnie, że w porządku.

- Nie miałaś kłopotów z wprowadzeniem się do hotelu?

- Najmniejszych. Wszyscy byli bardzo uprzejmi - skłamała.

- Czy byłaś już u generała Brooksa?

- Pójdę do niego jutro.

- Jutro? A co robiłaś dzisiaj?

Miała ochotę wyrzесzczеć mu do słuchawki, że czekała w kolejce, była wyśmiewana, musiała męczyć się z pokojówką, która okazywała jej jawną nienawiść, i znieść oskarżenie o bycie wrogą siłą.

- Umyłam sobie głowę i spędziłam kilka godzin w gorącej kąpeli.

- No, tak. Powiniennem był wiedzieć. Księżniczka przedkłada luksus nad wszystko inne. Zatelefonuję jutro wieczorem dowiedzieć się, co powiedział ci generał.

- Nie rób sobie kłopotu. Jestem pewna, że twój rząd usunie figurantkę.

Milczał przez chwilę.

- Zdaje się, że nie widziałaś gazet. Księżniczka jest podobna do ciebie jak dwie krople wody i wszędzie robi furorę. Amerykanie mogą ją tak polubić, że nie będą chcieli prawdziwej.

Spojrzała wściekle na aparat telefoniczny i trzasnęła słuchawką o widełki.

- Odrażający człowiek! - powiedziała i przeszła do salonu. Gazetę przyniesiono jej razem z obiadem, ale do niej nie zajrzała.

Na drugiej stronie znajdowała się fotografia kobiety bardzo do niej podobnej, uśmiechającej się do dwóch mężczyzn w mundurach i przecinającej szeroką wstęgę. Podpis głosił, że następczyni tronu Lankonii, jej wysokość księżniczka Aria, szerzy pokój w Ameryce. Natychmiast poznała swą kuzynkę Maude.

- Czyżbyś zawsze mi zazdrościła, Cissy? - spytała zdumiona, używając zdrobnienia przyjętego w królewskiej rodzinie.

Przyjrząwszy się dokładniej fotografii, dostrzegła w tle uśmiechniętą lady Emere, ciotkę Cissy. Ciotka Emere wyraźnie sprawowała ochronę nad Cissy, prawdopodobnie utrzymywała na dystans resztę dworu, ale przecież ktoś musiał nabrać podejrzeń.

- Czy nikt nie wie, że to nie ja? - spytała Aria, powstrzymując łzy ciskające się do oczu.

Wróciła do łóżka, ale nie spała dobrze. Ranek przyniósł kolejne problemy. Kobieta najęta na pokojówkę wymówiła Pracę, kiedy Aria wystawiła nogę i czekała na nałożenie jej Pończochy, więc dalszy ciąg ubierania zajął Aarii trzy godziny. Była bardzo zadowolona, że ma czarny kapelusz z woalką, który ukrył wynik jej żalosnych wysiłków nad sporządzeniem fryzury.

Po wyjściu z hotelu poważnie straciła na pewności siebie, ale mimo to trzymała głowę wysoko i plecy wyprostowane. Idąc przez hotelowy hol, znowu słyszała ciche gwizdnięcia mężczyzn, lecz zignorowała to zachowanie.

Portier był osobą, którą Aria rozumiała. Powiedziała mu, że chce się widzieć z generałem Brooksem. Mężczyzna zagwizdał i podjechała taksówka; Aria wskazała długiego, czarnego Cadillaca z szoferem opartym o maskę. - Chcę taki samochód. - Portier przeszedł wśród pojazdów i zamienił kilka słów z kierowcą, który skinął głową.

- Zawiezie panią do Pentagonu.

Aria nauczyła się już, że każdy Amerykanin oczekuje pieniędzy za wszystko, co robi. Wręczyła banknot z dwoma zerami portierowi, który odpowiedział ceremonialnym skłonem głowy i otworzył przed nią drzwi limuzyny. Aria rozparła się na tylnym siedzeniu i zamknęła oczy. Pierwszy raz od czasu porwania poczuła się jak w domu.

Po przyjeździe na miejsce kierowca otworzył przed nią drzwiczki samochodu, a potem przytrzymał jej drzwi do wnętrza Pentagonu.

- Już mi zapłacono - powiedział spokojnie, gdy chciała ofiarować mu jeden z nielicznych pozostałych jej banknotów. Uśmiechnęła się do niego, zadowolona, że doświadcza uprzejmości od Amerykanina.

Czas spędzony w samochodzie był jednak tylko ciszą przed burzą. Żadne dotychczasowe doświadczenia nie przygotowały jej do widoku wnętrza Pentagonu podczas wojny. Wszyscy ludzie gonili tam i z powrotem, maszyny coś drukowały, ludzie wykrzykiwali rozkazy, z radia głośno płynęły wiadomości. Zatrzymała się przy jakimś biurku i spytała o generała Brooksa.

- Tam - powiedziała kobieta, w której ustach tkwił ołówek. - Niech pani spyta tam.

Aria przeszła korytarzem i ponownie spytała o generała.

- Nie jestem jego sekretarką - burknął mężczyzna. - Nie wie pani, że jest wojna?

Aria pytała pięć osób i każda odsyłała ją do następnej. Dwa razy ruszała jakimś korytarzem i strażnik zaczynał mierzyć do niej z pistoletu. Ktoś kazał jej przyjść za tydzień. Kto inny kazał jej wrócić po wojnie. Jeszcze kto inny złapał ją za ramię i wyprowadził na parking.

Wygladziła kostium i kapelusz, po czym wróciła do wnętrza. Jeśli Amerykanie nie chcieli usłyszeć prawdy, to należało ich zainteresować czymś zmyślnym. Wyszła na sam środek najbardziej zatłoczonego pomieszczenia i powiedziała normalnym głosem:

- Jestem niemieckim szpiegiem, ale zdradzę moje tajemnice tylko generałowi Brooksowi.

Ludzie jeden po drugim przerywali swoje zajęcia i wlepiali w nią wzrok.

Po sekundzie śmiertelnej ciszy rozpętało się piekło. Otoczyli ją żołnierze z bronią gotową do strzału, którzy wypadali z wszystkich możliwych korytarzy.

- Nie dotykajcie mnie - wykrzyknęła, gdyż mężczyźni wyciągali do niej ręce próbując ją złapać.

- Wiedziałam, że jest Niemką, od pierwszej chwili, jak ją zobaczyłam. - Aria usłyszała głos jakiejś kobiety.

Pociągnięto ją długim korytarzem. Ludzie wytykali głowy z pomieszczeń znajdujących się po drodze, żeby na nią popatrzeć. Aria była zadowolona, że kapelusz zasłonił jej połowę twarzy. Nigdy więcej nie wyjadę z Lankonii, przysięgła sobie w duchu. Minęły wieki, nim żołnierze posadzili ją w końcu na krześle.

- No, to popatrzmy na nią - powiedział ktoś bardzo rozeźlony.

Aria uniosła głowę i zsunęła kapelusz na tył głowy. Ujrzała generała Brooksa.

- Jak to miło znowu pana zobaczyć, generale - odezwała się, jakby spotkali się na uroczystym przyjęciu, i wyciągnęła do niego rękę.

Generał Brooks wytrzeszczył oczy.

- Wszyscy wyjść! - nakazał żołnierzom stłoczonym w pokoju.

- Ona może być niebezpieczna - powiedział mężczyzna celujący do Arii z paskudnego czarnego pistoletu.

- Jakoś sobie z nią poradzę - odrzekł sarkastycznie generał. Gdy zostali sami, zwrócił się do Arii. - Witam waszą wysokość. - Ujął jej dłoń, leciutko dotykając palców. - Ostatnio, jak słyszałem, wasza wysokość była w Wirginii.

- Nie ja, tylko ktoś bardzo do mnie podobny.

Generał przyglądał jej się długą chwilę.

- Każę podać herbatę i porozmawiamy.

Aria zjadła wszystko, co było na tacy, potem przyniesiono lunch, a generał wciąż zadawał jej pytania. Kazał jej opisać ich spotkanie w Lankonii z dokładnością niemal co do minuty. Chciał wiedzieć absolutnie wszystko, co mogłoby dać mu pewność, że ma do czynienia z prawdziwą lankońską księżniczką.

O drugiej generał zaprowadził ją do saloniku, w którym mogła trochę odpocząć. O wpół do czwartej wprowadzono ją do sali, gdzie czekało już czterech generałów oraz dwóch ludzi w cywilnych ubraniach. Musiała opowiedzieć jeszcze raz wszystko do początku.

Przez cały ten czas nie okazywała zniecierpliwienia, złości, zmęczenia. Rozumiała powagę sytuacji. Gdyby ci ludzie jej nie uwierzyli i w związku z tym odmówili pomocy w powrocie do ojczyzny, straciłaby wszystko. Tożsamość, lud, który kochała, i swoje poczucie przynależności do narodu. A Lankonia miałaby fałszywą królową, kobietę zżeraną zazdrością, która na pewno chciała czegoś innego niż dobro Lankonii.

Aria usiadła wyprostowana i odpowiedziała na pytania. A potem znowu i znowu.

O dziesiątej wieczorem odesłano ją pod strażą do hotelu. Kobieta w mundurze przygotowała dla niej kąpiel i, z czego Aria świetnie zdawała sobie sprawę, zabrała się do przeszukiwania jej nowych rzeczy. Aria siedziała więc w wannie, póki skóra nie zaczęła jej się marszczyć, żeby dać kobiecie jak najwięcej czasu. O północy mogła wreszcie położyć się do łóżka.

Wielką salę w Pentagonie wypełniał niebieskawy dym z cygar i papierosów. Na mahoniowym stole stały liczne opróżnione szklanki, popielniczki z niedopałkami i okruchy po posiłku, złożonym z wyschniętych kanapek. Najsilniej wyczuwało się w powietrzu mieszaninę potu i złości.

- Nie podoba mi się to! - krzyknął generał Lyons, przesuwając wargami niedopałek cygara z jednego kącika ust do drugiego.

- Myślę, że mamy aż nadto dowodów, że ona mówi prawdę - powiedział z przekonaniem członek Kongresu Smith. Jako jedyny z sześciu mężczyzn wyglądał jeszcze dość świeżo, lecz mimo to miał już ciemne półkola pod oczami. - Widzieliście bliznę na jej lewej ręce? Mamy w aktach informację, że w wieku dwunastu lat spadła z konia na polowaniu.

- Ale kto wie, która z księżniczek jest lepsza dla Stanów Zjednoczonych? - Generał O'Connor włączył się do rozmowy. - Lankonia nie ma dla nas szczególnie wielkiego znaczenia oprócz tego, że akurat w tej chwili potrzebujemy wanadu. Jeśli fałszywa księżniczka zechce dać nam wanad, to nie sądzę, żebyśmy mieli powód mieszać się do tej historii.

- Lankonia leży niedaleko Niemiec i Rosji. Rosja jest naszym sojusznikiem, ale również krajem komunistycznym. Po wojnie...

- Kto wie, co będzie z Lankonia po wojnie? Załóżmy, że przywrócimy księżniczkę do władzy. Czy nie mamy informacji, że ona jest spokrewniona z jakimiś niemieckimi arystokratami, w których żyłach płynie królewska krew? A jeśli za któregoś z nich wyjdzie za mąż?

Sześciu mężczyzn zaczęło mówić jeden przez drugiego.

Generał Brooks rąbnął pięścią w stół.

- Stanowczo uważam, że potrzebujemy jej na tronie. Słyszeliście, że obiecała nam wanad, jeśli pomożemy jej odzyskać władzę. A już na pewno nam go da, jeśli wyjdzie za mąż za Amerykanina.

- Za Amerykanina? - Członek Kongresu Smith aż jęknął. - Te osobniki z błękitną krwią zawierają małżeństwa wyłącznie między sobą. A my w tym kraju znieśliśmy monarchię. Gdzie my znajdziemy amerykańskiego księcia?

- Ta dziewczyneczka dla swojego kraju zrobi wszystko - powiedział generał Brooks. - Wspomnijcie moje słowa, panowie. Jeśli obiecamy jej pomoc pod warunkiem, że wyjdzie za mąż za

Amerykanina i potem osadzi go na tronie, to wierzcie mi, że się zgodzi.

- Czy nie mamy przypadkiem informacji, że ona już jest zaręczona?

- Poznałem tego narzeczonego - odparł generał Brooks. - Nadęty karzeł, który mógłby być jej ojcem. Chce naszej księżniczki tylko dla pieniędzy.

- Naszej?! - parsknął generał Lyons.

- Będzie nasza, jeśli pomożemy jej i ulokujemy obok niej Amerykanina. Pomyślcie o wysuniętej placówce wojskowej w pobliżu Niemiec i Rosji.

Przez chwilę obecni rozważali tę myśl.

- Wobec tego kogo wybieramy na króla? - spytał członek Kongresu Smith.

- Kogoś, kogo możemy obdarzyć zaufaniem. Kogoś, kto wierzy w Stany Zjednoczone. Na pewno nie żadnego demokratę.

- Musi mieć dobre drzewo genealogiczne - powiedział generał Brooks. - Nie możemy wymagać od księżniczki, żeby wyszła za mąż za gangstera albo imbecyla. Osadzimy na tronie kwiat Ameryki.

Generał Attenburgh ziewnął.

- Wnoszę o przerwanie narady do czasu przedstawienia kandydatów w dniu jutrzejszym. - Mężczyźni ochoczo wyrazili poparcie dla tej propozycji.

Następnego ranka sześciu mężczyzn o zaspanych oczach zeszło się na kolejną naradę. Czterech z nich, nie zdradzając konkretów, przetestowało żony, kto z Amerykanów nadawałby się na króla. Bez kłopotu zwyciężył Clark Gable, a zaraz za nim uplasował się Cary Grant. Głosy dostał także Robert Taylor.

Po czterech godzinach kłótni wybrano sześciu ludzi. Byli wśród nich dwaj młodzi członkowie Kongresu, jeden nieco starszy biznesmen oraz synowie trzech starych amerykańskich rodzin, których przodkowie przyплыли do Ameryki na statku „Mayflower”.

Te sześć nazwisk przedstawiono specjalnej komisji, polecając pilne załatwienie sprawy. Członkowie komisji mieli przeprowadzić dogłębny wywiad o każdym z osobna, przy czym wyraźnie dano im do zrozumienia, żeby szukać wszelkich możliwych brudów. Jeśli wybraniec miał zostać królem, należało przygotować się na ewentualne przykre niespodzianki już teraz.

- I sprawdźcie przy okazji tego Montgomery'ego - dodał w ostatniej chwili członek Kongresu Smith. - Zobaczymy, czy można mu ufać, że będzie w tej sprawie milczał.

Przez trzy dni Arię trzymano w hotelu jak więźnia. Dwaj uzbrojeni mężczyźni stali na warcie

przed drzwiami jej apartamentu dwadzieścia cztery godziny na dobę, a wzmocnienie czekało na ulicy, pod jej oknami. Rankiem drugiego dnia dzięki uprzejmości generała Brooksa Arii dostarczono grubą pakę amerykańskich magazynów.

Usiadła więc i pierwszy raz posmakowała prawdziwej Ameryki. Uznała, że Amerykanie są nacją dość płochą, zainteresowaną przede wszystkim gwiazdami filmowymi i piosenkarzami z klubów nocnych. Z jednego numeru „Life” wycięto kilka stron. Spis treści wskazywał, że znajdował się tam artykuł o następczyni tronu Lankonii.

O szóstej rano czwartego dnia trzy kobiety w mundurach zameldowały się w apartamencie, żeby pomóc Arii się ubrać. Były nieskazitelnie profesjonalne i bardzo chłodne, robiły bez sarkania wszystko, co poleciła im Aria.

O ósmej Aria znalazła się znowu w Pentagonie. Posadzono ją przy końcu długiego stołu, z tymi samymi sześcioma mężczyznami co poprzednio. Wyjaśnili jej, że ma wyjść za mąż za Amerykanina i koronować go na króla.

Ogarnęło ją przerażenie, ale nic po sobie nie pokazała. Ci Amerykanie wyobrażali sobie, że mogą jej postawić wszelkie żądania. Cierpliwie próbowała im wytłumaczyć, dlaczego nie może wziąć ślubu z Amerykaninem.

- Mój mąż będzie księciem małżonkiem, a żaden Amerykanin nie ma królestwa, które mógłby połączyć z moim.

- Jest „królestwo” Ameryki - powiedział z sarkazmem jeden z mężczyzn.

- To niemożliwe - upierała się Aria, powoli tracąc cierpliwość. - Jestem już zaręczona. Mojemu narodowi nie spodobałoby się zerwanie zaręczyn, podobnie jak mojemu dziadkowi, który jest królem. - Była pewna, że tym argumentem załatwiła sprawę, ale się myliła. Członek Kongresu Smith zaczął jej tłumaczyć całkowicie niedorzeczny plan.

- Jeśli pomożemy pani wrócić na miejsce fałszywej następczyni tronu, nie dowiedziawszy się uprzednio, kto za tym wszystkim stoi, pani życie może znowu być zagrożone. Popelni pani jeden błąd i trup w kaloszach.

- W kaloszach?

- Niech będzie w koronie. Musimy odkryć, kto próbował Panią zabić i kto nie chce, żeby Stany Zjednoczone miały wanad. To na pewno jest ktoś z pani najbliższego otoczenia.

Aria nie odpowiedziała, wiedziała jednak, że ten człowiek ma rację. Próbowwała zapanować nad sobą, ale czuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Nie było sensu mówić im, że fałszywą królową jest jej kuzynka, dobrze bowiem wiedziała, że nie Cissy to wszystko wymyśliła. Cissy była nerwową, strachliwą mimozą, więc jeśli odgrywała rolę następczyni tronu, to dlatego, że ktoś jej podpowiadał, co i jak ma robić.

- Sytuacja jest dla nas dość korzystna - powiedział potężny, siwowłosy mężczyzna z piersią

obwieszoną orderami. - Przede wszystkim tamci nie mają pojęcia, że pani żyje, więc nie będą pani szukać.

- Stąd plan, który pani proponujemy - podjął drugi. - Pozwolimy fałszywej następczyni tronu dokończyć wizytę i wrócić do Lankonii, i tam ją zdejmujemy. W tym samym czasie pani pojawi się w Lankonii. Wyobrażamy sobie, że ktoś zaproponuje pani zajęcie miejsca fałszywej księżniczki.

- W ten sposób dowiemy się, kto podstawił inną osobę na pani miejsce - powiedział członek Kongresu Smith.

Generał Brooks odchrząknął.

- Jedyne haczyk polega na tym, że wasza wysokość musi być Amerykanką z amerykańskim mężem.

Aria nie była pewna, czy dobrze rozumiała. Jak na jej gust mężczyźni za bardzo się śpieszyli.

- Przecież nie jestem Amerykanką. Skąd miałyby ludziom przyjść do głowy, że nią jestem?

- Nauczmy waszą wysokość bycia Amerykanką.

- Ale po co? - zachnęła się. Nagle poczuła, że pragnie tylko wrócić do domu. Miała dość dziwnego jedzenia, dziwnych obyczajów, używania języka, przy którym musiała zastanawiać się nad każdym słowem. Dość miała ludzi zachowujących się tak, jakby była szpiegiem, i pokojówek, które ją przeklinały, gdy chciała, żeby włożyły jej pończochy. Zmęczyło ją borykanie się z kłopotami i ludźmi, których nie rozumiała. Za wszelką cenę chciała wrócić do domu.

Generał Brooks ujął ją za rękę i uściśnął jej dłoń. Nie cofnęła ręki.

- Jeśli usuniemy fałszywą księżniczkę, a potem zjawi się wasza wysokość i będzie mówić tak, jak mówi, chodzić tak, jak chodzi, jeść ciastka nożem i widelcem, to ludzie, którzy próbowali dokonać zamachu, spróbują znowu. I tym razem może im się udać. My chcemy stworzyć zapotrzebowanie na kobietę, która będzie podobna do waszej wysokości, a potem podsunąć waszą wysokość Lankończykom jako Amerykankę. Lankończycy zapewne będą chcieli wyćwiczyć waszą wysokość do odegrania roli księżniczki.

- Wyćwiczyć mnie do odegrania roli księżniczki? - Absurdalność tego pomysłu wywołała u niej nowy atak nostalgii.

Generał Brooks uśmiechnął się do niej, lecz pozostali mężczyźni patrzyli na nią z bardzo poważnymi minami. Aria uznała, że lepiej dla niej będzie, jeśli postara się zrozumieć ten plan.

- Mam się nauczyć być Amerykanką, a potem księżniczką?

- Czy będzie pani umiała? - spytał członek Kongresu Smith.

Spojrzała na niego z góry.

- Myślę, że w roli księżniczki sprawdzę się dobrze. - Wszyscy obecni z wyjątkiem członka Kongresu Smitha wybuchnęli śmiechem. - Ale do tego nie potrzebuję Amerykanina za męża. - Miała nadzieję, że przystaniem na część planu skłoni ich do rezygnacji z jego bardziej księżycowej części.

Generał Lyons oparł się o stół.

- Prawdę mówiąc, jesteśmy gotowi nadstawić karku tylko w przypadku, jeśli pani wprowadzi na tron Amerykanina. Jeśli nie, może pani stąd wyjść, a my zapomnimy, że kiedykolwiek o pani słyszeliśmy.

Zamyśliła się nad odpowiedzią. Chyba nie mogli mówić Poważnie.

- Przecież zgodziłam się sprzedać wam wanad.

Członek Kongresu Smith spojrzał na nią chłodno:

- W istocie rzeczy chcemy czegoś więcej. Wanad jest nam Potrzebny teraz, podczas wojny. Po wojnie chcemy mieć w Lankonii bazy wojskowe. Chcemy mieć posterunek, z którego będziemy mogli dokładnie obserwować Niemców i Rosjan.

- Jeśli wygracie tę wojnę - powiedziała Aria, nie udało jej się jednak całkiem ukryć gniewu. - Jeśli wygrają Niemcy, to Lankonia, w której Amerykanin jest księciem małżonkiem, będzie traktowana jak wróg. - Musiała zapewnić bezpieczeństwo swojemu krajowi.

- Nie przegramy, a on ma zostać koronowany na króla - uciał członek Kongresu Smith tonem nie podlegającym dyskusji.

- Nie mogę... - zaczęła Aria, ale zamknęła usta. Domagali się od niej tak wiele. Żądali ustępstw dyplomatycznych i wojskowych, i poświęceń osobistych. Spojrzała na swoje dłonie. Tylko co jej zostanie, jeśli się nie zgodzi? Stany Zjednoczone są najdziwniejszym miejscem na świecie, więc musieć zostać tu na zawsze...

Podniosła głowę i stwierdziła, że mężczyźni wpatrują się w nią z napięciem. Drzwi się otworzyły, weszła kobieta w mundurze i szepnęła coś generałowi Brooksowi. Generał skinął głową na pozostałych mężczyzn.

- Musimy waszą wysokość na chwilę zostawić. Proszę sobie odpocząć. Każę komuś odprowadzić waszą wysokość.

Wyszli. Amerykańskie maniery nadal przejmowały ją zgrozą, ale przynajmniej miała czas pomyśleć. Przeszła do poczekalni za uzbrojonym strażnikiem.

Sześciu mężczyzn weszło do sali, w której siedziało czternaście wykończonych osób z zapuchniętymi oczami, odbywających służbę w Departamencie Obrony. Nikt z nich nie spał przez ostatnie trzy doby, nieustannie zbierali bowiem informacje o kandydatach na męża księżniczki Arii. Dano im do dyspozycji transport wojskowy, żeby mogli przeprowadzić szczegółowy wywiad w

rodzinnych miastach kandydatów. Jedna kobieta kazała sobie zrobić przez ten czas trzy trwale w trzech różnych miastach, wiedziała bowiem, że najlepszym miejscem do zbierania plotek jest salon fryzjerski. Czternastka wywiadowców była już w stanie tylko siedzieć z tępo wytrzeszczonymi oczami.

Po wejściu sześciu decydentów wszyscy ciężko wstali i zasalutowali. Porucznik wystąpił, trzymając w dłoni papiery.

- Czego się dowiedzieliście? - spytał zniecierpliwionym głosem członek Kongresu Smith.

- Obawiam się, że nic dobrego. Charles Thomas Walden... - zaczął czytać porucznik. Opowiedział o wspaniałym drzewie genealogicznym młodego człowieka.

- Brzmi nieźle - stwierdził generał Brooks. - Co u niego szwankuje?

- Jest homoseksualistą, panie generale.

- Następny - burknął generał.

Następny, biznesmen, miał za sobą małżeństwo z kobietą nie najlepszego prowadzenia, zawarte w wieku szesnastu lat. Teraz płacił jej olbrzymie sumy, żeby nie mieszała się do jego życia. Rozvodu nie mieli.

Przyszła kolej na nałogowego hazardzistę, potem na człowieka, którego rodzina bogaciła się podczas wojny, zbijając majątek na czarnym rynku. Jeden z młodych członków Kongresu chętnie zmieniał zdanie za pieniądze.

- A ten ostatni? - spytał zmęczony generał Brooks.

- Dziadkowie są Niemcami. Nie możemy być pewni jego lojalności.

- Co teraz? - spytał generał Lyons.

- Czas nas goni. Fałszywa księżniczka wróci do Lankonii za dwa tygodnie. Po powrocie zdecyduje o sprzedaży wanadu. Jeśli wybierze Niemcy, będziemy musieli zagrozić Lankonii wojną i koncepcję wysuniętej placówki diabli wezmą.

- Mam brata - powiedziała jedna z kobiet w mundurze, ale nikt się nie roześmiał.

Po chwili ciszy wstał młody podporucznik.

- Panie generale, mam tu raport, który może pana zainteresować. Dotyczy porucznika Montgomery'ego, tego, który uratował księżniczkę życie.

- Nie mamy czasu... - zaczął członek Kongresu Smith.

- Niech pan czyta, poruczniku - warknął generał Brooks.

- Jarl Tynan Montgomery wychował się w małym miasteczku na Wschodnim Wybrzeżu, w stanie Maine. To miasteczko praktycznie należy do jego rodziny, która jest posiadaczem stoczni Warbrooke Shipping.

Podporucznik urwał, ponieważ nagle wszyscy zwrócili na niego uwagę. Stocznia Warbrooke Shipping była olbrzymią, a po wybuchu wojny jako pierwsza przestawiła się na produkcję okrętów wojennych. Marynarka Stanów Zjednoczonych wiele jej zawdzięczała.

- Jego rodzina przyłączyła się do Stanów Zjednoczonych za panowania Elżbiety Pierwszej. Kilku przodków witało tu purytanów z „Mayflower”. Motto rodziny brzmi: „Nigdy nie sprzedawaj ziemi”. Trzymają się go ściśle. Wciąż są posiadaczami gruntu w Anglii, który należał do ich trzynastowiecznego przodka Ranulfa z Warbrooke. Już w osiemnastowiecznych Stanach Zjednoczonych uważano ich za bogaczy według wszelkich kryteriów, ale właśnie wtedy jeden z Montgomerych ożenił się z kobietą nazwiskiem Taggert. Ci dwoje stali się w końcu posiadaczami niemal połowy stanu Maine. W początkach dziewiętnastego wieku kilku Taggertów wyniosło się ze Wschodniego Wybrzeża w poszukiwaniu szczęścia i pieniędzy. Na ogół wszystko tracili, ale w osiemdziesiątych latach ubiegłego wieku niejaki Kane Taggert znów zbił niesamowity majątek. Na przełomie wieków ciotka porucznika Montgomery’ego, o którym mowa, przenieśli się do Kolorado i wyszła za mąż za syna Kane’a Taggerta. Obecnie żyją w marmurowym dworze i są właścicielami przedsiębiorstwa Fenton - Taggert Steel.

Również ta firma była głęboko zaangażowana w produkcję dla potrzeb przemysłu wojennego.

Podporucznik wziął oddech.

- Porucznik Montgomery jest też spokrewniony z Tynanem Millsem ze stanu Waszyngton. Niezależnie od pieniędzy, w które rodzina Montgomerych opływa, porucznik ma wśród przodków rosyjską wielką księżną, księżną francuską i kilku angielskich hrabiów, a także kilku rewolwerowców. Jego przodkowie walczyli i dostawali odznaczenia we wszystkich możliwych wojnach, w których brały udział Stany Zjednoczone. Nawet kobiety z tej rodziny mają na swoim koncie odznaczenia.

Co do samego porucznika, to nie byłem w stanie dokopać się do żadnego skandalu w jego życiu. Już jako dziecko pracował wraz z trzema braćmi w stoczni ojca. Jest samotnikiem, wolny czas spędza przede wszystkim na pływaniu łodzią. Miał dobre oceny w szkole, przez trzy lata był kapitanem osady wioślarskiej. W armii od początku po Pearl Harbor, podobnie jak jego bracia. Po okresie szkolenia wysłany do Włoch. W półtora roku później sprowadzony z powrotem do Stanów. Dostał zadanie objęcia stoczni w Key West i zorganizowania tam przebudowy cywilnych statków do celów wojskowych. W dwa miesiące potem zbyt nisko lecący hydroplan zawadził o magazyn amunicji i stanął w płomieniach. Zginęło jedenastu ludzi, ale porucznik Montgomery zdołał ugasić ogień, zanim amunicja wyleciała w powietrze. Doznał ciężkich poparzeń, spędził kilka tygodni w szpitalu. Gdy uratował księżniczkę, spędzał właśnie urlop na nie zamieszkanym wyspie.

Podporucznik odłożył papiery.

- Wniosek, panowie, jest następujący. Ten Montgomery ma najbardziej błękitną krew, jaką

można znaleźć w Stanach Zjednoczonych.

Wykluczone! - oburzyła się Aria. - W żadnym wypadku nie wyjdę za mąż za tego prymitywnego, ordynarnego człowieka. Wolę żebrać na ulicy, niż zgodzić się na to małżeństwo. - Pierwszy raz w życiu nawet nie starała się ukryć swoich uczuć. Pokazała wszystkim swą niechęć, zgrozę, odrazę. Ci Amerykanie byli umyślowo chorzy!

Członek Kongresu Smith spojrzał na nią z pogardą.

- Gdyby chodziło tylko o panią, nie byłoby sprawy. Przykro mi myśleć, co ta fałszywa księżniczka i jej doradcy zrobią z pani krajem. Mam nadzieję, że przynajmniej nie zabiją pani dziadka. - Zamknął aktówkę. - Miło mi było panią poznać, księżniczko. Życzę pani wszystkiego najlepszego, cokolwiek się stanie.

Przez głowę Aarii przemknęło wyobrażenie Cissy na tronie, spełniającej życzenia jakiegoś człowieka, mordercy. Lankonia już raz brała udział w wojnie. Czyżby ten morderca chciał wmieszać Lankonię i w tę wojnę, która siała spustoszenie na całym świecie? Niektórzy Lankończycy, zwykle starsi ludzie, nie mający dzieci w wieku poborowym, twierdzili, że przystąpienie Lankonii do wojny bardzo ożywiłoby gospodarkę kraju.

Potem Aria wyobraziła sobie, jak mieszka w amerykańskim hotelu i czyta o bombardowaniu jakiejś części Lankonii. Byłaby winna śmierci wielu ludzi. Żeby ocalić setki, może tysiące swoich rodaków, musi zgodzić się na małżeństwo z tym odrażającym człowiekiem.

- Proszę poczekać! - zawołała do członka Kongresu Smitha.

Stanął przy drzwiach, ale się nie odwrócił.

- Zrobię... zrobię to, czego chcecie - wyszeptwała. Siedziała sztywno wyprostowana. Czowała, że jeśli pozwoli sobie na najmniejsze rozluźnienie, zaleje się łzami.

- Już posłano po porucznika Montgomery'ego - powiedział członek Kongresu Smith, uśmiechnął się ironicznie, po czym opuścił salę.

- Sukinsyn - mruknęła kobieta w mundurze za plecami Aarii i wzięła ją za ramię. - Słoneczko, musisz się porządnie wypłakać. Chodź ze mną. Wezmę cię do gabinetu generała Gilchirsta. Akurat go nie ma, więc będziesz tam miała spokój. Czy ten Montgomery naprawdę jest takim osłem?

Aria pozwoliła poprowadzić się korytarzem. Gula w gardle nie pozwalała jej mówić. Zdołała tylko skinąć głową.

- Dajcie spokój! - oświadczyła kobieta w mundurze. - Cieszę się, że jestem Amerykanką. Amerykanom nikt nie mówi, co mają robić. Mogę wybrać sobie takiego męża, jakiego chcę. - Otworzyła drzwi. - No, tutaj możesz sobie posiedzieć. Zgaś światło, nikt cię tu nie znajdzie. Przyjdę po ciebie o piątej. Do tej pory nie będę miała pojęcia, gdzie się podziałaś. - Mrugnęła do Aarii i zamknęła za sobą drzwi.

Aria usiadła na niewielkiej skórzanej sofie i kurczowo splotła dłonie. Bata się, że jeśli zacznie płakać, to już nigdy nie przestanie. Przywołała przed oczy obraz Lankonii nękaną wojną, a potem pomyślała, że swym altruistycznym, szlachetnym postępkim ratuje kraj przed tą katastrofą. Niestety, pamiętała również rugającego ją porucznika Montgomery'ego, jego obcesowość, jego bezceremonialność, gdy ciągnął ją za sobą i wrzucał do łodzi. Jak można wychować takiego mężczyznę na księcia małżonka?

Im dłużej o tym myślała, tym ciężiej jej było na duszy. Mój Boże, żeby chociaż dziadek zrozumiał, że musiała tak postąpić.

W dwadzieścia cztery godziny później z sześciu mężczyzn, którzy pracowali nad operacją Lankonia, zostało czterech. Dwaj wymówili się pilniejszymi sprawami i opuścili salę konferencyjną. Prawda zaś była taka, że już księżniczka dała im w kość, ale na ośli upór porucznika Montgomery'ego zupełnie nie byli przygotowani.

Generał Brooks miał zaczerwienione oczy i ochrypł od mówienia.

- Ten sukinsyn ciągle jeszcze się śmieje?

Członek Kongresu Smith był zbyt wściekły, żeby odpowiedzieć czymś więcej niż skinieniem głowy.

- Jakie nowiny? - spytał generał Brooks, kierując pytanie do urodziwej, młodej kobiety w mundurze. Najpierw próbowali przemówić Montgomery'emu do rozumu mężczyźni. Nic nie osiągnęli. Postanowiono więc uciec się do pomocy kobiet. Jak do tej pory bez powodzenia.

- J.T... to znaczy porucznik Montgomery mówi, że woli stanąć przed sądem wojskowym, niż ożenić się z księżniczką. Kiedy powiedziałam mu, że wybrano go ze względu na Przeszłość jego rodziny, zaproponował jednak, żebyśmy wydali jej wysokość za jednego z jego braci. Powiedział, że ich może uda się skusić, bo nie mieli okazji poznać tej... - Podniosła głowę. - Przemilczę nieprzyzwoite wyrażenia.

- On ma braci? - zainteresował się generał Brooks z cieniem nadziei w głosie.

- Sprawdziłem, panie generale - zabrał głos młody kapitan. - Najstarszy brat jest w wywiadzie, tak głęboko zakonspirowany, że jego miejsce pobytu zna tylko prezydent i dwóch innych ludzi. Drugi brat leży teraz w szpitalu. Tydzień temu omal nie stracił nogi, bo dostał się pod ostrzał karabinu maszynowego. Trzeci brat ożenił się w zeszłym miesiącu z Angielką. Rodzina jeszcze o tym nie wie.

Generał Brooks się zachmurzył.

- Może jakiś kuzyn?

- Nie mamy czasu! - przerwał mu członek Kongresu Smith, waląc pięścią w stół. - Ten Montgomery pasuje jak ulał. Jest najbardziej amerykańskim Amerykaninem świata i wygląda jak książę. - Uniósł brew, widząc żarliwe poparcie młodej kobiety w mundurze. - Ma iloraz inteligencji sto czterdzieści trzy i jest bogaty. Według naszych informacji Lankonia ledwie wiąże koniec z końcem. Pieniądze rodziny Montgomerych mogłyby postawić ten kraik na nogi.

- I w ten sposób przekonać wszystkich mieszkańców o przychylności Stanów Zjednoczonych - dodał generał Brooks.

Członek Kongresu Smith ułożył przed sobą stertę papierów.

- Nie możemy mu grozić, bo ryzykujemy utratę poparcia Warbrooke Shipping...

- Albo Tynana Millsa, albo Fenton - Taggert Steel - dodał kapitan.

- Wobec tego spróbujmy go okłamać. - Tym stwierdzeniem członkowi Kongresu Smithowi udało się uciszyć zebranych. - On nie znosi księżniczki, zgadza się? Wyśmiewa pomysł zostania królem. Powiedzmy mu więc, że małżeństwo jest na lipę i że ma je traktować jak zwyczajne wojskowe zadanie wywiadowcze. Niech z nią pomieszka, nauczy ją, jak być Amerykanką, weźmie ją do Lankonii, a kiedy ona odzyska tron, on będzie mógł odejść.

- I dopiero w Lankonii Montgomery przekona się, że ma zostać królem? - spytał generał Brooks.

- Mniej więcej. Postarajmy się tymczasem doprowadzić do tego małżeństwa, to uchwycimy przyczółek. Konsekwencjami będziemy się martwić później.

- Czy księżniczka nas nie zdradzi? - spytał kapitan.

Członek Kongresu Smith parsknął pogardliwie.

- Ona oddałaby własną duszę za Lankonię. Dla dobra ojczyzny okłamię Montgomery'ego i w ogóle zrobi wszystko, co będzie musiała. Mam przecucie, że ona wcale nie zamierza koronować Montgomery'ego na króla. Zresztą posłuchajmy, co sama księżniczka powie na ten temat. Idziemy, panowie? Nie chcę, żeby Montgomery miał czas do namysłu. Jak długo już nie śpi?

Kapitan spojrział na zegarek.

- Trzydzieści osiem godzin.

- A nie je?

- Dwadzieścia dwie godziny temu dostał kanapkę i kubek Coca - Coli.

Członek Kongresu Smith skinął głową.

- Idziemy.

Aria z najwyższym trudem ukryła zdziwienie.

- Porucznik Montgomery nie chce ożenić się z następczynią tronu? Nie chce być mężem królowej?

Kobieta w mundurze nie zamierzała powtórzyć Arii okropieństw, które wygadywał o niej porucznik Montgomery. A powiedział, że Aria jest niehumanitarną bryłą marmuru, że w niczym nie przypomina kobiety, że wolałby obdarzyć miłością posąg Wenus z Milo. Zamiast tego kobieta wyjaśniła Arii, co trzeba zrobić, żeby skłonić J.T. do zgody na małżeństwo.

- Czyli on wierzy, że będzie... jak to się mówi?

- Rozwód albo unieważnienie małżeństwa.

- Ale członkom rodziny królewskiej w żadnym wypadku nie wolno ogłaszać separacji. Następczyni tronu wychodzi za mąż raz i koniec.

Aria popatrzyła na portret prezydenta Roosevelta, wiszący na ścianie. Stanowczo za dobrze pamiętała dni spędzone na wyspie z tym okropnym człowiekiem nazwiskiem Montgomery. Dla dobra swego kraju zgodziła się wyjść za niego za mąż, a tymczasem on teraz twierdzi, że nie chce się z nią ożenić.

- Nie powiem mu, że to małżeństwo jest na zawsze - szepnęła.

- Obawiam się, że to nie wszystko. - Kobieta w mundurze przeklinała w myśli członka Kongresu Smitha za zlecenie jej takiego zadania. Czuła do księżniczki zdecydowaną sympatię, podobali jej się bowiem ludzie, którzy byli gotowi walczyć za swój kraj. - Armia wynajęła dla was dwojga dom w Wirginii. Są w nim konie i kamerdyner. Tyle że porucznik Montgomery stanowczo odmawia przeniesienia się do tego domu. Chce wrócić do pracy w Key West, więc macie mieszkać w domku jednorodzinny, bez służby i szczególnych przywilejów, utrzymując się z jego żołdu.

Kobieta w mundurze dobrze wiedziała, że nikt nie poinformował Aarii o bogactwie J.T. i teraz, patrząc na księżniczkę, uświadomiła sobie nagle, że nie miała pojęcia, jak straszne wymagania postawił porucznik. Nie potrafiła wyobrazić sobie tej eleganckiej kobiety wkładającej fartuch do zmywania naczyń.

- Powiedział, że jeśli ma pani żyć jak Amerykanka, to prawdziwa.

- Porucznik ma wiele skryzalizowanych poglądów, prawda?

Nie zna pani nawet połowy z nich, pomyślała kobieta.

- Czyli przystaje pani na jego warunki?

- A mam jakiś wybór?

- Zdaje się, że nie. Jeśli jest pani gotowa, kapelan czeka.

Aria bez słowa wstała z wysoko uniesioną głową. To, co robiła, było o wiele ważniejsze od tych wszystkich romantycznych bzdur z białą suknią ślubną i ludźmi życzącymi szczęścia. Nie miało znaczenia, że była w sukience noszonej już od dwóch dni, zmiętej i miejscami pozagniatanej.

Stała przed drzwiami, dopóki kobieta w mundurze ich nie otworzyła. Na zewnątrz czekało sześć podobnych kobiet, wszystkie z uśmiechami szczęścia na twarzach.

- One nie wiedzą, kim pani jest - szepnęła opiekunka Aarii. - Myślą, że armia umożliwiła pani połączenie z kochankiem i dlatego macie dzisiaj wziąć ślub.

- Coś starego - powiedziała pierwsza z szóstki, wyciągając przed siebie złoty medalion. - To jest również coś pożyczonego. Należało do mojej babki.

- Coś nowego - powiedziała następna, wręczając jej śliczną chusteczkę do nosa.

- I coś niebieskiego. - Trzecia kobieta przypięła Arii do ramienia bukiet niebieskawych goździków.

Natomiast czwarta wzięła pantofelek Ani i wsunęła do niego na szczęście drobną monetę.

Arię oszołomiło to zachowanie. Jak do tej pory kobiety w Stanach Zjednoczonych były dla niej bardzo miłe, ale mężczyźni...! Zaintrygowało ją, jak tutejsze kobiety radzą sobie z tymi źle wychowanymi ordynusami.

Do ceremonii postanowiono użyć sali konferencyjnej. Nikt nie wysilił się nawet, żeby usunąć stół z drogi, więc nie było nawy, którą Aria mogłaby dojść do kapelana, nie było też starszego człowieka, który zaprowadziłby ją do oblubieńca. Szła wzdłuż ściany, w towarzystwie kobiety w mundurze, ku grupie mężczyzn w drugim końcu sali. Kilku nosiło garnitury, ale przynajmniej tuzin był w mundurach z licznymi orderami na piersi. Wyglądało więc na to, że starano się zapewnić uroczystości wysoką rangę.

Porucznik Montgomery siedział na krześle z głową podpartą ramieniem. Przysypiał. Policzki i podbródek miał pokryte nie ogolonym zarostem. Jego mundur był zmięty i brudny.

Gniew Arii natychmiast się wzmógł. Może ci ludzie bali się mu powiedzieć, jak bardzo jest godzien pogardy, ale nie ona. Stała przed nim.

- Jak śmiesz pokazywać mi się w takim stanie? - Obrzuciła go miażdżącym wzrokiem.

Nawet nie otworzył oczu.

- Toż to słodki głos jej wysokości.

Generał Brooks wziął Arię za ramię i pociągnął ją przed kapelana.

- On ma za sobą kilka trudnych dni. Chyba nie powinniśmy dodatkowo denerwować go przed uroczystością, żeby się nie rozmyślił.

Aria zacisnęła dłonie w pięści. Czyżby była tak niewiele warta, że musi błagać mężczyznę, żeby się z nią ożenił?

J.T. ospale wstał z krzesła.

- Chcesz zmienić zdanie, księżniczko? Ja jestem chętny.

Nie spojrzała na niego. Wyobraziła sobie Lankonię.

Kapelan zawahał się, nim wymówił imię Arii.

- Kogo? - spytał J.T, drapiąc się po zaroście.

- Wiktorię Jurę Arię Cilean Xenitę.

- Dobra, biorę - powiedział.

Aria spiorunowała go wzrokiem. Obiecała kochać i szanować Jarla Tynana Montgomery'ego, ale opuściła w przysiędze posłuszeństwo.

- Wasza wysokość - poprawił ją kapelan. - Tam jest „kochać, szanować i być mu posłuszną”.

Aria popatrzyła na J.T., ale się nie odezwała.

- Dość się dziś nakłamaliśmy - powiedział J.T. - Kończmy z tym.

Kapelan westchnął.

- Ogłaszam przeto, że jesteście mężem i żoną. Może pan pocałować pannę młodą.

J.T. chwycił Arię za rękę.

- Cholera, idę do łóżka.

Aria ledwie zdążyła oddać kobiecie w mundurze mały, złoty medalion i już J.T. wyciągnął ją z sali.

Generał Brooks zachichotał.

- Zdaje się, że nieźle zaczynają.

Członek Kongresu Smith odchrząknął.

Aria wtopiła się w siedzenie czarnego samochodu, który dostarczyła im armia, i skupiła się na zachowaniu uśmiechu, który wiądl jej z każdą chwilą. W drugim kącie siedzenia, tak daleko od niej, jak tylko było to możliwe, siedział mężczyzna, który teraz był jej mężem. Głowę oparł o szybę, więc nie widziała jego twarzy, nie wątpiła jednak, że mina porucznika Montgomery'ego jest bardzo wymowna.

Znów przypomniła sobie o uśmiechu. W czasie gdy obozowali na wyspie, porucznik demonstrował, że w ogóle nie widzi w niej kobiety. Ignorował też jej królewski rodowód, choć to o dziwo nie dopiekło jej tak bardzo jak lekceważenie urody. Bo nawet jeśli kobieta jest królową, pragnie być pożądana.

Zamknęła oczy. Od porwania minęły długie dwa tygodnie i przeżyła w tym czasie wiele

okropności. Miała to już jednak za sobą. Była po ślubie. Ukradkiem zerknęła na porucznika Montgomery'ego, rozpartego na siedzeniu samochodu. Mogła trafić gorzej. W wieczorowym ubraniu porucznik prawdopodobnie prezentował się całkiem nieźle, z pewnością też był dość silny do dźwigania na sobie ciężkich, ceremonialnych szat państwowych. Oczywiście miała się jeszcze nauczyć zachowywać jak Amerykanka, ale co w tym trudnego? Wielu ludzi zdawało się robić to bez najmniejszych problemów.

Najpierw jednak czekała ją noc poślubna. Matka opowiedziała jej o tej nocy, wyjaśniła, co wtedy robi mężczyzna i jak prowadzi go do tego żądza, której kobieta nie odczuwa. Należało zawsze wyglądać przy mężu jak najbardziej pociągająco i rozbudzać ową żądzę. Celem było wszak przedłużenie ciągłości rodu.

I oto poślubna noc nadchodziła. Naturalnie Aria wyszła za mąż za prawie obcego człowieka, ale tego zawsze się spodziewała. Może po dzisiejszej nocy porucznik Montgomery przestanie być dla niej taki ordynarny. Może nazajutrz rano uklęknie przy jej łóżku, pocałuje ją w rękę i będzie błagał o wybaczenie za straszne rzeczy, które jej mówił. Może po tej nocy...

Nie zauważyła, że samochód przystanął, póki kierowca nie otworzył przed nią drzwi. Byli znów w jej hotelu. Wsiadła i odczekała, aż kierowca otworzy drzwi również przed jej mężem. Musiał złapać J.T, który o mało nie upadł.

- Jesteśmy na miejscu, panie poruczniku - powiedział kierowca.

J.T. popatrzył na hotel mętным wzrokiem, jakby nigdy przedtem go nie widział.

- To dobrze - powiedział niewyraźnie i wszedł do środka, zostawiając Arię na chodniku. Po kilku sekundach wrócił, chwycił ją za ramię i pociągnął za sobą.

- Który masz pokój?

- Różowy.

J.T. gwałtownie przystanął i popatrzył na żonę. Oczy miał silnie zaczerwienione, a broda rosła mu z każdą minutą.

- Jak znajdujesz swój pokój po powrocie do hotelu?

- Muszę iść tam. - Wskazała recepcję. - Czasem trochę czekam i ktoś mnie potem odprowadza.

- Nie dali ci klucza?

- Klucza do miasta? Nie, nikt o tym nie wspominał.

J.T. na moment zamknął oczy.

- Zostań tutaj i nigdzie nie odchodź, rozumiesz?

Skinęła głową i odwróciła się, żeby nie widział, jak się uśmiecha. Wyraźnie nie chciał, żeby się od niego oddalała.

Po krótkiej dyskusji w recepcji i wymianie uścisku dłoni z panem Cattonem J.T. wrócił i zaprowadził Arię do windy.

- Jeszcze nigdy się tak nie cieszyłem na myśl o łóżku - powiedział, gdy drzwi się zamknęły.

Aria znów się uśmiechnęła.

J.T. otworzył drzwi apartamentu i wszedł do środka, zastawiając ją na zewnątrz. W chwilę później wystawił ramię przez próg, chwycił ją za rękę i wciągnął do wnętrza. Zamykając drzwi, stał tuż obok niej, więc Aria skromnie spuściła wzrok. Zostali sami.

J.T. ziewnął i przeciągnął się.

- Łóżko. Widzę łóżko - powiedział, chwiejnym krokiem przemierzył salon i znalazł się w sypialni. Zdjął jeden but, opadł na pościel i zasnął.

Aria wciąż jeszcze stała przy drzwiach. Odczekała kilka minut, ale ponieważ nie usłyszała żadnego dźwięku z sypialni, ostrożnie przeszła przez salon. Porucznik Montgomery już leżał. Wydawał się uśpiony, lecz Aria wiedziała, że na nią czeka.

- Zaraz... zaraz się przygotuję - szepnęła i podeszła do komódki po nocną koszulę.

Natychmiast stwierdziła, że nie ma stosownej kreacji na noc poślubną. Taka noc zdarza się przecież tylko raz w życiu kobiety, Aria chciała więc wyglądać jak najpiękniej.

Zerknęła na J.T. i nabrała podejrzeń, że jej mąż może naprawdę spać. Po chwili przekreślił się bowiem na bok i wydał z siebie coś jakby chrapnięcie.

Zerknąwszy na budzik przy łóżku, Aria stwierdziła, że jest dopiero czwarta po południu. Może powinna wybrać się do jednego z tych amerykańskich sklepów, które widziała po drodze, i kupić sobie stosowną koszulę nocną, która nie pozwoli mężowi zasnąć.

Ukradkiem opuściła pokój, sprawdzivszy uprzednio, czy ma w torebce czystą chusteczkę do nosa. Z zielonych papierków, które dał jej porucznik Montgomery, nic już nie zostało.

Zrobiła to samo, co zawsze, gdy chciała wyjść: spytała o pana Cattona, który sprowadził dla niej taksówkę i zapłacił kierowcy. Miała trochę kłopotów, żeby wyjaśnić w godny sposób, dokąd chce jechać. Dyrektor musiał w końcu wezwać na pomoc jedną ze swych młodych, urodziwych pracownic i dzięki temu Aria jechała wkrótce we właściwą stronę.

Kierowca wysadził ją przed okazałym budynkiem. Aria nigdy dotąd nie widziała domu towarowego. Może sprawiła to jej sylwetka, a może oryginalna paryska suknia, w każdym razie trzy sprzedawczynie prawie rzuciły się na nią, oferując pomoc w zakupach. Wybrała najstarszą.

- Chciałabym obejrzeć damskie stroje nocne.

- Proszę tędy - powiedziała sprzedawczyni z poczuciem wyższości wywołanym faktem, że to ona została wybrana. W dwie godziny później była już znacznie mniej zadowolona. Aria przymierzyła wszystkie koszule nocne dostępne w stoisku i większość z nich cisnęła na podłogę. Sprzedawczyni nie nadążała już ze składaniem i jednoczesnym pomaganiem Aarii we wkładaniu i zdejmowaniu następnych.

W końcu Aria zaczęła nabierać przekonania do prześlicznej, głęboko wyciętej koszuli na ramiączkach, łączącej różowy jedwabny woal z atłasem.

Sprzedawczyni odetchnęła z ulgą.

- Proszę ze mną, to zapakuję pani tę koszulę - powiedziała. Z irytacją stwierdziła jednak, że musi jeszcze pomóc Aarii w ubieraniu się. Dopiero po chwili ze złością wrzuciła koszulę do pudła. - Cholera, chciała, żebym jej usługiwała, jakbym była służącą - burknęła dość głośno.

- Pst - zmiętygowała ją koleżanka - bo usłyszysz cię kierownik piętra.

- To niech sam się z nią męczy.

Aria wyszła z przebieralni akurat w chwili, gdy sprzedawczyni zamknęła wieczko pudła i odwróciła się po paragon. Aria wzięła pudło i ruszyła do drzwi.

- Boże - jęknęła sprzedawczyni. - Ona kradnie koszulę!

Telefon zadzwieczał jedenaście razy, zanim J.T. zbudził się dostatecznie, by podnieść słuchawkę.

- Tak, słucham - powiedział nieprzytomnie.

- Porucznik Montgomery?

- Jeśli dobrze pamiętam, to tak.

- Mówi sierżant Day z Policji Waszyngtońskiej. Mamy tu kobietę zatrzymaną za kradzież w sklepie. Mówi, że jest pańską żoną.

J.T. szerzej otworzył oczy.

- Spisaliście ją?

- Jeszcze nie. Ona twierdzi, że ma znaczenie dla czynu wojennego Stanów Zjednoczonych, no i w ogóle dużo mówi. Nie możemy skapować, o co jej chodzi. Utrzymuje też, że nie ma nazwiska i że jest królową, więc powinniśmy tytułować ją „wasza wysokość”.

J.T. przesunął dłonią po twarzy.

- Jest księżniczką, więc istotnie tytułuje się ją „wasza wysokość”.

- Jak to?

- Sierzancie, w to trudno uwierzyć, ale ona naprawdę jest ważna, przynajmniej dla kilku osób. Jeśli pan ją zamknie, może pan spowodować poważne kłopoty z rządem. Czy nie mógłby pan po prostu posadzić jej gdzieś w pokoju i dać jej herbaty? Koniecznie na spodeczku.

Sierżant przez chwilę milczał.

- Pan naprawdę ożenił się z tym stworzeniem?

- O Boże, tak. Zaraz do pana przyjadę.

- Będziemy bardzo zobowiązani, jeśli uwolni nas pan od tego kłopotu.

J.T. odłożył słuchawkę.

- A kto mnie uwolni? - mruknął pod nosem.

Aria siedziała na krześle w oszklonej dyżurce posterunku policji i starała się ignorować ludzi, gapiących się na nią przez szybę. W ciężkim białym kubku postawiono przed nią płyn, który podobno był herbatą. Najbardziej jednak zdumiało ją, że kubek stał na popielniczce. Nie zamierzała go dotykać.

Ostatnie kilka godzin było okropne. Ludzie dotykali jej, krzyczeli na nią, zadawali jej bez końca te same pytania i w ogóle nie wierzyli w to, co mówiła.

Prawie się ucieszyła, gdy wreszcie ujrzała za szybą nie ogoloną twarz porucznika Montgomery'ego. Omiótł ją przelotnym, gniewnym spojrzeniem i zaraz potem otoczyli go ludzie, którzy jeszcze niedawno bardzo na nią krzyczeli. Chciała zobaczyć, jak Amerykanin radzi sobie z innymi Amerykanami. Porucznik rozdał kilka zielonych papierków i podpisał jakieś białe dokumenty, przez cały czas rozmawiając z ludźmi. Aria nie słyszała jednak, o czym rozmawiają.

Najprawdopodobniej sama potrafiłaby to wszystko zrobić, gdyby tylko rozumiała, o co tym ludziom chodzi. Może być Amerykanką było w gruncie rzeczy bardzo łatwo.

Tłumek się rozstał i porucznik Montgomery ruszył w jej stronę.

- Chodźmy - burknął, otworzywszy drzwi. - I ani słowa, bo cię tu zostawię.

Aria wzięła pudło z nocną koszulą i z wysoko uniesioną głową opuściła dyżurkę. W drodze do hotelu porucznik się do niej nie odzywał. Przez cały czas szedł przed nią. Gdy znaleźli się w apartamencie, podszedł do telefonu.

- Służba hotelowa? - spytał. - Proszę podać kolację do prezydenckiego apartamentu. Nie, nie mam karty. Niech będzie kolacja dla czterech osób, wszystko jedno co tam macie. I butelkę najlepszego wina z waszych piwnic. Tylko szybko.

Gdy odłożył słuchawkę, Aria stała, wlepiając w niego zdumiony wzrok.

- Czy mogłabyś choć przez chwilę nie pakować się w nowe kłopoty? Teraz chcę zjeść coś przyzwoitego, wziąć prysznic i uderzyć w kimono, i wszystko będzie dobrze. Daj mi tylko tyle, to może odzyskam zdolność znoszenia tego, co wykombinujesz ty i rząd Stanów Zjednoczonych.

Aria nie rozumiała nawet połowy tego przemówienia, wiedziała tylko, że porucznik Montgomery zamierza zjeść kolację. Spłonila się rumieńcem. Po kolacji uczyni ją swoją żoną.

- Kobieta, która mi usługiwała, nie wróciła. Jeśli zrobisz mi kąpiel, to się przygotuję - powiedziała cicho.

- Czyżbyś jeszcze nie nauczyła się napełniać wanny? - zdumiał się szczerze. - Chodź, pokażę ci, jak się to robi.

Uśmiechnęła się niepewnie.

- Czy służące amerykańskich żon nie przygotowują im kąpeli? Może powinniśmy zadzwonić do pana Cattona i poprosić, żeby kogoś nam przysłał.

- Słoneczko, amerykańskie żony nie mają służących, a od tej pory również ty jesteś amerykańską żoną. Ubierasz się sama, kąpiesz się sama, a co więcej, zamierzam cię nauczyć, jak dbać o męża.

Aria odwróciła głowę, żeby nie zauważył jej czerwonych policzków. Był odrobinę szorstki i bardziej niż odrobinę niegrzeczny pokazując jej, jak przygotować kąpiel, ale się nauczyła. Gdy zapukała służba hotelowa, wyszedł i zostawił ją samą.

Aria spędziła w wannie dużo czasu. Najpierw się mydliła, potem rozmyślała o czekającym ją przeżyciu. Porucznik Montgomery wołał dwa razy, że stygnie jej jedzenie, ale nie pozwoliła się popędzać.

Samodzielne ubranie się nie było łatwe, ale piękną, nową koszulę nocną należało po prostu włożyć przez głowę, więc jakoś jej się udało. Od kilku minut nie słyszała żadnych odgłosów z drugiej strony drzwi, uznała zatem, że porucznik również się przygotowuje. Ostrożnie uchyliła drzwi.

W salonie stał duży stół z pozostałościami bankietu. Ten cham zjadł bez niej weselną kolację! Krzywiąc nos, spojrzała na brudną zastawę, która zdawała się jedyną pozostałością posiłku. Pan porucznik chciał ją nauczyć, jak napełniać wannę, za to ona stanowczo musiała zająć się jego manierami.

Odwróciła się w stronę sypialni. Porucznik leżał na boku po jednej stronie łóżka. Twarz miał przykrytą płachtą gazety. Nie poruszył się, gdy próbowała odchylić pościel i wejść do łóżka. Nie drgnął nawet wtedy, gdy szarpnęła za kołdrę w sposób niegodny damy.

Wzięła głęboki oddech i położyła się obok niego na pościeli. Dłonie zacisnęła w pięści.

- Jestem gotowa - szepnęła.

Nie poruszył się, więc po chwili powtórzyła to samo. Trwał w bezruchu.

Nawet jak na męża zdecydowanie przekraczał granice dobrego smaku. Aria odsunęła mu z twarzy gazetę. Spał z półotwartymi ustami. Miał nie ogolone baki i wyglądał jak miejscowy idiota.

- Jestem gotowa! - ryknęła mu prosto w twarz, tym razem całkiem nie jak księżniczka, i położyła się z powrotem.

- Gotowa? - wymamrotał na wpół przebudzony i nagle usiadł wyprostowany. - Ognia! - zakomenderował i chyba uświadomił sobie, gdzie jest. Odwróciwszy się, zmierzył wzrokiem Arię ustrojoną we frymuśną nocną koszulę.

Miała ręce wyciągnięte wzdłuż ciała, nogi sztywno wyprostowane, oczy wbite w sufit. Teraz,

myślała. To jest ten moment, kiedy mężczyzna zmienia się w zwierzę. Matka uprzedzała ją, że dotyczy to absolutnie wszystkich mężczyzn, króla i kominiarza. Przyszła dla niej chwila poznania smaku tej przemocy.

- Do czego gotowa? - spytał sennie porucznik Montgomery.

- Do nocy poślubnej - odrzekła i zamknęła oczy w oczekiwaniu bólu. Czy bardzo ją skrzywdzi?

Raptownie uniosła powieki, gdy niespodzianie usłyszała jego śmiech.

- Do nocy poślubnej? - powtórzył rechocząc. - Myślisz, że ja...? Że ty i ja...? O rany, ale numer! Czy to dlatego spędziłaś pół nocy w łazience?

Śmiał się z niej.

- Posłuchaj, paniusiu. Ożeniłem się z tobą tylko dla wspomnienia kraju w wojnie. To był jedyne powód. Nie mam żadnych zamiarów związanych z twoim ciałem bez względu na to, jak fikuśnie się ubierzesz. Przede wszystkim nie chcę, żeby cokolwiek stało na przeszkodzie położeniu końca temu małżeństwu, gdy tylko z powrotem zasiądziesz na tronie. Mam wrażenie, że twój hrabia Julia mocno by się krzywił, gdybym zrobił ci bachora. Zechciej więc teraz przejść do drugiego pokoju i dać mi trochę pospać. Tylko nie wychodź z hotelu! Następnym razem wywołasz prawdopodobnie wojnę Stanów Zjednoczonych z jakimś krajem.

Aria błogosławiła lata ćwiczeń, dzięki którym umiała ukryć uczucia. Odrzucenie księżniczki miało swoją wagę, ale odrzucenie jej jako kobiety boleśnie ją zraniło.

- Zmykaj! - powiedział. - Wynocha z mojego łóżka. Idź spać do drugiego pokoju. Zadzwoń na służbę i każe przygotować dla ciebie sofę w salonie.

Wykrzesawszy z siebie tyle godności, na ile ją było stać, Aria wstała z łóżka.

- Nie, poruczniku Montgomery. Poradzę sobie sama.

Nie chciała, żeby inna kobieta dowiedziała się, jak wzgardzono nią w noc poślubną. Przeszła do salonu.

Porucznik Montgomery krzyknął głośno:

- Cholera jasna! - I trzasnął za nią drzwiami.

Przez resztę nocy Aria siedziała na sofie. Ani na chwilę nie zmrużyła oka. Myślała o wszystkim, co powinna była zrobić i powiedzieć. Najdłużej jednak rozmyślała o tym, ile trudu sobie zadała, żeby sprawić temu człowiekowi przyjemność, i jaka spotkała ją za to wzgarda.

Nienawidziła go. Nie znała dobrze tego uczucia, ale rozpoznała je bez wahania. Miała przodków, którzy ze względów politycznych zawarli małżeństwa ze znieawidzonymi ludźmi. W

osiemnastym wieku pewna para nie rozmawiała ze sobą przez dwadzieścia lat. Naturalnie w tym czasie kobieta urodziła troje dzieci wyglądających tak jak jej mąż, król.

Sztywno usiadła na sofce, czekając na świt. Postanowiła jak najszybciej nauczyć się wszystkiego, czego miała się nauczyć, żeby móc wrócić do kraju. Wszystkie inne nadzieje związane z tym człowiekiem rozwiały się jednak bezpowrotnie. Może jej siostra zdoła urodzić dziedzica tronu.

Nie płakała, ale powstrzymanie łez było tej nocy znacznie trudniejsze niż wtedy, gdy złamała rękę.

J.T. budził się bardzo powoli. W ustach miał ohydny niesmak, powieki mu ciążyły, czuł ból w plecach. Uniósł się i zdjął przekręcony pas, który uciskał go na wysokości nerek. Był w mundurze, a pognieciona koszula krępowała mu ciało.

Bez patrzenia wiedział, że obok niego nikt nie leży. Wiedział też nie wiadomo skąd, że księżniczka jest w salonie ich apartamentu. Pewnie się dąsa, pomyślał wykrzywiając twarz. Prawdopodobnie znienawidziła go jeszcze bardziej za to, że nie zrobił tego, co w jej przekonaniu powinien był zrobić.

Na chwilę zamknął oczy. Przypomniawszy sobie, co zaszło. Od dnia, gdy uratował księżniczkę, była nie do wytrzymania. Wciąż czegoś żądała, zachowywała się jak tyran, domagała się od niego więcej i więcej. Wciąż było jej mało, choćby dał jej nie wiadomo ile. A dał jej mnóstwo pieniędzy, własnych pieniędzy, które odkładał na nowy jacht. I nawet mu nie podziękowała.

Nigdy w życiu tak się nie cieszył jak w chwili, gdy wsadził ją w pociąg do Waszyngtonu. Miał szczerą nadzieję, że jej więcej nie zobaczy.

Nie dane mu jednak było zaznać takiej radości. W kilka dni później na rozkaz prezydenta „poproszono” go o stawienie się w stolicy. Dla podkreślenia wagi tej „prośby” omal nie przyłożono mu pistoletu do skroni.

Nikt nie chciał mu zdradzić, o co chodzi, ale J.T. i tak wiedział, że ma to coś wspólnego z Jej Królewską Upierdliwością. Raz po raz przeklinał los za to, że zetknął go z tą kobietą.

Prawie zaraz po wylądowaniu samolotu stał się obiektem wściekłego ataku. Chcieli, żeby ożenił się z tą wydrą. Początkowo tylko się z nich śmiał, ale nie trwało to długo. Odmówiono mu jedzenia, picia i snu. Godzinami go przekonywano, czyniąc zamach na wszystko, co dla J.T. było święte. Tłumaczono mu, że zdradza ojczyznę, że hańbi dobre imię rodziny. Grożono dyscyplinarnym zwolnieniem z armii i odesłaniem w niesławie do domu. Posłużono się w namowach kobietą, która uwodziła go obietnicą, że małżeństwo będzie krótkotrwałe, a Stany Zjednoczone potrzebują jego pomocy.

W końcu wyraził zgodę, bo uznał, że mówią prawdę. Stany Zjednoczone naprawdę potrzebowały kogoś, kto pomógłby księżniczce, a zasoby mineralne Lankonii i jej położenie miały w tej wojnie strategiczne znaczenie.

Zanim wszedł do sali konferencyjnej, w której zgromadziło się kilku generałów ze ścisłego dowództwa wojsk lądowych i marynarki, był kompletnie wykończony. Ktoś się nad nim zlitował i podsunął mu krzesło, więc natychmiast zwiesił głowę na pierś i przysnął. Zbudziła go księżniczka, wydająca rozkazy, jakby był jej fagasem.

Chętnie skrzyłby jej kark. Miała czelność go poniżać, choć przecież sama chciała wrócić do kraju, a on tylko zgodził się jej pomóc.

Krótkie nabożeństwo przestał jak męczennik, przygotowujący się do złożenia ofiary życia. Dostrzegł wrogie spojrzenia innych ludzi, jakby robił coś wstrętnego tej uroczej kobiecie. Uroczej, też coś! Miał ochotę wykrzyczeć im to w twarz. Uratował jej życie, wydał na nią swoje dwuletnie oszczędności, znosił w spokoju cierpkie uwagi, i to on był tu za gruboskórnego chama!

Nawet kobiety w mundurach patrzyły na niego nieprzyjaźnie i to jeszcze wzmogło jego irytację. Nigdy przedtem nie miał męsko - damskich kłopotów. Pochodził z najbogatszej rodziny w mieście, podobnie jak bracia nie raził szpetotą, a do tego lubił dziewczyny. Do tej pory zawsze była to porażająca kombinacja. Odkąd jednak poznał księżniczkę, kobiety zdawały się patrzeć na niego jak na wcielonego diabła, choć nie wydawało mu się, by czymkolwiek zawinił. Uratował kobietę przed utonięciem i nawet zgodził się na małżeństwo, a mimo to wszyscy zdawali się uważać, że zrobił coś okropnego.

Po uroczystości pragnął tylko się wyspać. Odstawienie księżniczki do hotelu było jedną wielką męką. Nie chciała ani pokazać drogi, ani iść za nim. Co dwie minuty musiał się odwracać, żeby sprawdzić, czy jeszcze ma ją za sobą. Zwykle okazywało się, że nie, więc musiał zawracać i ją ciągnąć. Nic dziwnego, że po wejściu do apartamentu padł na łóżko i natychmiast zasnął.

Kiedy zadzwonił telefon i jakiś mężczyzna powiedział, że księżniczkę aresztowano za kradzież w sklepie, wydało mu się to idealnym zakończeniem tego potwornego tygodnia. Powlókł się na posterunek policji i zobaczył ją, jak siedzi z tą wyniosłą miną przyklejoną do twarzy, jakby oczekiwała zbawienia.

Naturalnie nie podziękowała mu ani słowem, chociaż znowu wyciągnął ją z kłopotów. Tylko sztywno siedziała, jakby spodziewała się, że rozłoży przed nią czerwony dywan, po którym będzie mogła przejść.

W hotelu role prawie się odwróciły: omal nie zaczął jej przeproszać. Próbował wyjaśnić, że jest zmęczony i głodny, ale do niej wcale to nie dotarło. Równie dobrze mógłby mówić do marmurowego posągu. Jej prześliczna twarzyczka ziała chłodem, przypominała maskę.

Zamówił kolację, potem musiał jej pokazać, jak napełnić wannę. Postanowił jednak położyć kres takiej obsłudze, bo groziło mu, że zostanie pokojówką.

Szczerze się ucieszył, że pukanie służby hotelowej pozwoliło mu odczepić się od księżniczki. Przez czaty czas, gdy posilał się kolacją, siedziała w wannie. Po zjedzeniu wszystkich czterech porcji miał trochę wyrzutów sumienia, zamierzał nawet Jej powiedzieć, żeby jeszcze coś sobie zamówiła, ale skusiło go łóżko. Zasnął, zanim księżniczka wyszła z łazienki.

Następne, co miał zarejestrowane w świadomości, to krzyk „Gotowa!”, który usłyszał tuż przy uchu. Zerwał się myśląc, że znowu pali się skład amunicji. Potrzebował dłuższej chwili, żeby odzyskać orientację.

Księżniczka leżała obok niego w fikuśnym różowym tasaku, cała sztywna, jakby odlano ją ze stali. Dopiero po chwili, dotarło do niego, że chciała go zachwycić. Nigdy w życiu nie widział czegoś tak mało podniecającego jak ta zimna, pozbawiona uczuć kobieta.

Nie wiedział, czy ma się roześmiać, czy wybuchnąć złością. Rozwścieczyło go, że udało jej się sprowadzić go do wyobrażenia prymitywnego samca, który nie potrafi nad sobą zapanować na widok istoty płci żeńskiej, leżącej w jego łóżku w głęboko wyciętym, przezroczystym fatalaszku, podkreślającym jej wcale niebrzydkie kształty.

Pamiętał, jak się na nią wydarł. Przyjęła to z kamienną twarzą, ale przecież marmur jest nieruchomy. Wstała z łóżka i wyszła z pokoju.

Natychmiast zaczęły go dręczyć wyrzuty sumienia, jakby to on zrobił coś złego. Przewrócił się na brzuch i grzmotnął pięścią w poduszkę. Gdyby ta księżniczka chociaż uśmiechnęła się do niego, pokazała, że potrafi być człowiekiem? A właściwie czy potrafi być człowiekiem? Po tym wszystkim J.T. znowu dość długo nie mógł zasnąć.

Teraz spojrzał na zegarek i zorientował się, że czas wstawać. Może wszystko mu się przyśniło. Może nie był wcale żonaty z nieprzystępną księżniczką. Może był nadal zwyczajnym porucznikiem Montgomerym, a nie wrogiem publicznym numer jeden.

O dziewiątej następnego ranka Aria popatrzyła na porucznika Montgomery'ego wyłaniającego się z sypialni. Wciąż miał na sobie zmięty mundur i czarny zarost na policzku. Wyglądał jak pirat.

- A więc to prawda - jęknął, spoglądając na nią zaspanymi oczami. - Myślałem, że może mi się śniło.

Wstała z sofy starając się nie pokazać po sobie, jak zdrętwiała.

- Co do ostatniej nocy... - zaczął.

Minęła go i skierowała się do łazienki. Złapał ją za ramię i obrócił ku sobie.

- Może wczoraj w nocy byłem nieco zbyt szorstki. Moi dowódcy postarali się, żebym nie miał za dużo snu, a kiedy wreszcie udało mi się iść spać, policja zadzwoniła, że siedzisz w pace.

Popatrzyła na niego zimno.

- Czy to jest twój lup z kradzieży? - spytał cicho i jedną ręką dotknął jej ramienia. - Ładny.

- To jest „durny fatalaszek”, jak to nazwałeś. - Wyrwała mu się, ale chwycił ją za długi,

sunący po ziemi dół negliżu.

- Chcę ci powiedzieć, że przykro mi z powodu ostatniej nocy. Nie dotknąłbym cię, nawet gdybyś była Ritą Hayworth. Nie zamierzałem urazić twoich uczuć.

- Nie uraziłeś - skłamała z dumnie uniesioną głową. - Po prostu źle zrozumiałam sytuację. Jeśli mnie puścisz i pozwolisz mi się ubrać, mogę zacząć się uczyć, jak być Amerykanką.

- Jasne - odrzekł gniewnie. - Im szybciej to zrobimy, tym szybciej będziesz mogła wrócić do siebie. Wtedy znów stanę się panem swojego życia.

Nie trzasnęła drzwiami do łazienki, na tyle umiała nad sobą zapanować. Przejrzała się w lustrze. Czyżby była tak mało atrakcyjna? Może razila jej fryzura z warkocza upiętego wokół głowy? Chyba nie wyglądała w niej tak młodo i beztrosko jak urodziwe Amerykanki, ale czy rzeczywiście nie budziła ani trochę pożądania?

Ubrała się w prosty, elegancki kostium: wąska spódniczka, watowane ramiona, kapelusik z krótką woalką, przekrzywiony na lewo. Diabelnie dużo czasu pochłonęło jej prostowanie szwu w pończosze, ale w końcu i z tym sobie poradziła.

Porucznik Montgomery czekał na nią rozparty na krześle.

- Wreszcie - mruknął i wszedł do łazienki, ledwie zaszczycając ją spojrzeniem. Zjawił się z powrotem ogolony i odświeżony prysznicem, z ręcznikiem obwiązanym wokół bioder. Aria wyszła z pokoju.

Zaczął ją pouczać natychmiast po wyjściu z apartamentu. Pokazał jej, jak używa się klucza do pokoju i windy. Zrobił jej wykład o jadłospisach i amerykańskich kelnerach. Podczas śniadania nie powiedział właściwie niczego, co nie byłoby krytyką: trzymała widelec w niewłaściwej ręce, chleb miała trzymać w ręku, a nie jeść go nożem i widelcem; nie wolno było jej zwracać zamówienia, jeśli zamiast jajek na miękko dostała jajecznicę. A w przerwie między pouczeniami wysypał Przed nią na stół garść bilonu i pokazał, jak go liczyć układając w małe stosiki, po czym wykorzystując chwile między kęsami, zręcznie pododawał wszystkie sumy częściowe. Skończył jeść, gdy Aria była zaledwie w połowie śniadania.

- Nie mamy całego dnia na taką zabawę - powiedział, odsuwając jej krzesło od stołu. - Każda Amerykanka powinna wiedzieć co nieco o stolicy państwa.

Odbył z kimś rozmowę przez telefon, po czym prawie zaciągnął ją do czekającego wojskowego samochodu.

Cały dzień poświęcili na zwiedzanie. J.T. włókł ją za sobą przez kolejne budynki, robił jej wykład z historii danego miejsca, po czym niecierpliwie czekał, aż Aria wsiądzie do samochodu, by znowu mogli odjechać. W drodze opowiadał jej o wspaniałych amerykańskich kobietach, które oddały życie za swą ojczyznę, o kobietach, które niczego się nie boją, i o takich, które żyją dla swych mężów. Wydawał się szczególnie zachwycony niejaką Dolley Madison.

- Co to? - spytała Aria, gdy wpychał ją do samochodu po obejrzeniu statui człowieka nazwiskiem Lincoln.

- Sklep z mydłem i powidłem. Chodź już, mamy jeszcze obejrzeć Smithsonian Institute i Bibliotekę Kongresu.

- Co oni piją?

- Coca - Colę. Nie mamy czasu na zbijanie bąków, chodźmy.

Aria uważnie obserwowała sklepik z barkiem, zanim znikł z pola widzenia. Bardzo chciała zrobić coś przyjemnego.

W Smithsonian Institute spotkali Heather. Była to korpulentna blondynka, która wypadła na nich zza rogu i omal się z nimi nie zderzyła.

- Przepraszam! - powiedziała, w chwilę potem zapiszczała radośnie i wykrzyknęła: - J.T.! - Cisnęła na ziemię skórzaną aktóweczkę, którą miała pod pachą, zarzuciła ramiona na szyję J.T. i namiętnie go ucałowała.

Aria stała obok i przyglądała się bez szczególnego zainteresowania. Zapamiętała sobie tylko, że Amerykanie zachowują się w ten sposób w publicznych miejscach.

- J.T, dzióbku, jak mi cię brakowało. Od jak dawna jesteś w stolicy? Wypuścimy się gdzieś wieczorem? Potem możemy iść do mnie. Koleżanki zostawią mi chatę na parę godzin. Co ty na to?

- Bardzo bym chciał, malutka. Nie wiesz nawet, jak mi przyjemnie, gdy widzę, że kobieta się do mnie uśmiecha. Przez kilka ostatnich dni przeżyłem istne piekło.

Słyszając to Aria zaczęła się oddalać. Nie przystanęła, gdy J.T. ryknął za nią:

- Poczekaj chwilę!

Dogonił ją i chwycił jedną ręką za ramię, podczas gdy drugą przytrzymał blondynkę.

- J.T., kto to jest? - spytała z naciskiem blondynka.

- To jest księ... To znaczy... - Popatrzył na Arię. - Jak ci na imię?

- Wiktoria Jura Aria Cilean Xenita.

Po krótkiej pauzie J.T. powiedział:

- No, i dobrze: Vicky. A to jest Heather Addison.

- Aria - poprawiła go. - W rodzinie nazywają mnie Arią.

Heather spojrzała na J.T. bardzo podejrzliwie.

- A jak ty ją nazywasz?

Aria uśmiechnęła się słodko.

- Żoną - powiedziała.

Heather wymierzyła J.T. dźwięczny policzek, odwróciła się na pięcie i odeszła.

- Zostań tutaj - nakazał J.T. Arii i pogonił za Heather.

Aria uśmiechnęła się pod nosem. Pierwszy raz od dłuższego czasu zrobiło jej się rażnie na duszy. Bardzo ją ucieszył widok policzka wymierzonego porucznikowi Montgomery'emu. Po drugiej stronie ulicy zobaczyła kolejny sklepik z mydłem i powidłem, podobny do poprzedniego. Poczekala na zielone światło, zgodnie z pouczeniem J.T, po czym przeszła do sklepu. Kilkoro gości, młodzi ludzie w mundurach i dziewczęta w grubych skarpetach oraz biało - brązowych butach, siedziało na czerwonych stołkach. Aria zajęła wolny stółek.

- Co pani sobie życzy? - spytał starszy człowiek, przepasany białym fartuchem.

Aria zaczęła szukać w pamięci właściwego słowa.

- Kulę?

- Słucham?

Przystojny młody człowiek w niebieskim mundurze przeniósł się na stółek obok Arii.

- Ona chyba ma na myśli colę.

- Tak - uśmiechnęła się Aria. - Poproszę colę.

- Cherry? - spytał człowiek w fartuchu.

- Tak - odrzekła pośpiesznie Aria.

- Pani gdzieś tu mieszka? - spytał żołnierz.

- Mieszkam... to znaczy zatrzymałam się w hotelu Waverly.

- Ho, ho. Posłuchaj. Mam tu paru przyjaciół i chcemy wieczorem gdzieś się wypuścić.

- Wypuścić się - powtórzyła Aria po cichu. Dokładnie to samo powiedziała przed chwilą panna Addison. Mężczyzna w fartuchu podał jej colę w dziwnej szklance - była metalowa i zawierała w środku papierowy stożek, a w nim słomkę. Zerknęła na nastolatki i zrobiła do nich minę. Pierwszym łykiem o mało się nie udławiła, ale kiedy przywykła do bąbelków, napój bardzo jej

zasmakował.

- No, i co ty na to? - spytał żołnierz.

Inny żołnierz podszedł do niej z tyłu.

- Ta laleczka miałaby się gdzieś wypuścić z takim głąbem jak ty? Posłuchaj, kochanie, znam tu parę lokali, w których możemy przetańczyć całą noc, a potem...

Przysunął się do niej trzeci żołnierz.

- Nie słuchaj ich. Ani jeden, ani drugi nie wie, jak podejmuje się prawdziwą damę. Za to ja znam takie miejsce...

Urwał, bo pośrodku gromadzącego się tłumku stanął J.T.

- Poczekaj, kolego - zaprotestował trzeci żołnierz. - My zobaczyliśmy ją pierwsi.

- Chcecie zjeść na kolację własne zęby? Wczoraj ożeniłem się z tą kobietą.

- Nie wydaje mi się, żebyś na nią dobrze uważał.

Aria siedziała pochylona nad Coca - Colą; na twarzy miała uśmiech, i to szeroki. Zerknęła ku nastolatkom przy drugim końcu barku, które również się uśmiechały. Jedna z nich mrugnęła do niej i Aria uznała, że ta część Stanów Zjednoczonych całkiem jej się podoba.

- Chodźmy - powiedział rozzłoszczony J.T., chwytając ja za ramię. - Zabieramy się stąd.

- Poczekaj! Muszę zapłacić za moją colę. - Po epizodzie z policją wiedziała już, że za wszystko trzeba płacić.

- Nie ma sprawy. Ja zapłacę - powiedzieli chórem wszyscy trzej żołnierze.

- Nie, nie. Muszę się nauczyć waszych pieniędzy. - Zręcznie wysunęła się z uścisku J.T. i przeszła między żołnierzami. Spytała mężczyznę za kontuarem, ile kosztuje cola, po czym przez dłuższy czas otwierała torebkę i portmonetkę z bilonem. - To jest dycha? - spytała, wyciągnąwszy ćwierćdolarówkę.

Mężczyźni na wyścigi pomogli jej znaleźć właściwą monetę.

- Pani jest Francuzką, prawda? Wiedziałem to od pierwszej chwili.

- *Oui*, trochę mówię po francusku.

J.T. wyciągnął ją spomiędzy żołnierzy i wywlókł na zewnątrz. Nie odezwał się do niej ani słowem, póki nie znaleźli się w samochodzie.

- Nie potrafisz być posłuszną, co? Ja się staram nauczyć cię, jak żyją Amerykanki, a ty mi uciekasz i zachowujesz się jak zwykła dziwka.

- Nie tak jak Heather - syknęła pod nosem, nie spodziewając się, że porucznik usłyszy. A jednak usłyszał.

- Nie mieszaj do tego moich przyjaciół. I mnie też do tego nie mieszaj. Ja jestem Amerykaninem, a ty amerykańską żoną, nie francuską flądą, która wysiaduje po barkach i pozwala się obmacywać facetom. Masz zachowywać się przyzwoicie. Zdawałoby się, że księżniczka powinna przynajmniej coś wiedzieć o przyzwoitym zachowaniu, ale ty najwyraźniej nie wiesz ani trochę. Amerykańska żona jest damą. Szanuje męża i okazuje mu posłuszeństwo, do czego nie byłaś zdolna nawet podczas tego lipnego ślubu. A ona...

- To pamiętasz, a nie pamiętasz, jak mam na imię?

Zlekceważył tę uwagę.

- Amerykańska żona pomaga mężowi we wszystkim, w czym może. Słucha go, uczy się od niego...

Robił jej takie wykłady przez cały czas zwiedzania miasta, nie ustawał ani na chwilę. Wreszcie Aria poczuła się tek, jakby ta mała przygoda w barku wycisnęła na niej trwałe piętno i uczyniła ją kimś pośrednim między Nell Gwyn i Moll Flanders. W National Gallery Aria naprawdę starała się przyjrzeć obrazom, ale zauważyła parki ściskające się za ręce, mężczyzn kradnących swym towarzyszkom Pocałunki, chichoczące kobiety.

- Oni chyba nie są małżeństwami, prawda? - odezwała się do J.T. - Inaczej nie zachowywaliby się w ten sposób. Kobiety byłyby zajęte wypełnianiem swoich obowiązków.

Nie odpowiedział, tylko głośno przeczytał następny akapit z przewodnika. W hotelowym pokoju czekała na nich metrowa sterta książek historycznych.

- Kazałem przysłać - wyjaśnił J.T. - Doskonałe samouczki z pytaniami na końcach rozdziałów. Masz czytać po kawałku, a ja będę cię odpytywał. Tymczasem wezmę prysznic, a ty startuj z robotą.

- Tymczasem wezmę prysznic, a ty startuj z robotą - powtórzyła kpiąco Aria i zamachnęła się książką, chcąc nią cisnąć w zamknięte drzwi łazienki, ale w tej chwili zobaczyła na komodzie gazetę z tytułem: *Następczyni tronu Lankami odwiedzi w poniedziałek Nowy Jork*.

- Lankonia - powiedziała do siebie. - Lankonia. Muszę nauczyć się być Amerykanką, żeby ich rząd pomógł mi wrócić do kraju. - Otworzyła pierwszy lepszy samouczek i zaczęła czytać.

J.T. wyszedł z łazienki, mając na sobie tylko spodnie, i właśnie wtedy rozległ się dzwonek telefonu. Podniósł słuchawkę i wysłuchał, co ma do powiedzenia osoba na drugim końcu drutu.

- Nie, dziecino, nie jestem na ciebie zły - powiedział tonem, jakiego Aria nigdy dotąd u niego

nie słyszała.

Podniosła głowę znad samouczka. Porucznik Montgomery był odwrócony do niej nagimi plecami. Musiała przyznać, że nie był to najgorszy widok. Gdy rozmawiał, poruszały mu się mięśnie. Jedną stronę ciała miał w bliznach, już bardziej wygojonych niż za czasu pobytu na wyspie, ale nie wyglądało to odpychająco.

- Tak, może będę mógł się wyrwać. Po dzisiejszej pracy potrzebuję jakiegoś oddechu. - Gwałtownie obrócił się do Arii, która z powrotem zerknęła do książki. - Nie, nie ma najmniejszego problemu. Zobaczmy się za pół godziny.

Aria nie powiedziała słowa, ani wtedy, gdy odłożył słuchawkę, ani potem, gdy wyłonił się z sypialni w granatowym mundurze, pięknie ogolony. Czula w pokoju odświeżający zapach wody kolońskiej.

- Wychodzę. Masz swoją robotę, więc mnie nie potrzebujesz. Zadzwoń na służbę hotelową i zamów sobie kolację. Mogę wrócić późno - powiedział i bez dalszych wyjaśnień opuścił pokój.

Matka ostrzegła Arię przed niewiernością mężczyzn i powiedziała, że żona musi to spokojnie znosić. Nie opisała jednak uczuć, jakie temu towarzyszą. Aria podeszła do okna i wyjrzała na ulicę. J.T. wychodził z hotelu, otaczając ramieniem pulchną Heather. Pocałował ją.

Aria gwałtownie odwróciła się od okna, zaciskając dłonie w pięści.

- *Kneq la ea execat!* - mruknęła i natychmiast przyłożyła dłoń do ust zdumiona, że coś takiego przeszło jej przez usta.

Zadzwoiła na służbę hotelową i zamówiła kawior, pasztet cielęcy, szampana i ostrygi. Zerknęła na piramidę samouczków z historii Stanów Zjednoczonych.

- I przyślijcie mi wybór amerykańskich magazynów.

- Życzy sobie pani filmowe, kobiece czy jakie? - spytała znudzona kobieta, przyjmująca zamówienie.

- Jakiegokolwiek. I chciałabym colę, nie, dwie cole... i whisky.

Po drugiej stronie drutu zapadło krótkie milczenie.

- Może colę z rumem? - zaproponowano.

- Może być. - Aria odłożyła słuchawkę.

Przyniesiono jej posiłek, a wraz z nim zestaw najdziwniejszych magazynów, jakie Aria widziała. We wszystkich opisywano najbardziej intymne przeżycia ludzi, o których nigdy przedtem nie słyszała. Siedziała w wannie i urozmaicała sobie posiłek czytaniem, a potem czytała jeszcze, gdy poszła do łóżka, ubrana w skromną białą nocną koszulę. Pomyślała, że porucznik Montgomery może

spać na sofie. Na myśl o nim głębiej wsadziła nos w magazyny. *Mój mąż zdradził mnie z inną kobietą.* Chciwie rzuciła się na artykuł.

Następnego ranka Arię zbudził przerażający dźwięk. Otworzyła oczy i zobaczyła leżącego obok niej na pościeli porucznika Montgomery'ego. Głośno chrapał. Nie wiedziała, o której wrócił do domu.

Zadzwoił telefon, a że stał po jego stronie łóżka, Aria nie zamierzała się gimnastykować z odbieraniem. J.T. podniósł słuchawkę po szóstym dzwonku.

- Tak, mówi Montgomery. - Słuchał przez chwilę, potem odwrócił się i popatrzył na Arię. - Tak, akurat jest ze mną. Tak, w tym samym łóżku, chociaż guzik wam do tego. - Odsunął mikrofon słuchawki od ust - Jak szybko możesz być gotowa do odlotu na Key West?

- Jak tylko ktoś spakuje moje...

- Za godzinę - przerwał J.T. - Wpadnijcie po nas, za godzinę.

Odłożył słuchawkę i usiadł na łóżku.

- Amerykańska żona pakuje rzeczy swoje i męża. Cholera, moja głowa. Zaczynj, a ja tymczasem wezmę prysznic.

Aria nie miała zamiaru go słuchać. Zadzwoiła po służbę hotelową i zamówiła sobie śniadanie, po czym wzięła do ręki magazyn, zawierający zdjęcia Gary'ego Coopera.

W parę minut później J.T. wyrwał jej magazyn z dłoni.

- Co to za syf? Skąd to wzięłaś i dlaczego jeszcze nie jesteś ubrana? Powinnaś mieć już spakowaną połowę bagażu. Posłuchaj, księżniczko, jeśli chcesz być Amerykanką, musisz przyłożyć się do nauki. Ile książek historycznych przeczytałaś wczoraj wieczorem?

- Tyle samo ile ty. Jeśli sądzisz, że zamierzam pakować ci walizki...

Przerwało jej głośne pukanie do drzwi, połączone z wołaniem: „Służba hotelowa”.

Widząc, że Aria zamówiła tylko jedno śniadanie, J.T. wpadł we wściekłość. Powiedział, że ona nie ma pojęcia, jak powinna zachowywać się żona, na co Aria zwróciła mu uwagę, że nie mogła nic dla niego zamówić, bo nie wie, co jej mąż lubi. J.T. oskarżył ją więc, że nie jest wcale zainteresowana nauką i nie chce pomóc jego krajowi.

Aria natychmiast przerwała kłótnię. Podeszła do telefonu i spokojnie zamówiła drugie śniadanie, powtarzając szczegóły menu za J.T, który wymieniał je z ohydnyim zadowoleniem z siebie.

Starła się nie zapominać ani na chwilę, w jaki sposób znalazła się we władzy tego wstrętnego człowieka i jak ważna jest dla niej Lankonia, ale było jej trudno. Porucznik Montgomery siedział przy stole i jadł, podczas gdy ona usiłowała spakować wszystkie ich ubrania, jednocześnie

jedząc zamówione jajka. Porucznik zjadł, ona pracowała. Porucznik wziął się do czytania gazety, ona nadal pracowała.

- Dlaczego amerykańskie kobiety to robią? - mruknęła pod nosem. - Czemu się nie zbuntują?
- Gotowa już? - spytał zniecierpliwiony. - Dlaczego kobiety zawsze tak długo się ubierają?

Popatrzyła na jego plecy i wyobraziła sobie, że przykłada mu walizką. Lekcje zachowania godnego księżniczki, udzielane przez matkę, nie przygotowały Arii na takie sytuacje.

Zadzwoił telefon. Żołnierz meldował, że samochód czeka na dole.

- Czy amerykańska żona również nosi bagaż? - spytała niewinnie Aria.
- Jeśli jej mężczyzna tego sobie życzy, to tak - odrzekł J.T. Zawołał chłopca hotelowego, który sprowadził wózek na liczne walizki i torby Arii.

Zapewniono im przelot wojskowym samolotem transportowym, tym razem jednak wewnątrz nie stwarzało nawet Pozorów luksusu. J.T. zapadł w drzemkę na swym siedzeniu. Otwierał oczy tylko sporadycznie, żeby upewnić się, czy Aria czyta historyczną książkę, którą dla niej zabrał. Odpylał ją z Krzysztofa Kolumba, a potem z purytanów. Chociaż odpowiedziała poprawnie na wszystkie pytania, nie pochwalił jej ani jednym słowem.

Gdy zabrała się do trzeciego rozdziału, zasnął na dobre, więc wydobyła z torebki magazyn i przykryła nim książkę. Może coś by jeszcze przeczytała, gdyby nie to, że wkrótce również zasnęła. Otwarta książka opadła jej na kolana.

- Co to jest? - spytał J.T., budząc ją zniecierpliwiony.
- Bombowa lektura, nie? - odrzekła dość sennie. Ku jej zaskoczeniu spostrzegła, że J.T. zamierza się uśmiechnąć, ale chyba w porę się na tym złapał.
- Miałaś czytać o zakładaniu brytyjskich kolonii w Ameryce - powiedział cicho. Szum silnika przeszkadzał im w rozmowie, więc zbliżyli do siebie głowy. Z tej odległości J.T. prezentował się wcale nieźle.

- Czy Stany Zjednoczone to coś więcej niż tylko historia?
- Oczywiście. Cały przemysł rozrywkowy. - Skinął głową ku magazynowi filmowemu, który trzymała w dłoni. - Ale to już widziałaś. No, i jest jeszcze rodzina. Może ci wyjaśnię, jak wygląda amerykańska rodzina.

- Dobrze. Chętnie posłucham o czymś, co nie jest historią.

Zastanawiał się przez chwilę.

- W amerykańskiej rodzinie panuje absolutna równość, wszystko dzieli się na pół. Mężczyzna

zarabia pieniądze, kobieta zajmuje się domem. No, nie, tak naprawdę to nie jest pół na pół, bardziej sześć do czterech, a właściwie siedem do trzech, bo z obowiązkami mężczyzny łączy się trudna do udźwignięcia odpowiedzialność. To on musi nieustannie łożyć na żonę i dzieci. Musi zapewnić im wszystko, czego potrzebują, upewnić się, czy niczego im nie brak. Pracuje więc dzień w dzień, zawsze na posterunku. W zamian żąda niewiele, ale daje z siebie mnóstwo. - J.T. urwał i wyprostował się. - No, więc masz jaki taki obraz. My, mężczyźni, pocimy się orząc naszą działkę, podczas gdy wy, kobiety, spędzacie popołudnia na picciu herbaty. - Westchnął. - Wojna też należy do naszych obowiązków.

- Rozumiem - powiedziała Aria, gdy skończył, ale nie rozumiała niczego. - Czy przez „zajmowanie się domem” rozumiesz również, że żona naprawia cieknący dach?

- Oczywiście nie. Żona wzywa dekarza. Chciałem powiedzieć, że sprząta, myje okna i takie tam. Gotuje. Nie, dachu nie naprawia w żadnym wypadku.

- Myje okna? A co z podłogami?

- Myje wszystko. To znowu nic takiego wielkiego. Zwykłe prace domowe. Każdy to potrafi, nawet następczyni tronu.

- Powiedziałeś, że żona gotuje. Czy także planuje jadłospis? Zmywa?

- Oczywiście. Amerykańska żona jest bardzo uniwersalna i samowystarczalna.

- A jeśli są goście? Czy gotuje dla gości? Chyba nie podaje jedzenia, co?

- Powiedziałem ci, że zajmuje się domem i wszystkim, co się dzieje w domu. To obejmuje również przyjmowanie gości.

- Czy także zajmuje się garderobą?

- Tak.

- Dziećmi?

- Naturalnie.

- Kto pomaga jej w prowadzeniu rachunków?

- Zwykle mąż daje żonie co miesiąc czek, a ona z tego opłaca rachunki, kupuje żywność i wszystko, czego potrzebują dzieciaki.

- Rozumiem. I żona prowadzi samochód?

- Jak inaczej dostałaby się do sklepu?

- To zdumiewające.

- Co jest zdumiewające?

- Z tego, co słyszę, amerykańska żona jest sekretarką, księgową, kierowcą, dostawcą, kamerdynerem, pokojówką, szefem kuchni, ministrem skarbu, damą do towarzystwa i opiekunką do dzieci. Powiedz mi, czy również zajmuje się Ogrodem.

- Zajmuje się domem od frontu, jeśli o to ci chodzi. Ale Mężczyzna w wolnych chwilach może jej pomóc.

- Jedna kobieta jest ochmistrem, marszałkiem dworu koniuszym, i jeszcze ma czas na popijanie popołudniami herbaty? To niesamowite.

- Dajmy temu spokój, dobrze? - Jego wcześniejsza układność znikła. - Wcale nie jest tak, jak to przedstawiasz.

- Oczywiście mężczyźni wywołują też wojny, prawda? Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek kobieta chciała zrzucić bomby na dzieci innej kobiety. Ale może po prostu jest zbyt zajęta popijaniem herbaty, przycinaniem żywopłotu, zmywaniem talerzy...

- Idę do kibla.

Aria wzięła do ręki książkę historyczną, ale nie zabrała się do czytania. Bycie Amerykanką wydawało jej się teraz znacznie trudniejsze, niż początkowo myślała.

W Key West czekał na nich samochód. Kierowca wiozł ich wąskimi uliczkami pełnymi jaskrawych kwiatów. Przystanął przed piętrowym domkiem przy obszernym cmentarzu. Domki w sąsiedztwie były prawie jednakowe.

J.T. otworzył drewnianą furtkę obłożoną z farby i samochód odjechał.

- Nie mam pojęcia, w jaki sposób marynarka załatwiła nam dom. Lista chętnych jest tak długa, że normalnie czeka się rok.

Aria wyobraziła sobie z odrazą stanie przez rok w kolejce.

Domek był dla niej za mały. Na parterze był jeden pokój, łączący funkcje salonu z jadalnią. Ścianka działowa zasłaniała część kuchni. Była tam także łazienka z wielką białą pralką. Po stromych, wąskich schodkach wchodziło się do podłużnego pokoju. W jednym jego końcu stało dwuosobowe łóżko, za ścianą łazienki, we wnęce, kryło się jeszcze łóżko dla jednej osoby. Ściany wymalowano w tonacji blad różowo - błękitnej, a meble były wiklinowe.

J.T. wciągnął cały bagaż Arii na górę.

- Idę do stoczni. Rozpakuj swoje rzeczy i powieś je w szafach. Armia podobno wyposażyla nam dom, więc mam nadzieję, że oznacza to również zapasy żywności. Kiedy się z tym wyrobisz, wsadź nos w książki. - Przystanął na chwile u szczytu schodów, jakby miał zamiar jeszcze coś powiedzieć, ale zaraz odwrócił się i wyszedł z domu.

Na pięterku był również balkon. Aria wyszła obejrzeć z niego wąską uliczkę i ciągnący się za nią cmentarz.

- Hej, jest tam kto?! - usłyszała męski głos na dole.

- J.T.? - zawołała jakaś kobieta.

Dziwne, pomyślała Aria. Czy w Stanach Zjednoczonych ludzie zawsze wchodzą do cudzych domów jak do swoich? Stała u szczytu schodów. W dole, na progu, zobaczyła trzy pary.

- Ho, ho! - powiedział jeden z mężczyzn, patrząc na nią. - Czy to pani podbiła serce J.T?

Przybysze zgodnie zapatrzili się na nią. Aria mogła nie wiedzieć, jak samodzielnie się ubrać albo jak policzyć pieniądze, ale była pewna, że znakomicie potrafi podołać roli pani domu.

- Witajcie - powiedziała królewskim tonem, z wdziękiem schodząc po schodkach.

- Księżniczko! - dobiegł ją inny głos. We wnętrzu domu pojawił się Bill Frazier, a za nim przyjemna blondynka. - Chciałem powiedzieć... - Umilkł zakłopotany.

- Jestem... - zaczęła Aria.

- Księżniczka jest w porządku - powiedział ze śmiechem jeden z mężczyzn. - Pasuje do pani. Księżniczko, pozwól, że zaprezentuję ci ten klan. Przyszliśmy powitać pannę młodą. - Przedstawił Carla z Patty, Floyda z Gail oraz Larry'ego z Bonnie. Bill przedstawił jej swą uroczą żonę Dolly. Natomiast kawaler, który przejął inicjatywę, nazywał się Mitch.

Mitch ujął ją za ramię.

- J.T. jest głupcem, że zostawia samą taką piękną kobietę Jak pani.

- Skąd masz tę sukienkę? - spytała Patty. Panie trzymały garnki i torby z jedzeniem.

- Czy to jest jedwab? - spytała Bonnie. - Prawdziwy Jedwab?

- Jej, przecież wy dzisiaj przylecieliście. Gdybym ja miała taką sukienkę, byłaby cała pognieciona!

- Wiele bym dała za taki ciuch.

Aria rozpaczliwie pragnęła zaskarbić sobie sympatię tych Amerykanek. Wszystkie nosiły śliczne bawełniane sukienki w kwiaty i efektowne sandałki. Wszystkie miały też krótkie włosy, z którymi wyglądały młodo i radośnie, oraz usta uszminekowane w odcieniu ciemnej czerwieni. Stojąc przed nimi w jedwabnym kostiumie, z długimi włosami zaczesanymi do tyłu, Aria wydawała się sobie bardzo staroświecka, czuła też, że jest cudzoziemką. Kobiety patrzyły na nią wyczekująco, więc gorączkowo zaczęła się zastanawiać, czym mogłaby im sprawić przyjemność.

- Porucznik Montgomery kupił mi kilka sukienek, które jeszcze są zapakowane. Może chciałbyście je obejrzeć?

W jednej chwili Arię dosłownie wypchnięto z salonu na schodki, za nią zaś tupało stadko podnieconych kobiet.

W dziesięć minut później na pięterku panował nieopisany zgiełk. Kobiety wyciągały stroje z licznych walizek. Aria zaczęła się uśmiechać, a po następnych dziesięciu minutach naprawdę dobrze się bawiła. Pierwszy raz w Stanach Zjednoczonych miło spędzała czas. Spytała, czy Bonnie chciałaby przymierzyć suknię Schiaparelli i po sekundzie miała wokół siebie cztery kobiety w białiznie.

- Muszę pokazać to Larry'emu - powiedziała Bonnie parując we wspaniałej czerwonej wieczorowej sukni.

- W takim obuwiu? - zdziwiła się Aria z łagodnym wyrzutem. - I w skarpetkach? Może tak będzie lepiej. - Wyciągnęła przed siebie parę jedwabnych pończoch.

Bonnie sięgnęła po pończochy; wyglądała tak, jakby miała się rozplakać.

Aria cofnęła rękę.

- To ma swoją cenę.

Bonnie zawahała się. W Arii było coś onieśmiałającego.

- Znajdziesz mi fryzjera, który zrobi mi podobną fryzurę jak twoja, dobrze? - spytała Aria. - I miejsce, w którym mogę sobie kupić kosmetyki.

Wieczór zamienił się w rewię mody. Kobiety przymierzały suknie Arii, kostiumy i sukienki, i paradowały w nich przed mężczyznami. Dolly była odrobinę za pulchna na kostiumy, ale w jednej z sukienek na ramiączkach naprawdę warto ją było obejrzeć. Kobiety śmiały się z mężczyzn, którzy wiwatami powitali Dolly schodzącą po schodkach.

- Bill był potwornie zazdrosny - powiedziała triumfująco Dolly. Z małego podwórza za domem doleciał zapach mięsa z rusztu.

- Niech J.T. lepiej szybko się zjawi, bo inaczej ominą go hamburgery - powiedziała Gail. - Gdzie on się podziewa?

Kobiety zastygły ze strojami w dłoniach.

- Poszedł do pracy - odrzekła Aria? - Czy dobrze mi w takim kolorze szminki?

Kobiety wyraźnie ciekawiło ich małżeństwo. Wiedziały, że J.T. wybrał się na odpoczynek po pobycie w szpitalu, wrócił mocno wyczerpany i warczał na wszystkich dookoła, a w kilka dni później do stoczni przyjechała czarna limuzyna, J.T. wsiadł i znikł na długo. Wrócił z żoną.

- Dla mnie wyglądasz świetnie - powiedziała Dolly, usiłując zatuszować niezręczną sytuację. Chodźcie, posprzątam i zejdziemy na dół, bo inaczej nie zostanie dla nas nic do jedzenia.

Aria jako gospodyni była w swoim żywiole. Dyskretnie upewniła się, że wszyscy mają dość jedzenia, pilnowała też, żeby żaden kieliszek nie był pusty. Miała pewne kłopoty bez służby, ale jakoś sobie poradziła. Kilka razy wyczuła na sobie spojrzenie Dolly i zawsze odpowiadała uśmiechem. J.T. przyszedł akurat na deser.

- O, jest i pan młody - wykrzyknęła Gail. - Rusz się, Mitch, niech J.T. usiądzie przy żonie.

- Niech sobie siedzi - powiedział J.T. i skierował się ku Billowi i Dolly. - Zostało coś do jedzenia?

- Mięso się skończyło, ale są sałatki: z kapusty, z ziemniaków, z krewetek. Częstuj się.

J.T. spojrzał surowo na Arię.

- Niech mi żona poda.

Przez chwilę panowało milczenie, potem Aria odstawiła talerzyk i spytała:

- Czy chciałby pan jeszcze trochę szarlotki, Larry?

- Nie, księżniczko, dziękuję. Najadłem się po uszy.

- Księżniczko? - zdziwił się J.T.

- Tak ją przezwałem - powiedział z naciskiem Bill.

Aria wzięła pusty talerz i zaczęła nakładać na niego jedzenie. J.T. stanął naprzeciwko niej, po drugiej stronie stołu.

- Amerykańskie kobiety usługują swoim mężczyznom. I są dobrymi paniami domu. Czy nie kazałaś wszystkim skakać koło siebie? I mam nadzieję, że nie używałaś noża i widelca do hamburgera?

- Odpieprz się od niej - syknął Bill. - Świetnie sobie radzi. Wspaniałe przyjęcie, księżniczko.

- Czy to zadowala szanownego pana? - spytała Aria podsuwając mężowi talerz z górą jedzenia.

- Nie bądź taka cwana. Zobaczysz... O, cześć Dolly! - Wziął talerz i odszedł.

Dolly przez moment stała wpatrzona w Arię, potem ujęła ją za ramię.

- Spotkajmy się w poniedziałek. Urządzimy sobie ucziwe babskie pogaduszki.

W tej właśnie chwili ktoś w głębi domu nastawił płytę orkiestry Glenna Millera i Bill poprosił Dolly do tańca. Po chwili wszystkie pary tańczyły w salonie. Tylko Mitch, J.T. i Aria zostali na zewnątrz.

- Czy mogę prosić o ten taniec, pani Montgomery? - spytał Mitch i poprowadził ją do wnętrza domu. J.T. nie podniósł wzroku znad talerza.

Pierwsze spotkanie z amerykańskim tańcem stanowiło dla Arii wstrząs. Nawet mężczyzna, z którym była zaręczona, nie trzymał jej w tańcu tak blisko siebie.

- Nie bój się, gołąbku, więcej luzu - powiedział Mitch, obejmując zdrętwiałą Arię.

- Czy amerykańskie żony mają, tak jak pan mówi, luz?

- Skąd pani jest?

- Z Paryża - odpowiedziała szybko.

- Ooo - westchnął Mitch i próbował przyciągnąć ją bliżej, na co Aria jednak nie pozwoliła. - Jeśli jesteś Francuzką, powinnaś wiedzieć co nieco o miłości.

- Absolutnie nic - powiedziała z powagą.

Mitch roześmiał się głośno i uścisnął Arię.

- Zawsze zastanawiałem się nad staruszką J.T.

Dolly wymanewrowała tak, że znaleźli się z Billem obok Mitcha i Arii.

- Lepiej zachowuj się przyzwoicie - szepnęła Mitchowi, wskazując ruchem głowy J.T, który właśnie wkraczał ogrodowymi drzwiami do salonu.

Pozostałe pary wstrzymały dech - J.T. zbliżał się do Mitcha i Arii. Minął jednak tańczących, jakby ich nie dostrzegał.

- Bill, masz wolną chwilę? Chciałbym pogadać z tobą o Instalacji radaru.

- Teraz? Jest sobota wieczór.

- Wojna nie zna weekendów. Chcesz wpaść jutro do stoczni i zerknąć jeszcze na plany?

- W niedzielę?

J.T. potarł szczękę.

- To pierwszy radar, który montujemy, więc się niepokoję i już. W dodatku brytyjski. Nie wiem, czy będzie pasował do amerykańskich okrętów. Żeby potem się nie okazało, że okręt płynie w

drugą stronę.

Bill się uśmiechnął, ale Dolly nie.

- Mimo wszystko uważam, że powinieneś spędzić ten dzień z żoną.

- Mam ważniejsze sprawy na głowie. Dolly, czy przyniosłaś trochę swojego sławnego ciasta czekoladowego?

- Tak. Ukroisz sobie, czy mam wezwać twoją wielką, silną żonę, żeby to dla ciebie zrobiła? - Dolly odwróciła się na pięcie i odeszła.

- Czy ona jest z jakiegoś powodu zła? Wkurzyłeś ją czymś, Bill?

- To nie o mnie chodzi, stary - odparł Bill. - Jak dogadujesz się z księżniczką?

J.T. ziewnął.

- Zgodnie z przewidywaniami. Jest kompletnie bezużyteczna. Musiałem ją uczyć, jak napuszcza się wodę do wanny.

- Mitch chyba się z tobą nie zgadza.

- Tylko dzięki efektom moich nauk. Tydzień temu zażądałaby, żeby podać jej ostrygi na złotym półmisku.

Bill pokręcił głową. Wiedział, w jaki sposób J.T. ożenił się z Arią.

- Ona naprawdę musi tęsknić za tym swoim krajem. Kiedy ją poznałem, nie pozwalała się nikomu dotykać, a teraz nie ma nic przeciwko temu, że Mitch ją obejmuje. - Popatrzył na przyjaciela, ale J.T. nie zareagował.

- Czy wszystko gotowe do montażu aparatury destylacyjnej na tym drugim okręcie?

- Owszem - potwierdził Bill, choć w jego głosie pobrzmiwał wyraźny niesmak. - Pójdę po jeszcze jedno piwo.

J.T. znów zbliżył się do Aarii i znów wszyscy wstrzymali oddech, a Mitch cofnął ręce.

- Mam trochę roboty na górze - powiedział J.T. - Zajmij się gośćmi, żono. Mówię poważnie. Ma im niczego nie brakować. - Popatrzył na grupkę ludzi, którzy stanęli w milczeniu. - Możesz z nimi siedzieć tak długo, jak masz ochotę. Miłej zabawy. Dobranoc. - Z tymi słowami odszedł po schodach na górę.

- Smutas, psuje ludziom zabawę - burknęła Gail.

- Co się stało z tym J.T., którego znałem? - spytał Larry.

Wszystkie spojrzenia skierowały się ku Arii, jakby od niej oczekiwano odpowiedzi.

Dolly zwróciła się do gości:

- Może spotkamy się jutro o jedenastej w lodziarni Flaglera?

- Zdaje się, że J.T. chce pracować - zauważył Bill.

- No, to spotkamy się bez niego. Wpadniemy po ciebie za piętnaście jedenasta... księżniczko - powiedziała Dolly z uśmiechem.

Goście w parę minut posprząтали i przygotowali się do wyjścia. Mitch ucałował dłoń Arii.

- Do jutra, księżniczko - powiedział.

Aria stała w drzwiach i życzyła wszystkim dobrej nocy. Usłyszała jeszcze, jak Dolly mówi:

- Wyjaśnisz, Bill, co się święci, nawet gdyby miała ci na tym zejść cała noc.

Na górze J.T. skrył się w wielkim łóżu, narzucił prześcieradło na dolną połowę ciała i świecąc nagim torsem, obsypał się wokoło papierzykami.

- Rozumiem, że małe łóżko jest dla mnie - powiedziała Aria.

- Mhm - zabrzmiało w odpowiedzi.

Skrzywiła się, ale J.T. nie podniósł głowy. Otworzyła więc komodę i popatrzyła na stos swoich koszul nocnych. Pod wpływem odruchu wyciągnęła różową jedwabną, kupioną na noc poślubną, która nigdy się nie urzeczywistniła.

W łazience zaczęła nucić jakąś melodię podchwyconą wieczorem i przypomniała sobie, jak czuła się w ramionach Mitcha. Oczywiście była dosyć skrępowana, bo według norm lankońskich postępowała bardzo nieprzyzwoicie, ale w gruncie rzeczy było to całkiem przyjemne.

Aria rozpuściła włosy. Wciąż podśpiewując, z uśmiechem na twarzy wzięła ubranie, żeby powiesić je w szafie naprzeciwko łóża J.T. Zaczynała się przyzwyczajać do dbania o własną garderobę. Poczuła nawet cień dumy, widząc równo rozwieszzone stroje.

- Kim jest Mitch? - spytała J.T., który leżał gdzieś za jego plecami.

- Słucham? Aha, prowadzi warsztat optyczny.

- Optyczny? Robi okulary?

J.T. odłożył papiery.

- Jego dział naprawia chronometry i zegary okrętowe.

- Czyli jest ważnym człowiekiem?

- Podczas wojny wszyscy są potrzebni.

- Tak, ale mnie chodzi o jego tytuł. Czy jest wyższy od twojego? - Usiadła na krawędzi łóżka.

- Ach, rozumiem, chcesz wiedzieć, czy nie jest hrabią albo księciem. Przykro mi, księżniczko, ale on nie ma wyższego tytułu. Mam tylko jednego szefa, dyrektora naczelnego stoczni. To ja jestem szefem Mitcha, a także szefem Billa, Carla, Floyda i Larry'ego. Co to za zapach?

- Perfumy, które dostałam od sprzedawczyni w Miami. Bardzo miło pachną.

- Zawsze się perfumujesz na noc?

- Oczywiście. Inni też byli bardzo sympatyczni. W Ameryce wszyscy sprawiają wrażenie wolnych ludzi, zdaje się, że nie ma tu zbyt wielu reguł ograniczających zachowanie.

- Zejdź z mojego łóżka i idź do swojego. I nie wkładaj więcej tej koszuli nocnej, i zwiąż włosy w koński ogon. A teraz wynoś się stąd i zostaw mnie w spokoju. I weź ten samouczek. Jutro zrobię ci test z rozdziałów od siódmego do dwunastego.

- Jeśli przez cały dzień będę jadła lody, to nie ma o tym mowy - szepnęła wyzywająco Aria, odchodząc do drugiego łóżka. Przed snem obejrzała jeszcze zdjęcia z magazynów filmowych, usiłując zdecydować, jaką chciałaby mieć fryzurę.

O cholera! - powiedziała Dolly Frazier, opierając się o wezglowie łóżka.

- Dolly, nie lubię, jak moja żona używa takiego języka. - Bill nie poszedł za jej przykładem, nadal wygrzewał się pod kołdrą.

- A ja nie lubię, jak mąż ma przede mną takie tajemnice.

Bill odwrócił się do niej.

- Byłem zdania, że to prywatna sprawa J.T. Niech Bóg ma w swej opiece żonatych mężczyzn, którzy myślą, że potrafią dochować sekretu.

- Księżniczka. Prawdziwa księżniczka w Key West i ja miałam okazję ją poznać! Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że któregoś dnia ona będzie królową? A jeśli J.T. pozostanie jej mężem, może zostać królem. Wtedy znałabym osobiście króla i królową.

Bill znów odwrócił się w drugą stronę.

- J.T. nie chce być królem. Znasz jego rodzinne koneksje. Ma więcej pieniędzy niż dziewięciu królów na dziesięciu. Ożenił się z księżniczką, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo i nauczyć ją żyć jak Amerykanka. Jak tylko w Lankonii wszystko wróci do normy, J.T. wróci do Stanów, a małżeństwo

zostanie unieważnione.

- Nauczy ją żyć jak Amerykanka, ha! Czy widziałeś tę piramidę historycznych książek, jaką przed nią usypał? I sposób, w jaki każe się obsługiwać? Mam wrażenie, że na tej wyspie nie dogadywali się za dobrze i J.T. wciąż jeszcze jest na nią wściekły.

- Mówi, że ona jest kulą u nogi, że wszyscy przez całe życie ją obskakiwali, więc ona oczekuje, że wszystko się za nią samo zrobi. Podobno nigdy sama się nie ubierała i każe J.T. chodzić dwa kroki za sobą.

- Nic takiego nie zauważyłam.

- W Waszyngtonie wsadzili ją do paki za kradzież w sklepie. Nie wiedziała, jak się płaci za towar. A J.T. twierdzi, że tragarzom dawała studolarowe napiwki.

- I to, co J.T. teraz robi, ma ją nauczyć wartości pieniądza?

- Oczywiście - powiedział Bill zdziwiony. - Co innego miałby zrobić?

- Wziąć ją na zakupy. To jedyny sposób, żeby nauczyć się czegokolwiek o pieniądzu.

- Wziął ją w Miami. Wydał rolkę banknotów. Dolly, dziecino, czy nie moglibyśmy teraz pospać?

- Jasne. Tylko tak sobie myślałam. A gdyby J.T. się w niej zakochał? Wtedy nie chciałby od niej odejść i zostałby królem.

- Nie jestem pewien, czy Amerykanin może być królem.

- Oczywiście, że może. Jeśli ożeni się z królową, to jest królem. Zastanawiam się, czy Ethel będzie chciała otworzyć swój salon piękności w niedzielę. Chyba do niej zatelefonuję i spytam.

- Dolly, jest druga w nocy - powiedział Bill, ale żona już zdążyła wstać z łóżka.

- Jej to nie będzie przeszkadzało. Upiększemy księżniczkę tak, że J.T. jej się nie oprze. Zanim dojadą do Lankonii, nie będzie chciał jej zostawić nawet w obliczu strzelającego plutonu wojska.

Bill jęknął i naciągnął sobie poduszkę na głowę.

- Co ja narobiłem?

Wstawaj - powiedział J.T. - Dziś rano nauczysz się przyrządzać dla mnie śniadanie.

Aria niechętnie otworzyła oczy. J.T., ubrany w mundur w kolorze khaki, stał w drugim końcu pokoju i wrzeszczał tak, jakby była w sąsiednim stanie. Przeciągnęła się.

- Która godzina?

- Czas na śniadanie. Pośpiesz się, wstawaj.

- Czy zawsze jesteś od rana taki hałaśliwy? - Opadła na poduszki. - W domu pokojówka podawała mi rano herbatę do łóżka, zawsze w chińskiej porcelanie. Dzień zaczynał się tak spokojnie.

J.T. nie odezwał się ani słowem, więc Aria na niego zerknęła. Przyglądał jej się z dziwną miną. Pod wpływem tego spojrzenia spłonęła rumieńcem.

- Wstawaj - powtórzył, potem obrócił się na pięcie i zszedł po schodach na dół.

Aria z uśmiechem na twarzy ubrała się w jedwabny szantungowy kostium z nadzieją, że jest to odpowiedni strój na przedpołudniową wizytę w lodziarni.

J.T. siedział w salonie czytając gazetę.

- Dużo czasu ci to zajęło. - Wstał i przeszedł do kuchni. - To jest patelnia. To są jajka. To jest masło... a właściwie coś, co mamy zamiast masła podczas wojny. Włóż masła na patelnię i wtłucz jajka. Cholera, zapomniałem o bekonie! Wyjmij go z lodówki.

- Z lodówki?

J.T. wyminął Arię i otworzył drzwi lodówki.

- To jest bekon. Musisz się nauczyć go smażyć, a w najbliższym czasie musisz też się nauczyć kupować go w sklepie spożywczym. W kuchence na dole jest druga patelnia. Weź ją i włóż na nią bekonu.

Aria otworzyła drzwiczki i wyciągnęła blachę, na której istotnie stała druga patelnia, nie było jednak miejsca, żeby ją postawić. Na kuchence leżał bochenek chleba, stało pudło z jajami i brudna patelnia z poprzedniego wieczoru, wały się skorupki jajek i dziwnie wyglądające, lśniące, metalowe przybory. Pomyślała, że robi miejsce, przesuwając patelnię z jajkami.

Rączka ją oparzyła. Aria bez słowa cofnęła dłoń.

- Nie potrafisz wytrzymać odrobiny ciepła? - spytał zirytowany J.T. - To weź oburącz.

Chwycił ją za prawą rękę. Cicho syknęła, więc J.T. spojrział na jej zbielełą twarz. Obrócił prawą rękę Arii i popatrzył na dłoń. Na skórze tworzyły się pęcherze. J.T. nałożył jej na dłoń

margaryny.

- Tak bardzo się sparzyłaś i nawet nie pisnęłaś?

Nie odpowiedziała, ale była mu wdzięczna, bo zimny tłuszcz sprawił jej ulgę.

- Cholera - powiedział z rozdrażnieniem. - Stań tam i przyjrzyj się. - Dokończył śniadanie, wydając z siebie pomruki na temat bezużyteczności Arii. Potem postawił jedzenie na stole i znowu zaklął, bo uzmysłowił sobie, że dla Arii nie ma nic do jedzenia. Nim zrobił jajka na bekonie również dla niej, śniadanie mu wystygło. Wreszcie oboje usiedli i w absolutnym milczeniu wzięli się do jedzenia.

Co za niemiłe miejsce, pomyślała Aria. Jakże inaczej wyglądało śniadanie u niej w domu, jedzone z dziadkiem i siostrą. Uśmiechnęła się na myśl o tym, jak ubawi swych bliskich historiami z poprzedniego wieczoru. Dziadek będzie ryczał ze śmiechu nad głupotą Amerykanów.

- Może mi zdradzisz, co cię tak bawi?

- Słucham?

- Uśmiechałaś się, więc zainteresowało mnie dlaczego. Przydałoby mi się coś rozweselającego.

- Myślałam o tym, jak opiszę dziadkowi wczorajszy wieczór.

- No, i?

Popatrzyła na śniadanie, od którego odstręczała ją ilość tłuszczu.

- Nie sędzę, żeby ci się to spodobało. To są twoi przyjaciele.

J.T. zmrużył oczy.

- Chcę wiedzieć, jak opisałabyś moich przyjaciół przed swoją królewską rodziną.

Powiedział to tak pogardliwie, że Aria przestała się przejmować tym, co mógłby pomyśleć. Jej dziadek często powtarzał, że osoby z ludu nie mają poczucia humoru, traktują siebie z wielką powagą i zawsze zwracają uwagę na swą godność.

Natychmiast zmieniła wyraz twarzy. Odrobinę otworzyła usta, przechyliła głowę na bok, przybierając wygląd osoby lekko oszołomionej.

- Bonnie, gdzie jest ketchup? - powiedziała głosem, który nasuwał skojarzenie z zagubionym chłopczykiem. - Bonnie, chcę trochę pomidorów. Bonnie, gdzie jest majonez? Bonnie, czy przyniosłaś jabłecznik? Przecież wiesz, jak bardzo lubię jabłecznik.

J.T. wytrzeszczył oczy.

- To Larry. Dolly twierdzi, że gdyby nie miał Bonnie, umarłby z głodu.

Aria gwałtownie zmieniła wyraz twarzy. Zatrzepotała rzęsami.

- Och, jak mi się podoba ta czerwona sukienka. Proszę, króliczku. Naturalnie czerwony nie jest tak w ogóle moim kolorem. Tam jest, króliczku. Ale nosiłam czerwone sukienki jako dziewczynka. Chociaż może trochę za bardzo pociemniały mi włosy do czerwonego. Tam, po prawej, króliczku. Tylko nie wiem, czy nie robię się za tęga do czerwonego. Masz, króliczku. Trochę przytyłam, odkąd wyszłam za męża. Chcesz plasterek cebuli, króliczku?

J.T. zaczął się uśmiechać.

- A to żona Larry'ego, Bonnie.

Aria uśmiechnęła się i znów zaczęła jeść.

- Co z Patty? - spytał po chwili J.T.

Aria z błyskiem w oku odłożyła widelec. Wstała, odwróciła się plecami do J.T. i perfekcyjnie przedstawiła chód Patty z dziwacznie skierowanymi ku sobie kolanami, płaskimi stopami i ugiętymi w łokciach ramionami, które kończą się dłońmi wystającymi jak skrzydełka kurczaka.

- Carl, stanowczo chcę mieć podobną lampę - powiedziała Aria wysokim, śpiewnym głosem.
- Daje przewspaniałe oświetlenie. Wyjątkowo korzystne dla skóry.

Aria przerwała i spojrzała na J.T. Zaczynał się śmiać i Aria pomyślała, że przyjemnie jest znowu mieć widownię. Zawsze znakomicie udawała innych ludzi, więc jej dziadek i siostra prosili ją o występ po każdym oficjalnym spotkaniu dyplomatycznym. Naturalnie występy Arii oglądali tylko najbliżsi krewni.

Dla J.T. urządziła występ z tym samym zapalem, z jakim przygotowywała go w domu. Pokazała mu wszystkich gości z poprzedniego wieczoru i zakończyła parodią całego towarzystwa, mówiącego naraz. W wersji Arii mężczyźni byli leniwi, odrobinę ociężali umysłowo i bezradni jak małe dzieci. Kobiety podawały im sztuczce i nakładały jedzenie, i uspokajały ich jak maluchów, przez cały czas terkocząc równocześnie o ubraniach, pieniądzech, fryzurach, pieniądzech, gotowaniu, pieniądzech i pieniądzech. Ale w jej portretach nie było złości. O dziwo, wszystkich tych ludzi można było polubić.

Gdy skończyła, J.T. śmiał się długo i zdrowo.

Kto by pomyślał, że Amerykanin może mieć poczucie humoru, zdziwiła się Aria.

- Tacy jesteśmy straszni? - spytał, uśmiechając się do niej. Powiedziała tylko:

- Mhm.

Nadal się uśmiechał.

- Chodź, pokażę ci, jak zmywać talerze. Polubisz tę robótkę.

Pierwszy raz nie tracił cierpliwości, pokazując jej, jak napełnić zlew wodą i dodać płynnego mydła.

- Teraz włóż tam ręce i zacznij zmywać.

Aria już zamierzała go usłuchać, gdy chwycił ją za nadgarstki.

- Zapomniałem, że masz oparzoną rękę. - Trzymał ją i przyglądał się jej jeszcze długo, zanim wreszcie zwolnił chwyt. - Ja pozmywam, ty wytrzymaj naczynia. Opowiedz mi coś o swoim kraju - poprosił, podając jej pierwszy umyty talerz.

Aria poczuła, że podoba jej się to zajęcie. Zaczęła mu opowiadać o górach i chłodnym, orzeźwiającym powietrzu w nocy.

- Zupełnie inaczej niż na Key West, prawda?

- Z tego, co widziałam, to tak - potwierdziła. - Ale kwiaty są tu przepiękne.

- Może będziemy mogli urządzić sobie małe zwiedzanie.

Na dźwięk tego słowa Aria zadrżała. Zwiedzanie odbywało się w Waszyngtonie. Tego dnia J.T. na zmianę pakował ją do samochodu i wyciągał na zewnątrz. Tego dnia nawrzeszczał na nią za picie coli w barku.

J.T. zauważył jej drzenie; spojrzął na zlew pełen naczyń.

- Może tym razem będzie odrobinę milej. Wiesz, muszę iść do stoczni. Masz coś do czytania na dzisiaj?

- Mam historyczne książki.

- No tak, wiesz... - zająknął się.

- Dolly zapowiedziała, że o jedenastej zabierze mnie do lodziarni.

- To dobrze, wobec tego nie będziesz sama. - Wypuścił wodę ze zlewu i wytarł ręce. - Powinienem już iść. - Wszedł na górę i wrócił po chwili z plikiem papierów w dłoni. - Nie widziałaś mojej teczki?

- Tu jest, króliczku - powiedziała, przedrzeźniając Bonnie odpowiadającą Larry'emu.

J.T. roześmiał się i wziął od niej teczkę.

- Do zobaczenia wieczorem, dziecko. - Poniewczasie uprzytomnił sobie, co powiedział. Uśmiechnął się. - Chciałem powiedzieć: „wasza wysokość”. - Wyszedł z domu.

Dolly przyszła dokładnie o jedenastej.

- Chcesz iść w czymś takim do łodziami? Wyglądasz jak Merle Oberon.

- Nie mam nic innego. Czy to się nie nadaje?

- Na spotkanie z wielkim księciem byłoby doskonale. - Dolly spojrzała Arii w oczy. - Chodź, pójdziemy najpierw do Gail i wygrzebiemy ci coś do włożenia. J.T. wyszedł już do stoczni?

- Tak.

- No, dobrze, może nam się uda. Mam dla ciebie niespodziankę. Z resztą towarzystwa spotkamy się dopiero o trzeciej.

Aria nie miała pojęcia, co zaplanowała Dolly, ale posłusznie poszła za nią do drzwi.

J.T. popatrzył na stos papierów zakrywających biurko. Były tu plany montażu destylarni wody na okręcie, plany instalacji angielskiego radaru na amerykańskim okręcie, a pod spodem jeszcze parę innych. Przetarł oczy. Ubiegłej nocy nie spał dobrze. Po tym, jak jej królewska wysokość usiadła u niego na krawędzi łóżka w dwóch warstwach jedwabiu, rozciągając jakiś egzotyczny zapach, długo nie był w stanie zmrużyć oka. Rano przyglądał się jej przez chwilę, zanim ją zbudził.

Wmówił sobie, że ma zadanie do wykonania. Musi nauczyć ją zachowywać się tak, jakby była Amerykanką, a potem się jej pozbyć. Oznaczało to, że nie wolno mu się angażować osobiście i na pewno nie wolno nawiązywać fizycznego związku. Niekiedy jednak przypominała mu się scena z wyspy, gdy nadszedł ścieżką i zobaczył ją stojącą nago w rozlewisku strumienia. Cholera! Wcale nieźle się prezentowała jak na księżniczkę. Nie ma co się oszukiwać - mogłaby być miss Stanów Zjednoczonych.

Ale trzymanie się z dala od niej wydawało mu się do tej pory łatwe. Była nieznośnie wyniosła, zimna i nieludzka. Tylko że tego ranka trochę odtajała. Uśmiechnął się na wspomnienie jej parodii chodu Patty.

Dziwna z niej osoba, pomyślał. Bezradna, lecz jednocześnie nieustraszona. Czemu nie powiedziała ani słowa, gdy się oparzyła? I te jajka, które jej przyrządził! Najpierw zdawało mu się, że smażył je krócej niż bekon, ale w rzeczywistości najpierw wbił na patelnię jajka, potem dodał bekon, a zdjął jedno i drugie w tej samej chwili. Śniadanie było okropne, ale ona zjadła je bez słowa.

- J.T., jeszcze tam jesteś?

Zerwał się na równe nogi i zsalutował energicznie komandorowi Davisowi.

- Tak jest, panie komandorze. Jeszcze jestem.
- Słyszałem, że się niedawno ożeniłeś.
- Tak jest. Trzy dni temu.
- To co to jeszcze robisz? Czemu nie siedzisz w domu z żoną?
- Chciałem się przyjrzeć planom instalacji radaru i...

Komandor lekceważąco machnął ręką.

- Cieszę się, że jesteś taki sumienny, ale nawet w czasie wojny życie składa się nie tylko z pracy. Posłuchaj, bo to rozkaz: Idź do domu spędzić resztę dnia z żoną.

J.T. uśmiechnął się.

- Tak jest, panie komandorze. Już mnie tu nie ma.

Aria patrzyła na swe odbicie w lustrze jak zahipnotyzowana. Zupełnie nie знаła tej młodej kobiety, która odwzajemniała jej spojrzenie. Sprawdziła dłonią fryzurę. Rzeczywiście, miała teraz proste włosy do ramion i czuła się z nimi niesamowicie lekko, wręcz fantastycznie. Zamiast ponurego jedwabnego kostiumu wdziała białe - żółtą bawełnianą sukienkę, która eksponowała jej szyję i ramiona.

- No i co? - spytała Dolly. - Podoba ci się?

- Bardzo - odpowiedziała Aria bez tchu, potem rozpostarła spódnicę sukienki i wykonała obrót. - Czuję się tak swobodnie, tak, tak...

- Po amerykańsku? - podsunęła jej Dolly.

- O, właśnie. Czy wyglądam jak Amerykanka? Jak Dolley Madison?

- Dolley Madison? - Gail parsknęła śmiechem. - Jesteś amerykańska jak Coca - Cola. Sto procent czerwonego, białego i niebieskiego.

- Czy Mitch też będzie podobnego zdania? - spytała Aria, nadal przeglądając się w lustrze.

- Mitch? - Bonnie głośno wciągnęła powietrze. - Ale...

Aria zorientowała się, że palnęła gafę.

- Myślałam naturalnie o mężu. Tylko że Mitch często się śmieje. To znaczy, porucznik Montgomery też na pewno często się śmieje. Nawet to widziałam. Ale w zasadzie... - Urwała, uświadomiwszy sobie, że skupiła na sobie niepodzielną uwagę czterech kobiet.

Milczenie przerwała Dolly.

- J.T. śmieje się prawie bez przerwy. To istna beczka śmiechu. Po prostu ostatnio ma dużo pracy z tym radarem i w ogóle. Dojdzie do siebie, jak tylko zobaczy, że wszystko będzie działać. Przekonasz się. Ojej! Już kwadrans po trzeciej. Powinniśmy jechać. Nasi chłopcy czekają.

Bonnie, Gail i Patty wyszły frontowymi drzwiami domku Gail. Dolly przytrzymała Arię za ramię.

- J.T. to naprawdę równy facet. Kiedy przyjechał na Key West, podbił serca wszystkich niezamężnych kobiet i połowy mężatek na wyspie.

Aria nie wierzyła własnym uszom.

- Naprawdę? Może po prostu brakuje kawalerów.

- Podczas wojny w mieście z bazą marynarki? - Dolly obdarzyła Arię przeciągłym spojrzeniem. - On nie traktuje cię najlepiej, prawda?

- To mój mąż. - Aria uświadomiła sobie, że ta Amerykanka potrafi uspić jej czujność. - Jest dla mnie bardzo uprzejmy.

- Jak Bill zaczyna być dla mnie uprzejmy, to myślę sobie, że ma inną kobietę. Dobra, chodźmy na lody.

W łodziach czekali wszyscy mężowie z wyjątkiem J.T, był też Mitch. Na widok jego spojrzenia Aria spuściła oczy i spłonęła rumieńcem. Mimo woli pomyślała, że admiralicja mogła była wybrać jej na męża raczej tego człowieka.

- Wyglądasz wspaniale - powiedział, wzięwszy ją za ramię. Zaprowadził ją na miejsce.

Arii nigdy nie przyszło do głowy, by zabronić temu mężczyźnie, dotykania jej. Inne pary młodych małżonków przytulały się do siebie, jakby nie widziały się od miesięcy. Aria w nowej fryzurze i pożyczonej bawełnianej sukience czuła się prawie tak, jakby należała do tego świata, a nie była cudzoziemską księżniczką. Wydało jej się więc całkiem naturalne, że Mitch przysunął się do jej krzesła i położył ramię na oparciu.

- Wciąż nie mogę spokojnie patrzeć na to, jak się zmieniałś - powiedział cicho. - Przedtem byłaś piękna, teraz Mogłabyś zatrzymać cały ruch uliczny. Może wybierzemy się dziś razem na przejażdżkę przy księżycu.

Aria wbiła wzrok w dłonie. Ten człowiek wyzwalał w niej cudowne poczucie. Zdawało jej się, że jest bardzo atrakcyjna. Nie miała takiego poczucia, odkąd przyjechała do Ameryki.

- Mój mąż - wyszeptała.

Mitch przysunął się do niej nieco bliżej.

- To oczywiście, że J.T. cię nie docenia, księżniczko. Ja mam poważne zamiary. Podoba mi się twój wygląd i sposób, w jaki się poruszasz. Nigdy nie spotkałem takiej dziewczyny jak ty, a nie wydaje mi się, żebyście z J.T. byli w sobie zakochani. Musi być jakiś inny powód, dla którego się pobraliście. Dziecko w drodze?

- Na pewno nie - powiedziała Aria wyjątkowo spokojnie.

Mitch przesunął dłoń na jej ramię i pogładził ją. Jego dotyk był bardzo miły. Dotąd żaden mężczyzna tak jej nie dotykał. Spojrzała mu w oczy; dzieliły ich zaledwie centymetry.

- Chodźmy stąd - szepnął Mitch.

Już miała się zgodzić, gdy nagle rozpętało się piekło. Jego wysłannikiem okazał się porucznik J.T. Montgomery.

- Boże! - ryknął. - Coś ty, do cholery, zrobiła z włosami?

W jednej chwili Aria przeistoczyła się z amerykańskiej żony w następczynię tronu. Stała wyprostowana.

- Jak śmiesz używać takiego języka w mojej obecności?! - zagrzmiała w odpowiedzi. - Jesteś wolny! Masz opuścić moją komnatę!

Gwar w lodziarni ucichł po pierwszym krzyku J.T. Niektórzy ludzie uśmiechnęli się, słysząc jego słowa. Ale reakcja Arii sprawiła obecnych w oszołomienie.

Dolly oprzytomniała pierwsza. W tej chwili mniej bała się J.T. niż władczej Arii.

- J.T, słoneczko, usiądź i przestań patrzeć bykiem. Coś zimnego do picia dla tego pana! - Zwróciła się do Arii, machinalnie zniżając głos. - Wasza królewska... to znaczy, księżniczko, ty też usiądź, proszę.

Aria odzyskiwała panowanie nad sobą. Uświadomiła sobie, że skupiła na sobie uwagę wszystkich obecnych, całkowicie bowiem wyszła z roli. Znów była obca. Czowała, jak Mitch ujmuje ją za rękę i delikatnie ściska. Usiadła. J.T. wciąż stał nad nią z grobową miną.

- Siadaj, J.T. - nakazała Dolly głosem pełnym niesmaku. - Nowożeńcy - wyjaśniła głośno zgromadzonym, którzy stopniowo zaczęli się odwracać i zajmować swoimi sprawami, chociaż jakiś chorąży mruknął:

- Kto tu z kim się żenił? - wskazując po kolei J.T., Arię i Mitcha.

J.T. wreszcie usiadł i skupił spojrzenie na napoju. Gail poklepała Arię po dłoni.

- Miałaś rację, księżniczko. Nie należy pozwalać mężczyźnie, by nadaremno wzywał imienia pana Boga. Jak zaczniesz, to już nigdy nie przestaniesz.

Aria spojrzała na deser truskawkowy, który ktoś dla niej zamówił. Pragnęła w tej chwili, żeby pochłonęła ją rozstępująca się ziemia. Mitch nadal trzymał ramię na oparciu jej krzesła, ale teraz miało to inne znaczenie. Nie pochylał się już ku niej, lecz przeciwnie, był nieco odchylony do tyłu.

Znowu stała się odmieńcem. Tkwiła w szklanej klatce, ludzie się na nią gapili i śmiali się z niej. Wszystko, co robiła, zdawało się ich śmieszyć. Do tego jedyny człowiek w Stanach Zjednoczonych, którego znała, porucznik Montgomery, traktował ją gorzej niż inni. A przecież tak bardzo starała się przypodobać tym nowym ludziom. Wychodziła z siebie, żeby się do nich dopasować.

- Chodźmy na plażę - zaproponowała wesoło Dolly. - Weźmiemy kostiumy i wykapiemy się o zachodzie słońca. J.T. złapie nam parę homarów, upieczemy je na ruszcie.

- Mam jeszcze robotę - burknął J.T, kręcąc słomką w nie ruszonym napoju.

Dolly pochyliła się do niego.

- Może wobec tego wykażesz dość uprzejmości, żeby podwieźć żonę. - Ostatnie słowo wymówiła z naciskiem. - Podrzucisz ją do mnie, to znajdę jej jakiś kostium.

- Jasne - zgodził się J.T, nerwowo szukając kluczyków. - Chcesz jechać od razu?

Dolly wstała.

- Przemyślałam sprawę. Zrobimy inaczej. Pojedziemy teraz sami. Spotkamy się z resztą towarzystwa za godzinę u Larry'ego i Bonnie. Opiekuj się naszą księżniczką - poleciła Billowi.

Wzięła J.T. za ramię i wyprowadziła go z łodziami.

- Ty sukinsynu - powiedziała, gdy znaleźli się w wojskowym samochodzie, oddanym do dyspozycji porucznika Montgomery'ego. - Bill wszystko mi powiedział. Dla mnie jesteś skończonym sukinsynem.

- Kobiety dojadły mi już dzisiaj ponad miarę. Nie zaczynaj teraz ty.

- Ktoś powinien powiedzieć ci parę słów do słuchu. Sposób, w jaki traktujesz tę uroczą dziewczynę, jest wstrętny.

- Uroczą? Urocze dziewczyny nie pozwalają obłapiać się mężczyznom, którzy nie są ich mężami.

- Alleluja! Zauważyłeś - mruknęła z ironią Dolly. - Mitch ją lubi, podobnie jak my wszyscy, z wyjątkiem ciebie. - Nagle zmieniła ton. - J.T., widziałam, jak uwodzisz sierżantów w spódnicach, twarde baby, które w innych mężczyznach budzą przerażenie, a tobie jedzą z ręki. Czemu nie poświęcisz odrobiny tego czaru na zauroczenie żony?

J.T. gwałtownie skręcił w prawo.

- Może dlatego, że ona mnie nienawidzi, a może dlatego, że patrzy na mnie z góry. Dla niej jestem człowiekiem z ludu. A może dlatego, że ona nie potrafi zrobić niczego użytecznego. Ja mam z niej zrobić Amerykankę i robię to.

Coś w jego tonie kazało Dolly spróbować jeszcze innej taktyki.

- Ładna jest, prawda?

- Całkiem w porządku, jeśli ktoś lubi sto pięć procent czystej rasy.

- Rozumiem - powiedziała Dolly.

- Co rozumiesz? - burknął.

- Boisz się jej.

- Co takiego? - ryknął i wcisnął do końca pedał hamulca przed znakiem stopu.

- Boisz się, że jeśli trochę poluzujesz, to przyznasz, że ona jest odważna i całkiem sympatyczna. Ja za nic nie potrafiłabym dokonać czegoś takiego jak ona. Bill powiedział mi, że po przyjeździe do Ameryki nawet nie umiała się sama ubrać, a teraz robi ci śniadanie.

- Niezupełnie. Oparzyła się.

- Może, ale próbuje. Czy kiedyś przyszło ci do głowy, jak bardzo ona musi się czuć samotna? Mieszka w obcym kraju, mąż nią gardzi, a ona mimo to stara się widzieć we wszystkim dobre strony. Daje sobie radę wbrew tobie.

- Wbrew??? Chyba dzięki mnie!

Przez chwilę milczeli, potem J.T. odezwał się cicho.

- Nie chcę się od niej uzależniać. Jak tylko armia dokona zamiany i usunie fałszywą księżniczkę, ta moja obejmie tron. Wtedy na pewno ładnie mi pomacha i powie „cześć, frajerku”. Albo przyzna mi medal na pięknej szarfie i osobiście zawiesi mi go na szyi.

- Nie miałeś nic przeciwko „uzależnieniu się” od Heather Addison, Debbie Longley, Karen Eilleson albo... jak się nazywała ta ruda?

J.T. uśmiechnął się.

- Dobra, wyrażasz się jasno. Ale Aria jest inna i dobrze o tym wiesz. Nie można mieć przelotnej przygody z następczynią tronu. Ona nie marzy o domku z ładnym płotkiem, tylko o zamkach, władaniu krajem i służbie do końca życia. Królowie nie mają prywatnego życia ani wolności.

- Więc na wszelki wypadek paskudnie ją traktujesz.

- Wcale nie traktuję jej paskudnie. Po prostu zachowuję dystans. I ten zasraniec Mitch też niech lepiej to robi. Och, przepraszam.

Dolly odwróciła głowę, żeby ukryć uśmiech. Jej wysokość wyraźnie powiedziała, że nie życzy sobie przeklinania.

- Mnie się wydaje, że ona się zakochuje w Mitchu.

- Co takiego!?! - J.T. zahamował z impetem na parkingu hotelu Marina.

- Nie winiłabym ich za to. Aria potrzebuje odrobiny ciepła, a każda kobieta potrzebuje mężczyzny, który mówiłby jej, że jest piękna. Dzisiaj wygląda naprawdę świetnie, nie sądzisz?

J.T. wysiadł i ruszył w stronę hotelu, zostawiwszy Dolly w samochodzie. Zdawał się głęboko zamyślony. Dolly uśmiechnęła się, wysiadła i ruszyła za nim. Przynajmniej dała mu do myślenia.

Hotel był kiedyś gniazdkiem bogatych ludzi, ale od wybuchu wojny służył jako tymczasowa kwatera dla żonatych oficerów. Wspaniały staroświecki hol zachował jednak swój charakter i wciąż był w nim sklepik z upominkami.

- Stój - odezwał się J.T, gdy mijali wystawę. - Myślisz, że jej się to spodoba? - Pokazał Dolly kostium kąpielowy z głębokim, kwadratowym dekoltem.

- Oczywiście - odrzekła Dolly i weszła za nim do sklepu. Pomogła mu wybrać plażowy strój ochronny, czyli słomkowy kapelusz. - Musi uważać, ma bardzo jasną karnację - wyjaśniła i pokazała J.T. pasującą do kapelusza słomkową torbę plażową.

- Co jeszcze jest jej potrzebne?

Miłość, pomyślała Dolly, ale nie powiedziała tego, bo nie chciała zanadto naciskać.

- Coś, co oderwałoby jej myśli od Mitcha.

Uśmiech J.T. zamarł.

- Ma pani jakąś biżuterię? - spytał sprzedawczynię. - Diamenty? Może szmaragdy?

Kobieta przełknęła ślinę.

- Nie, proszę pana, ale mamy dość bogaty wybór francuskich perfum.

- To dobrze, wezmę ćwierć litra tego, co macie. Albo niech będzie pół litra.

- Perfumy sprzedajemy na mililitry - wyjaśniła potulnie sprzedawczyni.

- To proszę pododawać mililitry - zarządził niecierpliwie. - Wracamy? - spytał Dolly.

- Muszę jeszcze iść na górę po swój kostium.

J.T. uśmiechnął się.

- Chcesz nowy?

Nigdy nie odmawiaj przyjęcia podarunku od przystojnego dżentelmena, mawiała matka Dolly.
O cenę możesz martwić się później.

- Z przyjemnością.

Podczas jazdy do Bonnie i Larry'ego Aria milczała. Inni bardzo się starali ożywić atmosferę, ale ona nie mogła się pozbyć myśli, że ludzie ją obserwują i dostrzegają jej inność.

To wszystko była wina porucznika Montgomery'ego. Ten okropny mężczyzna spowodował wszelkie zło, które przytrafiło jej się w Ameryce, oczywiście jeśli nie liczyć porwania. Wtedy uratował jej życie. Ale w tej chwili Aria żałowała, że nie utonęła.

Stała w saloniku Bonnie, gdy drzwi z impetem się otworzyły i do mieszkania weszli J.T. z Dolly. Aria natychmiast schowała się w kuchni. J.T. poszedł za nią.

- Przyniosłem ci coś - powiedział cicho podchodząc do niej z tyłu.

Odwróciła się.

- Biografię Jerzego Waszyngtona z dziesięcioma pytaniami podsumowującymi na końcu?

Zachichotał i wyciągnął przed siebie papierową torbę.

Aria wzięła ją niepewnie i wyciągnęła z niej granatowy kostium kąpielowy. Zmierzyła J.T. nieufnym spojrzeniem.

- Sam wybrałem. Do tego jest jeszcze kapelusz, torba plażowa i płaszcz kąpielowy. A w samochodzie mam torbę perfum. - Oczy mu zabłyśły. - I ani jednej książki historycznej.

Aria nie uśmiechnęła się.

- Co dostałaś? - pisnęła Gail stając w progu.

Aria wyciągnęła przed siebie torbę, więc Gail szybko przekopła jej zawartość.

- Całkiem niezłe przeprosiny, J.T. - uznała. - Masz jeszcze szansę nawrócić się na dobrego męża. Nie? - Spojrzała na Arię.

Aria zrozumiała, że Gail czegoś od niej oczekuje, ale nie miała pojęcia czego.

- Kiedy mężczyzna przeprosza, całujesz go na zgodę. Do roboty. Daję wam na to dwie minuty, potem przebieramy się na górze i jazda na plażę. Jestem głodna. - Zostawiła ich samych.

- No, więc... no, to chyba jest pokojowa propozycja - zaczął J.T. - Nie powinienem był powiedzieć tego, co powiedziałem. Po prostu nie spodziewałem się, że tak będziesz wyglądać.

- Domyślam się - powiedziała Aria. - Chciałam wyglądać jak Amerykanka, a długie włosy były bardzo staroświeckie.

- Podobały mi się.

- Naprawdę? - spytała zaskoczona. - Nie wiedziałam. Chcę powiedzieć, że nigdy nic na ich temat nie mówiłeś.

Podszedł o krok.

- Ale podobały mi się. Pasowały do ciebie.

- Jak miło - powiedziała, sięgając do nowej fryzury.

- Naprawdę? - Wyciągnął dłoń i owinał sobie na palcu gruby pukiel włosów. - Rzeczywiście.

- Chciałam powiedzieć...

- Czas się skończył - zawołała Gail. - Idziemy się przebrać.

Zmieszana Aria wyminęła J.T. i opuściła kuchnię. Na piętrze zapomniała o tym dziwnym zdarzeniu, ze zdumieniem stwierdziła bowiem, że sypialnia zamieniła się we wspólną przebieralnię dla wszystkich pań. Co innego obnażać się przed służbą, a co innego przed obcymi! Poza tym z rana ubieranie zajęło jej wieczność, więc z rozbieraniem czekały ją podobne kłopoty, tym bardziej że kostium kąpielowy miał zamek błyskawiczny na plecach.

Dolly nie dała jednak Aarii czasu na rozmyślania. Rozpięła jej guziki na plecach i zaczęła pomagać w ściąganiu sukienki.

- Pozwól - powiedziała, gdy Aria została tylko w pożyczonej kombinacji ze sztucznego jedwabiu.

Dzięki Dolly rozbieranie się przebiegło sprawniej, niż Aria się spodziewała. Gdy miała już na sobie usztywniany kostium kąpielowy, czuła się, jakby dokonała czegoś wielkiego.

Z uśmiechem zeszła na dół. Stało tam dwóch mężczyzn: przystojny, uśmiechnięty Mitch oraz jej mąż. Ale męża jeszcze nigdy nie widziała w takiej formie. Swobodnie opierał się o poręcz schodów i śmiał się z czegoś, co mówiła Bonnie. Co on knuje? - pomyślała Aria. Czyżby zaplanował dla niej jakąś specjalną amerykańską torturę?

- Służę, księżniczko. - Mitch podał jej ramię. Przyjęła. J.T. wsunął się między nią a Mitcha.

- Sam będę towarzyszył żonie.

- Najwyższy czas - mruknął Mitch i obrzuciwszy Aarię smutnym spojrzeniem, wymówił się od wieczornych zabaw.

Wszyscy wpełnęli się do samochodu J.T, panie rozsiadły się na kolanach mężów, z wyjątkiem Aarii, która usiadła obok prowadzącego samochód J.T. Nieustannie uśmiechał się do niej, a im dłużej to robił, tym bardziej rosła jej podejrzliwość. Co strasznego planuje porucznik Montgomery tym razem?

Na plaży mężczyźni schowali się w ustronnym miejscu, żeby nałożyć kąpielówki, a kobiety zaczęły zbierać wyrzucone na brzeg drewno na ognisko.

Dolly gwizdnęła, gdy J.T. ukazał się paniom nie mając na sobie nic oprócz czarnych kąpielówek. Mrugnął do niej, a potem spojrzał na fale w oceanie.

- Chcesz popływać, księżniczko? - zawołał.

- Nie w nocy w takiej wodzie - odparła.

J.T. wypełnił swoje zadanie i wrócił z pół tuzinem homarów, które grupka w pośpiechu rozdzieliła między siebie. Po kolacji, gdy ogień prawie dogasi, parki, każda z osobna, zaczęły się obściskować i całować. Zakłopotana Aria odwróciła wzrok.

- J.T. - zawołała Dolly w chwili, gdy zrobiła sobie przerwę na złapanie tchu - czemu nie pokażesz twojej księżniczce amerykańskiego zwyczaju młodych małżonków?

- Chyba to zrobię - odrzekł J.T. i wziął Arię za rękę.

Zanim jednak zdążył dotknąć jej warg, odsunęła się.

- Nie możesz chyba myśleć, że będziesz robił publicznie ze mną coś takiego jak oni między sobą - wyszczała do niego.

- Czy wszyscy w twoim kraju są tacy oziębli?

- Mieszkam w ciepłym kraju - powiedziała zmieszana. - Mamy zimy, ale łagodne.

- Chcesz być Amerykanką czy nie? - burknął.

- Próbuję się nauczyć.

Uspokoił się.

- To prawda, i dobrze ci to wychodzi. Popatrz na nich. - Wskazał inne pary. - Oni w tej chwili nie byłiby świadomi najazdu armii niemieckiej, więc tym bardziej nie zainteresują się nami. W Stanach po prostu jest taki zwyczaj.

- No, dobrze - powiedziała, odsuwając się od niego i wyciągając przed siebie dłoń. - Możesz pocałować mnie w rękę, jeśli nie wykręcisz mi ramienia, nie pociągniesz za nie ani nie zrobisz nic bolesnego, do czego masz skłonności.

- Posłuchaj, paniusiu...

- Masz mówić „wasza...”

Objął jej głowę i pocałował ją, nim zdążyła wypowiedzieć jedno słowo więcej.

Wcześniej tylko dwa razy całowano ją w usta. Raz zrobił to hrabia Julian, gdy poprosił ją o rękę, a raz porucznik Montgomery na wyspie. Ani za pierwszym, ani za drugim razem nie przygotował jej do tej chwili.

Najpierw jedna, a potem druga dłoń J.T. objęła jej głowę w czułym, opiekuńczym geście, a wargi zaczęły delikatnie przesuwając się po jej wargach. Aria wytrzeszczyła oczy i poruszyła rękami, jakby chciała go odepchnąć, ale nagle poczuła coś zupełnie nieznanego. Położyła mu dłonie na ramionach i stwierdziła, że dotyk jego skóry pod palcami jest całkiem przyjemny. Porucznik Montgomery zaczął całować ją namiętniej.

Aria zamknęła oczy i lekko skłoniła ku niemu głowę. Gdy skończył pocałunek, trwała nieruchomo w tym samym miejscu, w którym była przed chwilą, oczy miała wciąż zamknięte.

- *Lantabeal* - wyszeptała. Potem wolno zamrugła. Dłonie porucznika wciąż dotykały jej policzków.

- Nie macie takiego zwyczaju w Lankonii?

Wiedziała, że się z nią drażni, ale to jej nie przeszkadzało.

- I jak wypada mój pocałunek w porównaniu z pocałunkiem Mitcha?

Wyprostowała się gwałtownie i nim J.T. zorientował się w sytuacji, wymierzyła mu siarczysty policzek.

- Tego zwyczaju nauczyłam się od twojej przyjaciółki w Waszyngtonie. - Wstała. - Niech ktoś mnie odwiezie do domu.

- Posłuchaj - powiedział J.T. zagrządzając jej drogę. - Nie jesteśmy twoimi służącymi. Tu się prosi, a nie nakazuje.

- Wobec tego proszę mnie zabrać z tego miejsca.

- Ja cię odwiezę, ponieważ jestem twoim mężem. I dobrze na tym wychodzę, nie ma dwóch zdań. - Wszystkie pary zbierały swoje rzeczy. Zwrócił się do Dolly: - Próbowałem. Widzisz, cholera, że próbowałem. Chodźmy, wasza wysokość. Zabiorę waszą wysokość do domu.

Objazd miasta połączony z rozwożeniem wszystkich do domów odbył się w milczeniu. Arii wciąż łomotało serce. Wiedziała, że zrobiła z igły widły. Porucznik Montgomery wcale nie powiedział niczego strasznego. W gruncie rzeczy zazdrość męża całkiem jej się podobała. Spoliczkowała go z czystego strachu.

Odkąd nauczyła się chodzić, wpajano jej zasady dobrego wychowania i samodyscyplinę. Zawsze musiała panować nad swymi uczuciami. Bywała na pogrzebach swych najbliższych i publicznie nie uroniła ani jednej łzy. Kilka razy Paskudnie się zraniła i ani razu nie płakała. Przeżyła dwa Porwania, nie tracąc zimnej krwi. Zawsze panowała nad sobą.

Tego wieczoru jednak jej samodyscyplina omal nie pękła. pocałunek tego mężczyzny wyzwolił w niej niesłychanie gwałtowne odczucia.

Żałowała, że nie może porozmawiać na ten temat z dziadkiem. Czy to było słuszne? Książę Julian nigdy nie wyzwolił w niej takiego odczucia. Ale też nigdy nie mieszkała z nim, spała w tym samym łóżku, a nawet nie jadła obiadu sam na sam. Może gdyby wyszła za mąż za księcia, to podobne uczucie pojawiłoby się samo.

Chwilowo czuła jednak ciało porucznika Montgomery'ego, który wciskał się w nią bokiem i dotykał jej kolana za każdym razem, gdy zmieniał biegi. Serce zaczynało jej wtedy bić mocniej.

Gdy zostali sami w samochodzie, chciała go przeprosić, nie zdążyła jednak, bo powiedział:

- Siadaj tam, w najdalszym kącie. Masz być tak daleko ode mnie, jak tylko można.

Aria posłusznie się odsunęła i znów ze sobą nie rozmawiali.

Następne dwa dni były żałosne. Aria poszła po zakupy z Bonnie i Dolly, była u fryzjera, popływała trochę w morzu, ale to już nie było to samo. J.T. wrócił do swej dawnej, chłodnej powłoki. Nie śmiał się, nie dopytywał, gdzie jest jego teczka, tracił cierpliwość pokazując jej, jak się gotuje i co robi się z praniem.

- Przecież zmywałam talerze wczoraj - powiedziała Aria.

- Tak, ale dzisiaj znów trzeba to zrobić. Trzeba to robić trzy razy dziennie przez siedem dni w tygodniu.

- Żartujesz, prawda? Gdybym codziennie zmywała talerze, odkurzała meble, prała, gotowała, robiła zakupy, to kiedy miałabym czas przeczytać książkę? Kiedy mogłabym iść po zakupy z Dolly i Bonnie? Kiedy mogłabym być Arią, a nie panią Montgomery? Kiedy mogłabym pomyśleć o czymś oprócz tego, który środek czyszczący mam kupić do zmywania?

- Muszę iść do pracy.

Później tego samego ranka zjawiła się niejaka pani Humphreys, najęta przez J.T. Posprzątała w domu i przygotowała obiad.

Tego wieczoru Aria nakryła stół, postawiła na nim świece i ozdobiła pokój, jak mogła w ramach skromnych możliwości, które dała im marynarka. J.T. zapalił wszystkie światła i zdmuchnął świece.

Wiedziała, że jest na nią zły, i bardzo chciała, żeby znów się do niej uśmiechnął. Myślał, że ich małżeństwo jest chwilowe, ale ona знаła prawdę. Już go nie nienawidziła. wciąż jednak był dla niej obcym człowiekiem.

Podawała sałatkę z homarów, przyrządzoną przez panią Humphreys, a potem, ulegając

odruchowi, wyprężyła plecy, wypchnęła pierś do przodu i powiedziała z uderzającym południowym akcentem:

- Czyżbyś wolał tego homarka ode mnie?

Na widok tej karykatury Dolly J.T. uśmiechnął się. Aria usiadła naprzeciwko niego.

- Co robią amerykańskie pary, kiedy są same?

- Chodzą ze sobą do łóżka, a poza tym nie mam pojęcia.

Aż zamrugła ze zdziwienia.

- Czy amerykańskim kobietom takie życie nie wydaje się odrobinę nudne? Czy naprawdę sprzątanie sprawia im przyjemność, nawet jeśli robią to dla swoich rodzin?

J.T. znów się uśmiechnął.

- Może „sprawia przyjemność” to nie jest najlepsze określenie. A co robiłaś jako księżniczka?

- Zawsze musiałam dużo ćwiczyć. Jeździłyśmy z siostrą konno, brałyśmy lekcje szermierki, uczyłyśmy się tańca.

- To dlatego wyglądasz... - Urwał.

- Jak wyglądam?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Wyglądasz tak dobrze w kostiumie kąpielowym.

- Dziękuję - powiedziała.

- Pierwszy raz słyszę od ciebie to słowo.

- Bo pierwszy raz na nie zasłużyłeś - odpaliła.

- Naprawdę? Uratowanie życia do tego się nie kwalifikuje?

- Z tego, co pamiętam, byłeś gorszy od porywaczy. „No, odetchnij dla wujka Montgomery’ego” - przypomniała mu kpiąco.

Chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował.

- Chcesz zobaczyć projekty nowego statku destylarni? Może to pomoże ci w walce z nudą.

- Chętnie - odrzekła.

Bardzo przyjemnie było razem siedzieć na sofie i pochylać się nad odbitkami. Podczas wojny potrzebne były statki, Wre mogłyby destylować wodę morską i otrzymaną w ten sposób wodę do picia dostarczać wojsku.

J.T. był odpowiedzialny za przebudowę pierwszego z takich statków.

Aria bardzo tęskniła do czegoś interesującego, czegoś związanego z teraźniejszością, a nie przeszłością.

- Czy tego typu destylarnię można by zbudować na lądzie? - spytała.

- Łatwiej niż na statku. A czemu pytasz?

- W Lankonii podstawową uprawą jest winorośl, ale od pięciu lat trwa okropna susza. Tracimy zbiory. Zastanawiam się więc, czy nie można by zbudować takiej destylarni do nawadniania winnic. Na razie młodzi Lankończycy wyjeżdżają z kraju w poszukiwaniu źródła utrzymania.

- Musielibyście sprowadzić inżynierów, żeby dokładniej przyjrzeni się temu problemowi, ale sądzę, że to jest do zrobienia.

- A ty mógłbyś się przyjrzeć temu problemowi? Chcę spytać, czy pomógłbyś mojemu krajowi, kiedy wrócimy do domu?

- Nie wiem, czy będę potrafił, ale spróbuję.

Uśmiechnęła się do niego.

- Dla mojego narodu wiele by to znaczyło. Dolly twierdzi, że nie ma na świecie drugiego człowieka, który wiedziałby o budowie statków więcej niż ty.

J.T. wybuchnął śmiechem.

- To przesada, ale moja rodzina naprawdę wie dużo. - Spojrzał na zegarek. - Gotowa do łóżka, dziecino? - Ugryzł się w język. - Chciałem powiedzieć...

Uśmiechnęła się do niego.

- Chyba zaczynam lubić te „słoneczka” i „dzieciny”, chociaż nie jestem pewna, czy również „księżniczki”.

- To do ciebie pasuje - powiedział ziewając. - Zimna, sztywna, nieugięta, odczłowieczona. To przezwisko dla kogoś niedotykalnego, a ty taka jesteś.

- No, wiesz - powiedziała cicho i odwróciła się. - Odczłowieczona. - Poszła na górę. Wklepując krem w twarz i nakładając siatkę na włosy rozmyślała nad jego słowami. Czy rzeczywiście była taka, jak w tym opisie? Dwa wieczory temu pocałował ją i wtedy poczuła tak silny wybuch namiętności, że aż się przestraszyła. Czy on niczego do niej nie czuje? Może całował

Heather, bo było w niej więcej ciepła? Może Heather umiała dobrze całować?

Położyła się na wąskim łóżku, oddzielonym ścianką działową od postania J.T. Nie mogła zasnąć. Było jak zawsze upalnie; miała na sobie nylonową koszulę nocną w kolorze brzoskwiowym, a właściwie bardziej koszulkę, zdaniem Dolly w stylu Rity Hayworth.

Około północy zebrało się na burzę. Wiatr zaczął smagać cienkie ściany domku. Błyskawica rozświetliła pokój, rozbiegł się grzmot. Aria odrzuciła prześcieradło. Koszulka nocna wydawała jej się w tej chwili ciężka i krępująca. Było coraz bardziej gorąco i duszno, zaczęła się pocić.

Od kolejnego grzmotu zabrzączały szyby w oknach. Aria próbowała się uspokoić, ale nie mogła. Przez głowę przemykały jej najrozmaitsze wyobrażenia: J.T. stoi nad nią na wyspie, prawie nagi. J.T. w kąpielówkach. Przypomniła sobie wyraz jego oczu, gdy wszedł na polanę i zobaczył ją podczas kąpieli w rozlewisku strumienia. Przypomniła sobie dwa pocałunki.

Słyszając skrzypienie podłogi za plecami, niespokojnie drgnęła i podciągnęła prześcieradło. W półmroku zobaczyła, jak J.T. mija jej łóżko, podchodzi do okna i je zamyka.

Odwrócił się i zerknąwszy na nią przystanął.

- Nie śpisz? - szepnął.

Pokręciła głową.

Podszedł bliżej.

- Zbudziła cię burza?

Znowu pokręciła głową.

Marszcząc czoło, usiadł na krawędzi jej łóżka.

- Dobrze się czujesz? - Przyłożył jej dłoń do czoła.

Aria złapała go za rękę i przykryła ją dłońmi.

- Co się stało, dziecino, miałaś zły sen? - Przytulił ją, Jakby była dzieckiem, które potrzebuje pocieszenia.

Ale ona nie potrzebowała pocieszenia. Przyłgnęła mocno do niego, poczuła, jak jej piersi dotykają nagiego torsu J.T.

Natychmiast zrozumiał.

- No, to po mnie - jęknął tonem człowieka idącego trzeci raz pod wodę. Zaczął chciwie całować Arię. - Och, dziecino - szepnął. - Moja śliczna, słodka księżniczko. Jesteś moja, wiesz? - Całował ją po szyi jak mężczyzna umierający z pragnienia. - Uratowałem cię i jesteś moja. Nie

byłoby cię teraz wśród żywych, gdybyś nie żyła dla mnie.

- Tak - jęknęła. - Tak. Daj mi życie. Chcę poczuć radość życia. - Powiedziała jeszcze więcej, ale po lankońsku i J.T. jej nie rozumiał. Na szczęście słowa były zbędne.

Nie zdawał sobie do tej pory sprawy z tego, jak bardzo jej pragnie. Odkąd ujrzął ją nagą na wyspie, wciąż miał w podświadomości obraz jej smukłego w biodrach ciała z pięknymi, dużymi piersiami. A gdy dzień po dniu widział ją sztywno wyprostowaną, z piersią dumnie wypchniętą naprzód, przechodziły go ciarki.

Zerwał z niej koszulkę nocną, pragnąc natychmiast dotknąć tych piersi, o których tyle razy śnił. Wtulił między nie twarz i objął je dłońmi. Aria jęknęła i odchyliła głowę.

J.T. usiłował zapanować nad sobą, nie śpieszyć, pamiętał, że Aria jest dziewczyną, do tego najprawdopodobniej wystraszoną, ale równie dobrze mógłby próbować zatrzymać ręką rozpędzony pociąg. Zaczął całować ją po całym ciele, po rękach, piersiach, ramionach, szyi. Na chwilę wrócił do ust, musnął jej wargi i znów przeniósł pocałunki niżej. Miał wrażenie, że przez ostatnie tygodnie zapamiętał jej skórę. Na obojczyku miała mały pieprzyk, pocałował ją tam.

Potem okrywał pocałunkami wszystkie miejsca, które napotykał w swej wędrówce: biodra, brzuch, uda. Aria nie wydala z siebie najmniejszego dźwięku, ale czuła narastające gorąco, jakby temperatura wokół niej nagle zaczęła rosnać.

- Jarl - wyszeptała.

- Jestem, dziecino - odrzekł i przykrył ją swym ciałem.

Musiał być dla niej przewodnikiem, bo przecież nie miała pojęcia, co należy robić, ale uczyła się bardzo szybko. Oj, szybko. Po pierwszym, powolnym poruszeniu w jej wnętrzu J.T. uznał, że Aria ma wrodzony talent. Całował ją w usta i piersi, poruszając się w niej wolnymi, długimi pchnięciami. Mówiła prawdę: musiała dużo ćwiczyć, bo ciało miała wygimnastykowane i sprawne. Bez trudu korzystała więc z przewodnictwa J.T. Raz nawet musiał ją hamować, sam jednak wkrótce poczuł, że nie potrafi się już powstrzymać.

Zakończył eksplozją rozkoszy, która wstrząsnęła jego ciałem, a potem opadł na Arię, zamykając ją w uścisku splecionych rąk i nóg. Dobrą chwilę potrwało, nim trochę oprzytomniał.

- W porządku? - spytał. Gdzieś pod piersią wyczuł twierdzące skinienie. - Możesz oddychać?

Pokręciła głową, więc zachichotał i odsunął się trochę, żeby mogła złapać powietrze. Na dworze zaczął padać deszcz. J.T. nie wypuszczał jej z objęć. Oboje byli spoceni.

- Nie skrzywdziłem cię? - spytał cicho.

- Trochę boli - odparła - ale nie tak bardzo. Wiesz... to było przyjemne.

Przedtem bał się na nią spojrzeć, bał się tego, co zobaczy w jej oczach, teraz jednak

specjalnie się odsunął, żeby przyjrzeć się jej twarzy. Aria była piękniejsza, niż mu się zdawało. Włosy rozsypały jej się dookoła głowy, kilka mokrych od potu kosmyków przykleiło się do policzków. Delikatnie pocałował ją w usta.

- Może weźmiemy kąpiel? - zaproponował. - Razem. We dwoje w jednej wannie.

Wytrzeszczyła na niego oczy.

- Czy... czy tak się robi? Czy mężczyźni i kobiety tak robią?

- Ten mężczyzna i ta kobieta właśnie mają zamiar to zrobić. - J.T. wstał, a Aria skromnie odwróciła wzrok od jego nagości. Zastaniając piersi prześcieradłem, szukała nocnej koszuli.

J.T. wyciągnął ją z łóżka.

- Bez żadnych okryć. Chcę na ciebie patrzeć.

- Ojej - powiedziała i zarumieniona spuściła wzrok.

Cofnął się, wciąż trzymając ją za rękę, i cicho gwizdnął.

- Ładnie wyglądasz, paniusiu. Nie, nie paniusiu. Chciałem powiedzieć: ładnie wasza wysokość wygląda.

Podeszła do niego tak, że sutkami dotknęła nagiego torsu, i przyłożyła mu palec do warg.

- Dziś w nocy możesz mnie nazywać dzieciną, słoneczkiem i w ogóle jak chcesz.

- Mów tak dalej, to nigdy się nie wykąpiemy. Chodź, serduszko, umyję ci plecy.

No, to stało się - powiedział Bill Frazier. Siedział razem z J.T. w jednej z licznych obskurnych piwiarni przy Duval Street, pracowicie opróżniając czwarty kufel piwa. - Jak zamierzasz przekazać ją księciu?

- Po pierwsze, nie jest księciem tylko zwykłym hrabią, po drugie nie ma pieniędzy, a po trzecie jest od niej niższy.

- To się nazywa, że facet cię nie interesuje. W ogóle nie próbowałeś niczego się o nim dowiedzieć.

J.T. wypił piwo i skinął na kelnerkę, żeby przyniosła piątą kufel.

- Żandarmeria dobierze ci się do skóry, jak złapią cię po pijaku.

- Nie jestem pijany - odburknął J.T. - Chociaż chętnie bym się urznął. Jak mogłem zadać się z taką despotką, która nic tylko mi rozkazuje.

- Wczoraj w nocy też ci rozkazywała, że masz takie cienie pod oczami?

J.T. uśmiechnął się.

- Okazuje się, że nie jest całkiem bezużyteczna. - Uśmiech mu zgasł. - Nie w tym kłopot. Wychowywano ją do małżeństwa z nieznanym, więc może być całkiem szczęśliwa z tym hrabią Julią. Zresztą słyszałem, że w królewskich rodzinach wszyscy mają kochanków.

- To zostań gdzieś pod jej bokiem i bądź kochankiem.

J.T. z trzaskiem odstawił kufel, tak że połowa zawartości rozlała się na stół.

- Po moim trupie! Ona może traktować to małżeństwo lekko, ale Amerykanin nie może się na to zgodzić.

- Po powrocie z Waszyngtonu mówiłeś co innego. Twierdziłeś, że żenisz się z nią, żeby wspomóc wysiłek wojenny Stanów Zjednoczonych i z radością pozbędziesz się jej jak najszybciej. I że żaden mężczyzna nie mógłby się zakochać w takiej kretynce. Twierdziłeś też...

- Co ty? Rejestrujesz wszystko jak magnetofon? Dobrze wiem, co mówiłem. Kłopot polega na tym, że to małżeństwo nabiera zbyt intymnego charakteru. Nie mam wątpliwości, że do tego doszłoby z każdą kobietą. Nie można, tak jak zrobiła to nasza armia, wsadzić do jednego domu dwojga zdrowych ludzi i oczekiwać, że nic nie zajdzie. Potrzebuję trochę dystansu. Jestem z nią tak dużo, że zaczynam ją lubić.

- To wcale nietrudne.

- Owszem, trudne - sprzeciwił się J.T. - Nie znasz jej tak jak ja. Kłóci się dosłownie o

wszystko. Zachowuje się tak, jakby prace domowe były czymś w rodzaju wyroku śmierci. I wydaje pieniądze tak, jakby nie miało być jutra. Czy masz pojęcie, na ile opiewał w zeszłym tygodniu rachunek, który przyszedł od Ethel z salonu piękności?

- Na pewno nie na więcej niż rachunek Dolly. Sądząc po tym, co mówisz, nasze żony są podobne do siebie jak dwie krople wody.

- Właśnie w tym rzecz. Ona nie jest moją żoną. Na tym chyba polega różnica między pożyczonym i własnym samochodem. Pożyczony samochód możesz używać, ale któregoś dnia musisz go zwrócić.

- Nie da się ukryć, że pożyczyłeś niezłą limuzynę.

J.T. dopił piwo.

- No, tak. Pożyczyłem Rollsa, ale życie przyjdzie mi spędzić z jakimś Buickiem.

Bill parsknął śmiechem.

- Co wobec tego? Masz jeszcze tylko tydzień do jej wyjazdu.

- Jeszcze tydzień i odwożę ją do tej Lankonii. Tam podsunę ją temu cherlakowatemu hrabiemu i dobrze. Jedno warte drugiego.

Bill spojrzał na zegarek.

- Lepiej chodźmy. Dolly zapowiedziała, że mamy spotkać się na basenie o siódmej, a jest już kwadrans po.

Poszli więc na basen, otwarty specjalnie dla oficerów marynarki.

- Śmierdźcie browarem - powiedziała Dolly. - J.T., coś ty zrobił Arii? Ona promienieje.

Zanim J.T. zdążył odpowiedzieć, zobaczył Arię. Była tylko w kostiumie kąpielowym. Właśnie zręcznie odsunęła się od Mitcha, który był w mundurze i śmiał się z czegoś razem z nią. J.T. nie zdołał się powstrzymać. Obszedł róg basenu, chwycił niższego od niego Mitcha za kołnierz munduru i tylną część spodni i cisnął go do wody.

- Trzymaj się z dala od mojej żony, rozumiesz? - ryknął, gdy Mitch wynurzył się, by zaczerpnąć powietrza.

- Ze wszystkich demonstracji prymitywnej siły, które widziałam, ta była najgorsza - oświadczyła Aria i pochyliła się, by podać Mitchowi rękę.

J.T. złapał ją za ramiona i szarpnął do tyłu, więc Mitch znowu poleciał do wody.

- Idziemy do domu.

Ich domek nie był daleko. Gdy Aria wyszła z przebieralni, J.T. pociągnął ją za sobą w takim tempie, że ledwie mogła nadążyć. Po drodze nie odezwała się do niego ani jednym słowem, bo nie chciała urządzić sceny przy świadkach, ale zamierzała przeprowadzić z nim poważną rozmowę natychmiast, gdy znajdą się w domu.

Jak mógł zachować się tak agresywnie po ostatniej nocy? Wciąż jeszcze pamiętała dotyk jego namydlonych dłoni, ciepło warg na skórze. Oboje istotnie wykąпали się razem, chociaż Aria była jeszcze zanadto zawstydzona, by wszędzie go dotykać.

J.T. roześmiał się i powiedział:

- Już czas na to.

Po wyjściu z wanny wysuszył ją ręcznikiem, a potem zaniósł do łóżka i znów się kochali. Drugim razem nie czuła już bólu. Zasnęli mocno objęci.

Gdy się zbudziła, porucznika Montgomery'ego już obok niej nie było. Nie zostawił żadnego liściku ani nawet jednego słowa wyjaśniania. O drugiej Aria zrobiła wyprawę do salonu Ethel, żeby poprawić sobie fryzurę i ładnie wyglądać, gdy mąż wróci do domu. Znów postawiła świece na stole.

O wpół do szóstej wpadła Dolly i powiedziała, że mają się spotkać z chłopakami na oficerskim basenie. Zdziwiła się, że J.T. nic o tym Arii nie powiedział.

Następnym zdarzeniem, które wyraźnie pamiętała, było wrzucenie Mitcha do wody.

Gdy dotarli do domu, J.T. otworzył przed nią drzwi, ale nie wszedł.

- Muszę jeszcze gdzieś iść - mruknął i odwrócił się do furtki. Pobiegnęła za nim i położyła mu rękę na ramieniu.

- Jarl, czy coś się stało? Czy stało się dziś coś złego?

Odsunął ramię.

- Nikt nie nazywa mnie Jarl z wyjątkiem matki, ale ona nie jest pożyczona. Jestem J.T. Dotarło?

Cofnęła się o krok.

- Oczywiście, poruczniku Montgomery. Nie popełnię więcej tej omyłki. Czy mam zadbać o kolację, żeby była ciepła, gdy pan wróci? O ile wiem, taki zwyczaj mają amerykańskie żony.

- Zjem coś w mieście. I śpij dzisiaj we własnym łóżku.

Na szczęście była wyćwiczona w udawaniu i umiała nie zdradzić swych uczuć.

- Dobrze, wasza najwyższość. Czy ta oto biedna konkubina może jeszcze coś dla waszej

najwyższości zrobić?

Spojrzał na nią morderczym wzrokiem i zatrzasnął za sobą furtkę.

- Nie będę płakać - wyszeptała Aria. - Nie pozwolę, żeby doprowadził mnie do płaczu.

J.T. nieprzytomnie rzucił się w wir pracy. Miał wrażenie, że walczy o życie, że tonie, ale nie było nikogo, kto cuciłby mu koło. Aria opanowała jego myśli jak nikt dotąd. Co dzień była inna. Śmiała się, tańczyła, żartowała. Kiedy razem oglądali statek, rozumiała wszystko, co jej tłumaczył. Była inteligentna, seksowna i wesoła. I nie była jego. próbował o tym pamiętać, ale niespodziewanie zrobił z siebie kompletnego idiotę, gdy inny mężczyzna ledwie na nią Dojrzał.

Chciał znaleźć się z dala od Arii i przestać o niej myśleć, więc został na noc w pracy i spał na zniszczonej sofce przy mesie oficerskiej. Na niewiele się to zdało. Aria mu się śniła.

Jakby nie dość mu było kłopotów, dostał telegram z informacją, że zamierza go odwiedzić matka. J.T. wiedział, że Amanda Montgomery ma setki przyjaciół i od któregoś bez wątpienia usłyszała o małżeństwie syna. Wiadomość nie była przyjemna, gdyż matka na pewno miała zamiar wyjaśnić synowi, co sądzi o braniu sobie żony bez powiadamiania rodziny.

- Ech, te kobiety! - mruknął J.T. Żałował, że nie może powiosłować na bezludną wyspę i przez pewien czas samotnie tam pobyc. Głośno jęknął, przypomniał sobie bowiem, czym skończył się dla niego ostatni pobyt na wyspie.

Wreszcie przygotował się duchowo i poszedł powiedzieć Arii o przyjeździe matki. Aria miała na sobie bawełnianą sukienkę bez rękawów, ozdobioną kokardkami na ramionach. Wyglądała smakowicie jak brzoskwinia. Usiłował jej wytłumaczyć, żeby nie próbowała przymusić jego matki do całowania królewskiej dłoni, ale zadarła nos w taki sposób, jak tylko ona potrafiła, czym doprowadziła go do absolutnej wściekłości. Trzasnął więc drzwiami i wyszedł z domu.

Aria nie sądziła, że nieobecność J.T. potrwa pełne dwa dni. Pierwszego wieczoru w ogóle nie wrócił do domu, a drugiego wpadł tylko na godzinę, żeby wyrąbać jej wykład.

- Matka przysłała telegram. Będzie tu w sobotę. Najpierw odwiedzi nas w domu, a potem we troje pójdziemy na komandorski bal. Czy masz coś stosownego do włożenia? Czy wiesz, jak się tańczy w sali balowej? Czy znasz formy zwracania się do oficerów marynarki?

Aria tak osłupiała, że aż ją zatkało. Była następczynią tronu, a on traktował ją, jakby dopiero co przyszła ze wsi.

- Chyba jakoś uda mi się nie zhańbić twojego imienia - mruknęła. Ale sarkazm do niego nie dotarł.

J.T. ciągnął wykład o matce, kobiecie, która jawiła się kimś pośrednim między Florence Nightingale i Attylą, wodzem Hunów. Była Córá Deklaracji Niepodległości i Córá Pielgrzymów z

„Mayflower”.

- I wyszła za mąż za Montgomery'ego - powiedział J.T., jakby wyjaśniało to całą resztę.

- Może powinnam jej wysłać moje drzewo genealogiczne do zatwierdzenia? Dzięki angielskiej królowej Wiktorii mam koligacje rodzinne ze wszystkimi domami panującymi w Europie. A może cudzoziemscy królowie się nie liczą w konfrontacji z bohaterkami narodu amerykańskiego?

J.T. spiorunował ją wzrokiem i opuścił dom. Wróciwszy przebrać się następnego dnia rano, nie odezwał się do niej prawie ani słowem. Tylko przypomniał jej o przyjeździe matki i zażyczył sobie, żeby dom lśnił na błysk, po czym znów wyszedł.

O pierwszej, tuż po wyjściu pani Humphreys, zjawiała się Dolly.

- Co jest grane? - spytała od progu.

Aria zawsze żyła w otoczeniu służby, toteż wiedziała, że może się zwierzać jedynie członkom najbliższej rodziny.

- Zamierzałam właśnie zjeść lunch. Zjesz ze mną?

- Nie interesuje mnie wyzerka. Floyd powiedziała Gail, która powiedziała Billowi, że J.T. nie nocował wczoraj w domu. Pokłóciliście się?

- Mam wspaniałą sałatkę z krewetek i pomidory.

- Słoneczko - powiedziała Dolly, kładąc Arii ręce na ramionach. - Wiem wszystko. Wiem, że jesteś księżniczką, i wiem, że chcesz wrócić do swojego kraju, i wiem, jak doszło do tego małżeństwa. Ale wiem też, że stało się coś złego, i chcę, żebyś ze mną o tym porozmawiała.

Aria była chyba bardziej amerykańska, niż sama sądziła. Przez ostatnie dni spokojnie i w milczeniu wysłuchiwała najbardziej intymnych zwierzeń innych kobiet. Teraz ku swemu zdumieniu wybuchnęła płaczem. Dolly współczująco otoczyła ją ramieniem i poprowadziła do sofy. Gdy Aria nieco odzyskała panowanie nad sobą, Dolly zachęciła ją do mówienia.

- On... kochał się ze mną. - Aria pociągnęła nosem, zdumiona, że wyjawia coś takiego. Członkom rodziny królewskiej nie wolno było ufać nikomu spoza rodziny królewskiej, bo ludzie z zewnątrz chętnie pisywali książki. Nawet arystokracji nie można było wierzyć. - Ale potem mnie znienawidził. Nie rozumiem tego. W czym zawiniłam?

- Absolutnie w niczym. Musiałam pokłócić się z Billem, ale w końcu wyciągnęłam od niego trochę z tego, co powiedział J.T. Kto to jest hrabia Julia?

- Tak porucznik Montgomery nazywa człowieka, z którym byłam zaręczona. - Wydmuchała nos.

- J.T. nadal sądzi, że zamierzasz wyjść za mąż za tego hrabiego. Wiesz o tym?

Aria nie odpowiedziała. Dolly pochyliła się do niej.

- Dlaczego J.T. tak myśli?

- Nie ożeniłby się ze mną, gdyby nie sądził, że nasze małżeństwo potrwa krótko. Naturalnie nie mam szans na rozwód. To byłoby nie do pomyślenia.

Dolly odchyliła się do tyłu.

- Czyli J.T. będzie królem.

- Księciem małżonkiem. - Aria machnęła ręką. - Ale nie rozumiem, dlaczego jest teraz na mnie taki zły.

- To proste. Tego oczywiście Billowi nie powiedział, ale boi się, że się w tobie zakocha. Ponieważ sądzi, że będzie cię musiał oddać komu innemu, nie chce się narażać na cierpienie z tego powodu.

- Może powinnam mu powiedzieć, że to małżeństwo jest na stałe.

Dolly otworzyła usta ze zdziwienia.

- Powiedzieć prawdziwemu Amerykaninowi, że został zrobiony w konia? Wystawiony do wiatru? Podprowadzony jak dziecko?

- Tego się nie robi?

Dolly wybuchnęła śmiechem.

- Myślę, że przede wszystkim powinnaś go rozkochać w sobie do końca.

- Nosić suknie z dużymi dekolami, dawać mu wino i truskawki? - spytała Aria, nie mając pojęcia, jak się do tego zabrać.

- Najpierw musisz zwrócić na siebie jego uwagę. Możesz włożyć seksowną suknię na komandorski bal.

- Dla jego matki - mruknęła Aria.

Dolly znów się roześmiała.

- Słyszałam, że jest oczekiwana. To wielka pani, prawda?

- Wystarczająco wielka, żeby maniery następczyni tronu nie były dostateczną gwarancją umiejętności zachowania przy takim spotkaniu. J.T. uznał, że potrzebuję pouczeń.

Dolly położyła rękę na ramieniu Arii.

- Każdy mężczyzna zachowuje się w tej sytuacji tak samo. Bill naopowiadał mi tyle wspaniałych historii o swej matce, że omal nie padłam przed nią na kolana. Nieustannie zachwycił się jej kuchnią i domagał się, żebym wybłągała u niej różne bajeczne przepisy. Na wszelki wypadek, kiedy pojechaliśmy do niej z pierwszą wizytą, wzięłam ołówek i notes. Okazało się, że z niej rzeczywiście fantastyczna kucharka! Wiesz, jak robiła sos do spaghetti? Dwie puszki zupy pomidorowej i jedna przecieru. Coś ohydneho. Sławne nadzienie do indyka składało się z dziewięciu kromek chleba pokrojonych w kostkę, pół kubka wody i ośmiu łyżeczek szałwi. Ani śladu cebuli, selera albo czegokolwiek innego. Wpychała toto do ptaka i piekła go, aż robił się tak suchy, że z plasterka piersi można by zrobić puder do twarzy. I ta stara zrzęda miała czelność spytać mnie, czy umiem gotować dostatecznie dobrze dla jej małego chłopca.

Arii zabłyśły oczy.

- Matka hrabiego Juliana dyga przede mną i zwraca się do mnie „wasza wysokość”.

Dolly roześmiała się.

- Urzeczywistnienie marzeń. Chciałabym zobaczyć, jak stara Billa dyga przede mną. Czy przyszła teściowa całuje cię też w pierścień?

- Dotyka czołem wierzchu mojej wyciągniętej dłoni. - Powiedziała Aria.

- To dopiero chciałabym zobaczyć.

- Jeśli kiedykolwiek wrócę do domu, masz ode mnie zaproszenie.

- Umowa stoi. Ej! Może poszłabyś ze mną do kina? Jest dzisiaj popołudniówka.

- Chętnie.

Zjadły na lunch mnóstwo sałatki z krewetek i wypily większą część butelki wina. W drodze do kina obie się zaśmiewały.

Nagle Aria usłyszała, że Dolly głośno złapała powietrze. Kiedy chciała się odwrócić, Dolly zasłoniła jej widok.

- Chodźmy tędy - powiedziała Dolly. - Pokażę ci fenomenalne drzewo. Akurat kwitnie, a podobno jest tylko jedno na całej wyspie. Mówię ci, coś wspaniałego...

Aria obeszła Dolly i zerknęła na drugą stronę ulicy. Przy małym stoliku w kawiarni siedział J.T. z urodziwą rudowłosą kobietą. Nagle uniósł dłoń swojej towarzyszkii i złożył na niej pocałunek.

- Dobrze, chodźmy zobaczyć to drzewo - zgodziła się Aria i energicznie ruszyła we wskazanym kierunku.

Dolly pobiegła za nią.

- Co zamierzasz zrobić?

- Żona ignoruje niewierności męża.

- Co?! - Dolly chwyciła Arię za ramię i zatrzymała ją. - Może tak jest w twoim kraju, ale po amerykańsku robi się inaczej. Powinnaś tam iść i zedrzeć tej babie skalp z głowy.

- Kobiecie? A co ona zrobiła? Tylko przyjęła jego zaproszenie. Może nawet nie wie, że jest żonaty. To porucznik Montgomery zachował się niewłaściwie.

- Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób, ale chyba masz rację. Tak czy owak, co zamierzasz zrobić, żeby go odzyskać?

- Następczyni tronu jest wyższa ponad zemstę - powiedziała wyniośle.

- Tu się różnimy. Ja coś bym z tym zrobiła.

Przez resztę drogi do kina milczały. Film nazywał się *Wiosna, w Górach Skalistych*, a jedną z odtwórczyń głównych ról była śmiało ubrana aktorka, Carmen Miranda. Arii wydała się karykaturą wyobrażeń Amerykanów o cudzoziemcach. Dolly bardzo się śmiała z przewracania oczami Carmen i jej błędów w wymowie, ale Arii wcale to nie bawiło.

Tak Jarl wyobraża sobie ludzi z mojego kraju, pomyślała. Nawet nie jest pewien, czy nie pojawię się na tym jego balu z wiązka bananów na głowie. Martwi się, że wprawię w zakłopotanie jego rodowodową matkę, chociaż w istocie lepsze drzewa genealogiczne mają nawet moje damy dworu. Niepokoi się o moje zachowanie, a sam publicznie pokazuje się z jakąś rudą kokotą, w dodatku farbowaną. W głowie dźwięczały jej słowa Dolly: „Co zamierzasz zrobić, żeby go odzyskać?”

Może stawiała się Amerykanką, może czyniły z niej Amerykankę krótkie włosy i bawełniana sukienka w kwiaty, bo wcale nie miała ochoty ignorować niewierności Jarla. Tylko matka nazywa mnie Jarl, przypomniała sobie z niesmakiem. Za to inicjały haftuje się na eleganckiej bieliźnie, pomyślała.

Zapatrzyła się na film. Carmen Miranda nosiła zwiewną szatę w kolorach purpurowym i białym.

Aria oddała się fantazjowaniu o tym, jak miło byłoby poznać wzorową teściową, mając goły brzuch, rozciętą spódnicę i trzydziestocentymetrową piramidę fioków na głowie.

- Coś, co błyszczczy - szepnęła.

- Co takiego? - spytała Dolly.

- Czy ta kobieta nagrała jakąś piosenkę?

- Carmen Miranda? Oczywiście. Ma mnóstwo płyt.

Aria uśmiechnęła się i zaczęła obserwować ruchy aktorski. Były bardzo przerysowane, więc łatwe do naśladowania. Po zakończeniu filmu Dolly stwierdziła, że Aria ma nieco bardziej radosną minę.

- Poweselałaś?

- Będę taka, jak sobie mnie mąż wyobraża. Ubiorę się na bal komandorski jak Carmen Miranda. Podejdę do matki Porucznika Montgomery'ego, uszczypnę ją w policzek i powiem: „Chica, chica”.

- Chyba... chyba nie powinnaś tego robić. Bal komandorski jest największym wydarzeniem roku i jest bardzo uroczysty, przychodzą same grube ryby. Bill i ja nie dostaliśmy zaproszenia. J.T. dostał ze względu na matkę. Musisz być aulą dla teściowej, Ario. Ona może cię traktować jak śmieć, ale ty musisz być dla niej sympatyczna. Wierz mi, że rozwścieczona teściowa potrafi zatruć człowiekowi życie.

- Myślałam, że już bardziej nie można. Żyję z dala od rajy, mój mąż spędza czas z inną kobietą i traktuje mnie jak powietrze. Twierdzi, że jestem zimna i odczłowieczona. Pokażę mu, że to nieprawda.

- J.T. powiedział coś takiego? Stanowczo powinnaś go odzyskać, ale musi być jakiś lepszy sposób. Wolałabym stanąć przed plutonem egzekucyjnym niż przez rozwścieczoną teściową.

- Kogo możemy zatrudnić do zrobienia kostiumu? Chyba powinien być czerwono - biały, z najtańszych materiałów. Jak się nazywa taki błyszczący proszek?

- Brokat. Ale naprawdę, Ario, nie wydaje mi się, żeby bal komandorski był najlepszym miejscem...

Aria przystanęła.

- Jeśli mi w tym pomożesz, to gdy wrócę do kraju, będziesz mogła przyjechać z miesięczną wizytą i pozwolę ci przymierzyć wszystkie moje korony. Mam ponad dwadzieścia.

Dolly przełknęła ślinę. Oczy zrobiły jej się jak spodki.

- Mogłybyśmy wpleść ci we włosy czerwone bombki choinkowe, a gospodyni Bonnie ma najokropniejszą parę kolczyków z muszli, jakie kiedykolwiek widziałaś. Kubańskie, w czerwono - białe kropki.

- Znakomicie - powiedziała Aria z uśmiechem. - Teraz idziemy kupić parę płyt. Zamierzam też zaśpiewać i zatańczyć. Oj, zwrócę uwagę porucznika Montgomery'ego, to pewne.

- Mam nadzieję, że udźwigniesz rolę. Bo jego matka cię znenawidzi. - Dolly rozchmurzyła się. - Ale mężczyźni lubią kobiety z ikrą. Nie lubią tchórzy. Wiesz, to nawet może podziałać.

- Będzie patrzył na mnie, a nie na tę rudą.

- To pewne. Martwi mnie tylko, w jaki sposób będzie na ciebie patrzył.

Udało się - powiedziała Dolly, opierając się o drzwi toalety. - Czy J.T. uwierzył w twoją wymówkę?

- Dałam mu do myślenia. Powiedziałam, że dokuczają mi poranne mdłości.

- Niemożliwe. - Dolly zachichotała. - Prawie mi go żal. No dobra, ubieraj się. Dałam babce piątkę w łapę, żeby przez kwadrans nikt nam nie przeszkadzał, więc do roboty.

Aria zdjęła długi płaszcz od deszczu i uwolniła podwiązaną spódnicę, która opadła aż do ziemi. Spódnica z taniej białej satyny, wąska w biodrach, z rozcięciem na prawie całej długości, miała rozcięcie i rąbek ozdobione trzema warstwami marszczonego nylonu, obsypanego czerwonym i białym brokatem. Biała satynowa góra odsłaniała nagi brzuch Arii. Lśniaca czerwona wstążka zdobiła talię i stanik. Rękawy były zrobione z trzech warstw nylonu i również obficie obsypane brokatem.

Na ramionach Aria miała tandetne czerwone bransoletki, piętrzące się od nadgarstków do półłokcia. Szyję otoczyła czternastoma sznureczkami koralików, zwisających prawie do talii.

Najważniejszą częścią ubioru było jednak nakrycie głowy - biały, satynowy turban, upięszony pięcioma wielkimi nylonowymi kwiatami, lśniącym od brokatu półksiężycem z kartonu i przyszytymi po bokach kolczykami.

- Teraz musimy to jakoś włożyć - powiedziała Dolly, trzymając turban wysoko w górze. Znieruchomiała, bo za ich plecami rozległ się odgłos spuszczonej wody. - Nie sprawdziłam - szepnęła zrozpaczona.

Z kabiny wyszła miło wyglądająca kobieta, wysoka, smukła, z ciemnokasztanowymi włosami, ubrana w cudownie układającą się na ciele czarną suknię Molyneux. Miała piękną cerę i wypielęgnowaną skórę, toteż trudno było określić jej wiek.

Dolly i Aria zamarły. Dolly wciąż trzymała turban nad głową Arii.

- Czy dziś wieczorem mają być występy? - spytała kobieta.

- Improwizowane - odparła Aria.

- Aha. Może pomóc? - zaproponowała, wskazując turban.

- Proszę bardzo.

Kobieta poprawiła uczesanie Arii z tyłu i zręcznie nasunęła jej całą tę piramidę na głowę.

- Ciężkie?

- Nie tak bardzo - powiedziała Aria. - No, to chyba jestem gotowa.

- Ależ nie, dziewczyno - wtrąciła się kobieta. - Masz stanowczo nie wystarczający makijaż. Twarz ginie wśród tych błyskotek. Może pomóc? Mam przy sobie parę kosmetyków.

Aria posłusznie usiadła przed lustrem i kobieta przystąpiła do pracy.

- Nie zamierzałam podsłuchiwać, ale rozumiem, że to ma coś wspólnego z mężczyzną.

Aria nie powiedziała ani słowa, ale Dolly rozpuściła Język.

- To jej mąż. Jest... ech, sukinsyn widuje się z inną kobietą, więc Aria postanowiła się zrewanżować jemu i jego matce.

- Matce? - zainteresowała się kobieta.

- To jakaś jankeska snobka, ma tu zjechać, żeby przeegzaminować synową. A J.T. zachowuje się tak, jakby Aria nie miała dość rozumu...

- Dolly - ostrzegawczo powiedziała Aria.

- Rozumiem. - Kobieta cofnęła się i przyjrzała twarzy Arii. - Tak jest dużo lepiej. Myślę, że dam tej kobiecie, co tu pilnuje, następną piątkę, a potem namówię zespół, żeby zagrał małe calypso. Będzie miała pani okazję do efektownego wejścia.

- Pani jest niesłychanie uprzejma - powiedziała Aria.

- Też miałam teściową i też mam męża. Pamiętaj, mężczyźni nigdy nie puszczaj płazem niewierności. Mam nadzieję, że wprawisz go w solidne zakłopotanie i dasz mu porządną lekcję. Coś mi się zdaje, że w przyszłości nie będzie cię tak lekceważył. Aha, co ma ci zagrać zespół?

- Znam słowa do „Chica Chica Boom Chic”, „Tico Tico” i „I, Yi, Yi, Yi, Yi, I Like You Very Much”.

- Same moje ulubione przeboje - powiedziała kobieta i wszystkie wybuchnęły śmiechem. - Poczekaj na muzykę.

Aria odczekała kilka minut muzyki calypso, po czym energicznie wyłoniła się z toalety. Ćwiczyła bardzo sumiennie, a film z Carmen Mirandą widziała cztery razy, więc zanim dotarła do sali balowej z jej przyćmionym oświetleniem, konserwatywnie ubranymi matronami, dyskretną muzyką i cichymi rozmowami, po prostu była już Carmen Mirandą.

Przesuwała się przez zaskoczony tłum przesadnie akcentując poruszenia bioder; od czasu do czasu rzucała uwagi z wyraźnym hiszpańskim akcentem.

- Śliczny jesteś - powiedziała do admirała i uszczypnęła go w policzek. - To przez te gwiazdki na ramieniu, nie? - spytała jego żonę.

Tłum zaczął jej się przyglądać.

Aria usiadła na kolanach jakiemuś komandorowi i zaczęła rytmicznie unosić biodra.

- Chcesz ty ze mną chica - chica - boom - boom?

- Ależ proszę pani! - zdumiał się mężczyzna. - Czy pani jest tu zaproszona?

- O, tak - pisnęła. - Jestem żona bardzo mocnego człowieka.

- Kogo? - ryknął komandor. Usiłował zepchnąć ją z kolan.

- O, tam jest.

J.T. przyglądał się zamieszaniu z dużym rozbawieniem, Ole miał bowiem pojęcia, kim jest ta kobieta.

- O Boże - jęknął, gdy uświadomił sobie, że to Aria. Szybko przemierzył salę i ściągnął ją z kolan komandora.

- Bardzo przepraszam za ten incydent, panie komandorze. Nie miałem pojęcia... To znaczy, nie...

- Zdaje się, że lubisz czerwien u kobiet, więc włożyłam coś czerwonego - powiedziała Aria tak, że tylko J.T. usłyszał. - Może tym samym odcieniem farbuje włosy ta twoja ruda. - Zwróciła się do tłumu. - Mocny jest, no nie? Taki... - Przewróciła oczami, wysunęła pośladki do tyłu, potem obnażyła nogę aż po udo i przesunęła pośladkami po nodze J.T. - Ooooch! - zapiszczała.

- Poruczniku Montgomery! - ryknął admirał.

- Tak jest, panie admirale - odpowiedział słabo J.T.

- Cholernie chciałabym spotkać jego matkę - powiedziała filuternie Aria. Oderwała się od J.T. i falistym ruchem popłynęła ku kapitanowi. - Mężczyźni potrafią być tacy okrutni, nie?

- Ja jestem matką Jarla - powiedział ktoś za jej plecami.

Aria odwróciła się i poczuła, że rozstępuje się pod nią ziemia. To była kobieta, która robiła jej makijaż w toalecie.

- O Boże - jęknęła, pierwszy raz nadaremno używając imienia pana Boga. - Ja... ja... - zająknęła się. Chcę umrzeć, pomyślała. Boże spuść piorun na mą głowę.

Pani Montgomery pochyliła się i pocałowała Arię w policzek.

- Nie poddawaj się teraz - szepnęła. Zwróciła się do obecnych. - Moja synowa i ja zaśpiewamy państwu piosenkę. Jarl, pożycz mi nóż.

- Mamo, zabiorę was do domu.

- Słusznie, poruczniku. To byłoby rozsądne. A jutro z rana niech się pan zamelduje u mnie w gabinecie - polecił admirał.

- Tak jest. - J.T. sprężyście zasalutował i stanowczym ruchem wziął Arię za ramię.

- Tchórzysz! - syknęła pani Montgomery do Arii, gdy J.T. przeciągał ją obok.

Aria wyrwała się z uścisku J.T.

- Ale z niego tyran, wiecie? - powiedziała głośno. - Każe mi zmywać naczynia, szorować podłogi, myć mu plecy, a śpiewać mi nie pozwala.

Kilka osób się roześmiało.

- Dajcie jej zaśpiewać - zawołał ktoś z tyłu.

- Właśnie. Dajcie jej zaśpiewać - włączyła się żona admirała.

- Jarl, nóż - powiedziała pani Montgomery. Ujawszy narzędzie rozcięła spódnicę przepięknej i niezwykle drogiej sukni aż nad kolano, prezentując zgrabną nogę. Wzięła ze stołu trzy wielkie, czerwone kwiaty hibiskusa i wetknęła je sobie we włosy.

- Powiedz zespołowi, żeby zagrał Tico Tico - poleciła synowi.

Aria z teściową wykonały znakomity duet, jeśli wziąć pod uwagę, że nie miały okazji do próby. Znakomicie się uzupełniały, nie bały się bowiem widowni. Aria miała opanowany repertuar seksownych ruchów, które zapożyczyła od Carmen Mirandy, natomiast pani Montgomery po prostu była przez całe życie bardzo seksowną kobietą. Zaczęły się bawić w „kto lepiej?”. Gdy Aria zaczynała się poruszać w jeden sposób, pani Montgomery zaczynała w inny. Przez dwie długości piosenki zgrabnie poruszały się w rytm muzyki. Zespół podjął grę, podkreślając drobne podziały rytmiczne odgłosem bębenków i włączając długie wstawki instrumentalne. Arii przydały się wreszcie lata nauki tańca.

Gdy piosenka dobiegła końca, a kobiety zakończyły układ efektownym uściskiem, aplauz był oszałamiający. Błyskały flesze. Po wielu ukłonach Aria i pani Montgomery skryły się w toalecie.

- Czy pani mi to wybaczy? - odezwała się Aria natychmiast, gdy zamknęły za sobą drzwi. Czekala na nie Dolly. - Nie miałam pojęcia, że pani... Porucznik Montgomery powiedział, że pani jest... Och, tak bardzo przepraszam.

- Od lat się tak wspaniale nie bawiłam.

- Pojedzie pani z nami teraz do domu?

Pani Montgomery wybuchnęła śmiechem.

- Moja droga, nowa córko. Musisz sama stawić czoło swojemu mężowi. Pamiętaj, że

Montgomery groźniej szczerka, niż gryzie. Postaw mu się. Wyklóć się z nim ostro, potem solidnie zmęcz go w łóżku i wszystko będzie dobrze.

Aria spiekła raka.

- Muszę jechać. Mąż czeka na mnie w Maine. Mam nadzieję, że niedługo oboje nas odwiedzicie. Ach, tak na marginesie, czy naprawdę dokuczają ci poranne nudności?

- Nie - odparła Aria z uśmiechem. - Ale pewnie niedługo będą.

- Jeśli dobrze znam syna, to pierworodne przyjdzie na świat w ciągu roku. On zawsze lubił dziewczyny. - Pocałowała Arię w policzek. - Teraz naprawdę muszę już iść. Odwiedźcie mnie jak najszybciej. - Opuściła toaletę.

- Ona zupełnie nie przypomina mojej teściowej - szepnęła Dolly. - Ta kobieta nigdy nie polałaby spaghetti zupą pomidorową.

Aria spojrzała ku drzwiom.

- Amerykanie nie zasługują na swoje kobiety.

- Mhm - powiedziała Dolly i biegiem dopadła drzwi. Podparła je akurat w chwili, gdy pierwsi ludzie próbowali je sforsować.

- Łap za płaszcz i pryskaj przez okno. Zatrzymam tych ludzi. A co do kobiet, masz rację - zawołała za Arią, której stopa właśnie nikła w otworze okiennym.

Po drugiej stronie czekał na nią J.T.

- No, tak - powiedział, gdy połowa Arii znalazła się na zewnątrz. - Gdzież mógłbym znaleźć moją królewską żonę, jak nie pod toaletą. To jasne, że salwuje się ucieczką przez okno. - Schwycił ją w talii i pomógł jej zeskoczyć na ziemię. - Idziesz po zakupy i aresztują cię za kradzież. Naturalnie świetnie radzisz sobie z tym kłopotem. Teraz wszyscy właściciele sklepów w mieście prawie przed tobą klękają. Idziesz na bal i mnie upokarzasz. Przez ciebie moja własna matka wyczynia dziwne podskoki, na wpół rozebrana.

Zaprowadził ją do samochodu i otworzył przed nią drzwi. Aria wsiadła. Czekał, aż Jarl obejdzie maskę i zajmie miejsce za kierownicą, wetknęła ręce do kieszeni płaszcza od deszczu i znalazła tam nóż Jarla. Widocznie wsadziła go tam pani Montgomery.

- Amerykańska żona nie postępuje w ten sposób - powiedział J.T. - Następczyni tronu też nie. Nikt nie postępuje w taki sposób, jak ty dzisiaj wieczorem.

- Masz rację - powiedziała przez zęby. - To absolutnie koszmarna sukienka. - Uroczystym gestem otworzyła nóż i rozdawszy kawałek wstążki, łączący miseczki stanika, błysnęła gołymi piersiami. - Spódnica też jest do niczego. - Wsadziła nóż w rozcięcie i zaczęła go przesuwać, eksponując przy tym nagą nogę.

J.T. chciał coś powiedzieć, ale zerknął za siebie przez tylną szybę samochodu. Natychmiast przykrył Arię swym ciałem.

- Niech się pan u mnie zamelduje z samego rana, poruczniku Montgomery - dobiegi z zewnątrz męski głos.

- Tak jest - odpowiedział J.T., nadal przykrywając Arię własnym ciałem.

Admirał, wyraźnie zakłopotany widokiem intymnej sceny, odszedł. J.T. i Aria spojrzeli po sobie i zgodnie wybuchnęli śmiechem. J.T. pocałował ją namiętnie i zaczął szukać pod płaszczem jej piersi.

- Byłaś fantastyczna, dziecino, absolutnie fantastyczna.

Odwzajemniła pocałunek, sięgając do guzików jego munduru.

- Naprawdę? Lepsza niż ta twoja ruda?

- Ta ruda jest moją sekretarką i nikim więcej.

Odepchnęła go.

- Całujesz sekretarkę w rękę? - Zaczynało jej brakować tchu. Jarl rozdzierał spódnicę jej sukni.

- Kiedy siedzi całą noc w pracy, przepisując moje dokumenty, to całuję. Czym tyś to zszyla? Nicią do sieci?

Zawadził łokciem o klakson. Oboje natychmiast oprzytomnieli. J.T. popatrzył na nią rozpalonym wzrokiem, potem zsunął się z niej i zapalił motor.

Tą samą techniką, którą posłużyła się do zrzucenia więzów porywaczy, Aria wyswobodziła się również z resztek sukni Carmen Mirandy. Została więc całkiem naga pod Płaszczem od deszczu.

Jadąc do domu, J.T. zdecydowanie przekroczył rozsądną Prędkość, więc dla ochłonięcia wyrębał Arii następny wykład, gdy tylko znaleźli się na miejscu.

- Podobno nie chcesz zwracać na siebie uwagi, ale urządzasz takie popisy jak dzisiejszy. To nie było amerykańskie Echowanie. To nie było zachowanie mojej żony.

Zsunęła z ramion płaszcz od deszczu i stanęła przed nim naga.

- Czy to jest amerykańskie? Czy to jest zachowanie twojej żony? - spytała niewinnym głosikiem.

Oślupiał.

- Niezupełnie, ale może być. - W chwilę później znalazł się na niej i wciskał ją w podłogę. - Zmęczyły mnie kłótnie - szepnął. - Chcę nacieszyć się tym czasem, który jeszcze nam został.

Kochali się na podłodze w saloniku, potem J.T. zaniósł ją na schody i tam wziął ją w pozycji, która śniłaby się po nocach zawodowemu akrobacie. Aria wycofywała się do góry, J.T. podążał za nią, skończyli więc na górnym podeście, oboje spoceni, bez tchu i mocno wyczerpani.

- Co dostanę, jeśli ubiorę się jak Jean Harlow? - szepnęła Aria, czując, że ciało ma jak z gumy.

- Już nie to samo, bo mnie wykończyłaś.

- Naprawdę? - Zaczęła się pod nim poruszać, aczkolwiek bez przekonania.

- Oj, szybko się uczysz. Idź teraz wziąć prysznic.

- Umyjesz mi plecy?

- Może plecy, ale przód musisz umyć sama. Przodem wpędzasz mnie w kłopoty.

Roześmiała się.

Potem J.T. usiadł w łazience i przyglądał się kąpieli Arii, a ona wypytywała go o matkę. Wciąż jeszcze był mocno zszokowany występem matki na balu i twierdził, że kobieta, jaką znał, nieco się różni od tancerki z ostatniego wieczoru. Pamiętał raczej ciepłe mleko i ciasteczka.

- A twój ojciec pamięta poczęcie - powiedziała Aria i uśmiechnęła się szeroko, widząc rumieniec J.T.

- Chcesz, żebym ci umył plecy czy nie?

- *Si*, szanowny panie - powiedziała z akcentem Carmen Mirandy.

J.T. jęknął, ale umył jej plecy i pocałował ją w szyję. Potem sam wziął prysznic i z kolei Aria jemu umyła plecy. Włożyła fioletową koszulkę nocną na ramiączkach i spokojnie stanęła przed łazienką.

- Zastanawiam się, które łóżko ma być dzisiaj moje - powiedziała wstydliwie.

Pociągnął ją do siebie.

- Oczywiście to, w którym jestem ja.

Przytuliła się do niego i prawie natychmiast zapadła w sen.

- Zwróciłam jego uwagę - zdążyła jeszcze wymamrotać.

- Co mówisz, żabciu? - odmruknął J.T.

- O, nowe imię - ucieszyła się Aria i przytuliła się do męża jeszcze mocniej. Wkrótce oboje spali.

Następnego rana Aria budziła się bardzo powoli, uśmiechając się do słońca, szperającego promieniami po pokoju. Robiło się już upalnie, ale nie dbała o to. Czuła się jak w niebie. Przesunęła się odrobinę, żeby popatrzeć na leżącego obok J.T. Ostatniej nocy ziściły się wszystkie jej marzenia. Nie było ani bólu, ani skrępowania, tylko szczęście i zmysłowa rozkosz w stanie czystym.

Oparła się na łokciu. Ależ przystojny z niego mężczyzna. Czy to nie dziwne, że im częściej się kochali, tym stawał się przystojniejszy. Prezentował się zdecydowanie lepiej niż hrabia Julian. W tej chwili prezentował się zresztą lepiej niż jakikolwiek inny mężczyzna na świecie.

Zastanawiała się, jak by to było, gdyby otworzył oczy i powiedział: „Kocham cię”. Jak czuje się kobieta, gdy mężczyzna mówi jej coś takiego? Oczywiście słyszała to już od hrabiego Juliana, ale oboje wiedzieli, że on pragnie tylko jej królestwa. Ten człowiek nie chciał królestwa. Chciał jej ciała.

Uśmiechnęła się na tę myśl. Na wyspie była księżniczką, ale Jarl nie był jej posłuszny, nie zrobił nic z tego, czego sobie życzyła. Kiedy jednak zaczęła się zachowywać jak kobieta... wtedy robił wszystko, czego pragnęła.

Uświadomiła sobie, że pragnie go zadowolić. Uczono ją, że należy dbać jedynie o zadowolenie osób wyższych rangą od niej. Ale tu, w Stanach Zjednoczonych, chciała, by polubiły ją żony oficerów, chciała spodobać się teściowej (na to wspomnienie przełknęła ślinę), a teraz rozważała, jak by to było, gdyby zadowoliła męża.

Porucznik Montgomery chciał zrobić z niej rasową Amerykankę, o tym wiedziała, przysięgła więc sobie jeszcze bardziej usilnie się starać. Może uda jej się przyrządzić mu hamburgery z rusztu. Amerykanie zdawali się uwielbiać mięso.

Poruszył się we śnie, otworzył oczy i popatrzył na nią.

- Dzień dobry - wymruczał i przytulił ją do swego wielkiego, owłosionego ciała.

- Z czego są te misie, do których tulą się amerykańskie dzieci?

- Z pluszu.

- O, właśnie. Czuję się jak twój pluszowy miś.

- Ty mi się wcale nie wydajesz misiem - powiedział, głaszcząc ją nogą po nodze. - Jesteś za chuda i za mało owłosiona.

- Za chuda? - spytała, odwracając się do niego w popłochu.

- Za chuda na pluszowego misia.

- Uff. - Wsunęła mu nogę między uda. - Ale nie za chuda w ogóle? Nie mam... zaraz, jak to powiedziałaś? Kościstego tyłka?

- Chyba będzie lepiej, jeśli oboje zapomnimy, co mówiliśmy na wyspie - powiedział i pocałował ją.

- Czy... czy wypada się kochać przy świetle dziennym?

- Nie wiem. Sprawdźmy. Jeśli rozstąpi się pod nami ziemia i wezmą nas diabli, to przynajmniej pójdziemy do piekła szczęśliwi.

Aria zachichotała, zaraz jednak umilkła, gdy J.T. zaczął całować ją po szyi. Bez pośpiechu pieścił jej ciało, a Aria pierwszy raz odważyła się odwzajemnić te pieszczoty. Jakże inne niż jej wydawało się w dotyku jego ciało. Nie było na nim miękkich miejsc, tylko twarde mięśnie. Skóra też się różniła, była bardziej szorstka i przyjemnie owłosiona.

- Szczęśliwa? - spytał.

- Tak - odszepnęła.

- Może będę umiał uszczęśliwić cię jeszcze bardziej.

Udało mu się. Potem leżeli razem, spoceni, lecz mimo to spleceni w uścisku, oboje przepełnieni zadowoleniem.

- Muszę wstać - powiedziała Aria. - Umyję głowę. Ethel pokazała mi, jak kręcić papiloty. Do wieczora fryzura musi mi wyschnąć.

- Papiloty? Już nie będzie tych strasznych szpilek, które wykluwają mężczyźnie oko?

Odwróciła się od niego.

- A co ty wiesz o papilotach?

- Mniej niż ty o wąsiku hrabiego Juliana.

- Skąd wiesz, że on ma wąsik?

- Zgadłem - odrzekł J.T., ale Aria uśmiechnęła się. Wiedziała, że to kłamstwo.

W łazience, myjąc głowę, podśpiewywała.

- Poruczniku Montgomery - zawołała. - Potrzebuję pomocy.

Uparta baba, pomyślał. Zabronił nazywać się Jarlem, a ponieważ jej z jakiegoś powodu nie

podobał się J.T., nazywała go porucznikiem Montgomery.

W kwadrans później ku swemu kompletnemu niedowierzaniu J.T. okręcał kosmyki jej włosów na palcach i zapinał szpilkami.

- Nie do wiary. Pomagam ci się oszukiwać - mruknął.

Aria wybuchnęła śmiechem.

Gdy się ubierał, Aria przemknęła obok niego, pocałowała go w przelocie i powiedziała, że przygotuje mu lunch. Uśmiechnął się. Małżeństwo wykazywało zbawienne oznaki: chwile miłostnego uniesienia na śniadanie i lunch domowej roboty.

Wkrótce potem, gdy J.T. schodził po schodach na dół, rozległo się głośne pukanie do drzwi. Zanim zdążył je otworzyć, same otworzyły się z hukiem. Do wnętrza domu wpadł generał Brooks. J.T. zastygł na baczność na trzecim stopniu schodów; zaszalutował.

- Co to jest? - ryknął generał, zatrzasnąwszy drzwi przed nosem adiutanta. Trzymał wysoko nad głową egzemplarz „Key West Citizen” i wskazywał na pierwszą stronę, gdzie zamieszczono wielkie zdjęcie Arii przebranej za Carmen Mirandę, tańczącej coś podobnego do kankana ramię w ramię z Amandą Montgomery. - Czy to jest jej wysokość? - grzmiał generał. - Czy to jest księżniczka Aria?

- Tak jest - odparł zdecydowanie J.T., patrząc prosto Przed siebie.

Generał zaczął nerwowo chodzić tam i z powrotem, bijąc pięścią w gazetę.

- Czy pan wie, poruczniku, co pan zrobił? Zdradził pan nasz plan świata, ot co. A w każdym razie zdradzi pan, jeśli zobaczy to zdjęcie jakiś Lankończyk.

- Nie sądzę, żeby ktoś miał ją poznać, panie generale.

- Nie wymądrzaj się przy mnie, młody człowieku. To jest twoje przewinienie. Armia złożyła na twoje barki wielką odpowiedzialność, a ty ją zawiodłeś. Co za licho podkusiło cię do zrobienia z tej biednej dziewczyny czegoś takiego? Miałeś zrobić z niej Amerykankę, a nie latynoską tancerkę ze speluny.

- To był jej pomysł, panie generale. Zrobiła mi niespodziankę. - J.T. wciąż stał na schodach, wyprężony jak struna.

- Kto tu słucha tego diabelnego jazgotu przez radio?

- To... - zaczął J.T.

- Jej pomysł? Chce pan, poruczniku, żebym w to uwierzył? Na miłość boską, człowieku, ta kobieta jest następczynią tronu. Wychowywano ją stylowo i elegancko, a tu na zdjęciu nosi - generał podniósł gazetę do góry - buty na koturnach.

- To też nie mój pomysł, panie generale.

Generał Brooks usiadł na wiklinowym krześle; twardy mebel zatrzeszczał pod jego ciężarem.

- Hm, może wobec tego powinien pan dać jej nieco więcej swobody. Czasem kobiety są jak dzikie konie. Nie można trzymać ich cały czas w zamknięciu, niekiedy muszą sobie pohasać, bo inaczej wyrwywają się na wolność i ślad po nich ginie. - Otarł dłonią twarz. - Jestem żonaty trzydzieści dwa lata i wcale nie rozumiem żony lepiej niż na początku. O Jezu, co za dzień! Leciałem samolotem bez końca. Ma pan trochę whisky?

- Tak jest! - odpowiedział J.T., lecz ani drgnął.

- No, to niech pan zaraz przyniesie! - burknął generał.

J.T. wyszedł do kuchenki, a generał tymczasem mówił dalej.

- Żeby ta maskarada zagrała, księżniczka musi zachowywać się jak Amerykanka. Amerykanki nie ubierają się w sukienki, spod których widać im gołe nogi, i nie tańczą w ten sposób na komandorskim balu. Powinien jej pan to wytłumaczyć. Chyba nie jest to trudne. Czyżby ona sądziła, że idzie na jeden ze swoich balów maskowych dla arystokratów? I co to za kokota tańczy razem z nią?

- Moja matka, panie generale - powiedział J.T., podając generałowi drinka.

- Boże - jęknął generał i opróżnił szklankę do dna. - Myślałem, że pan jest dokładnie sprawdzony. Niech pan posłucha, poruczniku, to rozkaz. Ma pan zapanować nad księżniczką, bo inaczej dostanie pan papierkową robotę pod najgłupszym oficerem w całej marynarce. Rozumie pan? Księżniczka wyraźnie zareagowała w ten sposób na zbyt krótkie trzymanie. Moja żona też kiedyś zrobiła coś podobnego niedługo po ślubie. - Machnął ręką. - Ale nie o tym mowa. Niech księżniczka trochę się zabawi od czasu do czasu, to może nauczy się zachowywać jak Amerykanka. Czas ucieka. W ten sposób nigdy nie uda jej się oszukać lankońskich porywaczy. Cholera, ależ to radio ryczy! Niech pan powie temu, kto go słucha, żeby wyłączył!

- Chciałbym coś panu pokazać, panie generale - powiedział J.T.

Generał wydawał się zmęczony i wkurzony do granic możliwości, ale podźwignął się z krzesła i podszedł za J.T. do kuchennego okna.

Na podwórzu dymił ruszt. Z okna ciągnął się sznur do radia, chrypiącego na cały głos „Don't Sit Under the Apple Tree with Anyone Else But Me”. Aria w workowatych dzinsach podwiniętych do kolan, zrolowanych skarpetach, białych skórzanych półbucikach z brązowymi paskami na nosku, kraciastej koszuli J.T. i chustce w kropeczki na włosach zakręconych na papiloty uklepywała w dłoniach hamburgery, żując gumę w rytm muzyki.

- To ma być jej wysokość?! - sapnął generał Brooks.

- Wygląda jak amerykańska gospodyni, panie generale.

- Wygląda stanowczo za bardzo jak amerykańska gospodyni. - Odwrócił się do J.T. i zmierzył go groźnym spojrzeniem. - Istnieje coś takiego jak przegięcie pały. - Twarz mu się zmieniła, poklepał J.T. po ramieniu. - Chcesz o tym porozmawiać, synu? Bądź co bądź, dostałeś dość nietypowe zadanie jak na czas wojny. Czy sprawia ci dużo trudności?

J.T. jakby zapomniał o stopniu wojskowym generała. Nalał dwie szklaneczki burbona i pociągnął ze swojej solidny łyk.

- Kompletnie nie potrafię jej rozgryźć. Raz wyciąga do mnie rękę tak, jakbym był jednym z jej cholernych poddanych, potem upokarza mnie na oczach setek ludzi, a potem... - Urwał. - Powiedzmy po prostu, że gdy zostajemy sami, wcale nie jest wstydliva. - Zmrużył oczy. - I w ogóle nie chce robić tego, co jej mówię. Wyjaśniłem jej, jak się prasuje, a ona mnie wyśmiała.

- Moja żona też nie chce prasować - powiedział generał Brooks. - Nigdy nie chciała.

- Zdaje się, że nie wiem zbyt wiele o żonach, panie generale. Znam się na kobietach. Ale ona nie pasuje do żadnej z tych kategorii.

- Lubi ją pan, prawda?

J.T. wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Powoli zaczynam, ale cholernie tego nie chcę. Mam zamiar do tego nie dopuścić. Z czystym sumieniem przekażę ją temu narzeczonemu z hrabiowskim tytułem.

Przez moment generał wyglądał tak, jakby miał wyrzuty sumienia, ale nie podjął tematu.

- Zdaje się, że żona przygotowała panu lunch, więc lepiej już pójdę. Niech pan jej nie mówi, że tu byłem. Jutro przyjedzie ktoś od nas i zapozna was ze szczegółami powrotu do Lankonii. Niech pan zrobi mi tę łaskę i nie pozwoli jej zabrać ze sobą kreacji Carmen Mirandy. Kto wie, do czego ona jest zdolna.

- Nie pozwolę, panie generale - potwierdził J.T., odprowadzając go do drzwi. Stał tam przez chwilę myśląc o strzępach białej - czerwonej sukienki, leżących w jego samochodzie, lecz Aria właśnie zawołała, że hamburgery są prawie gotowe, więc z uśmiechem wyszedł na podwórze.

Radio ryczało „Shorty George”, Aria wzięła go za rękę.

- Chodź, zatańczymy.

- Poczekajmy na coś wolniejszego. Nie jestem dobry w takich szybkich kawałkach.

- *Okay* - zgodziła się Aria i odwróciła się do rusztu z hamburgerami. - Następnym razem poproszę Mitcha. On fantastycznie sobie z tym radzi.

J.T. chwycił ją za rękę, obrócił i zaczął szaleńczy taniec. Od dzieciństwa trenował wioślarstwo, więc miał bardzo silne ramiona. Przerzucił Arię nad głowę, potem przeciągnął tam i z

powrotem przez bramę z nóg i energicznie okręcił aż do wyprostu ramienia. Gdy piosenka się skończyła, Aria nie mogła złapać tchu.

- Powiedziałem ci, że nie jestem w tym dobry - stwierdził stanowczo, doprowadzając tym Arię do ataku śmiechu.

W bardzo przyjaznej atmosferze usiedli do lunchu. J.T. przyjrzał się Aarii. Była zupełnie kim innym niż księżniczka z wyspy. Włosy miała w papilotach, gumę do żucia przykleiła z boku talerza i zjadła rękami hamburgera, popijając piwo prosto z butelki.

Uświadomił sobie, że nieoczekiwana wizyta generała rozstroiła go tak bardzo, bo przypomniawszy mu, że wkrótce będzie musiał zwrócić swą pożyczoną księżniczkę.

Od czasu, gdy wybuchła wojna, wszyscy jego znajomi zdążyli się ożenić, J.T. sądził jednak, że jest za mądry, by pozwolić usidlić się kobiecie. Nieraz widział, jak mężczyzna żenił się z kobietą, która po dwóch tygodniach zaczynała wyglądać tak, jak Aria w tej chwili. J.T. myślał o tym z niechęcią. Lubił, żeby kobieta była ładnie uczesana, uperfumowana i miała dobry makijaż. W tej jednak chwili patrząc na Arię wiedział, że nie zamieniłby jej na królową piękności. i:

- Skąd wzięłaś tę koszulę? - spytał przekrzykując radio. Miał na myśli obszerną, znoszoną, kraciastą koszulę, którą Aria miała na sobie.

Zerknęła na niego znad butelki piwa.

- Z pudła w twojej szafie.

- Z tego pudła, które stoi w głębi? Z tego, które jest... to znaczy było zaklejone, obwiązane i miało na wszystkich sześciu ściankach dziesięciocentymetrowe napisy „prywatne”?

- Wychodzi na to, że tak - odparła, nie odwracając wzroku.

J.T. chrząknął znacząco, a ona uśmiechnęła się do niego. Wielokrotnie słyszał narzekania, że w małżeństwie nie pozostaje nic prywatnego, i zawsze zdawało mu się, że jeśli będzie miał żonę, to nie pozwoli jej naruszyć tej sfery swojego życia. Teraz zorientował się jednak, że w niczym to nie przeszkadza. Nawet całkiem mu się podobało, że Aria okazała się dość ciekawsza, by przeszukać jego dobytek. Stworzyła tym wrażenie, jakby rzeczywiście byli małżeństwem.

Znów na nią popatrzył. Będzie musiał oddać ją innemu mężczyźnie.

Wtedy właśnie przysiągł sobie, że potraktuje to jak upadek z konia: wkrótce znów znajdzie się na grzbiecie. Jak tylko przekaże ją temu kurdupłowatemu, staremu, zniewieściałemu hrabiemu, postara się o nową żonę. Spodobało mu się, że ma do kogo wrócić do domu. Lubił siedzieć w sobotę na podwórzu za domem i jeść hamburgery. Lubił nawet intymność chwili, w której zakręcał żonie papiloty.

Oczywiście zastanawiał się, czy uda mu się znaleźć drugą równie interesującą żonę. Uśmiechnął się na wspomnienie ostatniego wieczoru. Większość żon młodych oficerów byłaby

speszona obecnością jakiegokolwiek człowieka z gwiazdką na ramieniu. Aria całkowicie to zlekceważyła. Może zresztą sam trochę zawinił. Może odrobinę przesadził przed odwiedzinami matki. Tylko kto by się spodziewał, że jego matka zachowa się tak na balu?

Kiwnął się do tyłu na krześle i wyłączył radio.

- Wczoraj powiedziałaś, że masz poranne nudności. Czy to była prawda, czy chciałaś się mnie pozbyć?

- To była nieprawda.

- Co by się stało, gdybyś zaszła ze mną w ciążę? Czy twój arystokratyczny narzeczony wziąłby cię mimo to?

- I tak zostałąbym królową, a on chce się ożenić z królową. Nie sądzę, żeby stawiał jakieś przeszkody.

- A co z dzieckiem?

- Gdyby to był chłopiec, jako pierworodny zostałby któregoś dnia królem. Gdyby była to dziewczynka, a nie miałabym potem męskich potomków, zostałaby królową.

J.T. pociągnął długi haust piwa.

- Rozumiem. I twój hrabiasty mąż nie miałby nic przeciwko temu?

- Będę królową i to ja będę decydować o dziecku.

- Czyżby poczciwy Julian miał ojcować cudzemu dziecku?

- Nawet gdyby dziecko było jego, w zasadzie nie brałby udziału w wychowaniu. Dzieci rodziny królewskiej wychowują guwernerzy, bony i korepetytorzy. Mój ojciec umarł, gdy byłam jeszcze bardzo mała, a zanim w wieku czternastu lat stałam się kobietą, widywałam matkę tylko wieczorami od szóstej do szóstej trzydzieści.

- I twoje dzieci też byłyby wychowywane w ten sposób?

- Nie znam innego sposobu.

- W Stanach Zjednoczonych układamy te sprawy inaczej. Gdybyśmy teraz mieli dziecko, mieszkałoby tutaj z nami. Ty byś je karmiła, a ja rzucałbym mu piłkę.

- Jeszcze jeden przykład amerykańskiej równości - powiedziała. - Kobieta pracuje, a mężczyzna się bawi.

J.T. wyglądał tak, jakby miał się rozzłościć, ale zamiast tego parsknął śmiechem.

- To lepsze niż oddawać dziecko obcym. Kto cię przytulał, kiedy upadłaś albo się skaleczyłaś?

Aria wydawała się zdziwiona.

- Wezwano by doktora. Ale następczyni tronu znajduje się pod zbyt dobrą strażą, żeby często przytrafiały jej się takie wypadki. Chociaż zdarzyło mi się, że spadłam z konia.

- Pod strażą? Kiedy miałem dziesięć lat, popłynąłem łodzią wiosłową na wyspę i przez dwie noce obozowałem tam całkiem sam.

- Dzieci z rodziny królewskiej nigdy nie są same. Nawet nocą ktoś śpi w ich pokoju. Gdy skończyłam czternaście lat, dostałam swoją komnatę, ale w przyległej spała pokojówka.

- Rozumiem - powiedział J.T., odgryzając solidny kęs hamburgera. - I nasze dziecko... to znaczy, gdybyśmy mieli dziecko... byłoby wychowywane właśnie w ten sposób?

- Taka jest tradycja. - Aria przez chwilę milczała. - Ale mógłbyś je odwiedzać, kiedy tylko byś chciał.

- Nie - wycedził J.T. - Nie jestem pewien, czy byłbym w stanie. - Opadł na oparcie krzesła, znów włączył radio i pogrążył się w milczeniu.

W poniedziałek rano J.T. dostał telegram od generała Brooksa z informacją, że wszystko jest przygotowane.

- Początek końca - mruknął, gdy Bill wszedł do jego gabinetu.

- Coś cię gryzie? - spytał Bill.

- Jutro odlatujemy z Arią do Lankonii.

- Będzie mi jej brakowało, a Dolly zrobi się całkiem nie do życia. Są jak papużki nierozłączki. No i wszyscy właściciele sklepów w mieście będą płakać.

J.T. zmiął telegram w dłoni.

- Lepiej do niej zadzwonię, żeby zaczęła się pakować - powiedział ponuro.

- A ja zatelefonuję do Dolly, żeby jej pomogła.

Później tego samego dnia Dolly zatelefonowała do J.T. z zaproszeniem na plażę.

- Pożegnalne party na cześć Arii - wyjaśniła łamiącym się głosem.

Na pewno nie będzie ci jej brak bardziej niż mnie, pomyślał J.T.

Aria, która czekała na niego na plaży, też była nieswoja. Ujął jej dłoń.

- Uszy do góry, dzieciно. Jedziesz do domu.

- Będę tęsknić do Ameryki - powiedziała cicho. - Będzie mi brakować tej wolności i muzyki, i poczucia postępu.

By nie wspomnieć o mnie, pomyślał ze złością.

- Pójdę nałapać homarów.

- Dobrze - powiedziała. - Możesz iść.

Nie mogła znaleźć w sobie wesołości, chociaż bardzo się starała. Księżniczka nie okazuje publicznie swoich uczuć, nieustannie powtarzała sobie w myślach. Dolly była w równie kwaśnym nastroju.

J.T. wrócił z homarami i panowie wsadzili je na ruszt.

- No, nie - powiedziała Dolly. - Patrzcie, co za lichy.

Aria podniosła wzrok i zobaczyła pulchną Heather Addison, wspartą na ramieniu Mitcha.

- Dobry wieczór wszystkim - zawołał Mitch i popatrzył na Arię. - Wyglądasz prześlicznie, jak zawsze. Czy J.T. lepiej się tobą opiekuje?

- Opiekuję się znakomicie - powiedział J.T., wyciągając przed sobą widelec jak szpadę.

Heather obrzuciła Arię pogardliwym spojrzeniem, po czym kręcąc biodrami podeszła do J.T. Wzięła go za ramię i wtuliła się w jego bok.

- J.T., słoneczko, nie widziałam cię, odkąd spotkaliśmy się w Waszyngtonie. Pamiętasz, jak się wtedy wypuściliśmy w miasto? Zaraz po twoim ślubie? - dodała głośno.

- Właśnie tego nam było trzeba - jęknęła Gail. - Dobrych fajerwerków. J.T., postaraj się, żeby to był przyjemny wieczór, dobra?

Mitch usiadł przy Arii.

- Słyszałem, że jutro wyjeżdżasz. Będzie nam cię brakować. Czy J.T. jedzie z tobą?

J.T. gwałtownie się odwrócił.

- To ona jedzie ze mną, a nie odwrotnie. Lankończycy potrzebują specjalistów od budowy statków, więc chętnie im pomogę. A żona mi towarzyszy.

Mitch przysunął się do Arii.

- Słyszałem, że w Lankonii jest bardzo ładnie. Są długie, zimne noce i słychać tylko krowie dzwonki.

- To prawda - odrzekła smutno Aria. - Nie ma sióstr McGuire, nie ma ciężarówek wywożących śmieci o trzeciej nad ranem, nie ma spelunek i przyjęć na plaży.

- Byłaś tam?

- Nie - odparli jednogłośnie J.T. i Aria. - Tylko czytaliśmy - dodał J.T.

- J.T., króliczku, zostawiłam szal w samochodzie. Przyniesiesz mi? - spytała Heather.

- Niech ktoś uważa na ruszt - zawołał J.T. i opuścił krąg światła rzucanego przez ogień.

Heather niezwłocznie ruszyła za nim.

- J.T. - zawołała. - Poczekaj!

Przystanął.

- Nie powinnaś była przychodzić.

- Nie wciskaj mi kitu - powiedziała. - Wiem, co jest grane. Za informacje o tobie i tej... księżniczce musiałam dać trzy szminki i cztery pary nylonów. Prędzej zjem mój własny kostium kąpielowy, niż ona okaże się z rodziny królewskiej.

- To bierz się do żucia - powiedział J.T. i odwrócił się od Heather.

Nie chciała go tak łatwo puścić.

- Wiem, że wasze małżeństwo jest tylko tymczasowe, póki nie znajdziecie się w jej kraju. Słyszałam, że tam ma cię puścić kantem dla chuderlawego, nie wyrośniętego księcia wybitnego rodu.

- Heather, masz strasznie długi jeźor. - J.T. przystanął przy samochodzie Mitcha, otworzył drzwiczki, wyjął okrycie Heather i wepchnął jej w dłonie.

- Zawsze go lubiłeś - powiedziała, opierając mu głowę na piersi. - Króliczku, ja się o ciebie martwię. Co ty, biedaku, zrobisz, jak pójdziesz u niej w odstawkę? Nie jesteś chyba na tyle głupi, żeby skończyć z krwawiącym sercem?

Słowa Heather niebezpiecznie otarły się o prawdę.

- Idziemy do reszty - powiedział, ale w jego głosie nie było przekonania.

- Będę tutaj, króliczku. Kiedy wrócisz sam jak palec, będę czekała.

Patrzył na nią przez chwilę.

- Może i przyjmę tę propozycję - powiedział.

Razem przyłączyli się do towarzystwa.

- Zamierzasz to znosić? - spytała Dolly, zerkając na J.T. i Heather pochylonych nad rusztem. - Twój pan jest tam - powiedziała znacząco do Heather.

- Mój pan na dzisiejszy wieczór - odparła gładko Heather.

Robiło się coraz bardziej nieprzyjemnie. Aria i Dolly były przybite, a Heather wściekała się na J.T., że nie z ma się ożenił. Mitch bez przerwy drażnił Arię aluzjami o ostatniej wspólnej nocy, a reszta grupki gorzko żałowała, że w ogóle przyszła.

Aria zauważyła, że J.T. nie stara się utrzymać rąk Heather z dala od siebie. Przez cały czas spoglądał ku żonie, jakby oczekiwał od niej jakiejś reakcji. Ale im agresywniej zalecała się Heather, tym bardziej Aria się usztywniała. Dawno nie czuła się tak bardzo następczynią tronu. Nim doszło do pożegnań, była już szalenie oficjalna.

- To bardzo miłe z waszej strony, że mnie zaprosiliście - powiedziała i wyciągnęła rękę na do widzenia. Nie do amerykańskiego solidnego uścisku, lecz tak jak robią to królowie, czubkiem palców, by oszczędzić dłoniom setek uściśnień na godzinę.

- Odprowadzę was jutro - powiedziała cicho Dolly, trochę onieśmielona postawą Arii.

- Bardzo dziękuję - powiedziała Aria do J.T., gdy otworzył przed nią drzwi samochodu. - Przyjęcie było niezwykle przyjemne.

J.T. ruszył.

- Co? Nie będziesz parodiować Heather?

- To bardzo miła młoda kobieta - powiedziała Aria. - Ma takie ładne włosy.

- Farbowane.

- Naprawdę? Trudno się domyślić.

Przez resztę drogi do domu oboje milczeli.

- Zechciej mi wybaczyć - powiedziała Aria, gdy znaleźli się w domu. - Jestem nadzwyczaj zmęczona i chcę się położyć. Życzę ci dobrej nocy.

- Cholera jasna! - zaklął J.T., gdy znalazła się na piętorku. Czy ta kobieta nie ma żadnych uczuć? Ile razy zrobił z siebie głupca tylko dlatego, że był o nią zazdrosny? Tymczasem tego wieczoru pozwolił Heather na najbardziej bezczelne uwagi, a Aria nie powiedziała ani słowa. Ech! Wyszedł na podwórze zapalić papierosa i wypić szklaneczką dzinu z tonikiem. Może Aria tylko czeka, żeby się go pozbyć. Może jest za bardzo wyrachowana, żeby odczuwać roś takiego jak zazdrość.

Jak zwykle na Key West zaczynało padać. Zobaczywszy, że na górze zgasło światło, zdeptał niedopałek i wypił drinka do dna. Wyglądało na to, że Aria położyła się tej nocy w swoim wąskim łóżku. Dobrze, pomyślał, lepiej zacząć rozłękę od zaraz.

Na górze było ciemno. J.T. nawet nie starał się zachowywać cicho. Podczas rozbierania się raz po raz potraçał meble.

Zajrzał do kącika Arii, żeby zamknąć okna. W świetle błyskawicy zauważył, że leży z twarzą wciśniętą w poduszkę.

- Cholera jasna - mruknął i stanął nad jej łóżkiem. - Posłuchaj, to już prawie koniec. Niedługo będziesz w domu. Wrócisz do swojego zamku i nigdy więcej nie będziesz musiała zmywać naczyń ani patrzeć na mój pysk.

- Ani spotykać się z Dolly - powiedziała w poduszkę.

- Dobrze się czujesz? - spytał. - Pokłóciłyście się?

Obróciła się ku niemu i jak tornado rzuciła się na niego z pięściami. Zaczęła go grzmocić po nagim torsie i ramionach.

- Upokorzyłeś mnie! - krzyknęła. - Postawiłeś mnie w okropnej sytuacji przed ludźmi, którzy stali się moimi przyjaciółmi.

Chwycił ją za pięści.

- I kto to mówi! Ty, która wyśpiewałaś „Chica, Chica” przed całym moim dowództwem.

- Ale ty zasłużyłeś sobie na to! Dość nasłuchałam się insynuacji, że jestem nie dość dobra dla twojej matki.

- Nigdy w życiu nic takiego nie mówiłem! - Był przerażony.

- A kto pytał, czy wiem, jak się zachować na eleganckim balu? „Moja matka nienawidzi gumy do żucia, więc nie strzelaj jej balonami przed nosem.. Musisz być uprzejma dla mojej matki i okazywać jej szacunek. Traktuj ją tak, jakby była królową, więc nie mów jej, czy ma prawo się odezwać, czy nie... I pamiętaj, że matka może siedzieć, gdzie chce”. Co to wszystko miało być?

J.T. uśmiechnął się w ciemności.

- Chyba rzeczywiście trochę przesadziłem.

- Zasłużyłeś sobie na „Chica, Chica”. Ale ja nie zasłużyłam na Heather. Przez ostatnie dni byłam bardzo dobra.

J.T. przesunął jej dłonie na plecy.

- Pewnie, że jesteś, słoneczko - powiedział, pochylając się, by ją pocałować.

Usunęła się.

- Jak śmiesz mnie dotykać? Idź sobie!

J.T. raptownie znieruchomiał.

- Dobrze. Jak chcesz. Zostawiam cię samą. Możesz tu leżeć i śnić o dniach, gdy już nigdy więcej nie będziesz musiała mnie oglądać.

Poszedł do swojego łóżka, ale był za bardzo zły, żeby zasnąć. Nadal rozmyślał, jakie to wszystko niesprawiedliwe. Uratował jej życie, ożenił się z nią, uczył ją, jak być Amerykanką, a ona na niego krzyczy i każe zostawić się w spokoju. Przewracał się z boku na bok, aż w końcu zaczęły się do niego lepić prześcieradła. Rąbnął pięścią w poduszkę, ale wcale nie zrobił się od tego bardziej senny.

Może nie powinien był pozwolić Heather zachowywać się w ten sposób. Heather zawsze była zmijowata. Chciała wyjść za niego za męża, a on udawał, że nie ma pojęcia, co jej się roi. Podejrzewał jednak, że Heather chce nie jego, lecz stoczni Warbrooke Shipping.

Przeklinając kobiety, przeklinając armię za wrobienie go w małżeństwo, przeklinając swój apetyt na owoce morza, który zapędził go na wyspę, gdzie pierwszy raz spotkał Arię, J.T. wstał wreszcie z łóżka i przeszedł w drugi koniec pokoju. Aria wciąż leżała z głową wciśniętą w poduszkę. Usiadł na krawędzi łóżka.

- Posłuchaj, może nie powinienem był się zachować tak, jak się zachowałem. Wiem, że Heather potrafi być dość przykra, i bardzo przepraszam, że naraziłem cię na kłopotliwą sytuację..

Nie odezwała się ani słowem.

- Słyszysz mnie? - Wyciągnął rękę do jej skroni. - Płaczesz - powiedział, jakby w to nie wierzył. Objął ją. - Kochanie, bardzo cię przepraszam. Nie chciałem doprowadzić cię do płaczu. Nawet nie wiedziałem, że możesz płakać.

- Oczywiście, że mogę - powiedziała gniewnie, pociągając nosem. - Księżniczka nie płacze publicznie, ale to nie znaczy, że w ogóle nie może płakać.

- Nie jestem nikim publicznym - odparł urażony. - Jestem twoim mężem.

- Dziś wieczorem nie zachowywałaś się jak mój mąż. Sprawiałaś raczej wrażenie, że twoją żoną jest Heather.

- No, może nią będzie.

- Coś ty powiedział? - syknęła Aria.

- Muszę myśleć o przyszłości, słoneczko. Ty zostaniesz w Lankonii ze swoim cherlakowatym hrabią, a mnie, prawdę mówiąc, zaczyna się podobać instytucja małżeństwa.

- Jak to możliwe? - spytała, przytulając się do niego.

- Nie wiem. Z pewnością nie wniosła do mojego życia ciszy i spokoju.

- Tak sobie myślę, poruczniku Montgomery, że może mógłby pan pozostać w Lankonii i dalej być moim mężem. Mój kraj skorzystałby na pańskiej wiedzy.

- I miałbym być królem? To prawie jak trafić do klatki w zoo. Serdecznie dziękuję. Żadna kobieta nie jest tego warta. Ej, dokąd idziesz? - spytał.

- Do kibla, jak zazwyczaj mówisz.

- I co ja znowu złego zrobiłem?

Bill z żoną przyszli na lotnisko pożegnać się z Arią, której wydało się całkiem naturalne, że Dolly publicznie ją ściska. Dolly wyciągnęła przed siebie pakiecik.

- Przynieśliśmy ci drobną pamiętkę, żebyś pamiętała o Stanach. - W oczach miała łzy.

J.T. wymienił z Billem uścisk dłoni.

- Wrócę, jak tylko... jak tylko wykonam zadanie. - Stał nad Arią, jakby bał się, że odleci bez niego.

- Do widzenia - zawołali Bill z Dolly, gdy Aria i J.T. wsiedli do samolotu.

Lot miał być długi, bo musieli kierować się na północ i lecieć nad Rosją, żeby nie ryzykować zestrzelenia nad terytorium Niemiec.

Aria oparła się o plecy twardego skórzanego siedzenia i wyjrzała przez iluminator. Zobaczyła Billa i Dolly - stali na ziemi.

- Uszy do góry - powiedział do niej J.T. - Wracasz do domu. Co ci dała Dolly?

Aria zamrugła, żeby odpędzić łzy. Otworzyła pakiecik. W środku było pełno gumy do żucia. Wybuchnęła śmiechem.

- Ja jej dam - jęknął J.T. - Księżniczka, która lubi gumę balonową!

Gdy znaleźli się w powietrzu, drugi pilot przyniósł J.T. pękaty pakiet.

- Nasze rozkazy - powiedział J.T. - Zanim dotrzemy do Lankonii, musisz nauczyć się na pamięć swojego życiorysu i przybrać nową tożsamość. Popatrz na to! - powiedział, przebiegając wzrokiem list. - Generał Brooks wybrał ci na miejsce pochodzenia Warbrooke w stanie Maine, dlatego znamy się od małego. W ten sposób mogę ci opowiedzieć o moim rodzinnym mieście. Nazywasz się teraz Kathleen Farnsworth Montgomery. Okay, Kathy, bierzemy się do roboty.

Aria porównywała ten lot z ich wcześniejszą podróżą z Waszyngtonu na Key West. J.T. tym razem nie drzemał, zostawiwszy ją sam na sam z książkami. Zamiast tego opowiedział jej o Warbrooke i ludziach, którzy tam mieszkali. Opowiedział jej o swym ojcu, który teraz jednoosobowo prowadził stocznię, nazwaną przez J.T. skromnym rodzinnym interesem. Opowiedział jej też, że ma trzech starszych braci, z którymi urządzał wyścigi wioślarskie.

- Zawsze wygrywałem - powiedział zadowolony z siebie. - Byłem najmniejszy, ale bardzo silny jak na taki wzrost.

Baczenie mu się przyjrzała.

- Chyba już nie jesteś najmniejszy, co? - spytała. W jej głosie pobrzmiwał lęk przed rodziną gigantów.

- Oczywiście, że nie - odparł z błyskiem w oku. Pocałował ją, potem odsunął jej papiery z kolan i skupił całą uwagę na pocałunkach.

- Nie teraz! - syknęła do niego, więc J.T. cofnął się i z upodobaniem obejrzał jej zarumienioną twarz.

- Przy czym byliśmy? - spytał. - Aha, Warbrooke. - Dalej opowiadał jej o rodzinnym mieście, aż w końcu Aria zaczęła odnosić wrażenie, że zna to miasteczko.

Samolot wylądował zatankować paliwo w Londynie. Dwoje pasażerów mogło tymczasem urządzić błyskawiczny wypad do toalety. Gdy z powrotem znaleźli się na pokładzie, wrócili do nauki. J.T. wypytywał Arię o jej dzieciństwo w Stanach Zjednoczonych i o dane personalne.

Zasnęli przytuleni do siebie gdzieś nad Rosją i zbudzili się dopiero, gdy samolot dotknął ziemi w Escalonie, stolicy Lankonii.

J.T. wyjrzał przez okno i zobaczył w oddali niebieskawo - zielone, przykryte śniegiem szczyty.

- Większa część Lankonii leży na dużej wysokości. Jesteśmy teraz dwa tysiące trzysta metrów nad poziomem morza, więc powietrze jest bardzo rozrzedzone.

Pocałował ją.

- Niczego nie wiesz o tym miejscu, pamiętasz? Żadne z nas nigdy tutaj nie było.

- Jasne, koleś - odparła, strzelając balonem z gumy do żucia.

- Tak jest lepiej. Tylko czy musisz żuć to świństwo?

- To jest bardzo amerykańskie, a poza tym będę musiała wkrótce z tego zrezygnować. Korona i guma do żucia nie idą w parze. Pośpiesz się z wysiadaniem, bo chcę sprawdzić, czy nikt nie uszkodził pudła z płytami, które przywiozłam siostrze.

- Kathy nie ma siostry, pamiętasz?

Patrzył na nią bardzo surowo, więc zrobiła zeza i strzeliła mu w nos balonem.

- No, to naprzód! - powiedział ze śmiechem.

Powietrze było chłodne, rześkie i ostre, jak to w górach. Nawet spaliny z samolotu nie skaziły jego czystości.

Mały port lotniczy nigdy nie pulsował życiem, a w okresie wojny ruch prawie tam zamarł. Na Arię i J.T. czekał samochód.

- Wszystko dla pana przygotowane, poruczniku - powiedział mężczyzna w garniturze z aktówką w dłoni. - Dzień dobry, waszej wyso...

- Fajnie cię poznać, chłopie! - przerwała mu Aria i energicznie potrząsnęła jego dłonią. - Czy

tu zawsze jest tak zimno? Istny koniec świata. Co tu jest do roboty?

Mężczyźni zabłąsły oczy.

- Dzień dobry, pani Montgomery.

- Mów mi Kathy, wszyscy tak mówią. Tylko ten tu nie zawsze. Czasem nazywa mnie całkiem inaczej. - Pomlaskując gumą do żucia, uściśnęła ramię J.T. i spojrzała na niego z zachwytem.

- No, tak. - Mężczyzna sprawiał wrażenie zakłopotanego. - Czy pojedziemy teraz do państwa hotelu?

- Kogo ty grasz? - spytał J.T. Arię, otwierając przed nią drzwi samochodu.

- Taką Amerykankę, jaką wyobraża sobie każdy Lankończyk.

Ich kierowca nazywał się James Sanderson i był sekretarzem ambasady Stanów Zjednoczonych w Lankonii. Tylko jego i ambasadora wtajemniczono w historię z podstawioną księżniczką.

- Macie solidne alibi - powiedział pan Sanderson. - Jutro, panie poruczniku, ktoś pokaże panu miejscowe filtry. Pan jest, jak rozumiem, specjalistą od uzdatniania wody.

- Czy to znaczy, że ktoś zaczyna się troszczyć o winogrona? - spytała Aria.

- Pracujemy nad tym codziennie z królem - odrzekł pan Sanderson.

- Jak on się czuje?

- Starzeje się - powiedział pan Sanderson, ale na tym poprzestał.

Aria wyjrzała przez szybę. Krajobraz wyglądał tak samo jak zawsze, zaczynała więc czuć się jak w domu. Ulice zrobiono dla pieszych i pasterzy pędzących trzody, więc były o wiele za wąskie dla efektownej amerykańskiej limuzyny. Bruk wystawiał resory na ciężką próbę i czynił jazdę mało komfortową.

Domy tynkowano albo bielono, wszędzie było widać charakterystyczne szaroniebieskie dachówki miejscowego wyrobu. W latach dwudziestych Lankonia była przejściowo modnym celem wypraw turystycznych; wtedy właśnie ludzie, którzy lubili być na bieżąco, wywozili pełne samoloty tych dachówek i budowali w swoich krajach domki w stylu lankońskim. Ale moda nie trwała długo, więc fabryce zostamy tysiące niepotrzebnych płytek.

Ludzie poruszali się po ulicach pieszo albo na rowerach, czasem konnymi powozami, ale w ogóle nie widziało się samochodów. Ubrania były proste, w stylu, który nie zmienił się od stuleci. Kobiety nosiły długie, ciemne spodę, białe bluzki i ładne, haftowane pasy. Również na te Pasy panowała krótkotrwała moda. Mężczyźni nosili buty z cholewami, grube wełniane podkolanówki i wełniane pumpy. Na białych koszulach mieli wyszywane kamizele bez rękawów. Kobiety były dumne

ze swych krawieckich umiejętności, o których świadczyły damski pas i męska kamizela. Dzieci nosiły podobne ubrania jak rodzice, tyle że mniejsze, bez pasów i kamizelek, za to z charakterystycznym haftem.

J.T. i pan Sanderson przerwali rozmowę.

- Zupełnie jakbym cofnął się w czasie - powiedział cicho J.T.

- Bardziej, niż sądzisz - dodała Aria.

- No, to jesteśmy - oznajmił ich kierowca, zatrzymując samochód na półokrągłym podjeździe przed białym, dwupiętrowym hotelem. Pochylił się i przyjrzał Arii. - Nie sądzę, żeby ktokolwiek panią rozpoznał, ale powinna pani być przygotowana również na taką okoliczność. Musi pani pokazywać się jak najwięcej, żeby tamci wiedzieli, gdzie pani szukać, gdy usuniemy fałszywą księżniczkę, co, nawiasem mówiąc, jest przewidziane na jutro.

- Nie wiadomo jeszcze, kim są „tamci”? - spytał J.T. - Nie wiadomo, kto dokonał zamachu na księżniczkę?

- Mamy pewne podejrzenia, ale jak dotąd nic konkretnego. O, jest chłopiec hotelowy, idziemy.

- Chwileczkę - powiedziała Aria kładąc rękę na ramieniu J.T. - Znam tego człowieka. - Chłopiec hotelowy miał w istocie blisko siedemdziesiąt lat. - Był u nas trzecim ogrodnikiem. Jego żona piekła mi ciasteczka. Nie będzie łatwo.

- Za daleko już się posunęliśmy, żeby teraz wszystko zepsuć. Nigdy przedtem pani tu nie była i nie widziała pani tego człowieka na oczy.

- *Okay* - powiedziała, biorąc głęboki wdech.

Stała na ceglany chodniku, prowadzącym do wejścia, podczas gdy pan Sanderson pomagał J.T. ułożyć bagaż na wózku.

Podstarzały chłopiec hotelowy omal nie upuścił dwóch toreb, gdy zobaczył Arię, która ostentacyjnie mlasnęła gumą do żucia.

- Ducha zobaczyłeś, człowieku? - spytała. Chłopiec hotelowy nadal stał jak wryty i wytrzeszczał na nią oczy, więc Aria pochyliła się, poddarła do pół uda spódnicę i poprawiła sobie nylonową pończochę. - Widziały gały, co chciały? - spytała dość agresywnie.

J.T. chwycił ją za ramię i wciągnął do hotelu.

- Amerykanie będą mieli przez ciebie rynsztokową reputację. Trochę subtelności!

- Jasne, kacorku - odrzekła. - Jak zawsze masz rację, misiaczku.

J.T. spojrział na nią ostrzegawczo.

Wnętrze hotelu wyglądało jak domek myśliwski cara: strop z belek, tynkowane ściany, masywne sosnowe meble porozstawiane dookoła. Nad biurkiem wisiała flaga Lankonii: jeleń, kozioł i kiść winogron na czerwonym tle.

- Niesamowite - mruknął J.T. pod nosem. - Czy w tym lokalu są łazienki?

- Pamiętaj o amerykańskiej reputacji - szepnęła mu Aria.

W czasie gdy J.T. wpisywał ich do księgi hotelowej, recepcjonista podniósł głowę i natychmiast wlepił wzrok w Arię. Gapił się tak, póki do niego nie mrugnęła. Wtedy wsadził nos w księgę hotelową.

- Przepraszam, panie poruczniku, muszę coś przynieść - powiedział po chwili i znikł w drzwiach prowadzących na zaplecze.

J.T. spojrział pytająco na pana Sandersona, który wzruszył ramionami. Tymczasem recepcjonista pojawił się ponownie chyba z całą swoją rodziną: otyłą żoną i dwiema pulchnymi nastolatkami. Wszyscy stanęli jak zamurowani i wytrzeszczyli oczy. Aria podeszła do biurka.

- Macie jakieś widokówki w tym zamczysku? Nikt u mnie w domu nie uwierzy, że takie miejsce naprawdę istnieje.

Przechyliła się przez kontuar, zbliżając twarz do twarzy recepcjonisty.

- Co z wami, ludzie? - spytała zaczepnie. - Czemu wszyscy tak się na mnie gapią? Nie lubicie Amerykanów? Nie Jesteśmy dla was dość dobrzy? Myślicie...

J.T. chwycił ją za ramię i odciągnął.

- Siedź cicho, Kathy.

Recepcjonista zaczął powoli dochodzić do siebie.

- Proszę wybaczyć nasze niestosowne zachowanie. Wcale nie chcieliśmy się na panią gapić. Tylko że pani jest podobna jak dwie krople wody do naszej następczyni tronu.

Aria otworzyła usta ze zdumienia.

- Słyszałeś, słoneczko? - powiedziała, wymierzając J.T. solidną sójkę w zębra. - Dla nich wyglądam jak księżniczka.

Otyła żona recepcjonisty sięgnęła pod biurko i wyciągnęła przed siebie kartkę pocztową.

Aria wzięła od niej kartkę i zaczęła się przyglądać. Miała przed sobą oficjalny wizerunek jej wysokości księżniczki Arii. Skrzywiła się z rozczarowaniem.

- Bardzo ładne skały, ale widziałam lepiej wyglądające kobiety. Choćby nasza Ellie z barku na dole, nie, słoneczko? Ej, zaraz! Mówicie, że wyglądam jak ta nadęta królowka? To powiem wam, że byłam Miss Romansu Podwodnego w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym. Głosowało na mnie dwustu szesnastu marynarzy. Wszyscy chcieli mnie wziąć na podwodną przejażdżkę. - Popatrzyła na J.T. - Wcale nie jestem do niej podobna, nie, słoneczko? Ona wygląda jak żywcem wyjęta z niemego filmu.

J.T. otoczył ją ramieniem, wziął kartę z wizerunkiem księżniczki Arii i gniewnym ruchem odłożył ją na kontuar, mierząc przy tym urzędnika i jego rodzinę nieprzyjaznym spojrzeniem.

- Moja żona jest dużo ładniejsza od tej kobiety. Chodź, słoneczko, pójdziemy na górę. Będiesz mogła odpocząć i zapomnieć o tej zniewadze. - Kiedy prowadził ją na schody, wtulała się w jego męski tors.

Po wejściu do pokoju czekali w milczeniu, aż chłopiec hotelowy zostawi ich we troje. Pan Sanderson patrzył na Arię w osłupieniu.

- Gratulacje, pani Montgomery - odezwał się wreszcie. - Jest pani najbardziej nieznośną Amerykanką, jaką miałem przykrość spotkać.

Strzeliła gumą do żucia, jednocześnie szczerząc się w uśmiechu i porozumiewawczo do niego mrugając.

- Dzięki, wróbelku.

Pan Sanderson pozostawał w ich pokoju trzy godziny i przez cały czas mówił o powadze nadchodzących wydarzeń i znaczeniu powrotu Arii na tron. Mówił też, że Stany Zjednoczone potrzebują wanadu i baz wojskowych w Lankonii.

- Nasz plan jest następujący - przystąpił do szczegółów. - Zdejmujemy fałszywą księżniczkę i jej ciotkę lady Emere jutro, zaraz po ich powrocie z Ameryki, zanim ktokolwiek z rodziny zdąży zobaczyć księżniczkę Maude. Przypuszczam, że buntownicy, którzy podstawili Maude na miejsce księżniczki Arii, natychmiast nawiążą kontakt z waszą wysokością. Żeby jednak byli świadomi istnienia waszej wysokości, przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny oboje musicie się pokazywać publicznie tak często, jak tylko można. Po dokonaniu zamiany pańskie usługi, poruczniku, nie będą dłużej potrzebne. Księżniczka nie może wrócić do Pałacu z amerykańskim mężem. Ambasador i ja załatwiliśmy panu szybki powrót do Stanów Zjednoczonych. Skorzysta pan z niego natychmiast, gdy buntownicy skontaktują się z jej wysokością.

- Ale... - zaczęła Aria, chcąc powiedzieć, że porucznik Montgomery miał zostać w Lankonii jako jej mąż.

J.T. położył jej rękę na ramieniu.

- Czyli mamy dla siebie dwa dni - powiedział cicho.

- Tak - potwierdził pan Sanderson, spoglądając to na jedno, to na drugie. Ich zażyłość nie uszła jego uwagi.

- Obawiam się o jej bezpieczeństwo - powiedział J.T.. - Nie chcę, żeby była sama wśród wrogów. Ktoś już próbował ją zabić.

- Tak, ale teraz ten, kto tego próbował, będzie myślał, że jej wysokość jest Amerykanką. Mordercy są z pewnością przekonani, że prawdziwa księżniczka utonęła u wybrzeży Florydy. Mamy zamiar negocjować powrót fałszywej księżniczki z porywaczami, którzy skontaktują się z jej wysokością. Wyrobimy w nich przekonanie, że księżniczka Aria zniknie po powrocie podstawionej następczyni tronu. Ktoś jest przekonany, że prawdziwa księżniczka nie żyje, ale to wcale nie musi być ta sama osoba, która nawiąże kontakt z Kathy Montgomery.

J.T. wstał i z marszem na czole zaczął się przechadzać po pokoju.

- Nie wierzę, że autor planu podstawienia księżniczki jest taki głupi, jak wam się zdaje. Ona prędzej czy później się zdradzi. Moim zdaniem...

- Poruczniku - ostro przerwał mu pan Sanderson. - Pańskie usługi nie będą nam już potrzebne. Umieemy zapewnić opiekę jej wysokości.

Aria usiłowała zapanować nad swymi uczuciami, ale była bardzo zadowolona, że porucznik chce jej zapewnić ochronę, że troszczy się o jej bezpieczeństwo. Może był to kamuflaż. Może w

rzeczywistości chciał zostać z nią na zawsze. J.T. zaczął tymczasem wyglądać przez okno, odwróciwszy się do pozostałych dwojga plecami.

- My, to znaczy pan ambasador i ja - podjął pan Sanderson - uważamy, że powinniście urządzić publiczną kłótnię małżeńską. Potem, gdy buntownicy nawiążą kontakt z jej wysokością, będzie się wydawało naturalne, że pani Montgomery chce uczestniczyć w tej farsie bez męża.

J.T. nadal wyglądał przez okno.

- Tak, to się trzyma kupy - mruknął. - Idziemy na obiad? Mamy za sobą długi lot i chcielibyśmy wcześniej położyć się do łóżka.

Pan Sanderson odchrząknął.

- Dziś wieczorem powinniście zainscenizować kłótnię przy kolacji, głośną, publiczną wymianę zdań, po której jej wysokość ucieknie wzburzona do ambasady i tam spędzi noc. Musimy przekazać jej instrukcje i zapewnić kontakt z naszą ambasadą. Trzeba jeszcze rozpracować masę szczegółów.

- Czyli ja nie będę już dłużej potrzebny - powiedział J.T. i spochmurniał. Nie spojrzął na Arię. - Idę wziąć prysznic... jeśli uda mi się znaleźć łazienkę w tym miejscu. Potem pójdziemy na kolację i się pokłócimy. To powinno być łatwe. - Wyjął z walizki czystą bieliznę, wziął z wieszaka ręcznik i wyszedł z pokoju.

- Nie, nie, nie - powiedziała Aria do pana Sandersona, gdy tylko J.T. znalazł się za drzwiami. - Pan wszystko myli. Nie wolno nas rozdzielać. Amerykański rząd pomógł mi pod warunkiem, że osadzę Amerykanina na lankońskim tronie. Musimy pozostać małżeństwem, zresztą będzie lepiej, jeśli on zostanie. - Ogarniała ją lekka panika. Wciąż jeszcze miała przed oczami żywy obraz Ameryki i nie chciała go stracić. No, i nie chciała stracić tego mężczyzny, który potrafił wprowadzić ją w absolutnie rozkoszny stan.

Pan Sanderson przesłał jej spojrzenie rasowego dyplomaty.

- Naturalnie byliśmy poinformowani o tym aspekcie porozumienia waszej wysokości, ale to było porozumienie wojskowe, a nie dyplomatyczne czy polityczne. Nie sądzę, by można było rozważać osadzenie Amerykanina na lankońskim tronie. On nie wie absolutnie niczego o obowiązkach księcia małżonka ani o Lankonii. Z tego zaś, co słyszałem, w dodatku wcale nie chce zostać księciem małżonkiem. Nie zrobiłby nic dobrego, nawet gdyby jakimś dziwnym zrządzeniem losu naród lankoński przyjął zwykłego Amerykanina jako męża królowej. Wasza wysokość musi myśleć o Lankonii, a nie o... no, osobistych uczuciach.

Aria czuła, jak z każdą chwilą bardziej nasiąka Lankonią, zupełnie jakby ktoś otworzył okno i w pokoju robiło się coraz chłodniej.

- W rodzinach królewskich nie ma rozwodów - powiedziała cicho.

- Małżeństwo waszej wysokości zostanie anulowane - oświadczył pan Sanderson. - Zawarto

je pod przymusem, co uznają zarówno lankońska Rada Najwyższa, jak i władze Stanów Zjednoczonych. Ufamy, że wasza wysokość potrafi namówić króla do sprzedaży wanadu Stanom Zjednoczonym i że w ramach rewanżu za pomoc, jakiej waszej wysokości udzieliliśmy, możemy w przyszłości liczyć na zgodę w sprawie założenia baz wojskowych.

- Tak - powiedziała. - Stany Zjednoczone mi pomogły, więc okażę swą wdzięczność.

Twarz pana Sandersona zmieniała się.

- Przykro mi z powodu wszelkich nieprzyjemności, jakie waszą wysokość spotkały. Nie przyszło mi do głowy, że wasza Wysokość aż tak polubi porucznika Montgomery'ego w ciągu kilku tygodni. Mnie dano do zrozumienia, że anulowanie małżeństwa wasza wysokość powita z zadowoleniem.

- Kiedyś tak było - mruknęła. Podniosła głowę. - Pozwólcie nam spędzić ten czas razem, żebyśmy mogli się pożegnać. Możemy rozstać się w złości, gdy ktoś nawiąże ze mną kontakt. On powie, że żadna żona nie zrobiłaby czegoś takiego, a ja się zbuntuję. Potem będę mogła twierdzić, że wolę być księżniczką niż żoną. A małżeństwo można anulować, gdy znajdę się znowu na swoim miejscu.

- Tak, ale...

- Teraz chcę zostać sama. - Wypowiedziawszy te słowa, Aria uświadomiła sobie, ile czasu minęło, odkąd wydała ostatni rozkaz królewskim tonem.

- Tak jest, wasza wysokość - powiedział pan Sanderson, wstał i z nieznacznym ukłonem opuścił pokój.

Aria podeszła do okna i wyjrzała na wąską uliczkę. Spacerujący po niej ludzie wydali jej się bardzo starzy. W ich krokach nie było sprężystości. Dookoła nie dostrzegła żadnych dzieci. Z każdym rokiem coraz więcej młodych ludzi wyjeżdżało za granicę. Nie było tu przemysłu, nie było dla nich miejsc pracy, nie było nowoczesnej rozrywki.

Przyglądając się temu widokowi, nabierała coraz głębszego przekonania, że jest odpowiedzialna za tych ludzi. Rada Najwyższa stanowiła prawa, pracowała nad systemem wymiaru sprawiedliwości, ale zainteresowanie obywateli sprawami kraju należało do rodziny królewskiej. W ostatnim stuleciu rodzina królewska stała się turystyczną atrakcją. Spojrzała na swoją sukienkę, na jej sportowy krój. Ot, zwykła brązowa szmatka, bez żadnych diamentowych ozdób, królewskich insygniów. Zaczęła sobie przypominać, jak musiała się ubierać jako księżniczka. Każdego ranka trzy kobiety przez dwie godziny odziewały ją w szaty i układały jej włosy. I przez cały dzień się przebierała. Na rano miała inne stroje, na popołudnie inne, jeszcze inne na przyjęcia, na herbatki. Miała też długie, bardzo eleganckie suknie na oficjalne obiady.

Pomyślała o kalendarzu swych zajęć. Każdy dzień miała zajęty co do minuty. Od dziesiątej rano do szóstej po południu była wystawiona na widok publiczny. Odwiedzała przedsiębiorstwa, ścisła dłoni, odpowiadała wymijająco na pytania zahaczające o sprawy osobiste.

Odbywała też kilkudniowe podróże po Lankonii i wtedy odwiedzała jeden szpital za drugim, niosła pociechę niezliczonym umierającym dzieciom i ich rodzicom. Potem wieczorem prowadzono ją na jakiś długi, męczący bal, na którym ludzie odzywali się do niej drżącymi głosami.

Przed wyjazdem do Ameryki nie miała nic przeciwko tym obowiązkom. To samo robiła zawsze, odkąd skończyła edukację, do tego ją przygotowano. Ale teraz... Teraz potrafiła robić zakupy w sklepach, plotkować z przyjaciółkami, miała za sobą publiczny występ taneczny. Mogłaby stać się zupełnie normalną kobietą, która nie jest rozliczana z każdej minuty życia i każdego kroku.

Przypomniła sobie, że raz, gdy miała osiemnaście lat, włożyła na przyjęcie w ogrodzie suknię z głębokim dekoltem. Na przyjęciu jakiś mężczyzna zemdlał u jej stóp. Gdy się pochylała, żeby mu pomóc, wyrwał z ukrycia aparat fotograficzny, zrobił jej zdjęcie i uciekł. Następnego dnia wszystkie gazety w wolnym świecie pokazywały fotografię nieźle widocznego, ponętnego biustu księżniczki Arii, następczyni tronu Lankonii.

Takie miała życie. Żyła w szklanej klatce, każdy jej ruch rejestrowano i oceniano, a potem przedstawiano światu.

A mimo to zastanawiała się, czy nie zaproponować swemu amerykańskiemu mężowi dzielenia z nią takiego życia. Jaki byłby jako król? Czy wrzucałby dziennikarzy do basenów? Czy nazywałby ludzi w rodzaju hrabiego Juliana „hrabia Julią”? Czy jadłby obiady z ordynarnie wyglądającymi kobietami w publicznych miejscach? Czy pokazywałby się na oficjalnych obiadach w podkoszulku?

I Jak zareagowałyby na niego lankoński naród? Czy Amerykanin nie gardziłby pasterzami? Albo ludźmi pracującymi przy winobraniu?

Wszyscy Amerykanie zachowywali się tak, jakby wydawało im się, że ich kraj jest jedyny na Ziemi. Czy porucznik Montgomery potrafiłby odciąć się od Ameryki i wejść w skórę Lankończyka? Czy zadałby sobie trud nauczenia się języka?

Był przecież porywczy, niecierpliwy, nietolerancyjny. Pamiętała czas, który razem spędzili na wyspie. Teraz rozumiała częściowo, skąd brała się jego nietolerancja, jego złość, ale gdyby porucznik Montgomery miał zostać w Lankonii, obcowałby na co dzień z ludźmi, których drzewa genealogiczne wywodzi się od królów. Przy ich snobizmie Aria była zwykłą wieśniaczką. Jak ci ludzie potraktowaliby Amerykanina, człowieka z ludu? Wyobraziła sobie, jak porucznik Montgomery dusi kuzyna Freddiego jego własnymi perłami, co stałoby się niechybnie, gdyby tylko Freddie odważył się spojrzeć na porucznika z góry.

Należało też wziąć pod uwagę fakt, że porucznik nie chce być księciem małżonkiem. I tak nie bardzo się do tego nadawał, ale gdyby został księciem małżonkiem wbrew własnej woli, zachowywałby się jak wielki, rozpieszczony dwulatek.

Wzięła głęboki oddech i odwróciła się od okna. Pan Sanderson miał rację: koniec na tym. Jej swobodne, radosne amerykańskie interludium dobiegło kresu. Czas znowu poddać się swemu losowi. Urodziła się, by zostać królową, więc musiała nadal pełnić te obowiązki... nie, przyjmować zaszczyty.

Gdy J.T. wrócił do pokoju, mogła już wykrzywić usta w wąłym uśmiechu. Zmarszczył czoło.

- Rozumiem, że cieszysz się z powrotu do domu.

- Tak i nie. Zawsze będę miłą wspominać pobyt w Stanach. Dolly obiecała mnie odwiedzić, więc myślę, że nie stracę kontaktu z twoim krajem. Może i ty przyjedziesz w odwiedziny...

- Nie - przerwał jej ostro. - Czy nie możemy z tym skończyć? Pokłóćmy się wreszcie i kwita.

- Kłótnia przełożona. - Przyjrzała się jego twarzy. Aż do tego dnia myślała, że ich małżeństwo jest nierozzerwalne, teraz jednak zdała sobie sprawę, że to ich ostatnie wspólne godziny. - Jemy razem kolację i... razem spędzamy noc, a wkrótce ktoś na pewno nawiąże ze mną kontakt. Jutro musimy się pokazywać wszędzie, gdzie się da.

J.T. miał na sobie jedynie ręcznik owinięty wokół bioder. Wycierał włosy drugim ręcznikiem. Wyglądał tak atrakcyjnie, że Arię aż świerzbiły palce, by go dotknąć.

- Żałuję, że przełożono tę kłótnię - powiedział. - Muszę jak najszybciej wrócić do stoczni... - Urwał.

- Im szybciej się mnie pozbędziesz, tym lepiej, co?

Kolacja była jednym z najtrudniejszych do zniesienia posiłków, jakie Aria kiedykolwiek jadła. Czuła się jak idiotka, bo myśl o tym, że już nigdy nie zobaczy porucznika, przyprawiała ją o bezbrzeżny smutek, tymczasem on nie mógł się doczekać, kiedy się od niej uwolni. Zachowywał się chłodno i z dystansem. A ona musiała ukrywać swe uczucia i grać beznadziejnie głupią Amerykankę, gdy tylko jakikolwiek Lankończyk znalazł się w pobliżu.

- Chcesz siedzieć tak pośrodku sali? - spytała zdecydowanym tonem. - J.T., słoneczko, ci ludzie chcą się na mnie gapić. Chcą pokazywać mnie palcami i mówić, że wyglądam jak ta ich księżniczka z płaską gębą. Czy musimy tu siedzieć? Nie wiem, czy to wytrzymam.

- Tędy, proszę pani. - Nadęty kelner pokazał jej drogę do odosobnionego stolika w rogu.

- Co będziesz robił po powrocie? - spytała Aria, gdy zostali sami.

- Oglądał Buicki - odrzekł i spojrzał na nią kwaśno. - Pracował. Robił, co w mojej mocy, żebyśmy wygrali wojnę.

- Czy pozwolą ci zatrzymać nasz domek?

- Nie chcę go.

Aria uśmiechnęła się. Może i jemu było przykro z powodu rozstania.

- Będzie mi brakować Stanów i ciebie - szepnęła.

Popatrzył tępo na swój pusty talerz.

- Cieszę się, że znowu będę panem swojego czasu. Od Paru tygodni bardzo zaniedbuję pracę.

- Nie odpowiedziała. Przyniesiono im posiłek, lecz Aria w milczeniu.

- Będziesz się widywał z Heather? - spytała w końcu.

- Będę się spotykał z każdą kobietą, dostępną w południowo - wschodniej części Stanów. A ty? Wyjdiesz za mąż za swojego hrabcia?

- Też coś! - powiedziała, piorunując go spojrzeniem. - Czasem bywasz potwornie infantylny. Hrabia Julian jest jak najbardziej odpowiednim mężczyzną na księcia małżonka. Lepszym niż byłbyś ty.

- Lepszym niż byłbym ja? Więc pozwól, że ci powiem, dziecino: to twoje zadupie potrzebuje zastrzyku świeżej krwi. Mielibyście szczęście, gdybym z wami został, ale nie zgodziłbym się, nawet gdybyście przynieśli mi zaproszenie na platynowym półmisku. Dookoła toczy się wojna, tymczasem ludzie tutaj są tak pochłonięci swoimi małymi problemami, że nie dostrzegają problemów innych ludzi.

- Nie bierzemy udziału w tej wojnie, więc dlaczego ci się to nie podoba? - syknęła. - Wy, agresywni i gwałtowni Amerykanie, moglibyście wiele się nauczyć od naszego spokojnego, pokojowo żyjącego ludu. My nie mamy zwyczaju niszczyć siebie i innych wojennymi machinami.

- Bo wy w ogóle o nic nie walczycie. Po prostu pozwalacie, żeby świat się wami zajmował. Chcecie skorzystać na wojnie, sprzedając wanad, ale nie chcecie poświęcić swoich ludzi na żołnierzy.

- Nazywasz nas tchórzami? Nasze państwo założyli najwięksi wojownicy, jakich wydał świat. W osiemset siedemdziesiątym czwartym roku.

- A co mnie obchodzi wasza historia? Teraz jesteście bandą wyłudzczy w liberiach, pod wodzą marionetkowego króla.

Aria zerwała się i wymierzyła mu mocny policzek, po czym wypadła z sali jadalnej. Wybiegła z hotelu na ulice. Owionęło ją chłodne, ostre powietrze wieczoru. Ludzie przyglądali się jej, jakby widzieli ducha. Biegła przed siebie, nie mając pojęcia dokąd. Jej znajomość ulic Escalonu ograniczała się do jazdy w ceremonialnych powozach. Kiedy była małą dziewczynką, zdawało jej się, że stangret po prostu jedzie szlakiem różanych płatków i dojeżdża tam gdzie chce.

Skąd w ogóle przyszło jej do głowy, że ten człowiek mógłby być księciem małżonkiem? Jak mogła dopuścić, by rozkosze łoża zamąciły trzeźwość jej myślenia? Porucznik Montgomery był upartym jak osioł, nietolerancyjnym bigotem, właśnie tak, jak jej się od początku zdawało. Chciała nauczyć się amerykańskiego sposobu myślenia, przyswoić sobie amerykański punkt widzenia różnych spraw, ale on widział tylko koniec własnego nosa. Mieszkał w bardzo młodym kraju, tryskającym energią. Stany Zjednoczone pragnęły władzy i były gotowe na wszystko, żeby ją zdobyć. Jej kraj miał

za sobą wieki historii i poznał już wagę pokoju. Kiedyś, kiedyś jej przodkowie władali znaczną częścią Europy i Rosją. Jej ród był u władzy dlatego, że wychował najpotężniejszych, najbardziej bitnych wojowników.

A mimo to ten Amerykanin nazwał ich tchórzami! Wyłudzacami!

Szła przed siebie, przeklinając własną głupotę. W pewnej chwili na kogoś wpadła.

- Przepraszam - powiedziała, wciąż udając Amerykankę. Spojrzała prosto w oczy swego marszałka dworu. Był to arogancki człowiek, który oczekiwał, że przed jego przejściem ktoś zadba o to, by poddani się rozstąpili. Jego czarne oczy żarzyły się inteligencją.

Aria chciała, żeby ją zauważył i zapamiętał.

- Co, koleś, za wąski chodnik? - spytała. - Macie tu taki zwyczaj, że przewracacie kobiety na ulicach?

Marszałek dworu odsunął się od niej, jakby rozsiewała zarazę. Aria pochyliła się i dotknęła jego plakietki marszałka dworu.

- Ej, ty, masz coś wspólnego z królem? Co tam jest napisane? To po łacinie? My w Stanach uczymy się łaciny. Znasz księżniczkę? Ludzie tutaj mówią, że jestem do niej podobna. Mnie się nie wydaje, ale właściwie mogłabym pożyczyć od niej jakąś koronę i zrobić sobie zdjęcie. Ale byłyby jaja p o powrocie. Jak myślisz, koleś, ile księżniczka wzięłaby za Pożyczenie korony? A może zrobiłaby to za darmo, skoro Jesteśmy takie podobne? Co, gościu?

Marszałek dworu parsknął i szybko odszedł.

- Jak ty traktujesz obywateli Stanów Zjednoczonych? - Stała za nim, zakłócając spokój ulicy. - Przecież mamy twój kraj w kieszeni. Powinieneś być dla nas miły.

Ludzie gapili się na nią z okien i uchylonych drzwi.

- Złożę na ciebie skargę w ambasadzie amerykańskiej - powiedziała głośno, potem odwróciła się do osłupiałego przechodnia i zażądała informacji, jak dojść do ambasady.

Dotarła tam po północy i ze zdziwieniem stwierdziła, że we wszystkich oknach budynku palą się jeszcze światła. Ktoś musiał czuwać przy wejściu, bo drzwi otworzyły się, nim do nich doszła.

Wielka matrona, rozpaczliwie usiłująca zachować możliwe kształty z pomocą ciasnego gorsetu, wpadła do holu jak pług śnieżny i porwała Arię na schody.

- Och, biedaczko - powiedziała. - To znaczy, wasza wysokość. Co za koszmar być tutaj. Jak amerykański rząd mógł ci coś takiego zrobić? Oj, ty biedaczko.

- Co się stało? - spytała Aria, stając w wielkiej sypialni ze ścianami obitymi błękitnym jedwabiem i ciemniejszymi w odcieniu kotarami przy łożu. Amerykanie wyraźnie nie skąpili

funduszy na wyposażenie ambasad.

- Boże - zawodziła kobieta. - Wszystko się stało. Nie dostaliśmy dokładnych informacji o przyjeździe waszej wysokości, a że jest wojna, więc trudno było dostać potrzebne rzeczy. Ale udało mi się znaleźć dobrą koszulę nocną. Robiły ją francuskie zakonnice, wspaniale uszyta. Mam nadzieję, że się pani spodoba, chociaż na pewno nie jest takiej jakości, do jakiej wasza wysokość przywykła.

- Ale co się stało?

- Ten mężczyzna był tutaj, ten koszmarny człowiek, z którym zaślubił waszą wysokość rząd mojego kraju.

- Porucznik Montgomery? Czy on nadal tu jest?

- O nie, chociaż nie było łatwo się go pozbyć. Mój mąż, ambasador, usunął go, ale dopiero po czymś, co można nazwać tylko bijatyką w holu. Gołymi rękami stawiał opór czterem uzbrojonym strażnikom.

Aria usiadła na krawędzi łóża.

- Po co tu przyszedł?

- Chciał zobaczyć waszą wysokość. Nikomu nie wierzył, kiedy mówiliśmy, że pani tu nie ma. Okropnie się o panią martwiliśmy. Mój mąż nalegał, żeby ten człowiek opuścił ambasadę, ale on odmówił, stąd cała bijatyka.

- Czy coś mu się stało?

- Może ze dwa siniaki, ale nic poza tym. Mój mąż musiał mu w końcu obiecać, że za nie nie zostanie królem. To go trochę uspokoiło i wtedy razem poszli do gabinetu. Mam nadzieję, że strażnicy nie zrozumieli, o co chodzi. Tak trudno było utrzymać to wszystko w sekrecie. Pani ma być dla mnie kuzynką, a nie jej królewską wysokością. Mam nadzieję, że mi to pani wybaczy. Bardzo staraliśmy się stworzyć tu jak najlepsze warunki, ale mieliśmy tak mało czasu, że...

- Co pani mąż powiedział porucznikowi Montgomery'emu? - spytała Aria.

- Wyjaśnił, że umowa, jaką zawarła pani z armią Stanów Zjednoczonych, raczej nie miała szans na wprowadzenie w życie, więc bez względu na to, jak by się starał, nie zostałby królem.

Aria odwróciła wzrok od kobiety.

- Więc mu powiedziano - mruknęła.

- Mój mąż powiedział mu bardzo wyraźnie. Wybił mu z głowy samo pojęcie króla. Niby to mój rodak, ale żeby Amerykanin miał zostać królem, i to jeszcze taki jak on! Co za pomysł! Ten młody człowiek jest bardzo źle wychowany. Bójka na pięści w holu, widział to kto?!

- Chcę teraz zostać sama - powiedziała Aria.

Zaskoczona kobieta nagle zamilkła.

- Dobrze, wasza wysokość. Czy jest potrzebna pomoc przy rozbieraniu?

- Nie, tylko zostaw mnie samą - powiedziała podkreślając to życzenie wymownym gestem.

Gdy kobieta wyszła, Aria powoli się rozebrała i włożyła długą koszulę nocną pod szyję. Rzeczywiście, było to odzienie podobne do tych, które nosiła przez całe życie, nie miało nic wspólnego z Ritą Hayworth. Pomyślała o tym z żalem. Wyglądało na to, że z każdą minutą coraz bardziej zrywa ze Stanami Zjednoczonymi i wraca do Lankonii. Już zaczęła p o królewsku oddalać ludzi.

Weszła do wielkiego, pustego łóża i pomyślała o swym mężu. Musiał być bardzo zły po nowinach usłyszanych tego wieczora. Zасыpiając, usiłowała jeszcze odgadnąć, czemu tak naprawdę porucznik Montgomery przyszedł do ambasady.

J.T. w milczeniu wyglądał przez samochodową szybę. dowiedziano mu, że ma zjeść lunch z żoną, potem odbędzie wycieczkę po Escalonie, a potem odleci samolotem do Stanów. Początkowo go to rozeźliło, ale z upływem czasu złość nieco osłabła i nawet cieszył się, że plan uległ zmianie i wkrótce będzie po wszystkim. Wreszcie wróci do kraju i zajmie się czymś ważnym.

Wieczorem miał wyrzuty sumienia z powodu kłótni, w jaką się wdali. Wprawdzie podpisałby się pod każdym słowem, które wypowiedział, ale jednak chodziło o Lankonię, a nikt nie lubi słuchać niekorzystnych opinii o swym kraju. Poszedł więc do ambasady, żeby porozmawiać z Arią, lecz gdy tylko otwarły się drzwi, rzucili się na niego strażnicy.

Ledwie udało mu się wydostać z tego zamieszania, gdy powiedzieli mu, że za nic nie zostałby królem, nawet gdyby próbował uciec się do szantażu. Słuchał tego nabzdyczonego ambasadora przez dobre dwadzieścia minut, chociaż wszystko się w nim gotowało.

W czasie gdy ten bufon przybierał nienaturalne pozy i tłumaczył wszystko jak debilowi, J.T. zdołał zrekonstruować wydarzenia. Początkowo Aria obiecała armii Stanów Zjednoczonych, że osadzi na tronie Amerykanina, jeśli Stany Zjednoczone udzielą pomocy. Teraz jednak wycofała swe przyrzeczenie.

J.T. przeżywał swój gniew w milczeniu, czuł, jak zatruwa go jad. Pozwolił się wystrychnąć na dudka, uwierzył w historyjkę dla naiwnych. Miał ożenić się z nią niby po to, żeby na pewien czas zrobić z niej Amerykankę. Ha! To samo mogło zrobić stadko gęgliwych kobiet.

Podczas oracji ambasadora zrozumiał prawdziwy powód, dla którego „wydano go” za jej wysokość. Bez wątplenia miało to coś wspólnego z Warbrooke Shipping. W grę wchodziły też tartaki i stalownie rodziny Montgomerych. Taki majątek byłby bardzo użyteczny dla biednego, izolowanego kraju.

Ciekawe, czego ona zażądała, zastanawiał się. Najbogatszego dostępnego Amerykanina? Ależ z niego był głupiec. Myślał, że wybrano go, bo uratował jej królewską głowę. Był na nią wściekły, to prawda, lecz jednocześnie schlebiało mu, że wybór padł na niego. A tymczasem ona chciała po prostu jego pieniędzy. Nic dziwnego, że zgodziła się osadzić go na tronie u swego boku. Jej biedny kraj potrzebował fortuny Montgomerych.

Wstał.

- Idę i nie będę pana więcej niepokoił - powiedział ambasadorowi. - Transport do Stanów Zjednoczonych znajdę sobie na własną rękę. Niech pan pożegna ode mnie księżniczkę. Załatwię rozwód albo unieważnienie małżeństwa, co tam będzie potrzebne. - Odwrócił się do drzwi.

Ambasador zaczął się pieniać i powiedział, że J.T. musi im pomóc. Nie wolno mu wyjść z roli męża, dopóki nie zostanie zdjęta fałszywa księżniczka, a Aria nie zajmie swego miejsca. J.T. odparł na to, że ma dość gierki i kłamstw i że chce tylko wydostać się z tego kraju. Wtedy ambasador zmienił śpiewkę. Zaczął prosić całkiem uprzejmie, żeby J.T. pozostał na miejscu tak długo, jak Lankonia i Stany Zjednoczone go potrzebują.

- Macie pokazać się jutro razem na lunchu, potem znowu się pokłócicie i każde pójdzie swoją drogą. Jej wysokość odbędzie samotny spacer na wzgórze. Tam prawdopodobnie ktoś spróbuje się z nią skontaktować. Podczas obiadu kelner obleje was zupą. Oboje tak się tym zirytujecie, że spakujecie się i opuścicie Lankonię. Jej wysokość wysiądzie z samolotu sto pięćdziesiąt kilometrów stąd na południe. Pan, poruczniku, wróci do Stanów.

- Wydaje się pan cholernie pewny, że ktoś nawiąże z nią kontakt - powiedział J.T.

- Władze Stanów Zjednoczonych zapowiedziały nam, że jeśli w ciągu ośmiu dni nie doczekają się podpisu na dokumentach w sprawie sprzedaży wanadu, nasz kraj zacznie uważać Lankonię za wroga. Dokumenty nie zostaną jednak przekazane do czasu zamiany księżniczek, jestem więc Pewien, że doradcy króla zrobią wszystko, by ich władca nie dowiedział się o porwaniu wnuczki. Inaczej król mógłby okazać przesadne niezadowolenie i nie podpisać dokumentów. Albo co gorsza mógłby dostać kolejnego zawału serca.

- Wtedy dokumenty musiałyby podpisać lankoński rząd.

- Wanad znajduje się na terenach stanowiących bezpośrednią własność rodziny królewskiej.

J.T. czuł wewnętrzne rozdarcie. Chciał pomóc swemu krajowi i upewnić się, że wanad trafi we właściwe ręce, ale chciał też znaleźć się jak najdalej od tej całej intrygi. Przede wszystkim zaś chciał się znaleźć jak najdalej od Arii, kobiety, która zrobiła z niego kompletnego głupca. Wszystko, co było w Stanach: ich kochanie się na schodach, hamburgery z rusztu, przyjaźń z jego przyjaciółmi - wszystko to było po to, by zdobyć dla Lankonii jego pieniądze. Tyle fałszu!

- Zostanę w tym kraju jeszcze dwadzieścia cztery godziny i ani minuty dłużej.

Ambasador uśmiechnął się wątle i wyciągnął rękę, ale J.T. zlekceważył ten gest.

O ósmej rano do pokoju Arii podano herbatę w porcelanowym serwisie z Limoges. Przez cały ranek starano się jak najwierniej odtwarzać jej pałacowy rytm dnia. Aria czuła, że z powrotem przyzwyczajają się do dawnego życia. Zgodziła się na pomoc żony ambasadora w ubieraniu, odesłała do kuchni truskawki, narzekała, że nikt w nocy nie wyglansował jej pantofelków, zrugła pokojówkę za to, że nie wycisnęła jej pasty do zębów na szczoteczkę. Częścią ją czuła, że nie podoba jej się to dawne wcielenie, ale druga część zdawała się nie mieć nad tym władzy.

O dwunastej czterdzieści pięć prawie zbiegła ze schodów, niecierpliwie oczekując na spotkanie z porucznikiem Montgomerym. Gdy go zobaczyła, rozrywkowy nastrój ją opuścił; zaczęła przypominać sobie plażowe przyjęcia i muzykę orkiestry Tommy'ego Dorsey'a.

Ale na twarzy J.T. malował się ledwie hamowany gniew. Wciągnął Arię do sali konferencyjnej.

- Oszukałaś mnie - powiedział, piorunując ją wzrokiem. - To małżeństwo miało być na stałe.

Nie było potrzeby pytać, o czym porucznik mówi.

- Tylko pod takim warunkiem twój rząd był gotów mi Pomóc. Musiałam się zgodzić, że uczynię amerykańskiego węża księciem małżonkiem.

- Królem - burknął.

Popatrzyła na niego.

- Czyli okłamałaś i mnie, i ich. Ja zawsze sądziłem, że to małżeństwo niedługo się skończy.

Nie odpowiedziała.

- Kiedy zamierzałaś mi o tym powiedzieć, co? Pewnie którejś nocy w łóżku. „Aha, wiesz, będziesz musiał mieszkać w tym zapapranym kraju do końca życia. Zrezygnujesz z rodziny, morza, statków i tego wszystkiego, co miałeś w Stanach, za to będziesz mógł jeździć na dychawicznej szkapie, rozbijać się limuzyną sprzed trzydziestu lat i machać ręką do tłumów, które będą cię nienawidzić za to, że jesteś Amerykaninem”. Czy tego się po mnie spodziewałaś?

- W ogóle się nad tobą nie zastanawiałam. Myślałam tylko o swoim kraju.

- Myślałaś o tym, czego sama chcesz. No, więc dowiedz się, że jestem Amerykaninem i zamierzam nim pozostać. Nie chcę tu mieszkać i na pewno nie chcę być nakręcanym, marionetkowym królem. Nie zamienię wolności na życie w klatce. Wyjeżdżam dzisiaj do Stanów. Armia zawarła umowę z tobą, a nie ze mną. Zaraz po powrocie wystąpię o unieważnienie naszego małżeństwa. Będzie tak, jakby nigdy do niego nie doszło, a ty będziesz mogła nabrać innego durnia i zrobić z niego półkróla. - Chwycił ją za ramię. - Zróbmy, co do nas należy, i kończmy z tym.

Arię całkiem usztywniło, aż dziw, że nie złamała się w pół. Tylko dzięki wieloletnim ćwiczeniom zniosła długi, milczący powrót do hotelu i przejście do restauracji.

- Zdaje się, że marny się pokłócić - powiedział chłodno, gdy usadzono ich na miejscach.

- Nie mam nastroju do kłótni - odparła wyniośle.

- Czyli księżniczka znów stała się księżniczką. Pewnie zmęczyło cię udawanie Amerykanki. Znowu jesteś rozpaskudzoną bachorem, którego znalazłem na wyspie. Mam się przed tobą kłaniać? Całować cię w rękę? Szanowna pani, uważam, że za występ na Key West powinna pani dostać Oscara. Jeszcze trochę i będzie z tego kupa śmiechu. Zechce pani oczywiście opowiedzieć swoim dostojnym krewnym, jak zrobiła z nas pani idiotów i jak wszyscy uwierzyliśmy jej grze. Czy będzie pani pokazywać swoim utytułowanym krewniakom parodie Billa, Dolly i reszty naszego towarzystwa? I czy opowie pani nowemu mężowi o seksie, który musiała pani ze mną uprawiać, żeby wrócić do ojczyzny?

Początkowo Aria osłupiała. Trwało to jednak sekundy. potem poczuła, że musi się za wszelką cenę bronić.

- Kocham mój kraj tak samo jak ty swój, a człowiek robi to, co musi.

Spojrzał na nią złym wzrokiem.

- Tu ci się nie udało. Wracam dziś wieczorem do Stanów i natychmiast występuję o unieważnienie naszego małżeństwa. Nie tkniesz Warbrooke Shipping.

Nie miała pojęcia, o czym on mówi, ale nie zamierzała się z tym zdradzić.

- Dam sobie radę bez tego.

- Będziesz musiała, dzieciно.

- Wasza wysokość - poprawiła go, spoglądając na niego z góry.

Miał już coś na końcu języka, ale się nie odezwał, bo nadszedł kelner.

Aria zaczęła przeżuwać, jakby miała gumę w ustach.

- Więc wolisz tę tłustą, małą Heather Addison ode mnie - powiedziała głośno na użytek kelnera.

- Wolałbym kogokolwiek - odparł z zabójczą powagą w oczach. - Jesteś kłamliwą, pazerną na pieniądze suką, a poza tym gorszej kobiety w łóżku jeszcze nie miałem.

Aria nie musiała udawać łez w oczach.

- Naprawdę? - spytała szeptem.

- Naprawdę.

Z wolna wstała od stołu i wyszła z restauracji. Jej matka miała rację: nie wolno ufać ludziom nie ze swojej klasy. Gorzko żałowała, że pozwoliła sobie na tak swobodne zachowanie w obecności porucznika Montgomery'ego. Zobaczył taką Arię, jakiej nie widział nikt inny. Pozwoliła mu nawet na siebie patrzeć, gdy płakała.

Ambasador pokazał jej na planie miasta, gdzie ma iść. Wybrał miejsce, w którym będzie dobrze widoczna. Od Białej bocznej uliczki odchodziła ścieżka pasterzy, prowadząca zakosami na górę. Pantofle Arii nie nadawały się do takiej wspinaczki, ale wysiłek fizyczny dobrze jej robił. przyspieszyła kroku.

Zaskoczyło ją, gdy zza krzaka wyskoczył mężczyzna. Zdumiona, omal nie wykrzyknęła jego imienia. Był to trzeci sekretarz króla, milkliwy, cichy człowiek, na którego rzadko zwracano uwagę. I z pewnością nikt nie podejrzewałby w nim skończonego łajdaka.

- Zechce pani pójść ze mną, pani Montgomery?

- Mowy nie ma, koleś. - Odwróciła się i zrobiła krok w dół. Drogę zastąpił jej drugi człowiek. Pomocnik ochmistrza.

- To jest coś więcej niż prośba. - Wziął ją za ramię i pociągnął za sobą. Wydała okrzyk sprzeciwu, ale odeszła zbyt daleko, by ktokolwiek ją usłyszał.

Zaprowadzono ją do pasterskiej chaty. Tam do izby wszedł marszałek dworu. Aria ledwie powściągnęła wybuch gniewu. Temu człowiekowi dziadek zawsze ufał.

Marszałek dworu nie ukrywał swojej pogardy dla niej.

- Mam dla pani propozycję, pani Montgomery.

W dwadzieścia minut później Aria rozsiadła się wygodnie na swej ławie.

- Mówmy wprost Chcecie, żebym była waszą księżniczką?

- Tylko tymczasowo. Obawiamy się, że wiadomość o porwaniu wnuczki mogłaby zabić króla. To stary człowiek z chorym sercem, mógłby nie znieść tej nowiny. Nie będzie pani musiała niczego szczególnego robić, jedynie mieszkać w apartamentach jej wysokości i od czasu do czasu pokazywać się z daleka. Ogłosimy, że pani jest chora i nie może opuszczać swojej komnaty. Od czasu do czasu ktoś będzie do pani zaglądał, wtedy trzeba będzie odgrywać obłożnie chorą nieszczęśnicę. Ale większość czasu będzie pani miała dla siebie, na czytanie, słuchanie płyt i robienie tego, co robią Amerykanie. - Pogarda w jego głosie była wyraźna.

- Czyli mam być więźniem w kilku komnatach. Rozumiem, co wy z tego macie, ale co ja będę miała?

Marszałek dworu spojrział na nią drętwym wzrokiem.

- Pomoże pani staremu człowiekowi, który niedługo umrze. Poza tym jest pani potrzebna naszemu krajowi.

- Moje pytanie pozostaje aktualne. Co ja z tego będę miała?

Marszałkowi dworu błysnęły oczy.

- Nie jesteśmy bogatym krajem.

- Może będziecie w stanie zapłacić mi inaczej. Co z tytułem? Bycie księżną chyba by mi się podobało.

Urzędnik skrzywił się z odrazą.

- Księżna jest tytułem dziedzicznym. Może primadonna? Zwracano by się do pani „Gracjo”.

- No, wiesz pan! - zachłysnęła się Aria. - Primadonny to lubi mój mąż. Nie życzę sobie nic w tym rodzaju.

- W naszym kraju ten wyraz ma inne znaczenie. To jest wysoki tytuł honorowy.

Wstała.

- *Ciao*, panowie, czas na mnie. Miło mi było was poznać, ale nic się nie da zrobić. Nie chcę kiblować parę tygodni w kilku pokojach i udawać chorej.

- No, dobrze. Czym wobec tego mógłbym panią namówić?

Aria pomyślała chwilę i ponownie usiadła.

- Wiecie, nie dogadujemy się z mężem za dobrze. Więc właściwie mogłabym trochę pobyc księżniczką. Rozumiecie, nie? Nauczycie mnie, żebym gadała tak jak księżniczka, zachowywała się jak księżniczka, to może podłapię jakiegoś facia z błękitną krwią. Wtedy, jak wróci wasza prawdziwa księżniczka, będę mogła zostać żoną księcia albo innego hrabiego. Tak, hrabia by mi całkiem wystarczył.

Marszałek dworu nie ukrywał bynajmniej zgorszenia i odrazy.

- Dalej, chłopie, decyduj się - powiedziała Aria wstając. - Bo właściwie kto wie, co ty knujesz? Ten twój stary, chory król wie o tym? A amerykański ambasador? Jesteś pewien, że to czysta robota?

Marszałek dworu wyszedł z izby i po chwili zjawił się z damą do towarzystwa księżniczki Arii, lady Wertą.

- Czy to się da zrobić? Czy można ją wyćwiczyć, żeby mogła nie tylko spotkać się z rodziną jej wysokości, ale także wypełniać jej obowiązki? - spytał.

Lady Werta obdarzyła Arię protekcyjnym spojrzeniem.

- Niech pani wstanie - zakomenderowała. - I przejdzie kilka kroków.

Aria już miała na końcu języka reprimendę, chciała przypomnieć lady Wercie o manierach. Posłusznie jednak zrobiła, co jej kazano. Leniwym krokiem przemierzyła pokój, falując przy tym biodrami.

- Niemożliwe - stwierdziła lady Werta. - Całkowicie niemożliwe.

- No, coś ty, słoneczko? - powiedziała Aria. - Tylko popatrz. - Przeszła przez pokój w królewskiej pozie i stanęła tuż przed lady Werta. - Będiesz się do mnie zwracać „wasza wysokość”, nie inaczej. I nie będę tolerować u ciebie takich fatalnych manier. A ty - zwróciła się do marszałka dworu - masz stać w mojej obecności. Teraz niech ktoś przyniesie mi herbatę.

- Tak jest, wasza wysokość - odpowiedzieli chórem i spojrzeli wstrząśnięci na Arię, która wyszczerzyła się w uśmiechu i strzeliła balonem z gumy.

- Jestem aktorką. Umiem zagrać swoją rolę naprawdę dobrze.

- No, no - sapnęła lady Werta. - Może jednak można ją wyuczyć.

- Stara jędza - mruknęła Aria pod nosem. - No, co, dostałam rolę?

- Puczmy panią dwa dni i dopiero zobaczymy.

- Będziecie zdumieni, jak szybko się uczę.

- Zdaje się, że pani nie może mnie już niczym zdumieć. Może teraz porozmawiamy o szczegółach.

Aria siedziała absolutnie nieruchomo w swym hotelowym pokoju i czekała na J.T. Popołudnie było okropne. Jej przysposobienie do roli księżniczki zaczęło się natychmiast. Aria czuła się, jakby uczono ją regulaminu więziennego. Po kilku tygodniach w Stanach Zjednoczonych zapomniała o sztywnej etykietce i o poczuciu osamotnienia, jakiego doświadczała jako księżniczka. Dręczono ją zasadami, zasadami i jeszcze raz zasadami. Lady Werta wyrzucała z siebie jednym tchem niezliczone zakazy. Z każdym słowem tej przemądrzałej staruchy Aria czuła się bardziej księżniczką, a mniej panią Montgomery.

Lady Werta zapowiedziała, że nazajutrz przyjdzie z gorsetami i sprawdzi, czy pasują. Aria miała za sobą stanowczo za dużo uczciwych amerykańskich posiłków, żeby jej ciało zachowało poprzednie kształty.

Właśnie teraz gorzko żałowała, że nie może wrócić do Stanów i iść z Dolly do salonu piękności Ethel, a potem ugotować spaghetti dla J.T. na kolację.

Na myśl o J.T. zdrętwiała. Niechętnie przypomniawszy sobie, jak głęboko ją uraził. Stopniowo go polubiła, a tymczasem okazało się, że przez cały czas była dla niego zwykłą zarazą, nie: królewską zarazą.

Gdy drzwi się otworzyły i J.T. wszedł do pokoju, siedziała w wyuczonyj pozycji, którą mogła utrzymywać godzinami: plecy sztywne i absolutnie proste, oddalone od oparcia krzesła.

- Dobry wieczór - powiedziała oficjalnie.

- Mówi się „wasza wysokość” - odparł z gryzącą ironią, wyciągnął z szafy walizkę i otworzył. - Spakowałaś bagaż?

- Tak - powiedziała cicho. - Żony pakują bagaże mężów. Tego mnie nauczyłeś.

Nie odwrócił się. Ramiona miał przygarbione, jakby robił coś wbrew własnej woli.

- To chodźmy na dół, niech już będzie z tym koniec. Chciałbym jechać do domu.

Wstała jak królowa.

- Nawiazali z tobą kontakt? - spytał J.T., gdy schodzili ze schodów.

- Tak.

Wziął ją za ramię i przytrzymał.

- Posłuchaj. Czuję się za ciebie do pewnego stopnia odpowiedzialny. Niepokoi mnie, że oni mogą odkryć prawdę, dowiedzieć się, że jesteś prawdziwą księżniczką. Ktoś już raz próbował cię zabić, może spróbować znowu.

- Są tu ludzie, którzy mnie ochronią. Ludzie, dla których nie będę takim ciężarem jak dla ciebie.

Patrzył na nią długo i Aria wstrzymała dech, bo wyglądał tak, jakby zamierzał ją pocałować.

- Jasne. Wszystko będzie dobrze. Będziesz miała swój kraj i zasiądziesz na złotym tronie, bo rozumiem, że masz złoty tron.

- Tylko złocony.

- Co za szkoda. Dobra, dziecino, jedźmy nasz ostatni wspólny posiłek.

Aria miała wielkie trudności z utrzymaniem wizerunku Nieznośnej Amerykanki. Oboje czekali, aż kelner wyleje na nich zupę, żeby pokłócić się i wyjechać z Escalonu.

- Ambasada miała urządzić ci dzisiaj zwiedzanie Escalonu - powiedziała Aria. - Widziałeś coś ciekawego?

- Kraj, który żyje w dziewiętnastym wieku. Nie, może nawet bardziej w osiemnastym. O ile dobrze zauważyłem, najnowszym samochodem w mieście, nie będącym własnością Amerykanina, jest Studebaker z dwudziestego dziewiątego roku. Ludzie nawet nie mają studni, noszą wodę z rzeki. Rozumiałbym to w biednym kraju ludzi nie wykształconych, ale macie tu przecież szkoły, macie dostęp do nowoczesnych środków komunikowania.

- Ale nie mamy pieniędzy. Jesteśmy biednym krajem, bez żadnych zasobów z wyjątkiem wanadu. Gdy nie ma wojny, żyjemy z turystyki.

- Macie winogrona. Kłopot tylko w tym, że brakuje wody z powodu suszy.

- No, właśnie. Modlimy się o deszcz, ale...

- A czy słyszeliście w ogóle o nawadnianiu, tamach, studniach...

- Powiedziałaś ci, że nie stać nas na...

- Nie stać! Co ty mówisz? Dwie trzecie waszych mężczyzn całymi dniami siedzi po kafejkach. Piją kiepskie wino i jedzą ser z koziego mleka. Gdyby się ruszyli i trochę popracowali, może pomogliby temu biednemu krajowi.

- Nazwałeś nas tchórzami, a teraz zarzucasz nam do tego, że jesteśmy leniwi - syknęła.

- Widocznie skądś się to bierze, dzieciно.

- Rozumiem, że twój kraj jest dużo lepszy. Twoi rodacy poświęcają energię na budowanie bomb.

- A twój kraj tak kocha pokój, że jego obywatele porywają własną następczynię tronu i próbują ją zabić.

- A wy zabiliście Abrahama Lincolna.

- To było pokolenia temu. Nie mówmy już o tym. Chciałbym zjeść chociaż jeden posiłek w tym mieście, nie bojąc się niestrawności.

Zaczęli jeść w milczeniu, ale przełknęli zaledwie po parę kęsów, gdy kelner oblał J.T. zupą.

Wybuch J.T. był całkiem szczery.

- Mam tego dość! - krzyknął. - Bokiem mi wychodzi ten kraj i ci ludzie! Dziś wieczorem transportowy samolot będzie tu uzupełniał paliwo. Odlatujemy. - Chwycił Arię za ramię i pociągnął ją za sobą na schody.

- Głupio to wymyśliłeś - powiedziała, gdy znaleźli się w pokoju. - Lankonia nie może pozwalać na tankowanie żadnym samolotom wojskowym, bo jest neutralna. Nie możemy popierać żadnej ze stron w tej wojnie.

J.T. nie odpowiedział. Chwycił za dwie swoje walizki i zaczął wynosić je z pokoju. Przy kontuarze recepcji zostawił studolarowy banknot i wyszedł na dwór. W pobliżu czekała taksówka. Na gwizdek J.T. natychmiast podjechała. J.T. wsadził walizki do bagażnika.

- Na lotnisko - powiedział, niemal wpychając Arię na tylne siedzenie.

- Powinieneś był zmienić mundur - powiedziała cicho. - Cały jesteś w zupie. - Nie odpowiedział, zajęty wyglądaniem przez okienko. Aria była ciekawa, o czym rozmyśla.

Zdawała sobie sprawę, że J.T. jest dla niej ostatnim łącznikiem z wolnością, którą cieszyła się w Stanach Zjednoczonych. Usiłowała panować nad sobą i pamiętać, że robi to wszystko dla swego kraju. Za kilka tygodni obraz tego człowieka prawie zatrze się jej w pamięci, a jeśli cokolwiek z niego pozostanie w jej wspomnieniach, to tylko ordynarny, bezczelny typ. I jeszcze ten koszmarny tydzień na wyspie, podczas którego cisnął jej rybę na kolana. Z pewnością zapomni, jak obejmował ją w nocy, nie będzie też zachowywać w pamięci tego popołudnia, gdy przyrządziła mu hamburgery na podwórzu, ani tego, co działo się wieczorem, po tańcach z jego matką.

- Jesteśmy na miejscu. Wsiadasz?

Aria w milczeniu przeszła do samolotu. Na pokładzie spotkali pana Sandersona, który siedział tam z plikiem papierów na kolanach. Natychmiast po odlocie zaczął mówić. Samolot będzie lądować przymusowo z powodu kłopotów z silnikiem około stu pięćdziesięciu kilometrów na południe od stolicy Lankonii i tam J.T., z Arią się rozstaną. Aria miała pozostać w Lankonii i wrócić do Escalonu pasterskim wózkiem tak, żeby zdążyć na poranne spotkanie z marszałkiem dworu.

- Nie mamy pojęcia, czy to ten właśnie człowiek zarządził zamach na księżniczkę Arię - powiedział pan Sanderson. - Marszałek dworu może po prostu reagować na porwane kobiety, którą uważa za prawdziwą księżniczkę. Lady Werta musi coś wiedzieć. Jest za blisko księżniczki, żeby było inaczej.

Ledwie samolot wystartował, już znowu dotknął ziemi. Pan Sanderson wyjrzał przez okienko.

- Pasterz czeka, wasza wysokość. To jeden z naszych ludzi. Postara się, żeby podróż była jak najmniej uciążliwa. W tylnej części wózka zrobiono łóżko. Mam nadzieję, że wasza wysokość będzie mogła zasnąć.

Pan Sanderson stanął przy drzwiach, ale J.T. nadal siedział na swoim miejscu i wyglądał na zewnątrz.

Aria wyciągnęła rękę do J.T.

- Bardzo dziękuję za pomoc, poruczniku Montgomery. Dziękuję za uratowanie życia i bardzo przepraszam za wszystkie kłopoty i niewygody, które na pana sprowadziłam. Proszę powtórzyć Dolly, że napiszę do niej, jak tylko będzie to możliwe.

J.T. błyskawicznym ruchem zamknął ją w objęciach, posadził sobie na kolanach i zajął namiętym pocałunkiem. Przyłgnęła do niego z całej siły. Miała ochotę błagać go, by jej nie

opuszczał.

- Do widzenia, księżniczko - szepnął. - Powodzenia.
- Dziękuję - szepnęła uświadamiając sobie, że porucznik czuje zupełnie co innego niż ona.
- Wasza wysokość - powiedział ze zniecierpliwieniem pan Sanderson. - Musimy iść.

Wstała z kolan J.T.

- Ja też życzę panu wszystkiego najlepszego - powiedziała oficjalnie i wysiadła.

W kilka minut później była ukryta w zatęchłym pasterskim wózku. Nieustanne wstrząsy uniemożliwiały jej sen. Skończyło się, powtarzała sobie bez końca. Od tej pory musiała patrzeć przed siebie. Zapomnieć o swym amerykańskim mężu. Od tej pory wolno jej było myśleć tylko o swym kraju.

Może będzie mogła szybko wziąć ślub z Julianem. Hrabiego przygotowano do roli króla. Mimo że w jego kraju monarchię zniesiono w 1921 roku, ojciec wychował go na władcę. Między innymi dlatego dziadek wybrał jej takiego męża.

Wcisnęła się w słomę. Tak, Julian był człowiekiem, na którego powinna patrzeć z nadzieją. Był przystojny, znał wagę obowiązku, a do tego miał przygotowanie do objęcia tronu. On znał zasady protokołu. Wiedział, że ma iść dwa kroki za swą królewską żoną.

Przez chwilę Aria wyobrażała sobie J.T. jako księcia małżonka. Ubrani w ceremonialne szaty wchodziliby właśnie na schody, prowadzące do budynku Rady Najwyższej, gdy J.T. poczułby nagle zniecierpliwienie, bo tego samego popołudnia odbywałby się mecz kierowanej przez niego ligi baseballowej dla dzieci, z udziałem ich synów. Chwyciłby więc Arię za rękę i wciągnął ją do budynku.

Co za absurd, pomyślała, ale uśmiechnęła się na myśl o synach.

Nie, wykluczone! Miała zostać królową, a nie amerykańską panią domu. Nie wolno jej było pozwolić sobie na męża, który nie wiedział niczego o obowiązkach i odpowiedzialności. Musiała się skupić na księciu Julianie. Przypomniła sobie ich jedyny pocałunek. Zastanowiło ją, czy Julian jest zdolny do czegoś więcej. Przed wyjazdem do Ameryki nie zdawała sobie sprawy z drzemiącej w niej namiętności, więc nie miała sposobu, żeby ocenić Juliana. Postanowiła sprawdzić, jak zachowywałby się nie tylko jako księżę małżonek, lecz również jako mąż.

Przed świtem zrobiła się senna. Jak buduje się tamę? - rozmyślała. Jak nawadnia się plantację na zboczach gór? Może Julian będzie to wiedział. Albo może najmie do pomocy amerykańskiego inżyniera. Zasnęła.

Poruczniku - odezwał się pilot - Wygląda na to, że naprawdę coś jest nie tak z silnikiem. Mamy jeszcze parę minut do odlotu, więc jeśli pan chce, może pan rozprostować kości.

- Jasne - mruknął J.T. i wyskoczył na zewnątrz.

Było ciemno, ale księżyc świecił jasno. J.T. poszedł na koniec pasa startowego, przyglądając się skąpej górskiej roślinności. Zapalił papierosa i mocno zaciągnął się dymem. Szukał czegoś, co mogłoby go uspokoić.

Nigdy nie pragnął niczego bardziej, niż odlecieć z tego kraju, znaleźć się o setki kilometrów od swojej księżniczki.

- Jaka tam moja księżniczka? - burknął pod nosem i przydeptał niedopałek papierosa.

- Pan pójdzie ze mną - powiedział ktoś za jego plecami.

J.T. odwrócił się i zobaczył uzbrojonego człowieka. Nie dyszał, jak mężczyzna podchodził. W oddali rozległ się odgłos samolotowych silników.

- Pan pójdzie ze mną, poruczniku Montgomery - powtórzył mężczyzna.

- Muszę wsiąść do tego samolotu. - J.T. chciał odepchnąć napastnika, ale z krzaków wyłoniło się trzech jego kolegów z bronią gotową do strzału.

- Musi pan iść z nami.

J.T. potrafił ocenić, kiedy opór nie ma sensu. Dwaj mężczyźni szli przed nim, dwaj z tyłu. W ich towarzystwie dotarł do czarnego samochodu ukrytego w mroku. Już siedząc w środku ujrzał odlatujący samolot.

- Niech ją szlag trafi! - prychnął, był bowiem przekonany, że to, co go teraz czeka, jest bezpośrednim następstwem znajomości z księżniczką Arią.

Jechali trzy kwadranse. Wreszcie dotarli do dużego, kamiennego domu, otoczonego potężnymi drzewami.

- Tędy - powiedział jeden z uzbrojonych mężczyzn.

Wnętrze domu było oświetlone setkami świec stojących w zabytkowych, srebrnych kandelabrach. Z sufitu zwieszały się flagi, ściany były obite zakurzonymi tkaninami.

Jeden ze strażników wpuścił porucznika do jakiegoś pomieszczenia, a potem zamknął za nim drzwi. Minęła dłuższa chwila, nim oczy J.T. przywykły do nowego miejsca. Cały pokój był ciemny, tylko w głębi paliło się światło.

Za stołem siedział potężny, siwowłosy mężczyzna. Przed nim stały srebrne półmiski z jedzeniem. Za obitym tkaniną masywnym krzesłem z wysokim oparciem stał drugi mężczyzna, wysoki i żylasty.

- Proszę, niech pan wejdzie i usiądzie - odezwał się pierwszy z nich. - Czy coś pan jadł?

- Nie lubię, kiedy ktoś mi rozkazuje, trzymając mnie na muszce - burknął J.T. i nadal trwał na swym miejscu.

- Nikt nie lubi, ale w czasie wojny trzeba znosić różne pożałowania godne maniery. Mam tu cielęcinę, zająca, pasztet i trochę waszej amerykańskiej wołowiny. Jest też przepiórka, którą osobiście ustrzeliłem. Przypuszczam, że pan nie jadł obiadu.

J.T. przysunął się do stołu. Mężczyzna miał prawdopodobnie pięćdziesiąt kilka lat, ale siłą i sylwetką sprawiał wrażenie młodszego. Był bardzo mocnej budowy ciała. J.T. walczył z pokusą, by spytać go, czy dla rozrywki nie skręca karku bykom.

- Ned - powiedział nieznajomy - nalej naszemu Amerykaninowi trochę wina.

J.T. wzruszył ramionami, usiadł i zaczął nakładać sobie mięso na talerz.

- Co jest takie ważne, że aż musiałem przez te wysiąść z samolotu?

- Pański prezydent i ja chcemy prosić pana o przysługę.

J.T. znieruchomiał z kęsem wołowiny na widelcu.

- Roosevelt? - Spojrzał na mężczyznę bardzo badawczo. - Kim pan jest?

- Tak się składa, że królem tego kraju.

J.T. przyglądał mu się jeszcze przez chwilę, a potem zaczął jeść.

- Słyszałem, że pan leży na łożu śmierci, ale na moje oko nie jest pan ciężko chóry.

- Do jego wysokości należy zwracać się z odpowiednim szacunkiem - burknął żyłasty człowiek, stojący za krzesłem.

- Ned bardzo o mnie dba - wyjaśnił król z uśmiechem. - Ale nie sądzę, żebyśmy chcieli uczyć Amerykanina poddańczego zachowania. Rozumiem, że moja wnuczka jest w drodze do Escalonu, gdzie zajmie należne jej miejsce.

J.T. nie odpowiedział. Król podobno nie wiedział niczego o perypetiach wnuczki, najwyraźniej jednak było inaczej. Mimo to J.T. nie zamierzał odkrywać kart i zdradzać królowi więcej ponad to, co władca Lankonii już wie.

- Może wyjaśni mi pan to i owo - powiedział w końcu.

- Zgoda - odrzekł król. - Kłopoty zaczęły się zaraz po rozpoczęciu przez moją wnuczkę wizyty w Stanach Zjednoczonych. Porwano ją i próbowano zastrzelić, prawdopodobnie na zlecenie kogoś z Lankonii. O ile wiem, uratował ją Pan z narażeniem życia. Jestem panu za to do zgonnie wdzięczny.

- W porządku.

- Z pańską pomocą moja wnuczka zwróciła się do władz Stanów Zjednoczonych o pomoc w odzyskaniu tronu. Armia Pańskiego kraju nalegała na jej ślub z Amerykaninem i osadzenie go obok niej na tronie. Sądzę, że chodzi o założenie amerykańskich baz wojskowych w Lankonii.

- Między innymi.

- Ano tak - powiedział król. - Jest jeszcze wanad. Ale Aria już się zgodziła sprzedać go Stanom Zjednoczonym. Czy jak dotąd się nie mylę?

- Jeszcze mnie pan nie znudził.

Król uśmiechnął się.

- Na męża wybrano pana. Po obejrzeniu pańskiego drzewa genealogicznego muszę stwierdzić, że jak na Amerykanina ma pan całkiem niezłych antenatów.

J.T. nie odpowiedział; dalej spokojnie jadł.

- Mieszkaliście we dwoje na Key West. Pan miał tam przydział wojskowy, a moja wnuczka uczyła się zachowywać jak Amerykanka. Musi pan opowiedzieć mi o tym zdjęciu Arii i pana matki, które ukazało się w „Key West Citizen”. Pani Montgomery wydaje się wspaniałą kobietą.

- Dobrze wyszła za męża. Czy mógłby pan się trochę pośpieszyć? Chciałbym wrócić następnym samolotem do domu. Toczy się wojna, mam swoje zadania i nie stać mnie na dalszą zwłokę.

- Zadania? Ano tak. Jeszcze wina, poruczniku? - spytał król i dał znak Nedowi, żeby napelnił kieliszek. - Moja wnuczka właśnie wraca, żeby z pomocą tego ważniaka, ambasadora Stanów Zjednoczonych, zająć miejsce następczyni tronu. I znowu jej życie znajdzie się w niebezpieczeństwie.

J.T. przestał jeść.

- Powiedziano mi, że będzie miała ochronę.

- A komu mogę zaufać? Obecny tu Ned jest jedyną osobą, która bez wątplenia nie ma nic wspólnego z tą intrygą, ale on siedzi ze mną. Nie mogę ufać ani doradcom Arii, ani krewnym, ani nawet jej damom dworu.

- Czy nie może pan się dowiedzieć, kto podstawił fałszywą księżniczkę? Tę kobietę porwano. Może będzie się pan mógł czegoś od niej dowiedzieć.

- Sam wysłałem ją do Stanów Zjednoczonych - odrzekł król. - Kiedy prezydent przekazał mi wiadomość, że moją wnuczkę porwano, natychmiast zorientowałem się w niebezpieczeństwie. Groziło mi wciągnięcie Lankonii w wojnę. Dlatego wyprawilem Neda na południe po kuzynkę Arii, która oprócz jakichś dwudziestu kilo ekstra jest do niej bardzo podobna. Kuzynka natychmiast odleciała do Ameryki z zadaniem odegrania Arii.

- Aria powiedziała mi, że wiadomość o jej porwaniu mogłaby pana zabić.

Król zjrzał do swojego kieliszka.

- Jestem twardszy, niż jej się zdaje. Obowiązek i królestwo idą najpierw, sprawy osobiste dopiero potem.

- Ona jest taka sama jak pan.

Król uśmiechnął się.

- Wasze kłótnie są dobrze znane, i w Stanach Zjednoczonych, i w Lankonii. Aria jest świetną aktorką, prawda?

- Czego ode mnie chcecie? - spytał J.T.

- Żeby pan został w Lankonii.

- Za nic - odparł J.T. wstając. - Chcę się znaleźć jak najdalej stąd. Mój kraj toczy wojnę, jestem tam potrzebny.

- Już pana zastąpiono.

- Niewielu ludzi wie o okrętach tak dużo jak ja - powiedział J.T. - Niełatwo mnie zastąpić.

- A co pan sądzi o Jasonie Montgomerym? Dwa dni temu przejął pańskie obowiązki. Da sobie radę?

J.T. z wrażenia usiadł. Stryj Jason był najmłodszym bratem jego ojca. J.T. marzył, żeby kiedyś wiedzieć tyle o okrętach co on.

- Całkiem dobrze. Kto pomaga ojcu prowadzić Warbrooke Shipping?

- Matka i jeden z pańskich braci, który leczy się z ran. Woli dochodzić do siebie siedząc za biurkiem, niż leżeć w wojskowym szpitalu.

- Zdaje się, że pan cholernie dużo wie - warknął gniewnie J.T.

Król uniósł rękę, żeby powstrzymać niechętną reakcję Neda.

- Od kilku tygodni bardzo się interesuję panem i pańską rodziną. Chciałem zdobyć pewność, że mogę panu ufać.

- Na pańskim miejscu nie ufałbym absolutnie nikomu. Nigdy nie widziałem takiego gniazda intryg.

- Owszem i właśnie dlatego chcę, żeby w pobliżu mojej wnuczki znajdował się ktoś, kto na

pewno nie macza palców w tych brudnych machinacjach.

J.T. upił łyk wina.

- Czy powie mi pan, po co komu wpływy w tym zacofanym kraju? Czy wanad jest taki cenny?

- Wanad nie, ale uran tak - odrzekł spokojnie król. - Tuż po wybuchu wojny okazało się, że w Lankonii są pokłady uranu. Natychmiast zrozumiałem, że jeśli wiadomość o tym się rozniesie, to wplączę kraj w wojnę, bo obie strony będą chciały zyskać dostęp do uranu. Starłem się więc za wszelką cenę utrzymać odkrycie w tajemnicy. Najwyraźniej jednak ktoś się dowiedział i chce przejąć władzę. Ten człowiek widocznie wie, że Arii nie można łatwo narzucić swojego zdania, dlatego chciał się jej pozbyć.

- Kto wobec tego zostaje? Nie wyobrażam sobie, żeby pan ustąpił bez walki.

- Byłem prawdopodobnie następnym na liście. Królową zostałyby moja wnuczka Eugenia, młodsza siostra Arii, którą, co z przykrością stwierdzam, dość łatwo byłoby sterować.

- Nie domyśla się pan, kto pragnie śmierci Arii?

- Każdy z pewnej grupy osób. Chcę, żeby pan został w Lankonii i się tego dowiedział, a w najgorszym razie zapewnił jej ochronę.

- Ona jest stanowczo zbyt uparta, żeby ją chronić. Widzi pan, to nie jest moja walka. Mój kraj toczy wojnę, więc skoro nie jestem potrzebny na Key West, to równie dobrze mogę dźwigać karabin jak każdy inny mężczyzna.

- Ale tego tutaj nie może zrobić każdy mężczyzna. Powiedziałem prezydentowi pana kraju, że jeśli odda mi pana do dyspozycji, to sprzedam uran Stanom Zjednoczonym. - Król wręczył porucznikowi kopertę, opatrzoną nagłówkiem „Ścisłe tajne”.

J.T. otworzył ją nader niechętnie, wiedział bowiem, co zawiera. W liście prezydent Franklin Roosevelt prosił go o pozostanie w Lankonii i pomoc w tej trudnej sprawie. Przekonywał, że J.T. lepiej pomoże swemu krajowi będąc w Lankonii niż w Stanach Zjednoczonych.

- Czemu nie poprosi mnie, żebym poszedł na front? - wymamrotał J.T. składając list.

Król przystąpił do jedzenia winogron.

- Czy mogę spytać, czemu to zadanie budzi w panu taką niechęć? Będzie pan mieszkał w pałacu, w pięknym otoczeniu. Najbardziej uciążliwym pana obowiązkiem będzie towarzyszenie mojej wnuczce podczas porannej konnej przejażdżki. Będzie pan jadł, czego dusza zapagnie. Dlaczego woli pan zginąć od kuli?

- Bo nie chcę znowu oglądać na oczy pana wnuczki, ot co. Jest rozpaskudzoną dzieciuchą, który traktuje ludzi jak zabawki. Mam jej dość.

- Rozumiem. A więc z powodów osobistych. Czyli Amerykanie przedkładają sprawy osobiste nad obowiązek wobec kraju.

- Wcale nie. Tylko że... - J.T. urwał. - Ojczyzna znaczy dla mnie więcej. Chcę jej pomóc tak, jak umiem.

- Wobec tego niech pan zostanie i zapewni ochronę mojej wnuczce - powiedział król. - Nie jestem przyzwyczajony do ustawicznych próśb, ale teraz bardzo pana o to proszę. Dla pana ona może być kłopotliwa, ale dla mnie stanowi największą radość w życiu. Jest dobra, pełna ciepła i miłości, a poza tym w jej rękach leży przyszłość naszego kraju. Przykro mi, że pan widzi ją w inny sposób niż ja.

- Ona potrafi być całkiem w porządku - przyznał opornie J.T., bawiąc się widelcem. Nie chciał znów widywać Arii dzień w dzień. - Jak mógłbym to zrobić? To znaczy, jak mógłbym się znaleźć w jej kręgu towarzyskim, gdybym zgodził się zostać?

- Bez żadnych przebrań. Mogliśmy się spotkać, kiedy pański samolot przymusowo wylądował dla dokonania naprawy. Polubiłem pana i zatrudniłem jako doradcę w sprawach technicznych. Albo na przykład pański prezydent mógł pana delegować do nadzoru nad realizacją umowy w sprawie wanadu. Pańska żona oczywiście wróciła do Stanów Zjednoczonych. Tak czy owak nie miałby pan żadnych obowiązków oprócz sprawowania ochrony nad moją wnuczką. Mieszkałby Pan tutaj otoczony szacunkiem i wygodami.

- A co z ludźmi, którzy sądzą, że Aria to Kathy Montgomery?

- Będą przeklinać los, który zesłał ich na drogę wtrącającego się do wszystkiego starego króla.

J.T. przez chwilę siedział w milczeniu, manipulując jednym z pięciu widelców spoczywających po lewej stronie Jego talerza.

- Nie pozostaje mi nic innego, jak wszędzie chodzić za Pana wnuczką. Chcę wprowadzić parę zmian w tym kraju.

Wyraz twarzy króla od razu się zmienił. Sympatycznego, starego człowieka zastąpił potomek wielu pokoleń wojowników.

- Jakie zmiany ma pan na myśli?

- Nawodnienie. Tamy. Chciałbym przynajmniej pod pewnymi względami wprowadzić ten kraj w dwudziesty wiek.

Król wydawał się zaskoczony.

- Zna się pan na tym? To wspaniale. Naturalnie może pan pomóc parobkom tak, jak pan chce.

- Parobkom? Nikt ich nie uwolnił? - spytał ironicznie J.T.

- Ależ są wolni, oczywiście. To tylko takie słowo. - Król zamilkł na chwilę. - Poruczniku Montgomery, chcę pana o coś spytać. Generał Brooks meldował o tym osobiście prezydentowi. Opisał moją wnuczkę tak, jak ją zastał w waszym domku na Key West. Czy to możliwe?

J.T. uśmiechnął się na wspomnienie tamtego popołudnia. Niemal słyszał ryczące radio.

- Włosy w papilotach, dzinsy, moja koszula, obok chrypiące na cały głos radio, a ona przyrządza hamburgery z rusztu i tańczy? - spytał.

- Tak - potwierdził król z niedowierzaniem. - Nigdy jej tak nie widziałem. Jej matka, żona mojego syna, zawsze pamiętała, że Aria któregoś dnia zostanie królową, i wychowywała ją tak, żeby nie znała żadnych uczuć, a w każdym razie ich nie okazywała. Niech pan mi powie, czy pan kiedykolwiek widział ją płaczącą?

- Tylko raz.

Król przez chwilę przyglądał się J.T. w zamyśleniu.

- Pozwoliła panu zobaczyć coś takiego? Nie miałem pojęcia, że byliście ze sobą tak blisko.

- Są dwie Arie. Jest moja żona, która potrafi... - J.T. uśmiechnął się. - Która potrafi być do rzeczy. No, i jest księżniczka Aria, sztywniaczka w gorsecie zasad. Tej Arie nie mogę znieść, a w Lankonii Aria z każdą sekundą coraz bardziej staje się babą, którą poznałem na wyspie.

Król zapatrzył się w zawartość kieliszka.

- Może mógłby jej pan pokazać, jak być w mniejszym stopniu... jak pan to ujął? Sztywniaczka w gorsecie zasad?

- To nie robota dla mnie - powiedział J.T. odsuwając krzesło. - Jestem tutaj, żeby zapewnić jej ochronę i pomóc w modernizacji kraju. Jak dla mnie może sobie pozostać sztywniaczka. Jestem dzięki temu bardziej bezpieczny. Kiedy jest taka, nie grozi mi, że się zaangażuję uczuciowo.

- Obawia się pan zaangażować? - spytał cicho król.

- Owszem. Trudno mi było powiedzieć jej do widzenia pierwszym razem, przy następnej okazji byłoby jeszcze gorzej.

- Rozumiem. Ale oczywiście następna okazja jest nieunikniona. Rząd Stanów Zjednoczonych powinien być przyjrzeć się lankońskiemu prawu. Amerykanin bez tytułu nie może być małżonkiem królowej. Musiałaby abdykować. Chyba że upomniałby się o pana naród lankoński, w co szczerze wątpię.

- Ona nie abdykuje, a nawet gdyby chciała, nie pozwoliłbym jej na to. I miło mi słyszeć, że nie mogę być królem, zresztą nawet gdyby ktoś mi złożył taką propozycję, nie przyjąłbym tego stanowiska. A teraz może ktoś wskaże mi sypialnię, chyba że mam spędzić noc w lochu, razem z innymi więźniami.

Król skinął głową na Neda, który pociągnął za sznur przy ścianie. Natychmiast otworzyły się drzwi i weszło czterech strażników.

- Proszę zaprowadzić porucznika Montgomery'ego do czerwonej sypialni - polecił król.

Gdy J.T. odszedł, odezwał się Ned.

- Ten człowiek nie panuje nad swym językiem. Nie jest godzien dotknąć sukni jej wysokości.

Król opadł na oparcie krzesła i uśmiechnął się.

- Jest lepszy, niż się spodziewałem. Postaraj się być dla niego miły, Ned, bo jeśli postawię na swoim, to ten człowiek będzie następnym królem Lankonii. - Roześmiał się, widząc, że Ned prawie słuwa z obrzydzeniem.

Nie, nie, nie! - zaskrzeczała lady Werta. - To jest kuzyn w siódmym pokoleniu, dwudziesty ósmy w kolejności do tronu.

Aria przygryzła bok języka tylnymi zębami, z nadzieją, że ból przypomni jej, iż należy zachować spokój. Nie spała całą noc z powodu niewygód w pasterskim wózku, tymczasem lekcje zaczęły się od szóstej. Była już czwarta po południu i Aria dość dawno przekroczyła próg wytrzymałości. Rano bez końca ćwiczyła chód. Najpierw udawała Amerykankę, która usiłuje wcielić się w księżniczkę, ale zmęczyła się i chciała, żeby wreszcie pozwolono jej usiąść, więc zaczęła prezentować chód następczyni tronu.

Ale dla lady Werty nawet to nie wystarczyło. Powiedziała, że prawie dobrze, ale chód księżniczki Arii jest o wiele bardziej królewski, a pani Montgomery nigdy nie uda się z powodzeniem Wejść w tę rolę.

Pierwszy raz Aria spotkała się z uprzedzeniem. Przestała grać, starała się po prostu być sobą, ale lady Werta wciąż oceniała ją negatywnie. Potem dama dworu pokazywała fotografie ludzi ostatnio widzianych przez Arię w dzieciństwie, szybko mówiła jej, kto jest kim, a potem tasowała fotografie i żądała od Arii poznawania dalekich krewnych. Rąbała jej też kilometrowe wykłady na najbardziej banalne tematy, takie jak tłumaczenie, że pani Montgomery nie mówi i nie rozumie po lankońsku.

W południe odwiedził je marszałek dworu.

- Jak idzie? - spytał po lankońsku.

- Nie jest zła, ale nie ma osobowości księżniczki Arii. Daję jej filiżankę herbaty, a ona odpowiada „dziękuję!”. Podziękowałyby chyba, nawet gdybym podała jej tę herbatę w cynowym kubku. Nikt nie uwierzy, że to księżniczka Aria. Jest za sympatyczna.

Aria omal nie podskoczyła z wrażenia. Czyżby zawsze wszystkim tylko dawała się we znaki?

Przez kilka godzin trzymała się swojej poprzedniej pozy, ale w czasie popołudniowej przerwy na herbatę była już bardzo zmęczona i wyraźnie to wszystkim pokazała.

- Co to za talerzyki? Z jakich kwiatów jest ten wzorek?

- Chyba z groszku pachnącego - odrzekła lady Werta. - Niech pani się pośpieszy i kończy, bo lekcje czekają.

Były w wiejskim domu marszałka dworu, miejscu tak przestronnym i wystawnym, że Aria solennie postanowiła skontrolować finanse urzędnika.

- Chcę mieć talerzyk w róże. Mówiłaś, zdaje się, że księżniczka Aria zawsze piła herbatę z serwisu w róże. No, więc jeśli mam być Arią, to też chcę mieć serwis w róże. I świeże ciastka. Te

wyglądają tak, jakby zostały z posiłku służby. Rozumiesz? Chcę mieć serwis w róże i świeże ciastka, a potem trochę pościę. Jestem zmęczona i muszę odpocząć.

- Dobrze, wasza wysokość - powiedziała potulnie lady Werta, wycofując się z pokoju. Aria uśmiechnęła się pod nosem. Dawno już kaprysami nie osiągnęła zamierzonego celu.

Zacząła nadrabiać stracony czas. Przez następne dwadzieścia cztery godziny całkiem wykończyła lady Wertę. Narzekała dosłownie na wszystko. Albo było za gorąco, albo za zimno, albo jej się coś nie podobało. Stroje należało oddać do przeróbek. Marszałek dworu zapalił w jej obecności papierosa, więc złajęła go i wyrzuciła z pokoju.

- Teraz jest lepsza, nie? - spytał marszałek dworu po lankońsku.

- Lepiej mówi - powiedziała lady Werta, odsuwając zabłąkany kosmyk włosów z twarzy. - Jest prawie tak samo arogancka jak prawdziwa księżniczka.

- Czy pokażemy ją rodzinie?

- Wieczorem. Ludzie zaczynają mnie wypytywać, gdzie ona się podziewa. Czy słyszał pan coś o okupie?

- Chcą milionów - odrzekł marszałek dworu. - Nie mam pojęcia, skąd tyle wziąć.

- Czy jego wysokość ma się dobrze? Jeszcze nikt mu nie powiedział o porwaniu, prawda?

- Jego wysokość jest w swym domku myśliwskim. Nieświadom niczego, chociaż trudno było utrzymać przed nim tajemnicę. Chce zobaczyć wnuczkę. Towarzyszy mu księżniczka Eugenia.

Lady Werta westchnęła.

- Musimy ją przygotować. Król się starzeje. Mam nadzieję, że nie odkryje tej farsy. Powinniśmy się cieszyć, że księżniczka Aria jest taka zimna. Nikt nie będzie za nią tęsknił.

Aria słuchała tego odrętwiała. W Ameryce nie była zimna.

- Zachowujecie się bardzo niegrzecznie, mówiąc w mojej obecności językiem, którego nie rozumiem - rozłościła się. - Weźmy się jeszcze raz do fotografii. Kto z tych ludzi jest teraz w pałacu?

Najstarszą część lankońskiego pałacu królewskiego zbudował jeszcze w trzynastym wieku Rowan Wielki. Była to imponująca budowla z kamiennych bloków, twierdza potężna tak samo jak władca, który ją postawił. Znajdowała się na wzgórzu, stromo opadającym po trzech stronach, a po jednej łagodnie nachylonym. Na zboczu z najmniejszym spadkiem odbywały się w czternastym wieku liczne egzekucje z rozkazu Hagera Znienawidzonego. U podnóża południowo - wschodniego stoku płynęła rzeczka, dalej przecinająca miasto, na które ciągnął się widok z okien górującego nad nim pałacu.

W 1664 roku Anwen, wielki miłośnik sztuki, otynkował dawne kamienne mury, powiększył zamek i nadal mu wygląd olbrzymiej, pięciopiętrowej włoskiej willi. Siedziba Kowana stała się wschodnim skrzydłem, w centrum dobudowano większą, główną część budowli, dodano również skrzydło zachodnie, symetryczne do wschodniego. Kosztem znacznego uszczuplenia skarbcza Lankonii sprowadzono z Włoch rzadki żółty piaskowiec na fasadę.

W 1760 roku księżna Bansada, żona czwartego królewskiego syna, podsłuchawszy pogardliwą uwagę z ust angielskiej księżnej, postanowiła coś zrobić z gruntami otaczającymi pałac. Zdołała w ten sposób ponownie wpędzić królestwo w długi, lecz stworzyła olśniewający ogród. Były w nim dziesiątki szklarni, które jak rok długi dostarczały do pałacu świeże kwiaty. Przy końcu wschodniego i zachodniego skrzydła ogród był utrzymany w stylu francuskim, oprócz tego dwadzieścia akrów zajmował ogród angielski, było też rosarium i staw z mostkiem, który prowadził do miejsca dla dam chcących usiąść i zaczerpnąć świeżego powietrza. Z trzech pawilonów jeden postawiono w stylu chińskim, drugi w gotyckim, trzeci zaś wyglądał jak średniowieczne ruiny. Wszędzie widziało się posągi, najczęściej wyobrażające przystojnych mężczyzn. Ktoś bardzo nieelegancko wysnuł przypuszczenie, że są to kochankowie księżnej Bansady, wykończeni przez jej niepohamowaną żądzę i zakonserwowani w gipsie. Kiedy Aria weszła w wiek dorastania, stwierdziła, że posągi są marmurowe, a zatem opowieść o kochankach nie może być prawdziwa.

Marszałek dworu pojechał z Arią do pałacu w ścisłej tajemnicy. Zasłonięte jej twarz woalką i okutano ją w obszerną czarną szatę, żeby nikt jej nie poznał. Usiadła na tylnym siedzeniu czarnej limuzyny i nie odzywała się ani słowem. Im bliżej mieli do pałacu, tym bardziej czuła przyciąganie tego miejsca. Zupełnie jakby przodkowie wzywali ją do domu.

Pałac, dla niektórych będący czymś zupełnie obcym, dla niej był właśnie domem. Zapięły ją łązy w oczach, gdy zobaczyła, jaki jest piękny, jak wspaniale słońce rozświetla żółtą fasadę i jak za nim rysują się sylwetki gór. Była zadowolona, że ma twarz zakrytą woalką i że nauczono ją nie okazywać uczuć.

Marszałek dworu, który nie zniżył się do rozmowy z nią przez całą podróż, wreszcie się odezwał. Jak zawsze w jego głosie brzmiała pogarda; wyraźnie nie wierzył, że Kathy Montgomery może mieć choć krztę inteligencji.

- Musi pani nieustannie pamiętać, że jest pani następczynią tronu. Niech pani się pilnuje i panuje nad sobą w najdrobniejszych szczegółach. Nie wolno się odprężyć ani na sekundę, nawet gdy wydaje się pani, że nikogo dookoła nie ma. Bo księżniczka nigdy nie jest sama. Księżniczka jest chroniona, strzeżona i otoczona troską.

Nawet się nie odwrócił, żeby na nią spojrzeć.

- Nie wolno pani ulegać temu żalosnemu amerykańskiemu obyczajowi robienia ze wszystkiego rozrywki.

Aria chciała się odezwać, ale w porę zamknęła usta. Odrobina humoru mogła trochę urozmaicić jej życie. Wyobraziła sobie turniej tańca w stylu amerykańskim, urządzony w Wielkiej Sali. Może uda jej się zaprowadzić kilka błahych amerykańskich obyczajów wśród krewniaków

mieszkających w pałacu.

Jej i Julianowi, natychmiast poprawiła się w myślach. Ciekawiło ją, czy hrabiemu spodobałoby się przyrządzanie hamburgerów nad rzeką. Mogłaby polecić wykonanie rusztów, a panie, zamiast ubierać się do kolacji w długie suknie, włożyłyby dzinsy. Uśmiechnęła się na myśl o namawianiu ciotecznej babki Sophie do włożenia dzinsów.

- Pani mnie nie słucha! - burknął marszałek dworu.

I znowu Aria w ostatniej chwili ugryzła się w język. Gdy była księżniczką, marszałek dworu stanowił wcielenie ojcowskiej troski wobec niej i wszystkich członków rodziny królewskiej. Oczywiście dochodziły do niej plotki, że ludzie go nie lubią, ale nie przejmowała się tymi skargami. To był przecież taki sympatyczny starszy pan. Aria nie rozumiała, czemu ktoś miałby go nie lubić. Ten człowiek zrezygnował nawet z mieszkania w domu, który przyznano mu z racji jego urzędu. Ujrzawszy teraz jego wiejski dom, Aria zrozumiała, że miał swoje powody dla tego wielkodusznego gestu. Przysięgła sobie, że dokładnie zbada wszystkie skargi na marszałka.

Urzędnik nie przestawał pouczać jej, jak ma się zachowywać, jakie ma obowiązki, jaka spoczywa na niej odpowiedzialność. Tłumaczył jej, jak być maszyną, automatem, który tylko podpisuje papiery i składa oficjalne wizyty w różnych miejscach.

- Czy ta wasza księżniczka ani trochę nie luzuje? - spytała głośno, rozkoszując się odrazą, która odmalowała się na jego twarzy, gdy usłyszał taki język. - No, wiesz pan, ona przecież ma faceta. Kiedy oni się schodzą, żeby trochę pochichotać? Wiesz pan coś o tym?

- Hrabia Julian nie... - omal się nie udławi tym słowem - ...nie chichocze. Jest znakomitą partią dla jej wysokości. Nigdy nie będzie pani z nim sam na sam. W ogóle nie wolno wam być sam na sam, więc pani zachowanie musi być bez zarzutu.

Aria nadal wyglądała przez okno. Trochę współczuła księżniczce Aarii, która nigdy nie miała okazji się zabawić. Ale teraz była nową księżniczką Arią. Amerykańskie doświadczenia ją zmieniły, miała więc zamiar wprowadzić zmiany także w pałacu.

Lady Werta pokazała jej plan wszystkich pięter pałacu, ale marszałek dworu miał oprowadzić ją po jak największej liczbie pomieszczeń, zanim odprowadzi ją do prywatnych apartamentów księżniczki. Uważał jednak, że mimo woalki pozna ją wiele osób ze służby. Tymczasem rozpowszechniono informację, że po wizycie w Stanach Zjednoczonych księżniczka przeszła bardzo ciężki atak grypy i do czasu wyzdrowienia znajdowała się w prywatnej klinice w Austrii. Nikt nie wiedział, kiedy Aria ma wrócić, krążyły natomiast plotki o jej śmierci.

Marszałek dworu zaczął oprowadzać ją po pałacu, lecz Aria przystanęła. Nie chciała się zgodzić, by marszałek szedł przed nią. Spojrzał na nią z nienawiścią i puścił ją przodem.

Wielką sień zaprojektowano tak, by robiła wrażenie. Ściany i sufit były podzielone na gipsowe kasetony. Na górze wypełniono je malowidłami przedstawiającymi czyny Kowana Wielkiego. Na ścianie wisiały rzeźbione dębowe herby wszystkich monarchów i monarchiń. Barwy

Arii witały na ścianie wschodniej, poniżej zaś było miejsce na barwy jej męża. Przez chwilę zastanawiała się, co umieściłby w tym miejscu porucznik Montgomery. Może afisz werbunkowy armii amerykańskiej?

Marszałek dworu odchrząknął za jej plecami, więc przęda z sieni do Sali Triumfalnej. Również ta sala miała Przede wszystkim robić wrażenie. Na jednej ze ścian wisiał kwadratowy, sześciometrowy portret Kowana na koniu poddającym przednie kopyta. Ponieważ nie pozostała żadna Podobizna Kowana z jego czasów, artysta zdał się całkowicie na swą wyobraźnię. Dziadek Arii powiedział kiedyś, że Rowan musiał być znacznie bardziej znużony i brudny, i mieć nieco mniej złocisty warkocz.

Aria uśmiechnęła się na to wspomnienie. Zaraz jednak przypomniała sobie porucznika Montgomery'ego, który nazwał obecnych mieszkańców Lankonii tchórzami.

Pociągnęła nosem i ruszyła ku wielkim schodom, po których można by było wjechać sześciokonnym powozem: dowiódł kiedyś tego Hager Znienawidzony. Naturalnie życie woźnicy zależało od tego, czy uda mu się wygrać zakład dla swego pana. Udało mu się, ale najgłębszych szczerb w marmurze nigdy już nie zdołano wypolerować.

Marszałek dworu szeptał jej zza pleców instrukcje, ale nie zwracała na to uwagi. W stałych odstępach na schodach, a także przed wejściami do komnat, stali żołnierze Straży Królewskiej. Warta trwała osiem godzin z jedną tylko przerwą. Aria nigdy dotąd nie myślała o tych ludziach, teraz jednak wiedziała nieco więcej o czekaniu niż kiedyś. Postanowiła więc, że po rozwiązaniu problemów z jej tożsamością, zrobi coś z tymi żołnierzami.

W drodze do apartamentów następczyni tronu marszałek dworu szeptał do Arii coraz bardziej gorączkowo, ona jednak nadal go ignorowała. W korytarzu majestatycznie spoglądali na nią ze ścian sportretowani przodkowie, zupełnie jakby wiedzieli, że przychodzą jej do głowy całkiem niekrólewskie myśli. Niemal czuła trwogę bijącą z oczu jej matki: czyżby żołnierze mieli dostać krzesła? Może Rowan szybciej zwyciężyłby wrogów w bitwach, gdyby miał wojowników na krzesłach.

Dwaj żołnierze otworzyli przed Arią drzwi. Wyprostowała ramiona i weszła do swej sypialni. Drzwi zamknięto i głos marszałka dworu urwał się nagle jak ucięty nożem.

Na kolanach, w głębokim ukłonie oczekiwały na ma cztery damy dworu i dwie garderobiane. Były to same starsze kobiety, wszystkie wybrane jeszcze przez matkę Arii. W pierwszym odruchu Aria chciała im powiedzieć, żeby wstały.

- Witamy waszą wysokość - powiedziały chórem.

Skinęła im głową, ale nie odpowiedziała na powitanie. Naprawdę niewiele wiedziała o tych kobietach, matka nauczyła ją bowiem, że nie należy spoufalać się ze służbą.

- Zostawcie mnie - powiedziała. - Chcę być sama.

Kobiety popatrzyły po sobie pytająco. Wystąpiła spomiędzy nich lady Werta.

- Może wasza wysokość chciałaby, żeby przygotować jej kąpiel?

Aria zmierzyła ją spojrzeniem, od którego lady Werta aż się cofnęła.

- Czy muszę powtarzać swoje słowa?

Kobiety wyszły i Aria odetchnęła z ulgą. Uniosła ciężką woalkę i rozejrzała się po komnacie. To była jej komnata, spędziła w niej wiele godzin, sama ją urządziła wbrew woli matki na żółto. Ściany były pokryte żółtą jedwabną morą, z tego samego materiału były draperie, zasłaniające liczne wysokie okna z widokiem na park angielski.

W przestronnym pomieszczeniu stało aż jedenaście stołów, wszystkie na zgrabnych, delikatnych nogach, wszystkie pod jakimiś względami niepowtarzalne i bardzo cenne. Jeden stanowił dar od sultana i był inkrustowany drobnymi klejnotami. Na innym wykonano emalią portret Arii z rodzicami i siostrą, a każdy trzymał w ręku jakiś instrument muzyczny. Na kilku stolikach stały fotografie rodzinne w srebrnych ramkach.

Do siedzenia służyły mała kanapa i trzy krzesła, obite żółto - białym jedwabiem. Na podłodze leżał wspaniały dywan z Aubusson, w barwach niebieskiej, białej i złotej. W rok po śmierci matki Aria przeszła po pałacu, wybrała portrety i miniatury najpiękniejszych kobiet i kazała ozdobić nimi ściany w swoich apartamentach.

Stało też jej własne biurko, mały, elegancki mebel z mahoni i imitacji złota. Każdy przyrząd - nóż do papieru, sieczne pióro, stojaczek na listy - był osobnym dziełem sztuki. Żadnego z nich nie wybrała osobiście, wszystkie dostała w prezencie.

Przez salon przechodziło się do komnaty sypialnej, urządzonej w najbledszym możliwym odcieniu koloru morskiego. Ściany pomalowano na życzenie innej królowej, panującej wiek wcześniej. Były na nich fantazyjne sceny leśne z jednorożcami i chochlikami. Łoże sporządzono dla królowej Marii Augusty jeszcze w siedemnastym wieku. Delikatne łożysko winorośli, liście i grona, oplatające cztery jego nogi, rzeźbiło sześcioro ludzi przez dwa lata. Mąż Marii Augusty podobno nigdy nie widział tego łoża, podobnie zresztą jak żaden inny mężczyzna.

Na innej ścianie znajdowały się cztery pary zamaskowanych drzwi, które prowadziły do czterech garderób. Każda miała rozmiar sypialni Arii z jej domku na Key West.

W pierwszej garderobie były stroje codzienne, setki jedwabnych bluzek, wiele z nich zdobionych haftem przez lankońskie kobiety. Były też setki szytych na miarę spódnic, a od ściany do ściany wisiały na drążku jedwabne suknie. Wzięła jedną suknię z wieszaka i z niechęcią spojrzała na usztywnienie w talii.

- Koniec z luźnymi sukieneczkami i sztucznym jedwabiem - westchnęła, zaraz jednak uśmiechnęła się, czując pod palcami prawdziwy jedwab.

Druga garderoba mieściła suknie balowe i stroje ceremonialne. Każdy z nich zapakowano

osobno w specjalny bawełniany worek z wszytym przezroczystym woalem na ramionach, żeby można było zobaczyć, co jest w środku. Nawet przez woal złocenia, cekiny, diamenty i perły lśniły, nadając różowym ścianom garderoby taki wygląd, jakby był zachód słońca.

W trzeciej garderobie leżała galanteria: kapelusze, rękawiczki, rzędy pantofelek, torebki, trzewiczki, szale. Całą jedną ścianę zajmowały szuflady na bieliznę: halki, majtki, koszule nocne. I ciężkie, elastyczne gorsety, na widok których Aria skrzywiła się z niesmakiem i szybko zatrzasnęła szufladę.

Czwarta garderoba była przeznaczona na futra, zimowe komplety, a za lustrem krył się w niej sejf na biżuterię. Aria zwolniła trzy zameczki, odsunęła lustro i nastawiła kombinację liczb. Jej oczom ukazały się dwa dwumetrowej wysokości rzędy szufladek wyściełanych aksamitem. Czerwony aksamit oznaczał komplety złożone z naszyjnika, bransolety i kolczyków. W czarnym aksamicie spoczywały pierścienie, w żółtym same kolczyki, w niebieskim zegarki, w zielonym broszki, a w białym tiary - z perłami, diamentami, rubinami, szmaragdami. Każda sztuka biżuterii miała swoją osobną przegródkę.

Aria z uśmiechem otwierała szufladkę za szufladką. Każdy klejnot miał swoją historię, każdy należał kiedyś do kogoś innego. Aria nigdy nie nabyła ani nie przyjęła w darze kamienia, który nie znajdowałby się od wielu pokoleń w jakiejś rodzinie królewskiej.

Nagle zmarszczyła czoło, zatrzasnęła szufladki i pośpiesznie przesunęła lustro na miejsce, usłyszała bowiem, że ktoś jest w sypialni. Wyszedłszy z garderoby, zobaczyła lady Wertę.

- Bardzo dobrze. Ogląda pani dobytek księżniczki.

Aria nie zamierzała poddać się władzy tej kobiety.

- Jak śmiesz wchodzić do mojej komnaty bez pozwolenia? - spytała gniewnie.

Lady Werta przez chwilę wydawała się zaskoczona, zaraz jednak doszła do siebie.

- Może pani przestać grać w mojej obecności. Przecież wiem, kim pani jest. Musimy porozmawiać. Jest tutaj książę Julian.

- O niczym nie będę z tobą rozmawiać. - Aria ruszyła ku drzwiom do sieni.

- Chwileczkę - zawołała lady Werta, chwytając Arię za ramię.

Dotyk kobiety przejął Arię szczerą zgrozą. Nie była przecież Amerykanką udającą księżniczkę.

Była księżniczką.

Lady Werta cofnęła się o krok.

- Musimy porozmawiać - powtórzyła bez przekonania.

- Zawołaj damy dworu - powiedziała Aria, odwracając się do niej plecami. - Muszę ubrać się do kolacji.

Aria wybrała do kolacji bardzo przyzwoitą, długą, białą suknię pod szyję, z długimi rękawami, ozdobioną tysiącami Perełek. Diamentowe kolczyki przyniosła jej lady Werta, nie pokazawszy bynajmniej całego skarbcza. Pewnie bała że, że Amerykanka ukradnie zawartość. Wybrała trzy pary banalnych kolczyków i przyniosła Arii do wyboru.

- To wszystko? - spytała Aria cicho, tak że tylko lady Werta usłyszała.

- Jesteśmy biednym krajem - prychnęła dama i popatrzyła na Arię wyraźnie rozzłoszczona.

- Bardzo się cieszymy, że wasza wysokość wyleczyła się amerykańskiej choroby - powiedziały jednocześnie trzy inne damy dworu. Spacerowały po komnacie, gotowe spełnić najdrobniejszy kaprys Arii.

Jedna z garderobianych przyjrzała się jej krytycznym okiem.

- Wasza wysokość schudła od pobytu w Ameryce.

Aria przesłała kobiecie niszczące spojrzenie.

- Zachowaj osobiste uwagi dla siebie. Masz mnie ubrać.

Trudno było nie zniecierpliwic się podczas ubierania, Aria wiedziała bowiem, że sama zrobiłaby to dwa razy szybciej. Jej ciało znów oblekł znajomy gorset, a kiedy garderobiana zebrała jej dużo krótsze teraz włosy w ciasny kok, Aria poczuła się, jakby ostatecznie zerwała więzy z Ameryką. Za przepierzeniem siedziała kobieta pełniąca rolę sekretarza. Trzymała w dłoni terminarz z rozkładem zajęć księżniczki.

- Jutro o dziewiątej konna przejażdżka. O dziesiątej trzydzięci wizyta w nowym szpitalu dziecięcym. O pierwszej lunch z trzema członkami Rady Najwyższej i dyskusja o umowie ze Stanami Zjednoczonymi w sprawie sprzedaży wanadu. O drugiej wręczenie złotych zegarków czterem pracownikom kolei. O czwartej herbatka z żonami członków Rady Najwyższej. O wpół do szóstej odczyt w Akademii Nauk, tematem jest świat owadów w północno - wschodniej części Gór Balijskich. O siódmej powrót do pałacu i przygotowania do kolacji, która rozpocznie się o wpół do dziewiątej. A o dziesiątej...

- Jest konkurs tańca towarzyskiego w sali balowej - powiedziała Aria. Wszyscy zamarli z wytrzeszczonymi oczami. Lady Werta spojrzała na nią mitygująco.

- Jej wysokość wspomina wizytę w Stanach Zjednoczonych. To taki żart.

Kobiety zaśmiały się zdawkowo, ale spoglądały na swą panią dziwnie, jakby żart był czymś bardzo, bardzo osobliwym.

- Niech pani więcej tego nie robi - szepnęła bardzo cicho lady Werta.

Później, gdy Aria wkroczyła do sali jadalnej, wszyscy znieruchomieli. Stanęli osłupiali, oczekując od władczyni sygnału, jak się zachować. Podczas nieobecności króla następczyni tronu dyktowała reguły gry.

Aria zaczerpnęła głęboki oddech.

- No, tak, Freddie - powiedziała, kierując te słowa do swego bliskiego kuzyna, księcia Ferdynanda. - Widzę, że nadal masz kłopoty z dobrymi manierami. Czyżbym nie zasługiwała na przywitanie?

Podszedł do niej i skłonił się nad jej wyciągniętą ręką.

- Martwiliśmy się o ciebie - powiedział po lankońsku.

Aria wahała się chwilę. Ten mężczyzna był jej kuzynem, spędzili razem wiele czasu, a jednak powitał ją po długiej nieobecności tak, jakby ledwie się znali.

- Po angielsku proszę - powiedziała. - Skoro mamy paktować z tymi Amerykanami, to musimy ich rozumieć. Oni nie uczą się obcych języków. - Popatrzyła na niego tak, jakby dotąd nigdy go nie widziała. Freddie był drobny, o kilka centymetrów niższy od niej i bardzo chudy. Chodził przygarbiony. Aria nigdy nie zwracała na niego uwagi, podobnie jak inni członkowie rodziny, teraz jednak dostrzegła gniew żarzący się w jego ciemnych oczach. W kolejce do tronu Freddie był trzeci, po Arii i jej siostrze. Czy mógł pragnąć władzy aż tak bardzo, żeby posunąć się do morderstwa?

- Dobrze wyglądasz, Ario! - wykrzyknęła cioteczna babka Sophie. Staruszka była prawie głucha, przez co zawsze bardzo głośno do wszystkich krzyczała. Ubrała się do posiłku tak, jak tylko ona potrafiła: w suknię z kilku warstw wściekle błękitnego szyfonu, z wielkimi, jedwabnymi różami wokół nieprzyzwoicie głębokiego dekoltu, który eksponował jej pomarszczone ciało. Jak ten Amerykanin mówił? Stara kłępa z sierścią łani. Natomiast dziadek twierdził, że Sophie zawsze miała nadzieję podłapać męża, ale jak dotąd żaden mężczyzna nie był dość głupi, żeby się jej oświadczyć.

- Chyba rzeczywiście, jeśli wziąć pod uwagę, że o mało nie umarłam - odkrzyknęła Aria. Wszyscy w sali spojrzeli na nią zaskoczeni. Księżniczka Aria nie krzyczała.

- To dobrze! - odkrzyknęła babka Sophie, po czym odwróciła się, by krzyknąć do kelnera, żeby dolał jej brandy.

- Cieszę się, że dobrze się czujesz - odezwał się przymilny głos. Stanęła twarzą w twarz z hrabią Julianem.

Porucznik Montgomery zawsze nazywał go „hrabią Julią” i insynuował, że Julian jest zniewieściały. Aria widziała jednak męski wyraz w jego oczach. Julian nie był potężnie zbudowany ani silny jak porucznik Montgomery, ale mógł się trafić kobiecie ktoś znacznie gorszy. Był całkiem przystojny, mniej więcej dorównywał jej wzrostem i miał sztywną, wyprostowaną postawę wojskowego. Dziadek powiedział, że od czwartego roku życia aż do szesnastych urodzin Julian musiał nosić stalowy gorset.

- Witaj w domu - powiedział hrabia Julian, delikatnie całując ją w rękę. - Czy miałabyś ochotę na coś przed kolacją? Może sherry?

- Chętnie - odrzekła. Przyjrzała się, jak Julian odchodzi. Jaki byłby jako mąż? Czy w sypialni stałby się nagle tygrysem? Uśmiechnęła się do niego, gdy wrócił z kieliszkiem sherry. Stał w milczeniu obok niej i wtedy uświadomiła sobie, jak mało do tej pory ze sobą rozmawiali.

Omiotła wzrokiem pozostałych uczestników kolacji. Przyszli jej kuzyni Nickie i Toby, ciotka Bradley i młoda, piękna kuzynka Barbara, która była siódma w kolejności do tronu.

- Gdzie są Cissy i Gena? - spytała Juliana, mając na myśli siostrę Freddiego i swą własną. Nawiasem mówiąc, dobrze wiedziała, że Cissy jest w rękach przedstawicieli rządu Stanów Zjednoczonych.

- Obie składają wizytę jego wysokości w domku myśliwskim - odrzekł Julian.

Posiłek był śmiertelnie nudny. Mężczyźni potrafili rozmawiać wyłącznie o liczbie zwierząt zabitych przez siebie w ubiegłym tygodniu, jako że myślistwo było w zasadzie ich jedynym zajęciem, a na niczym innym się nie znali. Babka Sophie krzyczała na otaczających ją ludzi, usiłując prowadzić rozmowę, lecz nie chwytając odpowiedzi. Nadęte pozy Freddiego, Nickiego i Toby'ego budziły sprzeciw Arii, miała ochotę wydrzeć się na nich na całe gardło. Barbara tymczasem flirtowała ze wszystkimi możliwymi mężczyznami, trzepocząc rzęsami i pochylając się do przodu, by zareklamować zawartość dekoltu.

- Trzeba chyba znaleźć kuzynce Barbarze męża - mruknęła Aria pod nosem.

Julian spojrzał na nią zaskoczony, ale nie skomentował tej wypowiedzi.

Ciekawe, czy byliby zaskoczeni, gdybym to ja zaczęła flirtować, pomyślała Aria. Spojrzała na hrabiego, jedzącego jesiotra w sosie koperkowym zgodnie z wszystkimi zasadami dobrego wychowania. Mogłaby sprawdzić, czy wywołałaby wstrząs zalotnym mruganiem do Juliana.

Zanim opuściła ją odwaga, z bijącym sercem podjęła decyzję. Dyskretnie dotknęła dłoni Juliana.

- Spotkamy się po kolacji w Królewskim Ogrodzie?

Nieznacznie skinął głową, ale dostrzegła, jak marszczy brwi, usuwając dłoń. Zrobiła coś, czego następczyni tronu po prostu nie robi. Nie mogła jednak zastanawiać się nad tym, gdyż zaraz musiała się odwrócić, żeby odpowiedzieć na grzmiące pytanie babki Sophie.

Po kolacji nie bez trudu wyswobodziła się spod opieki lady Werty, która miała taką minę, jakby koniec świata był bardzo bliski. Wyślizgnęła się wreszcie przez Zielony Przedśionek, Salę Marsową i Galerię Królów na Dziedziniec Białego Konia, minęła Grecką Oranżerię i dotarła do Królewskiego Ogrodu. Ogród nosił tę nazwę, przypisywano mu bowiem męski charakter ze względu na wysokie, strzeliste sosny i tajemnicze, kręte ścieżki. Podobno Rowan rozbił kiedyś w tym miejscu obozowisko.

Julian czekał na nią - miał lekko skrzywioną minę. Był od niej szesnaście lat starszy, toteż Aria zawsze darzyła go swoistym podziwem. Teraz uświadomiła sobie, że ich małżeństwo nie będzie zwyczajne. Doprowadzono do niego z przyczyn politycznych i dyplomatycznych. Będzie to małżeństwo zawarte dla racji stanu.

- Wasza wysokość chciała ze mną rozmawiać - powiedział Julian uprzejmie, choć w jego głosie czuło się dezaprobatę.

Żałowała, że nie potrafi wymyślić ciętej lub choćby zręcznej repliki.

- Jesteś na mnie zły - powiedziała tonem małej dziewczynki. W duchu przeklinała się za tę słabość.

Na jego wargach dostrzegła coś jakby nikły uśmiech. Julian naprawdę był bardzo przystojny, wbrew temu, co Sierdził porucznik Montgomery. W księżycowej poświacie Prezentował się jeszcze korzystniej niż w dzień.

- Myślę tylko o twojej reputacji. Nie byłoby dobrze, gdyby ktoś zauważył, że jesteśmy tu sami.

Aria odwróciła się od niego. W noc poślubną Julian odkryje, że nie ożenił się z dziewicą. Znowu spojrzała na niego i wzięła głęboki oddech.

- Jak na narzeczonych spędzamy bardzo mało czasu razem, wszystko jedno czy sami, czy wśród ludzi. Skoro zamierzamy we dwoje spędzić życie, to powinniśmy chyba porozmawiać i lepiej się poznać.

Przyglądał jej się chwilę i dopiero potem odpowiedział.

- A o czym chcesz porozmawiać? O zbliżających się wyborach? Jestem pewien, że nasz obecny marszałek dworu zatrzyma urząd. Przypuszczam nawet, że przekaże go swoim spadkobiercom.

- Nie - powiedziała. - To znaczy tak, chcę porozmawiać o Radzie Najwyższej i jej urzędnikach, ale sądziłam, że może... - Zamilkła.

- O twojej podróży do Ameryki?

Stał sztywno wyprostowany, z ramionami cofniętymi do tyłu. Każdy wiosek, każdy medal był na swoim miejscu. Nieskazitelnym mężczyzną. Aria przypomniała sobie Jarła wracającego z pracy do domu. Już przy wejściu ściągał z pleców ciemny od potu mundur i wołał:

- Daj mi piwa, słoneczko.

- Czy pijesz piwo? - spytała Aria.

Julian wydał się zaskoczony, po chwili jednak zapanował nad uśmiechem.

- Tak, piję.

- Nie wiedziałam. W ogóle wiem o tobie bardzo mało, więc czasem zastanawiam się, czy będziemy do siebie pasować. No, bo przecież mamy mieszkać razem, a małżeństwo, tak słyszałam, jest czymś bardzo intymnym i... - Znów urwała. Czuła się dość głupio i dziecinnie, Julian bowiem wciąż stał sztywno, jakby kij połknął.

- Rozumiem - odrzekł.

Arii nie podobała się jego pewność siebie, a może złościło ją, że jest zażenowana.

- Przepraszam, że się narzucam z takimi drobnymi sprawami - oznajmiła po królewsku i odwróciła się do niego plecami.

- Ario - zawołał głosem, który kazał jej się zatrzymać. Stał przed nią. - Twoje pytania są całkiem uzasadnione. Zanim przedstawiłem królowi propozycję małżeństwa, dużo myślałem o tej sprawie. Małżeństwo istotnie jest poważnym przedsięwzięciem, ale mam wszelkie dane, by sądzić, że będziemy do siebie pasować. Wychowywano nas w ten sam sposób, mnie na króla, a ciebie na królową. Znamy tych samych ludzi. Znamy protokół obowiązujący w monarchii. Uważam, że będziemy znakomitym małżeństwem.

Aria nieco się przygarbiła.

- Rozumiem. Rzeczywiście, chyba będziemy doskonałą królewską parą. - Spojrzała na swe dłonie.

- Czy jeszcze coś?

Stał tuż przy niej, ale nie uczynił najmniejszego gestu, żeby jej dotknąć. Nie było sposobu powiedzenia tego oprócz wyrąbania wprost:

- Ale co z nami? Co ze mną jako kobietą? Czy czujesz cokolwiek do mnie, nie do królowej?

Julian nadal miał nieruchomą twarz, ale położył jej dłonie na karku, przysunął jej głowę do swojej i pocałował Arię w sposób, który niewątpliwie świadczył o długo tłumionym pożądaniu. Gdy oderwał się od niej, Aria miała zamknięte oczy i rozchylone usta.

- Oczekuję nocy poślubnej z wielkimi nadziejami - szepnął. Poczwała na twarzy jego oddech.

Otworzyła oczy i wyprostowała się.

- Zastanawiałam się nad tym - zdołała w końcu powiedzieć.

Słyszając te słowa Julian uśmiechnął się do niej, a w jego uśmiechu było wiele ciepła.

- Jesteś piękną, pociągającą, młodą kobietą. Jak mogłaś wątpić w to, że chcę się z tobą kochać?

- No... chyba nigdy o tym nie myślałam.

Znów stał w oddaleniu i przyglądał się jej.

- Czy coś się stało? - spytał cicho. - Dzisiaj przy kolacji wydawałaś mi się nieswoja, jakby czymś zatroskana.

Myśl o tym, że zauważył, sprowadziła na jej twarz uśmiech. Zgodziła się na to małżeństwo, nie poświęcając tej sprawie wiele uwagi. Była o wiele bardziej zainteresowana Przodkami i manierami Juliana niż jego męskością. Teraz Jednak wszystko się zmieniło. Teraz lepiej rozumiała to, co dzieje się między mężem a żoną.

- W Ameryce - zaczęła wolno - w Ameryce widziałam młodych kochanków trzymających się za ręce, razem spacerujących, całujących się na ławkach w parku.

- Właśnie tak wyobrażałem sobie Amerykę - powiedział Julian z dezaprobatą.

- Ameryka jest wspaniała - powiedziała Aria. - Tam czuje się, że życie idzie naprzód. Nic nie stoi w miejscu. Ludzie nie są obciążeni wiekową tradycją, przyjmują nowości. Nawet więcej, szukają nowości.

- Kochankowie w parku nie są niczym nowym - powiedział Julian. Uśmiechnął się rozbawiony. - Zapomniałem, jaka jesteś młoda. Nigdy nie sądziłem, że oczekujesz zalotów. Przyjęłaś propozycję małżeństwa tak, jakbyś nie chciała nic więcej oprócz uścisku dłoni i wymiany obrączek. Czyżbym się mylił?

- Nie, ale w Ameryce...

- Widok kochanków sprawił, że zaczęłaś się zastanawiać, jak by to było, gdybyś miała kochanka?

- Coś w tym rodzaju - bąknęła i spojrzała mu w oczy. - Julianie, chcę, żeby nasze małżeństwo było udane. Pragnę udanego małżeństwa. To musi być coś więcej niż związek zawarty dla dobra Lankonii. Jestem kobietą. Chce być kochana dla mnie samej, nie tylko dla korony.

Julian wydawał się coraz bardziej rozbawiony.

- Nikt nigdy nie prosił mnie o nic łatwiejszego. Czy mam się do ciebie zalecać? - Ujął jej rękę i pocałował. - Czy mam przynosić ci bukiety polnych kwiatów? Śpiewać ci pod oknem? Szeptać miłosne słowa do twojego ślicznego uszka?

- Na początek może być - powiedziała.

- Spotkajmy się o świcie, odbędziemy konną przejażdżkę.

- O świecie? Przecież w programie mam przejażdżkę o dziewiątej.

- Nie przejmuj się - powiedział stanowczo. - Przyjadę po ciebie o świecie. Ale teraz muszę odprowadzić cię na Dziedziniec Białego Konia. Jeśli pójdziemy tamtą drogą, zobaczy nas mniej ludzi.

Obrócił się i pokazał, by szła pierwsza, ale zaraz się uśmiechnął i podał jej ramię. Przy granicy dziedzińca Aria odwróciła się do niego.

- Pocałujesz mnie jeszcze raz? - zapytała. Julian patrzył w okna pałacu, zdawał się wahać. - Proszę, Julianie. Muszę być pewna, że nasze małżeństwo będzie udane. Muszę zapomnieć...

Przyłożył jej dwa palce do warg.

- Wszyscy mamy coś, o czym chcemy zapomnieć. Zaraz zapomnisz o całym świecie, kochana. - Wolno ją objął i pocałował tak, jakby była Ritą Hayworth i Betty Grapple w jednej osobie. - A teraz idź - polecił po chwili z uśmiechem. - Zobaczymy się rano.

Zaczęła się oddalać, ale złapał ją za rękę.

- Jeśli pocałunki sprowadzają na ciebie zapomnienie, to jutro do południa będziesz miała całkowitą amnezję. - Znów ją puścił i Aria pobiegła do pałacu.

Czekała na nią lady Werta.

- Co powiedział? Domyślił się? Był blisko z księżniczką Arią, więc mógł się domyślić, że pani to nie ona. Mogli mieć jakieś wspólne miłosne tajemnice.

Ta kobieta zaczęła Arię nudzić.

- Idź do łóżka. Nie potrzebuję cię już dziś wieczorem.

- Ale...

- Idź! - burknęła Aria.

- Dobrze, wasza wysokość. - Lady Werta wycofała się z komnaty.

Na górze Aria stanęła nieruchomo. Garderobiane wydobyły z szuflady jej koszulę nocną i ubrały ją do snu. Nie odezwała się do nich ani razu. Nie odpowiedziała nawet, gdy zgasiły światło, życząc jej dobrej nocy.

Ułożyła się w łóżu i pierwszy raz od dawna poczuła się naprawdę dobrze. Może jednak jej życie nie rozsypie się tylko dlatego, że nie będzie go dalej wiodła z porucznikiem Jarlem Montgomerym. Może zdoła go zapomnieć i urządzić Czystko po swoim.

Następnego dnia zamierzała skupić się na Julianie. To był mężczyzna potrzebny Lankonii, a

zarazem idealny mąż dla niej. Wystarczy tylko się w nim zakochać, a sądząc po tym, jak umie całować, nie mogło to być trudne.

Na granicy snu i jawy jej samokontrola jednak osłabia. Nachodziły ją obrazy Jarla - kapał się; jadł kurczaka i mówił, że powinna być szefową kuchni; dotykał jej piersi...

Ledwie zdążyła zasnąć, gdy drzwi gwałtownie się otworzyły i zapalono światło. W wirze jedwabnych halek, blond włosów i diamentowych ozdób do łóża Arii wskoczyła księżniczka Eugenia.

- Stęskniłam się za tobą - zawołała Gena, zarzucając siostrze ręce na szyję. - Tylko mi nie mów, żebym zachowywała się jak należy, i nie odsyłaj mnie z powrotem. Jechałam tu całą noc z absolutnie boskim mężczyzną. Wyruszyłam natychmiast, gdy usłyszałam, że czujesz się dość dobrze, by przyjmować gości. - Mocniej uściśnęła Arię. - Podobno omal nie umarłaś. Nie zniósłabym, gdybym musiała zostać królową.

Aria z uśmiechem utrzymała szesnastoletnią siostrę na wyciągnięcie ramienia.

- Ja też nie chciałabym dla ciebie losu królowej - odrzekła.

- Zamierzasz mnie odesłać? Powiedz, bo nie mogę poczuć się swobodnie.

- Nie - odparła Aria. - Nie zamierzam cię odsyłać. Powiedz mi, co tu się działo, kiedy mnie nie było.

Gena wyciągnęła się na łóżu. Była bardzo ładna, i to we współczesnym znaczeniu tego słowa. Aria pomyślała o tym z zazdrością. W kostiumie kąpielowym Gena mogłaby wygrać każdy konkurs piękności w Stanach Zjednoczonych. Szkoda, że miała watę zamiast mózgu.

- To samo co zwykle - westchnęła siostra. - Tu nigdy nie się nie dzieje. Za to ty byłaś w Ameryce. Czy tam jest pełno żołnierzy? Czy wszyscy są tacy przystojni jak mój amerykański żołnierz?

- Coś ty? - spytała Aria. - Czyżbyś znowu się zakochała?

- Nie rugaj mnie, Ario, proszę cię. Dziadek najął go do jakichś robót, to ma coś wspólnego z parobkami, a on pozwolił mi jeździć ze sobą po wsiach. Nawet pozwolił mi siedzieć obok siebie na przednim siedzeniu. Zachowywał się tak, jakby miał opory, ale ja go jeszcze dopadnę. Jest niesamowicie przystojny i bardzo bystry... tak twierdzi dziadek. O raju, Ario, będziesz nim zachwycona, w każdym razie mam taką nadzieję, bo dziadek przysłał go tutaj, żeby z tobą pracował.

- Ze mną? I co on będzie robił?

- Nie wiem, ale myślę, że może przyjechał, żeby zrobić z nami wszystkimi porządek. Nigdy nie widziałam, żeby dziadek kogoś tak polubił. Siedzieli z tym Amerykaninem do późna, pili i opowiadali sobie pikantne historyjki. Ned omal nie dostał zawału, ale dziadek od lat nie wyglądał tak znakomicie.

Aria wyprostowała się na łóżu.

- Trzymaj się tematu. Co ten Amerykanin ma tutaj robić? Czy przyjechał w sprawie wanadu?

Genie zaczęły się kleić oczy.

- Ario, czy mogę dziś spać z tobą? Mam tak daleko do komnaty. Zadzwoń na kogoś, żeby mnie rozebrał i przyniósł mi koszulę nocną.

- E, tam - powiedziała zniecierpliwiona Aria. - Sama pomogę ci się rozebrać i pożyczę ci jedną z moich koszul.

Gena raptownie otworzyła oczy.

- Mam nosić cudzą koszulę?

- Nie bądź pruderyjna. Ja spałam w pościeli, w której spali też inni ludzie.

- Niemożliwe... - Gena zachłysnęła się powietrzem, odebrało jej mowę.

Aria wyciągnęła siostrę z łóżka i zaczęła zdejmować z niej ubranie.

- Pomogłabyś mi, gdybyś nie była taka bezwładna. Unieś ramiona. I powiedz mi teraz, po co dziadek najął tego Amerykanina.

- To chyba ma coś wspólnego z tamami. Ależ on jest Przystojny. Auć! Chyba zadzwonię na garderobianą.

- Geno - powiedziała cicho Aria. - Jak się ten człowiek nazywa?

- Porucznik Jarl Montgomery. Jest taki sympatyczny i... Ario! Dokąd idziesz? Nie możesz zostawić mnie w bieliźnie!

- Zajrzyj do garderoby, znajdź sobie nocną koszulę i włóż. To naprawdę łatwe. Gdzie nocuje ten porucznik Montgomery?

- W sypialni dla oficjalnych gości, czyli w Sali Kowana. To znaczy, że dziadek uważa go za ważną figurę. Ale on już na pewno leży w łóżku. Ario, nie zostawiaj mnie! - zawołała Gena, lecz siostry już nie było.

Aria dobrze знаła pałac i potrafiła bez kłopotu znaleźć drogę w labiryncie korytarzy. Przemierzyła sale do użytku oficjalnego, gdzie nie było strażników, i zaczęła schodzić po wąskich spiralnych schodach. Tam natknęła się na dwóch żołnierzy, ale ukryła się w cieniu, więc przeszli i nie zauważyli jej.

Gwałtownie otworzyła drzwi sypialni dla gości państwowych. Była ona zarezerwowana dla najwybitniejszych postaci odwiedzających Lankonię. Wielkie, rzeźbione loże w tej sali było zasłonięte specjalnie tkanym, czerwonym włoskim brokatem. Ściany pokrywał dopasowany odcieniem jedwab. Nikt nie był tego pewien, ale fama głosiła, że Rowan używał tej sali, gdy pałac

był jeszcze kamiennym zamkiem.

J.T. był obwiązany w pasie ręcznikiem. Włosy miał mokre.

- Co pan tu robi? - spytała, opierając się o zamknięte drzwi.

- A oto i jej wysokość we własnej osobie. Co za powitanie. Właśnie zastanawiałem się, czy gdybym pociągnął za sznur, to któraś z tych uroczych pokojówek w krótkich spódniczkach i czarnych skarpetach przyszłaby wygrzać mi łożę. Zamiast tego mam do dyspozycji samą księżniczkę. Chodź, słoneczko, zrzuć z siebie te ciuchy i bierzmy się do dzieła. Jestem gotowy.

- Poruczniku Montgomery - wysyczała przez zęby. - Co pan robi w Lankonii? J.T. nadal suszył sobie włosy.

- Nie jestem tu z własnej woli. Mój prezydent i wasz kroi zapragnęli moich usług. Wbrew temu, co mi mówiono, twoje życie nadal jest w niebezpieczeństwie. Mam zapewnić ci ochronę, a przy okazji zrobić co się da z waszymi... no, parobkami.

- Ale dziadek przecież nic nie wie.

- Słyszał dość, żeby orientować się, że mogą wyniknąć kłopoty - odparł pośpiesznie J.T.

- Nie może pan tu zostać. To niemożliwe. Jutro załatwię panu powrót do Stanów. Dobranoc, poruczniku.

J.T. złapał ją na progu i wciągnął z powrotem do sypialni. Ręcznik mu się zsunął, więc przytrzymał go jedną ręką, drugą zaś oparł tymczasem o ścianę, za głową Arii.

- Powiedziałem ci, że nie ja o tym decyduję. Dostałem rozkaz: mam zapewnić ci ochronę. Roosevelt zdaje się myśli, że bardziej się przydam tutaj, włóczęc się za tobą i podnosząc twoje chustki do nosa niż na polu walki. No, więc zostaję.

Dała nura pod jego ramieniem i usunęła się w inną część komnaty.

- Jak długo musi pan tu być?

- Dopóki nie uznam, że jesteś bezpieczna, albo dopóki twój dziadek nie każe mi wracać.

- Będzie pan musiał stosować się do zasad. Nie może pan być wobec mnie taki bezczelny jak zwykle. Będzie pan musiał zwracać się do mnie w przyjęty sposób. - Przyjrzała mu się i zauważyła, że zmrużył oczy. - Ten czas, który spędziliśmy w Stanach, już się nie powtórzy. Tutaj nie jestem pana żoną.

J.T. przez chwilę się nie odzywał.

- Ożeniłem się z tobą, żeby pomóc mojemu krajowi - powiedział w końcu. - Tkwię tutaj również dla mojego kraju. Nie ma żadnego innego powodu. Jeśli o mnie chodzi, nasze małżeństwo

dobiegło kresu.

- Czy to samo dotyczy pańskiej zazdrości? - spytała, unosząc brew. - Zamierzamy się pobrać z hrabią Julianem. Jego ród ma wspaniałych przodków, a małżeństwo z nim będzie bardzo korzystne dla mojej rodziny. Nie mogę dopuścić, żeby pan wrzucił go do basenu.

- O mnie się nie martw - burknął gniewnie. - Mogę być zazdrosny o żonę, ale jej wysokość nie budzi we mnie takich uczuć. - Zmierzył ją spojrzeniem od stóp do głów. Stała przed nim w bardzo skromnej koszuli nocnej pod szyję cienkim, brokatowym szlafroku, który sprawiał wrażenie równie nieprzeniknionego jak zbroja.

Znów odwróciła się w inną stronę, bo widok porucznika Montgomery'ego, mającego na sobie jedynie ręcznik, przypominał jej wspólnie spędzone noce.

- Jak zostanie mi pan przedstawiony? - spytała.

- Wieść głosi, że przysłano mnie tutaj w sprawie wanadu, a przy okazji również w sprawie amerykańskich baz wojskowych w Lankonii. Król życzy sobie, żebyś pokazała mi Escalon, bo Stany Zjednoczone zastanawiają się nad kupnem całego kraju.

- Słucham - zdumiała się. - Stany Zjednoczone mają kupić Lankonię?

- Tak słyszałem. Chociaż osobiście nie widzę takiej możliwości. Dopiero co poradziłem sobie z kryzysem, a taki zakup mógłby nas wpędzić w następny. Ale pretekst, jaki wymyślono dla uzasadnienia mojej obecności, daje nam okazję do wspólnego spędzania czasu. Musisz pokazać mi domowe rachunki. Musisz opowiedzieć mi o swoim kraju i w ogóle sympatycznie się do mnie odnosić. Masz, przepraszam za wyrażenie, uwieść mnie pięknem swego kraju.

- Nie sądzę, żeby to było możliwe. Dziadek oczywiście nie wie, co zaszło między nami, ale nie ma prawa prosić mnie o coś takiego.

- Dziadek wie dosyć, by zdawać sobie sprawę z grożącego ci niebezpieczeństwa. Ale, ale. Czy jesteś pewna, że przebywanie tutaj ze mną dobrze ci służy? Ludzie na pewno widzieli, że tu wchodzisz.

Aria zamrugwała. Wiedziała, że nikt nie widział, jak wchodziła, ale na widok Jarla i wielkiego łoża zapomniała o swym nowym postanowieniu znalezienia szczęścia z Julianem.

- Muszę już iść. - Ruszyła do drzwi.

- Nie tędy - powiedział, chwytając ją za ramię. Podszedł do marynarskiego worka, leżącego na podłodze, i wyciągnął plik papierów. - Twój dziadek dał mi plany podziemnych przejść w tym pałacu.

- Co takiego?

- Powiedział, że kolejni królowie dostawali te mapy w spadku, w dniu czytania testamentu

zmarłego poprzednika, ale uznał, że ta sytuacja wymaga nadzwyczajnych środków. Jesteśmy tutaj - powiedział, patrząc na jedną z map. - W sypialni dla oficjalnych gości, prawda? Król miał swoje powody, żeby mnie tu umieścić. Widocznie uważał, że jest to bardzo szczególna komnata. - Zaczął przesuwać dłonie po dębowej boazerii. - No, i jest - powiedział. Przycisnął guzik, ale nic się nie stało. - Tylko że drzwi trzeba pewnie naoliwić. - Na biurku leżał nóż do papieru, J.T. wsunął go więc w szparę, aż zrobiła się dostatecznie szeroka, by mógł pomóc sobie palcami. Wtedy pociągnął i zdołał otworzyć drzwi. Usłyszeli zgrzyt mechanizmu, po chwili powiało stęchlizną.

- Jeśli pan sądzi, że tam wejść, to grubo się pan myli - powiedziała Aria. J.T. wyciągnął latarkę z marynarskiego worka.

- Jeśli wyjdiesz z tego pokoju ubrana tak jak teraz, to cały dwór zatrzęsie się od plotek. Twój hrabia Julian nie ożeni się z tobą, bo będziesz miała splamioną reputację, a mnie, człowieka z ludu, prawdopodobnie powieszą za zuchwałość, bo odważyłem się spojrzeć na nocną koszulę królowej. Chodźże. Co ci się może stać?

Miejsce było okropne. Korytarz wyglądał tak, jakby nie korzystano z niego całe wieki. Kamienne schody, które prowadziły w dół, były zasnuwane pajęczynami. Panowały egipskie ciemności, więc Aria, która miała na nogach nocne pantofle, nieustannie się ślizgała.

- Dlaczego nie wiedziałam o tym przejściu? - szepnęła.

- Zdaje się, że jeden z waszych poprzednich królów kazał stracić wszystkich, którzy wiedzieli o tajnych korytarzach. Uważał, że powinien o nich wiedzieć tylko król.

Aria uniosła rękę, żeby osłonić twarz przed pajęczynami. Pantofelki miała już tak brudne, że nadawały się tylko do wyrzucenia.

- To musiał być Hager Znienawidzony, w czternastym wieku. Skazywał ludzi na śmierć pod byle jakim pretekstem.

- Miły krewny, jest się kim chlubić. Kto zbudował ten pałac?

- Rowan - odrzekła Aria. W jej tonie było coś takiego, że J.T. popatrzył na nią uważnie.

- Rozumiem, że to był przyzwoity facet.

- Bardzo. Dokąd prowadzi ten korytarz?

- Tutaj - odrzekł J.T., zatrzymując się przy zardzewiałych, obitych żelazem drzwiach. - Miejmy nadzieję, że uda się je otworzyć. - Podał jej latarkę.

- A ten dokąd prowadzi? - spytała, wskazując snopem światła korytarz odgałęziający się w lewo.

- Na dół, do waszych lochów, a potem gdzieś do miasta. Twój dziadek twierdzi, że wyjście jest prawdopodobnie zablokowane, bo stoi na nim dom. No, otworzyłem! Zgaś latarkę.

Aria popatrzyła na cylindryczny przyrząd.

- Jak?

Wziął od niej latarkę i zgasił.

- Według mapy jesteśmy w północnej części Królewskiego Ogrodu. Czy wiesz, jak stąd wrócić do swojej komnaty?

- Oczywiście. - Zaczęła się oddalać.

- Poczekaj chwilę, księżniczko. Nie powiedziałaś mi, co robisz rano. Nie zamierzam spuszczać cię z oczu.

Aria postanowiła przemilczeć poranną eskapadę z Julianem.

- Rozkład zajęć zaczyna mi się o dziewiątej - powiedziała zgodnie z prawdą. - Od przejażdżki konnej.

- Nie wychodź przedtem z pokoju, przyjdę po ciebie.

- Przecież pana nie znam. Musimy najpierw zorganizować oficjalną prezentację.

- Możesz powiedzieć, że dziadek do ciebie zatelefonował, jeśli w tej rozsypującej się kupie kamieni jest jakikolwiek telefon.

- Jesteśmy bardziej nowocześni, niż się panu zdaje. Dobranoc, poruczniku Montgomery - powiedziała wyniośle i odwróciła się.

- Poczekaj - powiedział i przytrzymał ją za ramię. Długo przyglądał jej się w księżycowej poświacie. - Dobrze, teraz zmykaj stąd.

Odskoczyła od niego i prawie biegiem puściła się znajomymi ścieżkami. Dotarła do kuchennych drzwi, pokonała schody i przedostała się do nowszego skrzydła pałacu, w którym znajdowały się jej apartamenty.

- Będę kochała Juliana - szeptała do siebie. Miała zamiar wzbudzić w sobie miłość do Juliana i zapomnieć o tym ordynarnym, bezczelnym Amerykaninie, który przez chwilę był jej mężem. Który powiedział, że jest zimna i odczłowieczona. No, dopiero teraz mu pokaże, jaka niedostępna potrafi być następczyni tronu. Nieważne, ile czasu spędzili ze sobą. Będzie go traktowała jak najzwyklejszego człowieka z ludu.

W korytarzu nie było nikogo z wyjątkiem strażnika stojącego przed jej drzwiami. Musiała przemknąć się jakoś do swojej sypialni i być tam, gdy rano przyjdą garderobiane. Nawet gdyby plotki głosiły, że o późnej porze wyszła dokądś w nocnym stroju, kobiety powiedzą, że to niemożliwe, bo zastały ją rano w sypialni, a nikt nie widział, żeby wchodziła do swych apartamentów drugi raz.

Z amerykańskich filmów wiele się nauczyła. Podniosła jajowaty kawałek malachitu ze stolika stojącego pod ścianą i potoczyła go korytarzem przed nosem strażnika. Przyjrzał się zjawisku i zgodnie z oczekiwaniami poszedł podnieść dziwny przedmiot. Aria tymczasem błyskawicznie wślizgnęła się do swych apartamentów.

Musiała się oczywiście przebrać, nabyta zagranicą umiejętność bardzo jej się przydała. Cieszyła się też, że umie ściągnąć gąbką pajęczyny z koszuli nocnej. Natomiast pantofelki były w stanie beznadziejnym - dla ukrycia ich przed garderobianymi Aria wcisnęła je po jednym do rękawów ceremonialnej sukni.

Było już późno, gdy wsunęła się do łóżka na miejsce obok ciepłej, smacznie śpiącej Geny. Przez chwilę zdawało jej się, że jest razem z J.T. i że przytula się do niego, zaraz jednak złapała się na tej myśli. Nie mogła pozwolić, by ten człowiek znów stał się częścią jej życia. Są ważniejsze sprawy niż to, co się dzieje w łóżku.

Nazajutrz miała być sam na sam z Julianem. Postanowiła, że pozwoli, by pomógł jej zapomnieć.

Wasza wysokość!

Aria zbudziła się powoli, słysząc głos garderobianej.

- Księżę Julian czeka na waszą wysokość. - Kobieta uśmiechnęła się dość bezczelnie. - Sprawia wrażenie, jakby bardzo się niecierpliwił.

Aria sennie zwlokła się z łóżka i poszła do łazienki. Powoli zaczęła się budzić, przypominając sobie w tym czasie wydarzenia poprzedniego wieczoru. Zamierzała wkrótce zrobić coś, by wymazać z pamięci swego amerykańskiego męża. Spędzi długie godziny sam na sam z Julianem, oglądając z nim wschód słońca.

Bardzo ją denerwowały garderobiane, nie mogła jednak ubrać się sama, bo wzbudziłaby tym niezdrowe zainteresowanie. Kobiety zastanawiałyby się, skąd ich pani umie to robić.

Wreszcie odziano ją w kostium do konnej jazdy i mogła pośpiesznie wyjść z komnaty. Dyskretnie zerknęła na wartownika przed drzwiami, ale miał wzrok wbity w punkt przed sobą. Próbowwała zapamiętać jego twarz, bo gdyby rozeszły się plotki, że opuściła nocą swe apartamenty, właśnie ten żołnierz ponosiłby za nie winę.

- Dzień dobry, wasza wysokość - powitał ją Julian u drzwi Stajni. Potem, gdy stajenny wszedł do środka, pochylił się i delikatnie pocałował ją poniżej ucha. - A może powinienem powiedzieć: „kochana”? Wyglądasz zachwycająco.

Aria uroczo się zaczerwieniła.

- Prywatnie możesz mnie nazywać, jak chcesz - powiedziała skromnie.

- Wobec tego najbardziej chciałbym nazywać cię żoną - powiedział uwodzicielsko. - Jedziemy? Za godzinę będziemy głęboko w lesie. Sami we dwoje. Mamy mnóstwo czasu dla siebie.

Aria nadal się czerwieniła.

- Przykro mi, hrabio, ale to, co pan powiedział o samotności we dwoje, nie jest całkiem słuszne. - J.T. leniwie wyłonił się zza stajennych wrót.

- Skąd ty tutaj!? - syknęła Aria.

- Znasz tego człowieka? - spytał Julian, patrząc to na jedno, to na drugie.

Zerknęła kątem oka na J.T.

- Miałam wątpliwą przyjemność spotkać go w Stanach Zjednoczonych. Łączyły nas tam interesy.

J.T. uśmiechnął się promiennie.

- Jestem odpowiedzialny za zakup wanadu w Lankonii.

Julian podszedł bliżej i wziął Arię za ramię.

- Jej wysokość udzieli panu audiencji po powrocie z konnej przejażdżki.

- Nie - zgłosił sprzeciw J.T., stając między Arią i Julianem a końmi. - Widzi pan, hrabio, w Stanach Zjednoczonych zaczęły się pewne kłopoty i byliśmy...

- Kłopoty? - spytał Julian poważnym tonem. - Co on ma na myśli?

- Nic takiego - odrzekł J.T., zanim Aria zdążyła otworzyć usta. - Po prostu paru ludzi chciało postawić księżniczkę w przykrew sytuacji. Dlatego z dbałości o własne interesy rząd Stanów Zjednoczonych przysłał do Lankonii kilku żołnierzy, żeby się przekonać, czy nikt nie ma tutaj głupich pomysłów. Jeden z tych ludzi jest u króla, a ja mam dotrzymać towarzysztwa obecnej tu następczyni tronu.

Julian nadal mocno trzymał Arię za ramię.

- To bardzo przezorne ze strony pańskiego rządu, ale zapewniam, że w czasie gdy jej wysokość jest ze mną, pańska opieka nie jest potrzebna. - Zrobił dwa kroki w stronę koni, lecz w dalszym ruchu przeszkodził mu J.T.

Stanowili spory kontrast. J.T. był wysoki, śniady, cerę miał zniszczoną od częstego przebywania pod gołym niebem. Julian był wytworem stuleci rasowego chowu: miał zadbaną skórę, wymanikiurowane dłonie. Niskie, schludne ciało trzymał sztywno wyprostowane.

- Przykro mi, panie hrabio - powiedział J.T. - Jadę razem z nią albo ona nigdzie nie jedzie.

Julian zirytowany strzelił szpicrutą o wyglansowane buty.

- Nie będę tolerował...

- W czym rzecz, hrabio? - spytał jowialnie J.T. - Boi się pan, że zepsuję panu miłe chwile z piękną kobietą? Będę się trzymał z tyłu, możecie się migdalić, ile wlezie. - Mrugnął do hrabiego Juliana, którego twarz zaczynała purpurowieć ze złości. J.T. uśmiechnął się. - Naturalnie musicie zrozumieć, że jeśli nie pojedę z księżniczką, to umowa ze Stanami Zjednoczonymi nie dojdzie do skutku. Nie kupimy wanadu od kraju, który okazuje nam wrogość, a jeśli go nie kupimy, to więcej niż pewne, że nie pozwolimy też kupić nikomu innemu. To zaś oznacza, że możemy być zmuszeni do podjęcia dość stanowczych kroków, jakiejś wojny czy czegoś w tym rodzaju. Decyzja należy do was. - J.T. odwrócił się i zaczął odchodzić.

Aria przewróciła oczami i błagalnie spojrzała w niebo.

- Ani jedno słowo z tego wszystkiego nie ma pokrycia - Powiedziała do hrabiego.

- Ryzykujesz wojnę i nędzę - burknął na nią Julian. - Jestem zaskoczony twoją postawą. Czyżby twój kraj tak mało dla ciebie znaczył? - zapytał i ruszył za J.T.

Aria zazgrzytała zębami i zaczęła się zastanawiać, czym Julian bardziej się niepokoi, wojną czy nędzą. Pewnie nie chciałby się ożenić z władczynią kraju zniszczonego bombami.

Złajęła się w myślach za takie rozważania i pozwoliła, by Julian pomógł jej dosiąść konia.

- Ma jechać z tyłu, więc będziemy właściwie sami - oświadczył Julian przeproszającym tonem i ucałował jej dłoń odzianą w rękawiczkę.

Aria gwałtownie odsunęła się od niego. Uśmiechnęła się złośliwie. Nie pozwoli porucznikowi Montgomery'emu zepsuć tej przejażdżki. Da mu niezłą szkołę. Ciekawe, czy porucznik umie jeździć konno.

- Pojedziemy północną ścieżką na Górę Kowana.

- Czy jesteś pewna, że tego chcesz, Ario?! - Julian zachłysnął się z wrażenia. - Dość długo nie ćwiczyłaś jazdy konnej.

Pochyliła się ku Julianowi.

- Może uda nam się zgubić eskortę i wtedy będziemy jednak sami - powiedziała, dyskretnie do niego mrugając.

- Pojadę za tobą na koniec świata, miła - odparł cicho.

Koń J.T. wpadł znieacka między Juliana i Arię. Rozdzielił ich, a klacz Arie zaczęła się niebezpiecznie boczyć na brukowanym dziedzińcu.

- Przepraszam - powiedział J.T. - Żałuję, ale temu bydlęciu brakuje koła sterowego. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, to proponowałbym jakąś łatwą drogę. Nie jestem przyzwyczajony do koni. - Zwierzę J.T. raz po raz podrywało przednie kopyta i robiło nerwowe ruchy na boki, przez co odległość między Arią i Julianem jeszcze wzrosła. - Gdzie to bydlę ma hamulce?

- Niech pan ściągnie wodze - zawołał Julian. - Przekłęci Amerykanie - mruknął pod nosem. - Dlaczego Anglicy tak walczyli o tę ziemię? Ario, jak on się nazywa?

- Porucznik Montgomery - odkrzyknęła przez ramię i puściwszy klacz krótkim galopem, odjechała z dziedzińca przed stajnią. Kierowała się w stronę górskiej ścieżki.

Julian podążał za nią. J.T. wciąż jeszcze znajdował się na stajennym dziedzińcu, jego koń kręcił się bezsensownie w koło.

Aria wiedziała, że jej jedyną szansą na zgubienie porucznika Montgomery'ego jest natychmiastowe zostawienie go daleko z tyłu lub zgubienie na krętej i często rozwidlającej się ścieżce. Miała wypoczętą klacz, spragnioną wybiegania. Gnając zwierzę wyżej i wyżej w góry, zaspokajała więc jego potrzebę.

Im wyżej docierała skalistą ścieżką, tym bardziej rozrzedzone było suche i rzeźwe powietrze. Dookoła rósł wysoki, sosnowy las, drzewa osłaniały Arię przed promieniami porannego słońca. Od czasu do czasu na ścieżkę wpychały się wielkie, szare głazy i robiło się bardzo wąsko. Klaczy kilka razy omsknęło się kopyto, lecz Aria mimo to niezmiernie parła naprzód.

Spociała się z wysiłku. Na zakręcie zerknęła przez ramię i stwierdziła, że Julian jedzie niedaleko za nią. Uśmiechnęła się, bo nie zobaczyła ani śladu porucznika Montgomery'ego. Pokazała Julianowi, że skręca w prawo. Kilka kilometrów dalej znajdowało się źródło. Pomyślała sobie, że mogą się tam zatrzymać i odpocząć... albo i nie odpoczywać.

Odgarniała sprzed siebie gałęzie, twarz ukryła w końskiej grzywie, żeby uniknąć uderzenia. Nim osiągnęła źródło, galop wprowadził ją w upojenie. Wreszcie zeskoczyła z konia i głęboko odetchnęła czystym, górskim powietrzem. Zrozumiała, jak bardzo tęskniła do kraju.

Nadjechał Julian. Twarz miał wilgotną od potu i gniewnie wykrzywioną.

- Ario, muszę zaprotestować. Dama w żadnym wypadku nie powinna jeździć taką trudną trasą. To o wiele za poważne wyzwanie dla kogoś tak delikatnej natury.

- Zamierzasz siedzieć na koniu i mnie łąjać czy wolisz zsiąść i mnie pocałować?

Przez moment wydawał się wstrząśnięty, lecz zsiadł i wziął ją w objęcia.

- Zmieniłaś się - szepnął, zanim złączył się z nią w pocałunku. - Umówmy się na schadzkę, kochana - szepnął, przylegając ją do siebie. - Nie wiem, jak długo jeszcze zniosę bekanie na ciebie. Ale twoi poddani chyba kręciliby nosami, gdyby pierworodny urodził się zbyt szybko po ślubie.

Aria odchyliła głowę, podsuwając szyję do pocałunków - było jej bardzo przyjemnie.

- Ija, wio, ty stara szkapo! Wio! - J.T. wpadł na polankę jak rakietą, robiąc też mniej więcej tyle hałasu. Klacz Arii była przywiązana, ale hrabia puścił swojego konia wolno, więc spłoszone rwetesem zwierzę pokłusowało ścieżką w dół.

- Niech pan przyprowadzi z powrotem mojego konia - zażądał Julian. Twarz znów poczerwieniała mu od tłumionej wściekłości. J.T. wyglądał jak uosobienie skruchy.

- Naprawdę bardzo przepraszam, hrabio, ale nie mogę zostawić księżniczki. Chyba będzie pan musiał pogonić za tym koniem sam. Albo może pan wziąć mojego wierzchowca. Boże, cóż to była za wspinaczka! Chyba ze dwadzieścia razy zdawało mi się, że już, już lecę. Ledwie żyję. - Zsiadł z konia.

Aria spiorunowała go wzrokiem. Bez wątpienia kłamał, bo w ogóle nie wyglądał na zmęczonego. Przeciwnie, sprawiał wrażenie gotowego do jakiegoś prawdziwego wyczynu.

- Żyjesz, księżniczko?

- Dla pana jestem „wasza wysokość”, poruczniku - powiedziała i odwróciła się do Juliana. - Pójdę z tobą poszukać konia. A pan - wskazała J.T. - zostanie tutaj.

J.T. spuścił oczy.

- Chciałbym uczynić zadość życzeniu waszej wyniosłości, ale...

- Waszej wysokości - burknął Julian. - Ario, stanowczo nie życzę sobie towarzystwa tego prowincjonalnego idioty ani minuty dłużej. Jak tylko wrócę do pałacu, zatelegrafuję do rządu amerykańskiego i złożę oficjalny protest. Chodź, Ario. A ty tu zostajesz, człowieku.

Julian wziął Arię za ramię i zaczęli się oddalać.

- Przepraszam cię, kochanie - powiedziała Aria. - Gdy tylko sprzedamy wanad i w skarbcu znowu znajdzie się trochę pieniędzy, odeślę go, skąd przyjechał.

- Nie wydaje mi się, żebym był w stanie znieść go tak długo. To ciemny, ordynarny osioł. Głupszy niż większość parobków.

- Nie wszyscy są tacy. W Ameryce poznałam paru całkiem inteligentnych ludzi.

- Jakim cudem uwolniłaś się od swych gospodarzy, że udało ci się poznać amerykańskich parobków? Czy właśnie w ten sposób wpakowałaś się w „kłopoty”, jak to wyraził ten elokwentny idiota? - Julian popatrzył na nią badawczo.

- Nie, no... Chciałam powiedzieć, że...

- Heej - zawołał J.T. - Hrabio, znalazłem panu konia. - Niczym giermek nadbiegł ścieżką, trzymając wodze ogiera. - Czarne bydlę - powiedział lekliwie. - Cieszę się, że nie muszę na nim jeździć. Niech pan trzyma, hrabio. - Wręczył Julianowi wodze. - Wiecie co? Mam whisky.

Chłupniemy sobie?

- Jacy my? - spytał Julian z pogardliwym parsknięciem. - Ario, musimy niezwłocznie wrócić, żebym mógł zatelegrafować. Nie, lepiej połączę się drogą radiową z tym, jak mu tam? O, Roosevelt. Połączę się z nim i zaprotestuję przeciwko nieznośnej sytuacji, w jakiej nas postawił.

- Może pan połączyć się drogą radiową z prezydentem Rooseveltem? - zainteresował się J.T.
- Musi pan być cholernie wpływowym facetem. To na pewno pomaga nadrobić braki we wzroście.

Aria stanęła między mężczyznami widząc, że Julian uniósł szpicrutę.

- Julianie, proszę cię. To byłoby tak, jakbyś uderzył w rząd Stanów Zjednoczonych. Pozwól, proszę, że z nim porozmawiam. - Wyraziła tę prośbę bardzo przymilnym tonem.

Julian obrócił się na pięcie i wrócił nad źródło.

- Robisz z siebie głupka - burknęła do J.T. - A w ogóle to gdzieś ty się nauczył tak dobrze jeździć konno?

Uśmiechnął się.

- W Colorado, na grzbiecie najwredniejszego dzikiego konia, jakiego potrafili mi wynaleźć młodzi Taggertowie.

- Ten prowincjusz, którego udajesz, jest okropny, ale twoja zazdrość jest wręcz nie do zniesienia.

W jednej chwili przestał się uśmiechać.

- Ładna mi zazdrość! A skąd wiesz, że to nie twój hrabia Filuje przenieść cię na tamten świat? Może to on zorganizował porwanie na Key West. Może chce cię usunąć z drogi, aby ożenić się z twoją bezrozumną siostrzyczką.

- Nie mieszaj w to mojej siostry! - Urwała. - A skoro już o niej mowa, to co robiliście we dwoje, kiedy byłeś gościem mojego dziadka? Wczoraj wieczorem Gena mówiła wyłącznie o tobie.

- Naprawdę? - J.T. wyszczerzył zęby. - To ci zepsute dziecko.

- Jak śmiesz! - Aria zacisnęła dłonie w pięści.

- Lepiej nie spoufalaj się ze mną za bardzo, księżniczko, bo zbliża się twój ogierek. I lepiej ostrzeż go, że jeśli mnie dotknie, to owinę mu tę szpicrutę dookoła gardła. Na cztery razy na pewno starczy - zakończył z uśmiechem.

- Zostaw nas samych - syknęła do J.T., widząc nadchodzącego Juliana. - Mówię ci, zostaw nas samych.

- Najpierw muszę się przekonać, że można mu ufać. Siemanko, hrabio - powiedział głośno. - Obecna tu jej wysokość tak mi wygarnęła, że uszy mi oklapły. Bardzo przepraszam, jeśli nie traktuję należycie osoby z rodziny królewskiej. Niestety, my, Amerykanie, nie jesteśmy przyzwyczajeni do królów, książąt i podobnych okazów. Idźcie sobie we dwoje przodem. Będę trzymał się za wami w przyzwoitej odległości.

Hrabia Julian przez całe życie był otoczony służącymi, takimi służącymi, którzy okazywali mu szacunek i znali swe miejsce. Uznał więc, że Amerykanin wreszcie zrozumiał swoją rolę. Odwrócił się znów do Arii.

- Pójdziemy na spacer, kochana? Może porozmawiamy o przygotowaniach do ślubu. Moim zdaniem nie powinniśmy czekać ze ślubem dłużej niż trzy miesiące. Akurat będzie jesień, spędzimy miodowy miesiąc w tej królewskiej rezydencji w górach.

- Muszę się zastanowić. Dookoła trwa wojna.

- I dlatego zawiera się wiele małżeństw. Ludzie potrzebują odrobiny szczęścia.

- Jestem tego samego zdania, księżniczko - odezwał się J.T. zza ich pleców. Zrównał się z nimi. - Ładnie wyglądacie jako para. Powinniście połączyć swoją przyszłość dla dobra świata. Księżniczka mogłaby wystąpić w długiej, białej sukni, symbolu czystości, i do tego w koronie z diamentami, byle niezbyt wysokiej, ze względu na jego niewysoką hrabiość. Widzę to oczami duszy.

Hrabia Julian uniósł szpicrutę.

- Naturalnie - ciągnął J.T. - Stany Zjednoczone pokryją koszty ceremonii ślubnej w ramach wdzięczności za sprzedaż wanadu.

Hrabia opuścił szpicrutę.

- Wracamy do pałacu - powiedział, biorąc Arię za ramię i odciągając ją od J.T.

Aria była zła na siebie. W drodze do koni przysięgła sobie, że jakoś zgubi porucznika Montgomery'ego i spędzi trochę czasu sam na sam z Julianem.

Julian miał nieprzeniknioną minę. Podsadził ją na siodło, potem sam dosiadł wierzchowca. Wszyscy troje ruszyli stokiem w dół.

- Zadumałaś się nad czymś, co powiedziałem? - spytał J.T. zrównując się z Arią.

Spięła konia i dogoniła hrabiego. Ujęła go za rękę.

- Dziś wieczorem o wpół do dziesiątej w Ogrodzie Królowej - szepnęła. - Będę czekała pod miłorzębem.

Nieznacznie skinął głową, choć wciąż patrzył prosto przed siebie.

Zjechali do połowy stoku, nie zamieniwszy ani słowa. J.T. posuwał się dosłownie centymetry za Arią. Aria kilka razy dyskretnie się obejrzała, ale zawsze zastawała porucznika skupionego na obserwacji krajobrazu. Po powrocie do pałacu zamierzała odbyć z nim poważną rozmowę i jasno mu wyłożyć, co będzie tolerować, a czego nie. Na mieszanie się do jej związku z Julianem na pewno nie mogła przemykać oczu. Tak samo jak na uwidaczniające się zainteresowanie J.T. Geną. Jej siostra była młoda i trzpiotowata. Aria nie mogła dopuścić, żeby spędzała czas z dużo starszym, doświadczonym mężczyzną, takim jak porucznik Montgomery.

J.T. skoczył całkiem zniecka. W jednej chwili spokojnie jechał na koniu, w następnej był już w powietrzu. Arię zaalarmował jakiś dźwięk za plecami. Obróciła się i ujrzała olbrzymią postać lecącą w jej stronę. Zdążyła jeszcze krzyknąć.

Strzał chybił o centymetry. Kula gwizdnęła im nad głowami. Aria spadła z końskiego grzbietu w objęciach J.T.

Koń Juliana stanął dęba. Hrabia puścił wodze i jego rumak popędził w dół, unosząc z sobą niefortunnego jeźdźca, usiłującego utrzymać się na grzbiecie. Dwa pozostałe konie, już bez jeźdźców, pogoniły za pierwszym.

J.T. w powietrzu przekreślił się tak, że pierwszy upadł na skaliste podłoże, a Aria wylądowała na nim. Natychmiast stoczył się z nią ze ścieżki do niewielkiego zagłębienia, osłoniętego krzakami i wysokim runem leśnym. Przykrył Arię swym ciałem i lekko unióśł głowę, żeby rozejrzeć się po stromym zboczu nad nimi.

- Czy to był strzał? - szepnęła Aria, patrząc mu w oczy.
- Zdaje się, że z czegoś dużego, bo widziałem lśniącą lufę.
- Może to był jakiś myśliwy?

J.T. miał sceptyczny wyraz twarzy.

- I wziął nas za owcę? - Znow spójrz na zbocze. - Ktoś strzelał do ciebie, księżniczko.
- Ojej - szepnęła i oplótła go ramionami. - Uratowałeś mi życie.
- Znowu. - Popatrzył na nią. - Tym razem chyba bardziej mi się to podoba.

Wyglądał tak, jakby zamierzał ją pocałować, ale odsunął się od niej.

- Musimy jakoś doprowadzić cię do domu. Nie możemy iść ścieżką. Wystawilibyśmy się na następny strzał. Musimy przejść przez las. Będziemy często przystawać, rozglądać się i nasłuchiwać. Żadnych rozmów. Gdzie jest najbliższe cywilizowane miejsce? Rozumiem, że na samochód nie ma co liczyć, ale może chociaż jest telefon. Musimy zaalarmować wasze wojsko i zapewnić ci jakąś ochronę podczas schodzenia.

- Wyżej jest domek myśliwski - powiedziała. - Mieszka tam kobieta, która o niego dba.

Będzie mogła zanieść wiadomość, bo telefonów na górze nie ma. Najbliższy jest w pałacu. Ale Julian na pewno sprowadzi pomoc.

- Nie licz na to, dziecino. Nie wydaje mi się, żeby szybko miał przestać galopować. Jak wreszcie wróci do pałacu, to pewnie schowa się pod kołdrę.

- Nie podoba mi się to, co mówisz. Julian nie jest tchórzem.

- Raz ktoś strzelił, a jedyne, co ten hrabcio pokazał, to plecy. Do tej pory powinien już wrócić z końmi. Jak daleko jest do tego domku?

- W prostej linii niedaleko, ale trzeba się wspiąć.

J.T. jęknął.

- No owszem, wspinaczka jest dość trudna, przyznaję... - zaczęła Aria.

- Na zboczu będziemy zupełnie nie osłonięci. Trzymaj się jak najbliżej ziemi i nie wylaż spomiędzy dąbczaków. Staraj się, żeby między tobą a tym strzelcem zawsze coś było.

- Może już uciekł.

- Miałby stracić taką okazję, żeby cię dostać? Nie żartuj. Wstawaj, ruszamy.

Aria nigdy przedtem się nie wspiwała. O domku myśliwskim wiedziała tylko dlatego, że w jego okolicy zginął synek jednej z jej dam dworu. W czasie trzydniowych poszukiwań Aria wiele się dowiedziała o okolicznym terenie.

Co gorsza, J.T. z uporem wybierał najgorszą z możliwych drogę. Pomagał jej jednak pokonywać skalne przeszkody, przedzierać się wśród półtorametrowych dąbczaków i znajdować przerwy w gęstych zaroślach, na które jedynym sposobem było czołganie się pod gałęziami.

Do myśliwskiego domku dotarli w południe. J.T. - ukrył Arię w okolicznych krzakach i załomotał do drzwi. Otworzyła je wystraszona starsza kobieta.

- Proszę pana, nie można...

J.T. odepchnął ją gwałtownie i wciągnął Arię do środka.

- Witam waszą wysokość. - Kobieta dygnęła.

- W porządku, Brownie - powiedziała Aria. - To jest porucznik Montgomery, Amerykanin. - Można było odnieść wrażenie, że w ten sposób usprawiedliwiała jego maniery. - Czy moglibyśmy dostać coś na lunch?

- Nikt nie zapowiedział przyjazdu waszej wysokośći, nie Jesteśmy przygotowani. - Kobieta stała, skubiąc fartuch. Wyglądała tak, jakby miała się rozplakać.

J.T. odsunął się od okna, przez które dotąd wyglądał.

- A co jest do jedzenia?

Brownie zerknęła na niego, jakby chciała się upewnić co do jego statusu.

- Zwykły placek ziemniaczany, taki jak jedzą pasterze. Dla księżniczki się nie nadaje.

- Mnie się wydaje, że to pyszne żarcie - stwierdził J.T. - A ty jak myślisz, słoneczko? - zwrócił się do Arii.

Brownie spojrzała na niego - wydawała się wstrząśnięta.

- To Amerykanin - powtórnie podkreśliła Aria. - A co do placka, to chętnie zjem. Można?

- Oczywiście, wasza wysokość. - Brownie znikła w sąsiedniej izbie.

- Przestań nazywać mnie słoneczkiem! - zażądała Aria, gdy tylko znaleźli się sami.

- Czy do członków rodziny królewskiej należy mówić „kochanie”? - Znowu wyglądał przez okno.

- Juliana nie widzisz?

- Ani z przodu, ani z tyłu. - Odwrócił się ku niej. - Zdaje się, że nie jest źle. Szybko otrząsas się po zamachach na twoje życie. Tyle że zawsze jesteś potem potwornie głodna.

- Tak mnie nauczono. Od dawien dawna ludzie zabijają królów, czasem dla sławy, czasem z osobistej niechęci, czasem z pobudek politycznych.

- Kto cię nauczył takiej odpowiedzi?

- Matka - odrzekła machinalnie Aria.

Przyglądał jej się chwilę.

- Wiesz co? Chyba nigdy nie zdołam cię do końca poznać. Co sądzisz o podwójnej whisky?

- Poproszę - odrzekła z wdzięcznością. J.T. się uśmiechnął.

Starła się ze wszystkich sił pozostać księżniczką, wysoko trzymać głowę, ale w głębi cała drżała. Tu, w Lankonii, ktoś próbował ją zabić. Jeden z jej poddanych. Była niemal wdzięczna porucznikowi, gdy wciągnął ją z sieni do saloniku obwieszonoego średniowiecznymi tkaninami, gdzie stały krzesła z ciemnymi, wytartymi obiciami.

- Siadaj - nakazał, podszedł do kredensu i nalał do szklaneczki whisky, prawie do pełna.

Aria przełknęła pierwszym haustem jedną trzecią zawartości. Oczy jej zaszyły łzami, ale

ciepło, które poczuła, było jej potrzebne.

- Wiem o dwóch próbach. Masz w dorobku jeszcze więcej zamachów na swoje życie? Może jakieś „wypadki”?

- Na tydzień przed wyjazdem do Stanów potknęłam się o coś na schodach. Lady Werta stała za mną i zdążyła złapać mnie za suknię. Inaczej bym spadła.

- Co jeszcze?

Aria odwróciła wzrok.

- Ktoś zabił mojego psa - powiedziała cicho. - Miałam wrażenie, że to jest przestroga dla mnie.

- Komu o tym powiedziałaś?

- Nie miałam komu. Dziadek jest za bardzo chory...

- Jest chory od rozpieszczania, mniej więcej tak samo jak reszta ludzi tutaj - powiedział J.T., nalewając whisky także dla siebie. - Od tej pory jesteś pod moją nieustającą opieką. Nie znikasz mi z oczu i nigdzie beze mnie nie chodzisz.

- To raczej niemożliwe. Mam wiele obowiązków. Mój dziadek nigdy nie dopuszczał myśli, że monarcha może pozostawić nie wyćwiczonego następcę. Jestem bez przerwy osobą publiczną. Taką cenę płacę za przywilej bycia księżniczką.

- Z tego, co dotąd widzę, kiepski to przywilej.

- Mam też zobowiązania wobec narzeczonego - powiedziała, dopijając whisky. - Julian ma rację, że nasze małżeństwo dobrze posłużyłoby Lankonii.

- Podano lunch, wasza wysokość - odezwała się Brownie z progu.

J.T. dopił swoją whisky.

- Wspaniale. Przyślij mi zaproszenie na uroczystość. Chętnie pomogę, w czym będę mógł, gdy tylko się przekonam, że hrabia nie jest zamieszany w spisek. A teraz coś zjedzmy.

W dwadzieścia minut później hrabia Julian wrócił z siłami, sprawiającymi wrażenie armii. Zamierzano urządzić w domku myśliwskim sztab poszukiwań księżniczki i zamachowca. Ale gdy Julian wszedł do izby jadalnej, zobaczył jej wysokość siedzącą przy stole z tym amerykańskim plebejuszem. Oboje jedli ohydnie pospolity posiłek.

- Miło znowu pana zobaczyć, hrabio - zawołał Amerykanin. - Myśleliśmy, że już pan nas nie zaszczydzi swą obecnością.

- Brać go! - rozkazał hrabia Julian jednemu z czterech żołnierzy idących za jego plecami.

- Nie! - Aria wstała. - On uratował mi życie, nie wolno go tknąć. Zostawcie nas.

Dowódca straży wykonał dworski ukłon i wraz ze swymi ludźmi opuścił izbę.

- Julianie - powiedziała stanowczo Aria. - Straż i ty odprowadzicie mnie do pałacu. Mam po południu pełny kalendarz zajęć.

J.T. wstał i podszedł do nich.

- Nie możesz występować publicznie.

- A co mam robić? Zamieszkać w wieży? Czy mam też znaleźć sobie kogoś, kto będzie próbował moje potrawy? A może zamknąć się w więzieniu? - Zwróciła się do Juliana. - Dla wyjaśnienia mojej nieobecności na porannych audiencjach powiem, że spadłam z konia i musiałam pieszo zejść ze szczytu. Lepiej, żeby ludzie się ze mnie śmiali, niż żeby ogarnął ich strach. - Pierwsza skierowała się do drzwi.

J.T. przytrzymał Juliana.

- Nie możemy jej na to pozwolić. To zbyt niebezpieczne.

Julianowi w niepojęty sposób udało się spojrzeć z góry na wyższego przecież J.T.

- Ty tego nie potrafisz zrozumieć, człowieku. To jest następczyni tronu, będzie kiedyś królową.

- Rozumiem, że powinien pan ją kochać, hrabio.

- Co to ma do rzeczy?

- Jej życie jest w niebezpieczeństwie, ty mały... - J.T. urwał. - A może chciałbyś tylko, żeby ci nie zawadzała?

- Gdyby była inna epoka, a ty, człowieku; byłbyś dżentelmenem, wyzwalałbym cię za to na pojedynek. - Julian obszedł J.T. i opuścił izbę.

- Jestem gotów w każdej chwili - zawołał za nim J.T.

Dla J.T. reszta dnia była koszmarem. Trzymał się tak blisko Arii, jak tylko było to możliwe, ale nieustannie mnóstwo ludzi ich rozdzielało. Wielu wyciągało ramiona ku następczyni tronu i miało łzy w oczach. Cieszyli się, że widzą swą księżniczkę. Długo nie było jej w ojczyźnie, więc wszyscy chcieli się przekonać, że Aria dobrze się czuje, a plotki o jej chorobie są nieprawdziwe.

J.T. miał kłopoty ze zrozumieniem, czym jest Aria dla tych ludzi. Jakiś staruszek na wózku inwalidzkim popłakał się, gdy Aria ujęła jego dłonie.

- Nie żyłem na próżno - wycharczał. - Moje życie ma teraz sens.

J.T. usiłował wyobrazić sobie reakcję Amerykanów na spotkanie z prezydentem. Połowa prawdopodobnie wykorzystałaby tę okazję, żeby mu powiedzieć, co należy robić lepiej. Zawsze też towarzyszyło temu uczucie tymczasowości. Cztery lata i następna kadencja.

Aria była jednak księżniczką na całe życie, bez względu na to, jak długo będzie to trwało. Pod wpływem tej myśli J.T. niespokojnie drgnął.

Szpalery ludzi ciągnęły się po obu stronach ulic wszędzie, gdzie przechodziła księżniczka. W Akademii Nauk J.T. stał Pod ścianą i słuchał niewiarygodnie nudnego wykładu o żukach. Nawet głośno ziewnął, na co lady Werta obróciła się i przesłała mu miazdzące spojrzenie.

Za kwadrans siódma Arię wsadzono do zabytkowego, bardzo starannie wypucowanego Rolls Royce'a, żeby odwieźć ją do pałacu. J.T. przepchnął się przez tłum, otworzył drzwi samochodu po drugiej stronie i wsiadł do środka, razem z lady Wertą i Arią.

- Niech pan natychmiast wysiądzie! - zagrzmiała lady Werta. - Zatrzymać samochód! - zawołała do kierowcy.

- W porządku, niech jedzie - zgodziła się Aria.

- To nie jest w porządku - parsknęła lady Werta. - Pani nie może być z nim widziana. Ludzie zrobią się podejrzliwi i wtedy nigdy nie uda się sprowadzić z powrotem do pałacu prawdziwej księżniczki. I już nigdy jej nie zobaczymy.

Aria zaczęła uspokajająco klepać damę dworu po dłoni.

- Czego chcesz? - spytała ze złością J.T., udając Kathy Montgomery, co zresztą przyszło jej z dużą trudnością. - Powiedziałam ci, że nie chcę cię więcej widzieć.

- Król wynajął mnie do ochrony księżniczki, a nie mogę tego robić, kiedy jesteś w takim tłumie.

- Księżniczka musi wypełniać swoje obowiązki - oznajmiła wyniośle lady Werta.

J.T. chciał jeszcze coś powiedzieć, ale bez słowa zamknął usta. Czyżby nikt z tych ludzi nie miał nawet odrobiny rozumu? Darzą swoją księżniczkę uwielbieniem, a przecież jeśli nie zapewnią jej ochrony, księżniczka długo nie pożyje.

Z wielką niechęcią odstąpił od Arii, gdy znaleźli się w pałacu. Jego komnata była daleko od apartamentów następczyni tronu, zdawał więc sobie sprawę, że w razie potrzeby nie zdąży z pomocą na czas.

W jego komnacie stał człowieczek ubrany w liberię, zdaje się że w barwach miejscowego władcy, szaro - złotą.

- Co pan tu robi? - spytał podejrzliwie J.T.

- Jego wysokość prosił, żebym zaopiekował się panem podczas pańskiego pobytu w Lankonii. Nazywam się Walters. Będę pana ubierał, doręczał panu przesyłki i robił wszystko, czego pan sobie zażyczy. Jego wysokość pouczył mnie, że mam zachować najdalej posuniętą dyskrecję. Przygotowałem panu kąpiel. Mundur czeka odprasowany.

- Nie potrzebuję nikogo... - zaczął J.T.. ale uznał, że Walters może mu się jednak przydać.

- Oto list od jego wysokości - powiedział służący.

Kremowy czerpany papier zapieczętowano czerwonym woskiem, na którym odcisnięto imponującą pieczęć herbową. Król pisał, że Waltersowi można ufać bez zastrzeżeń, że Walters wie o wszystkim i ma znakomity słuch.

J.T. zaczął się rozbierać. Gwałtownie odsunął ręce Waltersa, gdy ten chciał rozpiąć mu koszulę.

- Słyszałeś, co się dzisiaj stało? - spytał.

- Podobno jej wysokość miała wypadek.

J.T. spojrzał na Waltersa bardzo ostro.

- Czy tylko tyle słyszałeś?

- Hrabia Julian powiedział, że księżniczka zgubiła się w lesie, ale udało mi się podsłuchać jego rozmowę z lady Bradley. Stąd wiem, że ktoś strzelił do księżniczki. Hrabia wydaje się przekonany, że to był wypadek podczas polowania. - Walters odwrócił głowę, tymczasem J.T. rozebrał się do reszty i wszedł do wanny.

- A ty co o tym sądzisz?

- To ja zakopałem jej pieska, proszę pana. Ktoś zabił go nożem, a potem rozpruł mu brzuch i w czasie gdy księżniczka spała, wsadził go pod łóżko. Księżniczka zobaczyła psi ogon między nocnymi pantoflami i wezwała mnie, żebym uprzątnął zwierzę, zanim kto inny je zobaczy.

J.T. rozparł się wygodnie w staromodnej, krótkiej i głębokiej wannie. Wszystkie łazienki w pałacu pochodziły z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Miały bardzo bogate wyposażenie: marmury, porcelanowe kurki kranów w kształcie delfinów lub łabędzi. Dobycie z takiego kranu gorącej wody zajmowało jednak wieki. J.T. przypomniał sobie, jak Aria mówiła, że nikt nie słyszał o jej „wypadkach”. A przecież ten Walters zabrał zabitego psa. Ilu jest jeszcze takich ludzi?

- Walters, powiedz mi, kto mieszka w pałacu - poprosił J.T.

Walters wyrecytował listę ludzi, przedstawił ich rodowody i tytuły, które brzmiały tak, jakby żywcem wzięto je z bajki. Byli trzej młodzi książęta, wszyscy pochodzący w prostej linii od władcy. Była ciotka Arii imieniem Bradley, księżna Daren, kobieta bezpośrednio spokrewniona z niemal wszystkimi rodami królewskimi na świecie.

- Z wyjątkiem azjatyckich, oczywiście - powiedział Walters. - Siostrą króla była jej wysokość Sophie, a Barbara „jeszcze dzieckiem” i do tego jedynym dzieckiem zmarłego brata zmarłego ojca Arii.

- W jaki sposób umarli rodzice Arii? - spytał podejrzliwie J.T.

- Ojciec się przeziębził, ale nie chciał odwołać trzydniowej podróży na południe kraju. Padało, a on stał w deszczu, przyjmując wyrazy szacunku poddanych. Dwa tygodnie później umarł na zapalenie płuc.

- A matka?

- Miała raka. Możliwe, że nawet dałoby się go zoperować, ale jej wysokość powiedziała o tym dopiero wtedy, gdy nie mogła już znieść bólu.

J.T. trawił te informacje. Nic dziwnego, że Aria jest taka, jaka jest. Pewne cechy jej wszczepiono.

Ogolił się, ubrał i zszedł za Waltersem do Zielonej Jadalni. Teoretycznie było to miejsce kameralnych posiłków, w istocie jednak sala była większa niż boisko do koszykówki.

W przedśionku Walters wyciągnął zegarek z kamizelki.

- Jesteśmy trochę za wcześnie, proszę pana. Członkowie rodziny królewskiej zawsze są punktualni. Można nastawiać według nich zegarki.

- Muszę to sobie zapamiętać - mruknął J.T., unosząc brew.

Miał ochotę zapalić papierosa, ale surowo spoglądający przodkowie, których portrety rozwieszono na ścianach korytarzy, zdawali się odnosić z dezaprobatą do tak współczesnych obyczajów. Mniej więcej dwadzieścia godzin spędzonych w pałacu pozwoliło mu wyrobić sobie pogląd na życie rodziny królewskiej: same obowiązki i ani trochę rozrywek. Usiłował przypomnieć sobie wszystko, czego kiedyś uczyła go matka o eleganckim zachowaniu przy stole. Nie chciał

wprawiać Arii w zakłopotanie ani narażać się na kpiący śmiech Juliana. Żałował, że nie pamięta imienia swojego angielskiego przodka, który był hrabią. Może miałby okazję wtrącić je mimochodem do rozmowy, gdy lord Jakiśtam lub lady Jakaśtam będą się rozwodzić nad swoimi koligacjami z Rowanem Dwunastym lub kimkolwiek innym.

- Już czas - powiedział Walters i poprowadził J.T. do drzwi salonu, w którym wszyscy spotykali się przed obiadem. - Życzę panu powodzenia - powiedział na pożegnanie.

Aria podała swojego drinka służącemu w liberii, który zdawał się przez cały czas czekać na ten zaszczyt, i podeszła do J.T.

- Chodź, przedstawię cię. Ojej, poczekaj - powiedziała nagle ciszej. Przystanąła. - Nie mogę przedstawić cię jako... jako...

Dopiero po chwili zrozumiał, w czym problem.

- Jako J.T. Co masz przeciwko mojemu imieniu? - spytał z irytacją.

- Inicjały haftuje się na bieliźnie osobistej - wyjaśniła Aria. - To absurdalny amerykański obyczaj, żeby skracać imiona do inicjałów. Mogę cię przedstawić wyłącznie jako porucznika Jarla Montgomery'ego. I wyłącznie pod warunkiem, że potrafisz zapomnieć, że twoja matka ma wyłączność na to imię.

J.T. wybuchnął śmiechem. Inni obecni odwrócili się i wlepili w niego wzrok.

- Słoneczko, możesz mnie nazywać, jak chcesz. - Wyciągnął rękę, chcąc dotknąć jej nagiego ramienia, ale zmroziła go spojrzeniem. - No dobra, księżniczko, przedstawiaj.

Pierwsza w kolejności była piękna kobieta, mniej więcej czterdziestoletnia, lecz z gładką skórą i dekoltem, na widok którego J.T. kilka razy zamrugał. Trzymała jego dłoń o ułamek sekundy za długo, a gdy ją puściła, J.T. odprowadził damę wzrokiem.

- Masz ochotę na romans z moją ciotką? - spytała cicho Aria. - Uważaj, ona jest dużo starsza od ciebie.

- Tak samo jak najlepsze wina.

Następna była lubieżna nimfetka imieniem Barbara.

- Ario, on jest absolutnie boski - zakrzyknęła. - Jakże uprzejmie ze strony jego wysokości, że przysłał nam tutaj kogoś takiego. - Chwyciła J.T. za ramię i zaczęła go odciągać na bok.

Nagle drzwi się otworzyły i wbiegła Gena. Wyglądała Prześlicznie, twarz miała zaróżowioną od biegu po schodach.

- Przepraszam, Ario - powiedziała szybko i chwyciła J.T. za drugie ramię. - On jest mój, Barbaro. Jeśli go dotkniesz, rozerwę cię na strzępy.

J.T. uśmiechnął się najpierw do jednej kobiety, potem do drugiej.

- Chętnie się podzielę - rzekł uprzejmie.

Aria zaczęła ich rozłączać, ale przeszkodził jej Julian.

- Podają obiad. Sądzę, że powinniśmy przejść do jadalni.

J.T. zupełnie nie spodziewał się, że posiłek będzie tak wyglądał. Gdyby wcześniej zastanowił się trochę nad tą kwestią, czego zresztą nie zrobił, uznałby, że najlepsze maniery na świecie mają członkowie rodziny królewskiej. Okazało się to nieprawdą. Towarzystwo przypominało mu bandę rozpieszczonych dzieciaków, którym zawsze ustępowano. Każda z dziesięciu osób przy stole miała swojego służącego, a J.T. odniósł wrażenie, że służby powinno być dwa razy więcej, ponieważ wszyscy krzatali się bez ustanku. Ktoś lubił tylko schłodzone wino, kto inny właśnie ciepłe; ktoś za nic nie chciał marchewki, kto inny jadł w ogóle co innego, niż było na stole. Jeden z kuzynów, Nickie, pomlaskiwał i z zapalem gestykulował, opowiadając o swym ostatnim sukcesie na polowaniu. I oczywiście nikt nie dotykał jedzenia rękami. Zupełnie jakby jedzenie było obłożone klątwą: kto go dotknie, ten umrze. Wszyscy raptownie znieruchomieli, gdy J.T. sięgnął po bułkę leżącą na jego talerzyku z pieczywem. Ostentacyjnie wziął ją w dłoń. Po chwili zebrani znów zaczęli jeść, a J.T. dalej prowadził obserwacje.

Przyjrzał się ciotecznej babce Sophie, głośniejszej, obcesowej kobiecie, która próbowała zawładnąć całym stołem, podczas gdy reszta obecnych starała się nie zwracać na nią uwagi. Barbara i Gena wydawały się zainteresowane wyłącznie seksem, a tego wieczoru właśnie on stał się przedmiotem ich pożądania. Lady Bradley prawie się nie odzywała, ale raz po raz przesyłała mu spojrzenie z krawędzi kieliszka z winem.

Wkrótce J.T. uświadomił sobie, że z całego towarzystwa interesuje go jedynie Aria. Siedziała u szczytu stołu, jadła w niezwykle elegancki sposób, nie krzyczała i nie zgłaszała żadnych żądań.

- Ależ pan nas obserwuje - odezwała się cicho lady Bradley. - Jak zwierzęta w klatce.

Uśmiechnął się do niej.

- Jako Amerykanin nie jestem przyzwyczajony do tak oficjalnych posiłków. Częściej jadam hot dogi na plaży.

Lady Bradley uśmiechnęła się znacząco.

- Wobec tego ma pan wrodzone maniery. Wyczuwam to. Czyżby był pan jednym z bardzo bogatych Amerykanów?

- Zatrudniono mnie do wykonania pracy, to wszystko. - Nie spuszczał wzroku z Arii.

- Mmmm - powiedziała lady Bradley. - Nie odpowiada pan na pytanie. - Zerknęła na Arię. - Czy pan jest w niej zakochany?

J.T. powiedział sobie, że musi być ostrożniejszy i nie odkrywać się zanadto.

- Po prostu jest inna niż wszyscy.

Lady Bradley wybuchnęła dźwięcznym śmiechem.

- Aria musi się elegancko zachowywać. Cięży na niej odpowiedzialność, podczas gdy reszta z nas upaja się luksusem. Ona pracuje, a my zbieramy tego owoce. - Roześmiała się znowu, widząc minę J.T. - Ci ludzie tutaj wymieniają panu mnóstwo zajęć, z których się utrzymują, ale tak naprawdę jesteśmy na garnuszku Arii. Ona będzie wspaniałą królową.

Zaczęła atakować go Barbara i J.T. musiał się odwrócić od lady Bradley, ale myśl o Arii w roli królowej przypomniła mu o wciąż żywym problemie. Ktoś próbował Arię zabić i było bardzo możliwe, że właśnie ten ktoś siedzi przy stole. Czy lady Bradley nie powiedziała czegoś znaczącego? Aria utrzymuje tych ludzi. Może ktoś chce więcej niż tylko mieć luksusowe mieszkanie i wyżywienie. Postanowił nazajutrz przejrzeć pałacowe rachunki i sprawdzić, komu potrzeba pieniędzy.

Zerknął na Genę, śmiejącą się z jakiegoś dowcipu zniewieściałego Freddiego. Był pewien, że gdyby Gena została królową i osobiście miała zawładnąć majątkiem ze sprzedaży uranu, to sprzedalaby go każdemu, kto dobrze zapłaci. Prawdopodobnie przepuściłaby wszystko w pięć lat, i pieniądze, i zasoby uranu. A ten, kto miałby Genę, mógłby zyskać dostęp do pieniędzy. Wystarczyłoby tylko pozbyć się Arii i króla. Wtedy Gena odziedziczyłaby wszystko.

Posiłek był długi i nudny. Służba podawała danie za daniem, każde na chińskiej porcelanie z innym wzorem. Królewska rodzina nie jadła dużo, ale zdawała się dużo pić.

- Dlaczego król nie mieszka w pałacu? - zainteresował się J.T., kierując pytanie do lady Bradley.

- Mówi, że powietrze w okolicy domku myśliwskiego jest lepsze dla jego zdrowia, ale tak naprawdę, to po prostu nas nie lubi. To znaczy lubi Arię i Genę, ale nikogo poza tym. Jesienią przenosimy się do znacznie mniejszego pałacu na południu, a jego wysokość wraca wtedy do pałacu w stolicy. Kiedy wracamy, on wyjeżdża. Tak jest wygodnie dla wszystkich, nawet dla Arii, bo gdy dziadka nie ma, ona jest w pewnym sensie królową.

J.T. pomyślał, że nie miałby do króla najmniejszych pretensji o takie zachowanie.

Przez cały posiłek, który składał się właściwie wyłącznie ze spieczonych na wiór mięs, podlanych ciężkimi sosami, które smakowały jednakowo, J.T. obserwował Arię. Kilka razy pochyliła się do Juliana i ich głowy znalazły się blisko siebie, raz Julian powiedział coś, co wywołało na jej twarzy rumieniec.

J.T. przypomniawszy sobie ich wspólne dni na Key West. Przypomniawszy sobie śmiech Arii, rozmowę o destylarni wody, jej taniec na balu w duecie z Amandą Montgomery. Przypomniawszy sobie, jak ją obejmował, budził się obok niej, kochał się z nią.

Nóżka kieliszka pękła mu w dłoni. Tylko lady Bradley zauważyła, że służący przykrył

zaplamiony winem obrus białą, brokatową serwetką i po chwili podał J.T. nowy kieliszek Aria podniosła wzrok, spojrzała w oczy J.T. i chyba nie spodobało jej się to, co tam zobaczyła, bo zmarszczyła czoło i wróciła spojrzeniem do Juliana.

Ona jest nie dla ciebie, tłumaczył sobie J.T. Należy do tego miejsca, a ty należysz do Stanów Zjednoczonych. Musisz trzymać się od niej z dala. Strzec ją, zapewnić jej ochronę, ale dla własnego zdrowia psychicznego nie zakochać się w niej. Niech ją weźmie Julian. On chce być królem i może być dobrym królem.

Po posiłku mężczyźni i kobiety rozdzielili się. Panowie przeszli do komnaty, w której mogli zapalić cygaro i wypić brandy. Freddie, Nickie i Toby nadal rozmawiali o liczbie zwierząt, które udało im się zaszlachtować, a że Julian nie życzył sobie rozmawiać z amerykańskim prostytutką, J.T. nie dopuszczono do tego kręgu.

Ziewnął, dopił brandy i oznajmił, że idzie spać. To wywołało nagłą konsternację. Zorientował się więc, że popełnił poważne *faux pas*.

- Nie wolno panu odejść, dopóki jej wysokość nie powie nam „dobranoc” - wyjaśnił Julian. Z jego tonu należało wnioskować, że wie o tym najgorszy obwieś.

- Proszę jej powtórzyć, że życzę miłych snów - powiedział J.T. mrugając znacząco. - Na razie. - Skinął głową trzem książętom.

- A to ci dopiero - syknął z niedowierzaniem jeden z książąt. J.T. zdążył to jeszcze usłyszeć, zanim opuścił towarzystwo.

Zamierzał dowiedzieć się od Waltersa, gdzie są apartamenty Arii, i wymyślić sposób na zapewnienie jej ochrony w nocy.

Walters czekał na niego z piżamą i szlafrokiem. Piżama była jedwabna, a szlafrok kaszmirowy.

- Muszę jakoś zapewnić księżniczce bezpieczeństwo nocą - powiedział J.T, odsuwając od siebie nocną bieliznę.

- Zaraz po kolacji księżniczka ma się spotkać z hrabią Julianem w Ogródzie Królowej - poinformował go Walters.

J.T. pomyślał, że nic go to nie obchodzi, że lepiej byłoby zostawić tych dwoje sam na sam.

- Gdzie jest Ogród Królowej? - spytał po chwili.

- Za mostkiem ścieżką w prawo. Dojdzie pan do wysokiego żywopłotu, za nim jest Ogród Królowej. To bardzo dyskretne miejsce. Nazwano je tak, bo tradycyjnie spotykały się tam królowe ze swymi kochankami.

J.T. wyszedł nie czekając, aż zdąży się rozmyślić.

Ogrody wokół pałacu rozciągały się na hektarach wypielęgnowanej ziemi. Częściowo były widoczne z okna komnaty J.T. Mniej więcej dwadzieścia arów zajmowała flaga lankońska wykonana z kilkunastocentymetrowych krzewinek. We wnętrzu flagi rosły zaś kwiaty; winogrona były zielone, koziół biały, rosły też pasy szarości i złota.

Dalej widniały wysokie drzewa i jaskrawe plamy kwiatów. Tu i ówdzie wcinały się kliny bieli, prawdopodobnie stały tam jakieś konstrukcje z marmuru.

Droga do mostka była bardzo zadbana. Wzdłuż niej po obu stronach rosły wierzby z chylącymi się gałęziami. J.T. skręcił w prawo, zgodnie z instrukcją. Zarośla stały się gęściejsze. Korony drzew nie przepuszczały księżycowego światła, w końcu zrobiło się więc tak ciemno, że ledwie widział ścieżkę.

- Julian? - usłyszał szept Arii.

Znieruchomiał. Przez moment nasłuchiwał, a potem skoczył ku niej i chwycił ją w tali. Otworzyła usta do krzyku, więc zareagował w sposób, który wydał mu się całkiem naturalny: zamknął jej usta pocałunkiem.

Tęsknił do niej o wiele bardziej, niż zdawał sobie sprawę. Trzymał ją teraz tak mocno, że omal nie przełamał jej na dwoje, żeby połowa była dla niego, połowa dla Lankonii. Smakował jej wargi. Z przyjemnością poczuł, jak Aria obejmuje go i próbuje przyciągnąć jeszcze bliżej.

- Och, dziecino - szepnął, całując ją w szyję i przytulając usta do jej głowy. Włosy spadały jej na ramiona, były miękkie i rozpuszczone, takie jak powinny. Właśnie takie włosy nosiła jego Aria.

Dopiero po chwili uświadomił sobie, że Aria wrywa się z jego objęć. Czuł się lekko oszołomiony, ale ją puścił.

- Dlaczego mi to robisz? - wyszeptała, jakby brakowało jej tchu. - Dlaczego poszedłeś za mną? Nie rozumiesz, że nie chcę cię już widzieć? Nie chciałam tam, na górze, i teraz też nie chcę.

J.T. zaczął myśleć jaśniej. Mgła, która go otoczyła, gdy jej dotykał, ustępowała.

- Przyszedłem, bo muszę cię pilnować - powiedział dziwnie niewyraźnie, jakby miał spuchnięty język. Odchrząknął. - Chciałem ci po prostu pokazać, jak niebezpiecznie jest być samej w takim miejscu. To wcale nie musiałem być ja. Mógł cię ktoś napaść.

- Ty mnie napadłeś - powiedziała. - I zostaw mnie już w spokoju. Zamierzam się tu spotkać z przyszlým mężem.

- I on ma cię chronić? Ten mały...

- Dość tego! - powiedziała przez łzy. - On nie jest taki olbrzymi jak ty. Nie jest, jak mówi Gena, niebiańsko przystojny, ale jest naprawdę odpowiedni. Czy nie możesz zrozumieć, że muszę myśleć także o innych stronach małżeństwa poza rozkoszą w łóżku? Nie możesz być moim mężem,

więc proszę, przestań... przestań mnie dotykać. Będę kochała hrabiego Juliana. Rozumiesz? Nie chcę, żebyś mnie chronił ani nawet był blisko mnie. Wracaj do pałacu, chcę bez świadków spotkać się z moim kochankiem.

J.T. cieszył się, że w ciemności nie widać jego twarzy. Dzięki temu Aria nie zobaczyła, jak wzdrygnął się na słowo „kochanek”.

- Masz rację - powiedział wreszcie. - Ale powierzono mi zadanie. - Jego głos stał się chłodny i bardzo oficjalny. - Prezydent mojego kraju prosił mnie, żebym cię pilnował, więc zamierzam spełnić tę prośbę. Nie jestem pewien, czy twój hrabcio nie należy do spiskowców, którzy chcą cię skrzywdzić, dlatego podczas waszej schadzki zamierzam trzymać się w pobliżu.

- Co zyskałby Julian na mojej śmierci? - spytała zirytowana. - Przecież zyskuje na tym, że żyję.

- Naprawdę? - spytał cicho J.T. - Ożeni się z upartą, nieugiętą królową babą, która każe mu chodzić dwa kroki za sobą. Nigdy nie będzie niczym więcej niż księciem małżonkiem. O ile cię znam, to nigdy nie podzielisz się z nim władzą nad tym krajem. Dziś rano Julian wydał rozkaz żołnierzowi, ty wydałaś rozkaz przeciwny i żołnierz posłuchał ciebie. Nie sądzę, żeby taki kogucik jak twój hrabcio godził się z tym do końca życia.

Aria przez chwilę milczała.

- A jeśli zginę? - spytała szeptem.

- Wszystko odziedziczy twoja młodsza siostra. Ten, kto się z nią ożeni, będzie rządził Lankonią. Nawet będzie na to skazany, bo Gena jest niezdolna do rządzenia czymkolwiek.

- Ale Lankonią jest bardzo biedna. Czemu ktoś miałby chcieć zdobyć nad nią władzę?

- Nie jest wcale taka biedna, jak ci się zdaje. Cicho, ktoś idzie! - Pochylił się do jej ucha. - Schowam się, ale będę w pobliżu. I zepnij włosy - burknął jeszcze, po czym znikł w mroku.

Aria próbowała coś zrobić z włosami, ale nie miała szpilek. Zresztą i tak ręce za bardzo jej drżały, żeby cokolwiek z tego wyszło. Do tej rozmowy z Jarlem starała się przypisywać zamachy na swoje życie najróżniejszym przyczynom, nie widziała bowiem żadnej korzyści, jaką ktokolwiek mógłby odnieść z jej śmierci. Teraz zdała sobie sprawę, że Jarl miał rację. Tylko co chciał powiedzieć przez to, że Lankonia nie jest taka biedna?

- Ario, moja kochana - powiedział Julian, biorąc ją w objęcia. - Wreszcie jesteśmy sami. Nie sądziłem, że to się stanie. - Zaczął całować ją po twarzy. - Masz rozpuszczone włosy. To bardzo intymne.

Aria przez cały czas pamiętała, że Jarl jest gdzieś blisko i podsłuchuje. Odsunęła Juliana, który mimo to wciąż ścisnął jej dłonie.

- Dobrze, że w końcu mogę spotkać się z tobą bez świadków. Chodź, usiądziemy i

porozmawiamy.

- Rozmawiać w świetle księżyca? Och, moja miła, nie. Kochajmy się.

- Julianie - powiedziała stanowczo. Pociągnęła go na fikuśną marmurową ławeczkę. - Uważam, że powinniśmy porozmawiać. Nigdy nie rozważaliśmy naszej wspólnej przyszłości.

Ucałował jej dłonie, najpierw wierzch, potem wewnętrzną stronę.

- Myślałem, że żenię się z Lankonia, ale widzę, że nie. Żenię się z kobietą.

- Co zamierzasz po naszym ślubie? Mam na myśli Lankonię. Czy chcesz zająć się działalnością dobroczynną? Jakie sporty uprawiasz? Naprawdę wiem o tobie bardzo mało.

- To wspaniale, że się tym interesujesz - powiedział i pochylił się, by pocałować ją w usta, ale Aria się cofnęła. Westchnął. - Nigdy nie interesowałem się sportem. Z wyjątkiem jeździectwa, oczywiście. Przygotowano mnie do zarządzania nieruchomościami. Mój ojciec miał chyba nadzieję, że zdoła odzyskać część majątku, który przepuścił dziadek. Ale mu się nie udało. Stracił wszystko. - W jego głosie pojawiła się gorycz. - Zostały mi tylko drzewo genealogiczne i wiedza. Przyjechałem do Lankonii, bo usłyszałem o następczyni tronu do wzięcia, ale... - Głos mu złagodniał. - Nie wiedziałem, że jesteś taka piękna. Ario. Nasze małżeństwo będzie bardzo szczęśliwe.

- Może - powiedziała. - Ale co zamierzasz robić po ślubie?

- Być królem, oczywiście - powiedział jak do kompletnej idiotki.

- Rozumiem.

Nadal całował ją po rękach.

- Tak, kochana, będziesz piękną damą. Będę kupował ci paryskie suknie, kiedy tylko skończy się ta głupia wojna. Będziemy podejmować arystokrację z całego świata. Urodzisz mi wspaniałe dzieci, a ja nauczę naszego syna, jak być królem.

- Czym Lankonia zapłaci za te suknie i przyjęcia? Obłożymy podatkami parobków? - W głosie Arii zabrzmiało rozdrażnienie. - Zabierzemy im trzecią część zbiorów i zostawimy z głodującymi dziećmi?

Puścił jej dłonie i usiadł sztywno wyprostowany.

- Kwestie płacenia zostaw mnie. Poradzę sobie ze wszystkim. Ty będziesz musiała tylko układać jadłospisy.

Aria zaczęła dygotać ze złości i strachu jednocześnie. Oto powód, dla którego ten człowiek mógł pragnąć jej śmierci. A jeśli człowiek, który powinien ją kochać, mógł pragnąć jej śmierci, to co dopiero mówić o ludziach, których nie zna. Ukryła twarz w dłoniach.

- Och, Julianie, nie wiesz nawet, jak cudownie to brzmi. Nie musisz budzić się każdego rana i martwić, że trzeba znów podejmować decyzje! Tak bardzo chciałabym dwa razy w roku polecieć do Paryża i obejrzeć nowe kolekcje. I bardzo chciałabym mieć dzieci. Spędzałabym z nimi mnóstwo czasu, gdybym... gdybym nie musiała się przejmować problemami wagi państwowej.

Ukryty w mroku J.T. omal nie wybuchnął śmiechem. Była to idealna Doiły, tyle że bez południowego akcentu. Ileż razy Doiły udawała kompletnie bezradną, a kończyło się na tym, że wszystko brała w swoje ręce. J.T. omal nie wyskoczył z kryjówki, by ostrzec Juliana.

Julian oderwał dłonie Arii od twarzy.

- Kochana, już wiem, jak sobie wszystko wyobrażasz. Dzięki tobie stanę się najszcześniejszym z ludzi. Od jutra wezmę się do pracy. Muszę przyjrzeć się lankońskim dochodom z podatków i będziemy mogli przystąpić do planowania ślubnej ceremonii.

- Ale król... - zaczęła Aria.

- Phi. To stary człowiek. W ogóle nie wie, co się dzieje. Muszę przygotować się na czasy, gdy ja będę królem. Chodź, wracamy do pałacu.

- Nie pocałujesz mnie już?

- Oczywiście, kochana. - Pośpiesznie musnął jej wargi. - Takie ostre powietrze ci nie służy. Musimy wracać.

- Nie - sprzeciwiła się. - Jeszcze tu zostanę. Kobieta potrzebuje niekiedy trochę samotności, żeby porozmyślać o małżeństwie - wyjaśniła zalotnie.

- Nie podoba mi się to, ale zgoda. - Raz jeszcze ucałował jej dłonie i szybko oddalił się ścieżką.

Aria usiadła na ławce. Po chwili usłyszała za plecami szmer w krzakach. Przełknęła łzy. Czy to niemożliwe, żeby ktoś kochał ją dla niej samej, a nie dla jej królestwa?

Wstała, trzymając po bokach dłonie zaciśnięte w pięści.

- Jesteś zadowolony? - rzuciła się na J.T., który wyłonił się z mroku. - Cieszysz się, że miałeś rację? Julian chce Lankonii, a nie mnie. Zamierza zostać królem, a mnie zamknąć w dzieciennym pokoju. Amerykańska żona ma więcej władzy niż ja w jego planach. Czemu się nie śmiesz?

Objął ją i przytrzymał dłonie, które zaczęły bić go po klatce piersiowej.

- Przykro mi, dziecino - powiedział, głaszcząc ją po głowie.

Aria mimo wstydu nie mogła powstrzymać łez.

- Przecież wiedziałam, że on chce mnie tylko dlatego, że jestem królową, a jednak jakoś o tym

zapomniałam. Myślałam, że może mnie kocha. Jestem głupia! Czy to naprawdę niemożliwe, żeby ktoś chciał mnie? Tylko mnie, bez Lankonii.

J.T. podsunął jej dłoń pod brodę.

- Dziecino, gdybyś nie miała na szyi łańcucha z tym nieszczęsnym krajem, który ciągnie cię w dół jak „Titanic”, to porwałbym cię w jednej chwili.

- Naprawdę? Podobam ci się jako kobieta?

- Chciałbym, żebyś mieszkała ze mną, prała swoje czerwone bluzki razem z moimi białymi koszulkami, zarzekała się, że nie będziesz prasować i doprowadzała mnie do obłędu tańcem w kusych spódniczkach. - Przesunął dłońmi po jej twarzy. - Słoneczko, chciałbym, żebyś myła mi plecy. Chciałbym budzić się z tobą w objęciach.

Zaczął całować ją, zawierając w tym całą wielką tęsknotę, jaka się w nim zebrała.

- Zostań dzisiaj ze mną. Nie pozwól mi zbudzić się samotnie.

- Dobrze - szepnęła. Straciła poczucie rzeczywistości. Znowu była panią Montgomery, mogła się bez przeszkód śmiać, ubierać w dziwne stroje i nie martwić tym, że nie dotrzymuje słowa. Mogła jeść rękami, wybierać przyjaciół wedle gustu i nie bać się, że ktoś opíše najintymniejsze szczegóły z jej życia.

Przylgnęła do niego, wspominając te kilka cudownych, niezapomnianych tygodni, napawając się ich urodą. Potem odezwał się ptak słodkim, przeciągłym trelem, który rozjaśnił noc. Był to bardzo rzadki ptak, który mieszkał wyłącznie w tutejszych górach i dlatego w Lankonii otaczano go wielkim szacunkiem i traktowano jak narodowy symbol. Ptasi śpiew przypominał Arii, gdzie się znajduje. Gwałtownie odepchnęła J.T.

- Nie, nie, nie - zawołała piskliwie. - Nie kuś, diable. Nie jestem amerykańską żoną, jestem księżniczką, następczynią tronu, moje życie należy do mojego kraju. Naprawdę przykuto mnie łańcuchem do Lankonii, królestwo i ja jesteśmy nierozdzielni. Nie dotykaj mnie więcej, nie namawiaj do wyjazdu z ojczyzny. Gdybym tak bardzo nie kochała Lankonii, nigdy bym cię nie poznała. Och, jak żałuję, że to się stało. Przedtem byłam zadowolona. Nawet nie wiedziałam, że można mieć inne życie niż moje. Unieszczęśliwiłeś mnie. Czemu w ogóle cię poznałam!? Nienawidzę cię! - Wciąż płacząc, puściła się biegiem w stronę pałacu.

J.T. ruszył w przyzwoitej odległości za nią. Musiał mieć pewność, że Aria jest bezpieczna. W jego wnętrzu uczucie żalu mieszało się z radosnym ożywieniem. Tęskniła do niego. Pod maską księżniczki kryła się kobieta!

Ale powiedziała świętą prawdę. Czy rzeczywiście miał w sobie tyle egoizmu, żeby wymusić na niej deklarację, że chce jego, a nie tego arystokratycznego bubka? Wypełniał tutaj swoje zadanie, a doprowadzanie jej wysokości do płaczu na pewno nie było jego częścią.

Miłość nie miała znaczenia, pożądanie też nie. Zawsze było wiadomo, że razem mogą spędzić

tylko krótką chwilę i ona cały czas o tym pamiętała. Tylko on jakby zapomniał. Przysięgł sobie jednak, że od tej pory będzie trzymał ręce z dala od Arii. Nawet zamierzał jej pomóc w znalezieniu męża. Kogoś, kto by się nie wtrącał. Kogoś bez przesadnych ambicji. Kogoś, kto lubiłby ją tak samo jak on. Jakiegoś impotentą, który nie tknąłby tego, co należało do J.T. Montgomery'ego.

Szedł za Arią, póki nie minęła strażnika przed wejściem do swoich apartamentów. Potem westchnął i nie kończącymi się korytarzami dotarł do swojej komnaty.

Następnego rana J.T. czekał na Arię przed jej apartamentami i ruszył obok niej na śniadanie.

- Nie możesz tak - syknęła.

Nie poświęcił temu protestowi więcej uwagi niż zwykle.

- Chcę przyjrzeć się pałacowym księgom.

- Mamy wspaniałą bibliotekę - powiedziała z uśmiechem. - Zachowało się kilka rękopisów z czasów Kowana, a nawet jego mapa.

- Myślę o księgach rachunkowych. Chcę się dowiedzieć, ile kosztuje utrzymanie tego miejsca. Rozumiesz?

- Chodzi ci o coś takiego jak budżet domowy, który co tydzień mi przydzielałeś?

- Jak budżet, który co tydzień przekraczałaś.

J.T. usunął się i przepuścił Arię do sali jadalnej. Ucieszyła się, że przynajmniej tym nie wprawił jej w zakłopotanie przed krewnymi, którzy już siedzieli przy stole i jedli. Wzięła talerz z końca długiego kredensu i zaczęła nakładać sobie po trochu z licznych srebrnych tac, podgrzewanych od spodu świeczkami.

- Dużo tego jedzenia jak na tyle osób - zrzędliwie zauważył J.T., idąc za przykładem Arii.

Podczas śniadania prawie się nie odzywał. Aria zauważyła, że dokładnie przygląda się obecnym. Wiedziała, nad czym Jarl rozmyśla. Co właściwie ci wszyscy ludzie robią cały dzień? Aria uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia. Freddie otaksował pogardliwym spojrzeniem amerykański mundur J.T. bez żadnych medali i bez gwiazdek na pagodach. Mundury Freddiego oczywiście kapały od złota i dzwoniły medalami, choć ich właściciel nigdy nie zrobił niczego, by na to zasłużyć.

- Gotowa? - spytał J.T., stając za krzesłem Arii, żeby odsunąć je we właściwej chwili. - Mamy robotę.

Wydawał się całkiem obojętny na otwarte ze zdumienia usta reszty uczestników śniadania. Aria wiedziała jednak, że musi posłusznie odejść, bo inaczej J.T. wywoła scenę. Dopiero gdy znaleźli się poza jadalnią, powiedziała mu, co o nim myśli.

- Nie wolno ci traktować mnie w ten sposób. Jestem następczynią tronu. A ty jesteś tu gościem. Ludzie zaczną mówić...

- Mam nadzieję, że zaczną mówić: „Lepiej trzymaj się z dala od księżniczki, bo inaczej ten Amerykanin zrobi z ciebie marmoladę”. Chcę, żeby ludzie nabrali przekonania, że jeśli zbliżą się do ciebie, będą mieli do czynienia ze mną. A teraz weźmy się do przeglądania ksiąg.

- Zaprowadzę cię do pałacowego skarbnika i razem je przejrzyście. Mam dzisiaj obowiązki.

Stali u drzwi jej sypialni.

- No, to popatrzmy na twój rozkład zajęć.

- Nie potrzebuję twojej zgody, żeby coś robić.

- Przynieś rozkład zajęć, bo jak nie, to sam po niego wejdę. Ciekawe, czy twój stary hrabcio ucieszyłby się, gdybym odwiedził twoją sypialnię.

Wróciła z kobietą pełniącą obowiązki sekretarza, która trzymała kasztanową, oprawną w skórę księgę. Okazało się, że to właśnie jest rozkład zajęć następczyni tronu.

- Królewskie Towarzystwo Entomologiczne chce... - zaczęła pani sekretarz.

J.T. wyjął jej księgę z rąk. Omiótł spojrzeniem stronę.

- Tu nie ma nic oprócz wykładów o świerszczach i jakichś spotkań w damskim gronie. Nie ma chorych dzieci ani staruszków. - Z powrotem wsunął księgę w objęcia chuderlawej pani sekretarz. - Niech pani powie wszystkim, że jej wysokość wciąż jeszcze jest osłabiona po chorobie i nie mogła przybyć. I od tej chwili proszę nie przyjmować wszystkich zaproszeń bez wyjątku. Świerszczyki nie są dla następczyni tronu. Chodź, dzieciно, poszukamy tego pałacowego skarbnika. - Wziął ją za ramię i pociągnął za sobą.

Aria wiedziała, że jeśli spojrzy teraz na panią sekretarz, umrze z zakłopotania.

- Nie wolno ci mnie dotykać - powiedziała zirytowana.

J.T. opuścił ramię.

- Dobra, zapomniałem. Więc strzel mi w łeb.

- I te nazwy, którymi mnie tytułujesz, są nie do przyjęcia. Nie wolno ci też dokonywać zmian w moim rozkładzie zajęć, jeśli nie wyrażę na to zgody. Zapominasz chyba, że to ja sprawuję władzę w Lankonii. - J.T. szedł tak szybko, że ledwie mogła dotrzymać mu kroku.

- Mhm. Masz taką władzę, że ktoś chce cię zabić.

- Jesteśmy! - powiedziała, gdy stanęli przed rzeźbionymi podwójnymi drzwiami z orzechowego drewna. Po obu stronach trzymali wartę żołnierze Straży Królewskiej. Stali sztywno wyprostowani, z oczami skierowanymi przed siebie.

- Dziękuję - powiedział J.T. i wszedł do gabinetu.

Natychmiast zerwało się z miejsc czterech ludzi. Łatwo było zauważyć, że nie są przyzwyczajeni do wizyt jej wysokości. Wymamrotali słowa pozdrowienia, usiłując pochować

filiżanki po kawie.

J.T. wystąpił naprzód. Mdliło go od ciągłego waszowysokościowania w tym pokoju.

- Król zatrudnił mnie do zbadania gospodarki lankońskiej. Zaczynam więc od pałacowych rachunków.

Czterej obecni tam ludzie otworzyli usta ze zdumienia. Najstarszy wytrzeszczył oczy.

Aria odezwała się przymilnym tonem:

- To jest Amerykanin, przysłany tutaj przez króla. Może zechcecie przynieść pałacowe księgi i zostawicie nas samych.

Mężczyźni bez słowa położyli księgi na jednym z czterech biurków i wyszli.

- Niezbyt dobrą sławę wyrabiasz Amerykanom.

- Chcę mieć reputację skończonego sukinsyna. Może w ten sposób kogoś trochę przestraszę.

- Dobrze, masz swoje księgi, więc mogę teraz iść. Julian i ja...

- Gdybyś wczoraj pojechała z nim bez eskorty, już byłabyś martwa. Siedź tu spokojnie i bądź cicho.

Aria usiadła na krawędzi twardego krzesła, wyprostowana jak grochowa tyczka. Porucznik Montgomery obracał w ruinę jej życie, obecne i przyszłe. Wcale nie miałyby pretensji do Juliana, gdyby ją zostawił. Zaraz jednak przypomniała sobie scenę z poprzedniego wieczoru i zaczęła się zastanawiać, czy odjazd Juliana zrobiłby na niej jakiegokolwiek wrażenie. Niestety, nie miała co się oszukiwać, że znajdzie dużo lepszego męża. Wybór księżniczki jest ściśle ograniczony.

- A to co? - spytał J.T. tak głośno, że Aria aż podskoczyła. - Czy dobrze czytam, że ktoś sprowadza śnieg?

- Prawdopodobnie do kremu śniegowego, który uwielbia Freddie. - Może dałoby się zamieścić w prasie ogłoszenie: poszukuje się mężczyzny z królewskimi koneksjami, który nie chce być królem.

- Krem śniegowy? - spytał J.T., przerywając jej zamyślenie.

Z drugiej strony mogłaby pewnie rządzić sama, królowa dziewica, tak jak angielska Elżbieta, tyle że o dziewictwie nie było już mowy, poza tym Aria wolałaby mieć dzieci.

- Ario! - rozżościł się J.T. - Odpowiedz mi. Co to za wydatek?

Westchnęła. Czasem Jarl bywał potwornie pospolity.

- Freddie uwielbia krem śniegowy, więc sprowadza się śnieg z gór specjalnie dla niego.

- On je to co dzień?

- Ależ nie. Cztery, pięć razy do roku. Tylko że śnieg musi być w zapasach, gdy akurat Freddie uzna, że ma ochotę na krem.

- Co za głupek ze mnie, że na to nie wpadłem - powiedział cicho J.T. - Te inne wydatki, jak rozumiem, również dotyczą towarów pierwszej potrzeby. Tu są importowane jagody.

- Dla babki Sophie. - Zaczynała rozumieć, co mówi jej J.T. - Ludzie z rodziny królewskiej mają prawo do kilku luksusów.

- Świeży łosoś ze Szkocji? - zainteresował się J.T.

- Dla ciotki Bradley.

- Jak zdobywacie takie towary podczas wojny?

Twarz Arii ani drgnęła.

- Ciotka Bradley ma, zdaje się, „umowę” z jakimiś pilotami. Nigdy nie wgłębiałam się w szczegóły jej procesów aprowizacyjnych.

- Już to widzę. „Proces” może tu być bardzo stosownym słowem. Rząd Lankonii płaci za to wszystko, a twoja ciotka Bradley...

- Milcz - ostrzegła go Aria.

J.T. spojrział na nią znad księgi rachunkowej. Z minuty na minutę przybierała coraz bardziej książęcą pozę.

- O, znowu masz na sobie komplet bielizny, co? - Z zadowoleniem zobaczył jej pąs, mimo to Aria nie rozluźniła się ani odrobinę. - Masz. - Podsunął jej paczuszkę gumy do żucia.

- Ojej! - powiedziała z wyraźnym zachwytem.

- Nigdy nic, co robiłem, nie spotkało się z takim entuzjazmem.

Zaczęła żuć gumę i robić balony.

- Entuzjazm był, tylko zachowywałeś się zbyt hałaśliwie, żeby to zauważyć.

Popatrzył na nią przymrużonymi oczami.

- Lepiej zachowuj się przyzwoicie, bo inaczej dostaniesz to, o co się prosisz. Znajdź sobie jakieś zajęcie i przestań siedzieć półdupkiem na tym krześle, sztywna, jakby cię wykrochmalili.

Jeżysz mnie na sztorc.

- Jasne, dziecino - odparła i wstała.

Usłyszał, jak cicho powtarza pod nosem „jeżysz mnie na sztorc”, ćwicząc nowe wyrażenie. Trudno mu było skupić się na księgach. Było zupełnie tak, jakby guma do żucia przemieniła ją znów w jego księżniczkę.

Zmusił się jednak do spojrzenia na strony pełne liczb. Z tego, co dotąd stwierdził, rodzina królewska w Lankonii składała się z gromady pasożytów, którzy nie mieli pojęcia, że mieszkają w biednym kraju, otoczonym przez wojenną zawieruchę. Same rozpaskudzone dzieciaki, które nigdy nie dorosną. Gdyby miał jakąkolwiek władzę nad tymi ludźmi, podzieliłby między nich obowiązki Arii. Młoda Barbara prawdopodobnie uwielbiałaby publiczne wystąpienia, a Gena mogłaby dokonywać przeglądów wojska. Nie widział konkretnego pożytku z Freddiego, Nickiego i Toby’ego, ale na pewno mogliby posiedzieć na wykładach o żuczkach. Babka Sophie mogłaby brać udział we wszelkich ceremoniach z salutem armatnim. Przynajmniej słyszałyby wtedy, co się dzieje.

- Skąd ten uśmieszek? - spytała Aria.

J.T. oparł się wygodniej.

- Myślałem o twojej rodzinie.

- Ładny pasztet, nie sądzisz? - powiedziała przeprasząco.

- Czy to mówi księżniczka Aria, czy pani Montgomery?

- Amerykańska Aria - powiedziała i opadła na krzesło. - Krem śnieżny Freddiego wydawał mi się kiedyś całkiem w porządku, ale przecież to kosztuje, prawda? Dużo kosztuje.

- Za dużo.

- Więc co zrobimy?

J.T. na chwilę odwrócił od niej głowę. Co zrobimy? Powinien był dać królowi po głowie i wyrywać stąd autostopem, zanim znowu zobaczył Arię. Kusilo go, by odpowiedzieć: „Zapytajmy hrabię Julię”, ale tego nie zrobił. Za to wytłumaczył jej, jak jego zdaniem należy rozdzielić obowiązki następczyni tronu między krewnych.

Aria poważnie się zamyśliła.

- Im się to nie spodoba. Gena, owszem, chętnie popatrzyłaby sobie na przystojnych mężczyzn ze Straży Królewskiej, to zresztą jest cała armia Lankonii. Babkę Sophie armaty wprawiłyby w uniesienie. Ale reszta podniosłaby sprzeciw.

- Wobec tego będę ich musiał namówić. To znaczy, twój mąż będzie ich musiał namówić.

- Mój... Ach tak, ten za kogo w końcu wyjdę za mąż.

Rozległo się zdawkowe pukanie i drzwi natychmiast się otworzyły.

- Wasza wysokość, hrabia Julian - powiedział wartownik.

Julian wkroczył do gabinetu, najwyraźniej bardzo poirytowany.

- Ario, co tu robisz sam na sam z tym człowiekiem?

Aria, która siedziała swobodnie rozparta w fotelu, zerwała się gwałtownie i stanęła na baczność tak szybko, że połknęła przy tym gumę.

- Przyglądamy się rachunkom - odparła.

- Nic ci nie będzie - mruknął cicho J.T. - Gdyby to szkodziło, to wszystkie dzieci w Stanach byłyby martwe. - Zwrócił się do Juliana. - Sprawdzaliśmy, jakie długi ma Lankonia. A jej wysokość jest tutaj, żebym przez cały czas miał pewność, że nic jej nie grozi.

Julian popatrzył na Arię tak, jak patrzy ojciec na uparte i kapryśne dziecko.

- Ario, czas na naszą przejażdżkę.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, J.T. stanął między nią a Julianem.

- Księżniczka jest zajęta. Dotarło, chłopie? Zajęta. Zrywaj się na kaktus.

Julian popatrzył na J.T. z nie ukrywaną wściekłością, obrócił się na pięcie i wyszedł. Wartownik zamknął za nim drzwi. J.T. miał wrażenie, że dostrzegł w oczach tego człowieka błysk aprobaty.

- No, nie - jęknęła Aria opadając z powrotem na fotel. - Stało się. Teraz już się ze mną nie ożeni.

- To dobrze! - oświadczył J.T. - Zaslugujesz na kogoś znacznie lepszego.

- Gdzie ja znajdę kogoś lepszego?

- Na każdym rogu ulicy w Stanach Zjednoczonych.

- Ty naprawdę nie rozumiesz. Muszę wyjść za mąż za kogoś, kto ma w żyłach królewską krew. Za kogoś, kto rozumie problemy monarchii. Za...

- Opowiedz mi o waszej Straży Królewskiej - przerwał jej. - Czy tylko mi się zdaje, czy oni są wszyscy tacy sami?

- Są specjalnie dobrani.

- Jak talerze w komplecie?

- Mniej więcej. Dobiera się ludzi postury tradycyjnie przypisywanej Rowanowi. Sto osiemdziesiąt dwa do stu osiemdziesięciu pięciu wzrostu, sto dwadzieścia w klatce piersiowej, osiemdziesiąt w pasie. Nie mogą być ani niżsi, ani drobniejsi. Służba w Straży Królewskiej jest dla Lankończyka największym możliwym zaszczytem, ale warunek jest taki, że mężczyzna musi pasować do munduru.

J.T. się zamyślił.

- Sto dwadzieścia w klatce piersiowej nie rośnie z dnia na dzień. Takie mięśnie trzeba zbudować. Gdzie ci ludzie ćwiczą?

- Na Rowanowym Polu.

- Znowu ten Rowan - jęknął J.T. - Chyba tymczasem naoglądałem się ksiąg rachunkowych. Robimy wycieczkę na wieś. Chcę obejrzeć winogrona i posłuchać, jak opowiadasz mi o Straży Królewskiej. Czy ci żołnierze nadają się do czegoś więcej niż otwieranie drzwi? I nie patrz na mnie jak wielka księżna. Lepiej weź jeszcze gumę, proszę - powiedział, prowadząc ją do drzwi.

Garderobiane Aarii przeżyły wstrząs, gdy ich pani zażądała zwyczajnej bluzki, prostej wełnianej spódnicy i pantofli na grubym, niskim obcasie, nadających się do spacerów.

- Wasza wysokość, proszę pomyśleć o odpowiedzialności, jaką wasza wysokość ponosi przed ludźmi. Oni chcą oglądać księżniczkę.

- Wobec tego zobaczą, że jest człowiekiem - burknęła Aaria. Lady Werta sprawiała takie wrażenie, jakby miała zaraz zemdleć. - Nie chcę rękawiczek, a włosy zostawię luźno rozpuszczone. - Aaria opuściła garderobę, zanim jej służba zdążyła tchnąć w nią wyrzuty sumienia i skłonić ją do zmiany zamiaru.

J.T. czekał przed apartamentami, skracając sobie czas rozmową ze strażnikiem. Ale gdy otwarto drzwi, odwrócił się do niej.

- Pięknie wyglądasz - powiedział z szerokim uśmiechem i Aaria poczuła się, jakby schudła dziesięć kilo. Coś unosiło ją z ziemi.

Sprowadził ją ze schodów, bardzo niestosownie trzymając pod ramię, ale nie złażała go za to. Nie powiedziała słowa nawet wtedy, gdy zobaczyła ich ciotka Bradley i ze zdumieniem uniosła brwi. Poszli do garaży na tyłach zachodniego skrzydła pałacu. Tam Aaria przystanęła, podziwiając górski krajobraz, a tymczasem J.T. wyklócał się z kierowcą o to, kto będzie prowadził samochód. Zgodnie z jej przewidywaniami, wygrał tę potyczkę. Wyprowadził tyłem z garażu kremowego Corda, niski, seksowny i bardzo efektowny pojazd z napędem na przednie koła.

- To jest samochód ciotki Bradley - zachłysnęła się Aaria. psuła, że zachowuje się bardzo śmiało, gdy J.T. odchylił się od kierownicy i otworzył przed nią drzwi po stronie pasażera. Spojrzenie pałacowego kierowcy prawie ją parzyło.

Opuściła szybę i pozwoliła, by prąd powietrza rozwiewał jej włosy. Czowała się wyjątkowo swobodna i szczęśliwa. Miała dzień wolny od obowiązków, jechała samochodem z przystojnym, seksownym mężczyzną, a do tego zostawiła w pałacu krępujący gorset.

J.T. zerkał na nią raz po raz, w końcu poczuł, że dłużej nie wytrzyma. Wyćwiczonym amerykańskim gestem zagarnął prawym ramieniem jej głowę i pocałował Arię, nie odrywając oczu od drogi.

- Cieszę się, że znowu cię widzę, dziecino - powiedział. Po chwili ją puścił.

Aria z uśmiechem usadowiła się wygodniej na swoim miejscu.

- Dokąd mnie zabierasz?

- Najpierw na plac ćwiczeń Straży Królewskiej. Byłaś tam kiedyś?

Aria parsknęła śmiechem.

- Kiedy miałam piętnaście lat, któregoś popołudnia wymknęłam się z pałacu, schowałam w krzakach i stamtąd obserwowałam strażników. Bardzo piękni mężczyźni.

J.T. wydawał się mocno rozbawiony.

- Będziesz musiała abdykować, jak ktoś się dowie.

Znów się roześmiała. Wcale nie czuła się jak księżniczka.

Teren wojskowy znajdował się jakieś dwa kilometry od pałacu na rozległej równinie, gdzie nigdy nie rosły drzewa. Tradycyjnie używano tego miejsca do turniejów i walk pokazowych. Dookoła placu ciągnął się długi, niski kamienny budynek.

Gdy ćwiczący znaleźli się w zasięgu ich wzroku, J.T. zatrzymał samochód i popatrzył. Było tam mniej więcej stu pięćdziesięciu ludzi, wszyscy prawie jednakowej budowy, co sprawiało dziwaczne wrażenie. Wszyscy mieli na sobie jedynie wąską białą opaskę wokół bioder. Pod spoconą, zbrązowiałą od słońca skórą grały im mięśnie. Żołnierze ćwiczyli różne sprawności: zapasy, łucznicstwo, walkę na kije, walkę na miecze, walkę wręcz. Gdzieniedzie przesuwali się siwowłosi mężczyźni z czerwoną opaską na ramieniu, którzy wykrzykiwali coś do ćwiczących. Mimo siwych włosów również imponowali wspaniałą budową ciała.

J.T. miał wrażenie, jakby cofnął się w czasie. Ta scena: mężczyźni ze staromodnym orężem, ich stroje, kamienna rudera w tle, wszystko to wyglądało bardzo zabytkowa.

- Twój Rowan ożył. Jawny trzynasty wiek, nie? - powiedział cicho J.T. głosem pełnym podziwu. Nagle pomyślał, że chętnie poćwiczyłby z tymi mężczyznami. Gdyby miało dojść do walki, to właśnie w ten sposób, nie byłoby rzucania bomb na tysiące niewinnych ludzi.

- Mhm. Zobaczyli nas - powiedziała Aria.

W chwilę potem jeden z siwowłosych mężczyzn gwizdnął i strażnicy znikli z placu. W niewiele sekund później wrócili w długich, szarych kimonach. Sformowali perfekcyjny szyk, wszyscy na baczność. Ten widok robił duże wrażenie.

J.T. podjechał jeszcze kawałeczek.

- Nie spodoba im się moja obecność - powiedziała Aria.

- Nie zapominaj, że jesteś księżniczką.

- Ale to są bardzo skryci ludzie. Dziadek mówi...

- Trzymaj się mnie, słoneczko. Będę cię chronił.

- No, wiesz! To jest moja straż, moi ludzie, moi... - Urwała i uśmiechnęła się do wychodzącego im na spotkanie siwowłosego mężczyzny, ubranego teraz w długie, czarne kimono.

- Witamy waszą wysokość - powiedział oficjalnie.

J.T. i kapitan straży zmierzyli się spojrzeniami i szybko dokonali oceny.

- Potrzebuję pańskiej pomocy - powiedział J.T.

- Już pan dostał - odrzekł kapitan bez żadnych pytań.

Przyniesiono krzesła, które mogły pamiętać jeszcze średniowiecze. J.T. i kapitan usiedli przy końcu kamiennego budynku, Aria zajęła miejsce nieco dalej. Wbrew przewidywaniom Aarii mężczyźni powitali ją entuzjastycznie, nawet trochę za bardzo jak na gust J.T. Jeden z żołnierzy przyniósł coś podobnego do gitary, z pękatym pudłem rezonansowym, i zaczął brać akordy. J.T. uznał, że to lutnia. Inny żołnierz poczęstował Aarię ciastkami, dwaj kolejni przynieśli srebrne kielichy z napitkiem. A wszystko, co mówili, wywoływało szeroki uśmiech na twarzy Aarii. Wyglądała jak księżniczka z dawnych wieków, otoczona przez przystojnych zalotników, których mocno zbudowane, muskularne nogi były widoczne spod skąpych szat.

Kapitan przeniósł wzrok z Aarii na gniewnie skrzywionego J.T. i uśmiechnął się.

- Nieczęsto zdarzają nam się goście podczas ćwiczeń, a księżniczka jest tutaj pierwszy raz. - Zachichotał. - Jeśli nie liczyć tego razu, o którym nie powinniśmy wiedzieć.

J.T. odwzajemnił uśmiech.

- Ile pan wie o tym, co się dzieje?

- Ktoś strzelał do jej wysokości - odparł kapitan i zacisnął usta.

- Nie tylko. - J.T. wiedział, że temu człowiekowi można zaufać. Może dlatego, że pochodzili z tej samej kasty wojowników, wierzył mu jak sobie samemu. Powiedział więc kapitanowi, że ktoś próbował zabić Arię w Stanach Zjednoczonych. Powiedział o innych zamachach na jej życie. Jednocześnie czuł wzbierający gniew dowódcy straży.

- W ogóle nam o tym nie powiedziano - wycedził przez zęby kapitan. - Przez ostatnie sto lat naszym jedynym zadaniem jest otwieranie i zamykanie drzwi. Król być może zapomniał, do czego jesteśmy naprawdę powołani, ale my pamiętamy. Jesteśmy gotowi oddać życie za króla i jego dwie wnuczki.

- I niech się dzieje co chce - dodał J.T. - Zgadzam się z panem. Trzeba zapewnić jej ochronę dwadzieścia cztery godziny na dobę. Szkoda, że nie ma kobiet, które mogłyby spać w jej sypialni. Obecnej służbie ani trochę nie ufam.

- Może ktoś się znajdzie. Niech pan pójdzie ze mną.

J.T. nie miał ochoty zostawiać Arii z tymi półnagimi mężczyznami, ale posłusznie poszedł za kapitanem.

- Były czasy - mówił kapitan podczas marszu - że lankońscy wojownicy dzierżyli prym w świecie. Z upływem wieków większość zajęła się rolnictwem, ale niektórzy dochowują wierności tradycji i ćwiczą sztukę walki. Odkąd Lankonia ogłosiła neutralność, nie mamy szczególnych przywilejów.

Minęli zakręt i obeszlą kępę drzew. Przed nimi ukazała się niewielka polana. Dziesięć kobiet w białych szatach, sięgających do połowy ud, oddawało się podobnym ćwiczeniom jak mężczyźni.

- Boże - powiedział J.T. głośno łapiąc oddech.

Kapitan się uśmiechnął.

- Wieki temu kobiety ćwiczyły ramię w ramię z mężczyznami. Piękne, prawda?

J.T. nie mógł zamknąć otwartych ze zdumienia ust. Przyglądał się opalonym boginiom po metr osiemdziesiąt wzrostu, pochłoniętym walką wręcz. Na gwizdek ustawiły się w szeregu. Ciemnowłosa kobieta w nieco dłuższej czerwonej szacie ruszyła ku nim.

Kapitan na moment odwrócił się do niej plecami.

- Jarnel ćwiczy kobiety. No, i jest moją żoną.

J.T. nie spuszczał wzroku z kobiety.

- Nic dziwnego, że pan utrzymuje się w takiej formie.

J.T., kapitan i Jarnel ustalili, że jedna ze strażniczek zastąpi jedną z dam dworu Arii. Potem, wracając z kapitanem na plac ćwiczeń mężczyzn, J.T. zapytał:

- Czy ćwiczące kobiety witają mężczyzn z takim samym zadowoleniem, jak mężczyźni powitali księżniczkę?

- Nie - odparł kapitan. - Lankońskie kobiety są przyzwyczajone do zalotów. W ogóle nie starają się przyciągnąć uwagi mężczyzny. Oczywiście zdarzają się wyjątki. W czasach Kowana bywało, że kobiety toczyły pojedynki o mężczyznę. Choćby w przypadku samego Kowana.

- Chce pan powiedzieć, że ten Rowan, o którym ciągle tu słyszę, był nagrodą w pojedynku? I jakaś muskularna dziewczyna po prostu go zdobyła? - J.T. parsknął śmiechem.

- Przypuszczam, że współzawodniczki wyglądały podobnie do naszych kobiet ze straży - powiedział spokojnie kapitan.

J.T. przypomniał sobie dziesiątkę wysokich, spoconych, pięknych kobiet, ćwiczących za drzewami, i przestał się śmiać.

Było prawie południe, gdy odjechali Cordem z placu ćwiczeń w eskorcie trzech starych, lecz doskonale utrzymanych starych Fordów, wypełnionych strażnikami. J.T. chciał obejrzeć winnice. Pojechał zgodnie z instrukcjami kapitana i przybył na miejsce akurat w chwili, gdy robotnicy siadali do południowego posiłku.

Aria często widywała mieszkańców miast, ale wieśniacy mieli o wiele za dużo pracy, żeby stać w szpalerach i gapić się na piękną księżniczkę. Robotnikom odebrało mowę, gdy ujrzeli swoją panią, ubraną bardzo podobnie do ich córek i wybranek.

- Wasza... wasza wysokość - wybąkała jedna z kobiet. Reszta stała nieruchomo; u ich stóp leżały chusty z posiłkami.

- Czy możemy się przyłączyć? - spytał J.T. - Też mamy coś do zjedzenia.

Ludzie z wahaniem skinęli głowami. Aria podeszła za J.T. do bagażnika samochodu.

- Przywieźliśmy jedzenie? Czy jesteś pewien, że dobrze robimy. Ci ludzie nie wyglądają zbyt przyjaźnie.

- Są śmiertelnie przerażeni widokiem jej wysokości, ale na pewno polubią panią Montgomery.

Miał rację. Trwało dość długo, nim Aria zapomniała, że jest księżniczką, a jeszcze dłużej, nim ludzie zapomnieli o swym lęku i czi, ale w końcu stało się i jedno, i drugie. Jedli i rozmawiali. Aria opowiadała im o wspaniałościach, jakie widziała w Stanach Zjednoczonych, a ludzie odpowiadali na pytania J.T., który interesował się suszą i stanem winnic.

Lankończycy byli wysocy i przystojni. Lata noszenia koszy pełnych owoców sprawiły, że zarówno mężczyźni, jak i kobiety wyglądali smukło i muskularnie. Uprawy znajdowały się bowiem na stokach gór, a rolnicy mieszkali w małych wsiach na dole.

Pracowali wszyscy, od berbeci po staruszków. Młode kobiety wspinały się na zbocza, niosąc dzieci na plecach w rzemiennych nosidłach. Często zdarzało się, że opiekę nad najmłodszymi przejmowali mężczyźni, widok pięćdziesięciolatka prowadzącego czterolatki nie był więc niczym niezwykłym.

J.T. uświadomił sobie, że ma przed sobą szczątki niegdyś wspaniałego społeczeństwa, które właśnie dogorywa. W Lankonii było bardzo mało dzieci. Przy posiłku siedziało z nimi dwadzieścia siedem osób. Średnia ich wieku wynosiła na pewno ponad pięćdziesiąt lat. Tylko czworo dzieci miało poniżej szesnastu lat, chociaż powinno ich być co najmniej trzy razy więcej. Dużo młodych ludzi odchodziło jednak wcześniej z domu, przez pewien czas błąkało się po ulicach i kawiarniach Escalonu, a w końcu wyjeżdżało za granicę.

O godzinie trzeciej zauważył, że wieśniacy się niecierpliwią, chcą już wrócić do pracy. Spytał, czy może obejrzeć winnicę.

Raz już oprowadzano go po winnicy, wtedy jednak spoglądał na to miejsce z niechęcią. Teraz zastanawiał się, czy mógłby w jakiś sposób pomóc gospodarce Lankonii.

Aria wydawała się zadowolona. Szła pod górę z trzema kobietami. Jedna z nich miała dziecko, które wyraźnie księżniczkę fascynowało. W promieniu mniej więcej pięciu metrów towarzyszyło im czterech uzbrojonych strażników, którzy sokolim wzrokiem obserwowali okolicę.

Kobiety zaczęły zrywać winogrona. Aria spontanicznie przyłączyła się do nich. J.T. z uśmiechem patrzył na osłupiałe Lankonki, które jednak szybko doszły do siebie i wzięły się do pracy wspólnie ze swą panią. Aria rozdała wieśniaczkom balonową gumę do żucia i w chwilę potem rozległy się wybuchy śmiechu.

Zostawił Arię z kobietami i strażnikami, sam zaś zszedł do starej wytwórni win, której teren wcinał się w stok góry. Tegoroczne zbiory były lepsze niż w trzech ostatnich latach, ale i tak nie dość duże, by przysporzyć zysku. Wino musi dojrzewać trzy lata, więc nawet gdyby ten rocznik był imponujący, to do jego sprzedaży pozostawały jeszcze trzy lata. A przez ten czas następne setki Lankończyków wyjadą z kraju.

J.T. stał w słońcu, trzymając kiść dojrzałych, zielonych winogron i przyglądał się ludziom, znoszącym na dół kosze pełne owoców. Gdyby tylko można było znaleźć szybki sposób spieniężenia winogron...

Rodzynki, pomyślał. Żołnierze w okopach, żyjący konserwami, na pewno chętnie zjedliby coś świeżego. Może uda mu się namówić rząd Stanów Zjednoczonych do kupna rodzynek wraz z wanadem. Może król Lankonii mógłby odmówić zgody na amerykańskie bazy wojskowe, gdyby Stany Zjednoczone nie kupiły rodzynek.

J.T. zaczął się zastanawiać, jak Lankończycy odnieśliby się do pomysłu przeróbki winogron na rodzynki. Byli wszak dumnymi ludźmi i nie było wykluczone, iż nie będą chcieli mieć nic wspólnego z czymś tak prostackim.

- Czy kiedykolwiek próbowaliście robić z winogron cokolwiek oprócz wina? - spytał czterech starszych Lankończyków, stojących obok.

Niepotrzebnie się martwił. Lankończycy byli dumni, ale nie głupi. Spróbowaliby wszystkiego, byle pomóc zbiedniałemu krajowi. Niepokoilo ich tylko, że jeśli zużyją tegoroczne winogrona na rodzynki, to za trzy lata nie będzie wina.

- W przyszłym roku zaczniemy nawadniać pola i zbiory będą dużo większe - wyrwało się J.T., zanim uświadomił sobie, że za rok nie będzie go w Lankonii.

O szóstej wsadził Arię z powrotem do samochodu i ruszyli w drogę powrotną do pałacu. Aria miała na skórze ślady słońca i wiatru i była zmęczona, a J.T. niczego bardziej nie pragnął, niż się z nią kochać.

- Przyjemnie spędziłaś czas? - spytał cicho.

- O, tak. Ty chyba też.

- Owszem - przyznał, nieco tym zaskoczony.

W pałacu brutalnie przywołano ich do rzeczywistości. Lady Werta była wściekła na Arię. Julian pienieł się ze złości i koniecznie chciał porozmawiać z Arią o jej zachowaniu. Rezydenci pałacu omal się nie udławili, widząc, jak Aria dziękuje strażnikom za ochronę.

J.T. obejrzał to wszystko i odszedł z rękami w kieszeniach, pogwizdując. Teraz, gdy strażnicy zapewniali Arii ochronę, czuł się znacznie spokojniejszy. Bardzo udał mu się ten dzień i nawet krzątanka Waltersa nie wytrąciła go z błogostanu. Wysłuchał opowieści o wszystkich plotkach, które spowodował niezwykle rozkład dnia Arii. Opowiadano sobie, że następczyni tronu piła z pasterzami i pracowała jak parobek. Byli już tacy, którzy znienawidzili porucznika Montgomery'ego za to, że próbuje z monarchii zrobić państwo socjalistyczne. J.T. siedział w wannie i tylko się uśmiechał.

Nie wydawało mu się, by mógł znieść kolację z zawistnymi i pełnymi niechęci krewnymi Arii. Z zadowoleniem odkrył więc, że w pałacu może sobie zażyczyć posiłek w dowolnie wybranym miejscu. Walters opisał mu drogę do biblioteki i J.T. poszedł tam coś zjeść, a przy okazji pobyć sam ma sam ze swoimi myślami.

Aria opuściła salę jadalną najszybciej, jak tylko mogła. Miała za sobą wspaniały, radosny dzień, ale po powrocie do pałacu nagle stwierdziła, że wszyscy traktują ją tak, jakby popełniła zdradę stanu. Julian był na nią wściekły, że spędziła czas z tym „żałosnym Amerykaninem”. Marszałek dworu zrugął ją, bo sądził, że ma przed sobą Kathy Montgomery, która urządziła sobie wycieczkę z mężem i do tego fatalnie się spospolitowała.

Ale bez względu na to, co mówili inni, Aria czuła się szczęśliwa. Może przez całe życie była taka wymagająca dlatego, że w głębi serca czuła swą bezużyteczność. Tego dnia uświadomiła sobie, ile znaczy dla swego kraju. I ile znaczy dla niej porucznik Montgomery.

Wyglądało na to, że właśnie z nim przeżywała najszcześniejsze chwile: pikniki na plaży, kochanie się na schodach... Nawet wyplakiwanie się w jego objęciach było przyjemne.

Bardzo ją rozczarowało, że porucznik nie przyszedł na kolację. Zeszła do sieni i zobaczyła tam strażnika, stojącego jak posąg. Jeszcze kilka dni temu nie przyszłoby jej do głowy, żeby się do tego człowieka odezwać.

- Przepraszam, czy nie wie pan, gdzie jest porucznik Montgomery? - spytała uprzejmie.

- W bibliotece, wasza wysokość - odrzekł mężczyzna.

- Dziękuję.

- Nie ma za co.

Ujrzała ledwie dostrzegalny ślad uśmiechu na przystojnej twarzy żołnierza. Proszę i dziękuję, pomyślała. Czarodziejskie słowa.

Męża istotnie znalazła w bibliotece. Siedział pochylony nad jednym z czterech długich stołów z orzechowego drewna. Dookoła niego leżały porozrzucone książki. Szkicował coś na kartce, korzystając z kręgu światła rzucanego przez lampę okrytą zielonym abażurem.

- Cześć - powiedziała, gdy nie podniósł głowy. - Jadłeś kolację? Co robisz?

Przetarł oczy i uśmiechnął się do niej.

- Chodź, słoneczko. Popatrz na to.

Pokazał jej rysunek przekładni i bloków, które nic jej nie mówiły. Przysunęła się bliżej, a on zaczął jej wyjaśniać, w jaki sposób można byłoby zmechanizować transport winogron z gór. Jako napęd zamierzał wykorzystać silniki starych samochodów, rdzewiejących na lankońskich polach.

- W ten sposób więcej ludzi będzie mogło się zająć suszeniem winogron - powiedział.

- Suszone winogrona? - zdziwiła się.

Właśnie gdy opowiadał jej o rodzinach, popatrzyła na niego i uświadomiła sobie, że go kocha. Tego pragnęła najbardziej na świecie: siedzieć wieczorem przy nim i rozmawiać o planach na przyszłość. Żałowała, że nie ma na sobie ładnej nocnej koszuli i że nie są w ich domku na Key West.

J.T. o coś ją spytał.

- Co takiego? - powiedziała nieprzytomnie.

- Twój hrabcio wspomniał o radiotelegrafii. Czy w pałacu jest stacja, z której mógłbym się połączyć ze Stanami Zjednoczonymi?

- Chyba tak. Z kim chcesz porozmawiać?

J.T. energicznie odepchnął krzesło i wstał. Ponieważ Aria nadal siedziała, pociągnął ją za rękę.

- Chodź, znajdziemy ten nadajnik. Pogadam z ojcem i sprawdzę, czy może mi tu przysłać Franka. - Zanim zdążyła zapytać, sam dodał wyjaśnienie. - Frank jest moim siedemnastoletnim kuzynem z rodziny Taggertów. Wie o samochodach tyle, że trudno więcej. - Trzymając Arię za rękę, przeprowadził ją przez bibliotekę i razem wyszli na korytarz. - Ostatnio, jak słyszałem, Frank był wściekły na ojca, który nie pozwolił mu wstąpić do wojska. On w dobrym humorze jest trudny w pożyciu, ale w złym humorze jest z nim wyjątkowo ciężko.

- I ty chcesz go tu zaprosić?

- Potrzebujemy go. Gdyby chodziło o statki, mógłbym pomóc sam. Ale na samochodach nie znam się zbyt dobrze. - Przystanął i spytał jednego ze strażników, gdzie jest stacja telegraficzna. Strażnik oczywiście wiedział. W myśl jego wskazówek Aria zaprowadziła J.T. do najbardziej wysuniętego na północny wschód pomieszczenia w piwnicach, których sklepienie podtrzymywały wspaniałe łuki.

Aria powoli odpędzała od siebie sen, przecierając oczy i ziewając. Wieczorem długo była z J.T. i człowiekiem, który, jak się okazało, miał tytuł królewskiego herolda. Jego przodkowie rozgłaszali nowiny, wykrzykując je na ulicach miast, teraz herold miał do dyspozycji radiotelegraf. Aria pierwszy raz w życiu usłyszała o jego istnieniu.

Połączenie ze stanem Maine zajęło im dwie godziny, potem musieli poczekać, aż ktoś pojedzie po ojca J.T. Również Aria przez chwilę porozmawiała z panem Montgomerym, prosząc, by przekazał pozdrowienia żonie.

Później, gdy było już po wszystkim, J.T. mruknął coś o rodzicach, którzy paskudzą człowiekowi życie.

Pan Montgomery obiecał przysłać Franka, jak tylko będzie to możliwe.

Dopiero o północy J.T. odprowadził Arię do jej apartamentów. Zerknął na strażników po obu stronach drzwi i bez słowa zostawił ją na korytarzu.

Teraz Aria przeciągnęła się i zaczęła się zastanawiać, co znowu wymyślił J.T. Wiedziała, że o dziesiątej powinna być prawie sto kilometrów od Escalonu, w Winnicy, gdzie miała wziąć udział w błogosławieństwie zbiorów. Ciekawiło ją, jak J.T. urozmaici jej ten dzień.

Garderobiane zebrały jej włosy z tyłu w niezwykle schludny, ścisły koczek. Zatrzasnęły metalowe spinki gorsetu i odziały ją w ponurą czarną suknię z wielką diamentową broszą na lewym ramieniu. Przez chwilę Aria zastanawiała się, czy nie wymienić broszy na pstrą, emaliowaną papugę z Key West, stanowiącą owoc wspólnych zakupów z Doily, ale nie starczyło jej odwagi, by urzeczywistnić ten pomysł.

J.T. nie czekał na nią przed apartamentami, nie było go też w sali jadalnej. Zaczęła się już przyzwyczajać do zadawania pytań strażnikom, gdy coś ją interesuje. Dzięki temu dowiedziała się, że J.T. opuścił pałac przed szóstą rano i nie zostawił wiadomości, kiedy wróci.

Czekała do ostatniej chwili, ale musiała zdążyć na Święto Błogosławieństwa. Próbowwała nie okazać rozczarowania, gdy ujrzała hrabiego Juliana, stojącego przy drzwiach jej samochodu. Spoglądał na nią surowo.

- Już myślałem, że znowu zamierzasz wymówić się od swoich obowiązków - powiedział z wyrzutem.

Nie odpowiedziała mu, bo miała poważne wyrzuty sumienia z powodu poprzedniego dnia. Spędziła go bardzo przyjemnie. Ale rozrywka nie jest dla księżniczek. Księżniczki mają wypełniać swoje obowiązki, a nie bawić się z dziećmi wieśniaczek i plotkować o amerykańskich gwiazdach filmowych.

- Ario, ludzie zaczynają szemrać - spróbował znowu Julian, gdy znaleźli się w długiej,

czarnej limuzynie. Obok kierowcy, za szklaną przegrodą siedział żołnierz Straży Królewskiej. Za nimi jechał drugi samochód, również wypełniony żołnierzami. - Król jest za bardzo chory, żeby trzymać cię żelazną ręką, więc ten obowiązek spada na mnie. Zachowujesz się jak... jak ulicznica z tym ordynarnym, nie wychowanym Amerykaninem. Spędziłaś z nim wczoraj cały dzień i dziś nikt o niczym innym nie mówi. Jeśli nie dbasz o swoją rodzinę, to pomyśl, co mówi służba. Nie chcą kogoś, kto jest taki sam jak oni. Chcą prawdziwej księżniczki. Słyszałem, że ośmieliłaś się nawet pojawić wśród ćwiczących żołnierzy. Czy ty nie masz szacunku dla prywatności tych ludzi?

Aria siedziała w samochodzie z dłońmi splecionymi na kolanach. Z każdym słowem Juliana czuła się gorzej. Nagle ku jej kompletnemu zaskoczeniu żołnierz z przedniego siedzenia dyskretnie się odwrócił i mrugnął do niej. Omal nie zachichotała. Najbardziej zaskoczyło ją jednak, że ten człowiek wyraźnie słyszy każde słowo Juliana, chociaż zawsze sądziła, że przegroda jest dźwiękoszczelna.

Julian dalej wylewał z siebie żale, Aria go słuchała, ale już się nim nie przejmowała. Może i rodzina się jej wstydziła, lecz nie wyglądało na to, żeby poddani dzielali to uczucie.

Spotkanie z ludźmi tego dnia było zupełnie inne niż poprzedniego. Wszyscy byli ubrani odświętnie i starali się zachowywać jak najbardziej elegancko. Uśmiechano się do niej, ale nikt się nie śmiał, tylko po prostu zadawano jej pytania. Bardzo to było nudne.

Ludzie zdawali się zadowoleni z widoku hrabiego Juliana i nieustannie pytali o datę ślubu. Przecież już jestem mężatką, miała ochotę odpowiedzieć Aria.

O pierwszej po południu ruszyli z powrotem do samochodu. Nagle Aria wyczuła zapach jedzenia. W szpalerze ludzi była niewielka przerwa, przez którą zobaczyła, jak w pewnym oddaleniu, pod ścianą domku kobieta nakłada coś wielką łyżką do kawałka chleba, który podawała małemu chłopcu. Aria wiedziała, co to za smakołyk, jadła go kiedyś jako dziecko. Brało się gruby kawał lankońskiego chleba prosto z pieca, z grubą, ciągnącą się skórką, rozcinało się w środku i nakładało tam dużą łyżkę potrawy z kurczaka w sosie winogronowym. A wierzch smarowało się kozim serem.

Aria machinalnie odwróciła się od drzwi samochodu, które Julian trzymał dla niej otwarte, bąknęła „przepraszam” i przedostała się przez szpaler do tamtego domu.

- Czy mogę spróbować? - spytała zdumioną kobietę. Staruszka znieruchomiała.

- Babciu! - zawołał chłopiec, przywołując kobietę do rzeczywistości. Nałożyła łyżkę potrawy do chleba, rozsmarowała ser i podała pajdę Arii.

- Bardzo dziękuję - powiedziała Aria, odgryzając kęs. Nagle zdała sobie sprawę z milczenia tłumu za jej plecami. Odwróciła się; miała na wargach nieco sosu. - Pyszne - powiedziała.

Z tłumu rozległy się wiwaty. Żołnierz ze straży podał jej chusteczkę, spostrzegła, że w pobliżu znajduje się jeszcze czterech jego kolegów. Ubezpieczali jej przejście przez tłum.

- Księżniczko - usłyszała i zobaczyła małego chłopca wyciągającego do niej kubek z kamionki. - Proszę, serwatka.

Aria z uśmiechem wzięła kubek.

- Dziękuję - powiedziała.

- Pani w ogóle nie jest jak prawdziwa księżniczka - powiedział mały, szczerząc do niej zęby.

- Jeszcze raz dziękuję - powiedziała i tłum wybuchnął śmiechem. Strażnicy zrobili dla niej przejście, którym wróciła do samochodu.

Julian pienił się ze złości. Przez całą drogę do pałacu raczył ją wykładem, a ona tymczasem spokojnie kończyła pajdę chleba, popijając serwatką. Julian chciał wyrzucić kubek na drogę, ale mu nie pozwoliła.

Po przyjeździe do pałacu żołnierz, który jechał obok kierowcy, otworzył przed nią drzwi.

Podawała mu kubek.

- Chciałabym podziękować tej kobiecie za posiłek. Czy mógłby się pan dowiedzieć, czego jej potrzeba?

- Widziałem pusty kurnik - powiedział cicho żołnierz.

- Zapełnijcie go - powiedziała Aria, zanim Julian zdążył spojrzeć na nią z wymówką w oczach. - Czy wie pan, gdzie jest porucznik Montgomery? - spytała szeptem.

- W koszarach straży, wasza wysokość.

Aria odwróciła głowę tak, żeby Julian jej nie usłyszał.

- Czy może pan dopilnować, żeby za dwadzieścia minut przygotowano mi konia?

Żołnierz tylko skinął głową, bo obeszli już samochód i Julian mógł ich usłyszeć.

Ucieczka przed Julianem sprawiła Aarii nieco kłopotów. Biegając przez dziedziniec w stronę stajni, zauważyła podejrzliwe spojrzenia na twarzach kilkorga członków swojej rodziny. Koń stał osiodłany, a czterech żołnierzy Straży Królewskiej czekało, by jej towarzyszyć.

W niewiele minut później dotarła na plac ćwiczeń straży i powściągnęła konia. Zaczęła się przyglądać ćwiczącym. J.T. był wśród nich, nosił jedynie opaskę na biodrach i trenował ze strażnikiem walkę na kije. Wzrostem dorównywał przeciwnikowi, miał jednak bledszą karnację skóry i nie tak mocną budowę ciała. Z kijem radził sobie nie najlepiej, toteż odnosiło się wrażenie, że strażnik tylko się z nim bawi.

- Nauczy się - powiedział żołnierz towarzyszący Aarii. - Jeszcze rok i będzie najlepszy w Lankonii.

Aria uśmiechnęła się na te słowa, ale zaraz przypomniała sobie, że za rok J.T. będzie prawdopodobnie w Stanach Zjednoczonych, a ona będzie żoną Juliana.

W tej chwili J.T. spojrział na nią. Skinęła mu dłonią i w chwilę później J.T. leżał jak długi na ziemi.

- Myśl o tym, co robisz - ryknął ćwiczący z nim strażnik.

Aria podbiegła do J.T.

- Jesteś ranny? - spytała, klękając przy nim. Spojrzała ze złością na strażnika. - Stracisz głowę, jeśli go skrzywdziłeś.

J.T. uśmiechnął się do niej, rozcierając uderzone ramię.

- Mogę umrzeć ze wstydu, ale tylko tyle. Powiedz Raxowi, że nie mówiłaś poważnie.

Aria wiedziała, że wielu żołnierzy przygląda im się z zaciekawieniem. Szczerze żałowała, że zrobiła z siebie takie pośmiewisko, ale zanim zdążyła się odezwać, na plac wbiegła Gena. Była prawie naga, miała na sobie tylko sukieneczkę do pół uda, zasłaniającą jedno ramię, i grubą, złotą bransoletę na prawym przedramieniu.

- J.T., miły - jęknęła Gena i opadła przy nim na kolana. - Czy wszystko w porządku? Czy nic ci się nie stało?

Aria bez słowa wstała i z godnością odeszła. Już miała dosiąść konia, gdy dopadł jej J.T. Chwycił ją za ramię i pociągnął ku drzewom. Usiłowała się wyswobodzić z jego uścisku.

- Chodź, dziecino, nie złość się - uspokajał ją, głaszcząc jej ramiona.

Skóra J.T. była rozgrzana i okryta potem. Aria miała jego tors o centymetry przed twarzą.

- Musiałem coś z nią zrobić. Wszędzie za mną łaziła, więc oddałem ją pod opiekę kobietom, żeby trochę z nimi poćwiczyła. W ten sposób nie sprawia kłopotów.

- A tobie się podoba. Bez wątpienia widok Geny w tej kusej spódnicy... - Nie dokończyła, bo zamknął jej usta pocałunkiem. Gdy skończył, brakowało jej tchu. Przytuliła policzek do jego wilgotnej piersi.

- Nie powinniśmy tego robić - powiedział po dłuższej chwili. - Będzie nam trudniej się rozstać. Powiedz lepiej, co robiłaś dziś rano.

- Gena jest taka ładna - powiedziała Aria, tuląc się do niego jeszcze mocniej.

Odsunął ją na tyle, by móc wygodnie na nią spojrzeć.

- Nie taka ładna jak ty. I nie taka bystra. I nie ma w sobie tyle kobiecości.

- Naprawdę? - Na jej twarz powracał uśmiech.

- Naprawdę. - Pocałował ją znowu, tym razem delikatnie. - A teraz powiedz, co robiłaś. Czy straż cię pilnuje? Czy byłaś bezpieczna? Chodź, wrócimy na plac. Poczęstuję cię piwem i porozmawiamy.

Skończyło się na tym, że Aria spędziła całe popołudnie na placu ćwiczeń. Pierwszy raz zobaczyła też ćwiczące kobiety, a przy okazji Genę uczącą się walki wręcz. Mężczyźni przyglądali się pojedynkom z wielką powagą, ale w ich oczach Aria dostrzegła ogniki wesołości. Zrobiło jej się przykro, że okazała zazdrość o młodszą siostrę, która patrzyła na nią z jawnym uwielbieniem.

Aria pochyliła się do J.T.

- Jaki jest ten Frank, który ma przyjechać? - spytała.

J.T. popatrzył na Genę i zaczął się uśmiechać.

- Możliwe, że akurat w sam raz dla niej, chociaż nie sądzę, żeby chciał tu zostać. Będzie pasował do tego otoczenia zupełnie tak samo jak ja.

Arii zachciało się śmiać, bo jeśli ktokolwiek tu pasował, to właśnie Jarl. Był ubrany w białe kimono, miał nagie uda, siedział na drewnianym stołku i popijał piwo. Mógłby być jednym z żołnierzy Straży Królewskiej. Kapitan straży pochwycił jej spojrzenie i uśmiechnął się, jakby przechwycił tę myśl.

W pięć minut później rozpętało się piekło, przyjechał bowiem Julian w długiej, czarnej limuzynie. Prostackie zachowanie Arii przejęło go zgrozą, tym bardziej że następczyni tronu była już spóźniona na herbatkę w Towarzystwie Miłośniczek Historii. Aria odjechała z nim, otoczona żołnierzami, zanim Julian zdążył zobaczyć Genę w niekompletnym stroju.

Przez cztery kolejne dni Aria starała się zachowywać jak należy. Rankiem odbywała przejażdżki z Julianem i sześcioma strażnikami, potem udzielała przedpołudniowych audiencji, o dziesiątej opuszczała pałac i brała udział w niezliczonych spotkaniach. Jarla nie widywała. Nie przychodził na kolację, nie pokazał się też na występie Narodowej Opery Lankońskiej. Sopranistka była nie najlepsza, więc tenor bez przerwy zasłaniał ją na scenie. To z kolei irytowało śpiewaczkę, która fałszowała coraz gorzej. Aria obawiała się, że zaśnie.

Gdy następnego ranka jadła śniadanie, do sali jadalnej wkroczył J.T. - wyglądał na zmęczonego.

- Zaraz przylatuje Frank. Jedziesz ze mną?

Aria szybko dopiła filiżankę herbaty i wyszła z nim ku zdumieniu krewnych zgromadzonych przy stole. Odezwał się dopiero, gdy jechali na lotnisko, siedząc obok siebie na tylnym siedzeniu samochodu. Zdawał się pożerać ją wzrokiem.

- Tęskniłem do ciebie. - Ujął jej dłoń i mocno uściśnął. Przez chwilę milczeli, po czym nagle

zaczęli mówić jedno przez drugie.

J.T. opowiedział jej, że pracował po osiemnaście godzin dziennie. Jeździł po Lankonii i usiłował tłumaczyć plantatorom, że można przerobić winogrona na rodzynki. Dwa razy rozmawiał drogą radiową z prezydentem Rooseveltem i wyglądało na to, że Stany Zjednoczone kupią rodzynki.

- Ale niezbyt wiele - powiedział J.T. - W Kalifornii rosną miliony winogron na rodzynki. - Westchnął. - Musimy pomyśleć, jak inaczej postawić twój kraj na nogi.

- Musimy - powtórzyła szeptem Aria. - Ty i ja.

Gdy przybyli na lotnisko, właśnie lądowały dwa amerykańskie samoloty. Z pierwszego wysiadło kilku starszych mężczyzn i stu żołnierzy. Ci ludzie mieli się zająć wydobyciem wanadu.

Z drugiego samolotu wysiadł człowiek metr osiemdziesiąt wzrostu, który równie dobrze mógł mieć dwadzieścia lat jak czterdzieści pięć. Był ciemnowłosy, miał czarne oczy i wielkie ciało, które sprawiało takie wrażenie, jakby ważyło znacznie więcej niż w rzeczywistości. Na ładnej twarzy gościł gniewny grymas.

- To jest właśnie Frank - powiedział J.T., ciągnąc Arię za sobą.

- On ma niby siedemnaście lat? A dlaczego jest taki zły?

- Urodził się w złym humorze, ale się go nie bój. To dobre dziecko.

Aria stała nieco z tyłu, podczas gdy J.T. ścisnął dłoń Frankowi.

- To jest jej wysokość księżniczka Aria - powiedział w końcu J.T.

- Miło mi - odparł chłopak, wyciągając do niej rękę. Aria wymieniła z nim uścisk dłoni. Frank spojrział znowu na J.T. i Aria jakby przestała dla niego istnieć. - Kiedy bierzemy się do roboty? Przywiozłem kupę narzędzi i będę gotów, jak tylko skończy się wyładunek skrzyń.

Aria zerknęła w stronę samolotu i zobaczyła, że obsługa oprowadza ze schodków trójkę dzieci.

- Kto to?

J.T. popatrzył na stojącego niedaleko pilota.

- Co to za dzieciaki?

- Sieroty. Ich krewni zginęli we Francji i ktoś przeszmygłował ich do samolotu. Nie mamy z nimi co zrobić, póki nie dolecimy do Stanów. Liczymy, że tam się nimi ktoś zaopiekuje.

- Ja je wezmę - powiedziała Aria, zanim uprzytomniła sobie, co mówi.

- Ależ wasza wysokość... - zaprotestowała lady Werta, która znalazła się na lotnisku wkrótce po przyjeździe Arii z J.T. Teraz karcąco patrzyła na Arię.

Aria spojrzała na pilota i powtórzyła głośno i wyraźnie.

- Wezmę te dzieci, a Lankonia przyjmie wszystkie sieroty, które tylko będziecie w stanie znaleźć.

Pilot uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Niech pani pamięta, że dookoła trwa wojna. Są tysiące sierot. Nie wygląda na to, żeby ten kraj mógł im dać utrzymanie.

Na to wystąpił J.T.

- Jeśli jej wysokość mówi, że przyjmie dzieci, to trzeba je tu przywieźć. Weźmiemy dzieci bez względu na kraj pochodzenia i na pewno je wyżywimy.

Pilotowi wyraźnie nie spodobała się postawa J.T.

- Dobra, chłopie, wiesz, co robisz. Chcesz dzieci, będziesz miał dzieci.

Aria, bardzo zadowolona z siebie i swego męża, podeszła do spłoszonych Francuziątek i zaczęła z nimi rozmawiać. Lady Werta nie chciała, by jej pani dotykała brudnych dzieciaków, ale zbyła ją lekceważącym gestem.

W drodze powrotnej do pałacu Aria trzymała na kolanach dwulatka, a po jej bokach siedzieli trzylatek i czterolatek. J.T. i Frank rozmawiali o transporcie winogron z górskich winnic.

W pałacu wybiegła im na powitanie Gena. Jak zwykle odrobinę się z tym spóźniła, więc po zbiegnięciu ze schodów miała bardzo efektowne rumieńce. Ze starannie wymodelowanej fryzury uciekł jej jakiś kosmyk. Wyglądała doprawdy niebiańsko.

Aria zwróciła się do siostry, żeby ją pozdrowić, ale Gena zatrzymała się znienacka z wytrzeszczonymi oczami. W sekundę później minęła Arię jak pogrążona we śnie i stanęła zapatrzona we Franka Taggerta. Na widok Geny Frank przestał robić złą minę, nawet z wrażenia lekko otworzył usta.

- Chcą chyba, żeby ich sobie przedstawić - powiedział J.T. z uśmiechem. Złączył dłonie nastolatków. - Geno, to jest Frank. Frank, to jest Gena. A teraz, Geno, możesz wziąć Franka na dwór i się z nim pobawić.

Oboje ruszyli korytarzem jak zahipnotyzowani.

- Nie jestem pewna... - zaczęła Aria. - Chcę powiedzieć, że Gena jest... A Frank jest...

- Młody. Oboje są młodzi. Chodź, znajdziemy coś do jedzenia. Założę się, że dzieci są

głodne. - J.T. z Arią jeszcze raz zerknęli śladem Geny i Franka, po czym ruszyli ku sali jadalnej.

Tego wieczoru Aria osobiście wykąpała maluchy i kazała wstawić łóżeczka do swojej sypialni. Następnego rana cztery lankońskie małżeństwa poprosiły o audiencję. Ludzie usłyszeli o dzieciach i bardzo prosili, by oddać je im na wychowanie.

Aria nie chciała rozstawać się z maluchami, dała je jednak pod opiekę parze, która znała francuski.

W dwie doby później wylądował amerykański samolot, na pokładzie którego znajdowało się sto siedemnaścioro dzieci, w większości francuskich, lecz także włoskich. Przyleciały właśnie w chwili, gdy rodzina królewska zgromadziła się na uroczystą defiladę z okazji zwycięstwa nad plemionami północnymi w 1084 roku.

Straż Królewska dowiozła dzieci do stolicy na końskich grzbietach, na motocyklach, Fordami, a nawet w wózkach pasterskich. Defiladę przerwano, a J.T. zaczął przekazywać dzieci królewskiej rodzinie.

Po kilku niezbyt głośnych protestach dzieci zabrano do pałacu, gdzie zaczęto przygotowywać gorącą kąpiel za kąpielą. Odbyło się szorowanie.

Freddie, Nickie i Toby zorientowali się, że mają nowych słuchaczy. Opowiadali więc o swej dzielności wobec krwiożerczych jelonków i ogłupiałych gołębi. Lady Barbara wybrała trzy włoskie dziewczynki i osobiście je wykąpała. Babka Sophie wykrzykiwała polecenia dwóm starszym chłopcom, którzy bili się przez całą drogę w samolocie, a teraz nagle spotulnieli jak baranki. Ciotka Bradley wybrała dwóch przystojnych czternastolatków.

Aria i J.T. rozdzielili pozostałe dzieci wśród innych mieszkańców pałacu, aż w końcu wszystkie zostały wyszorowane od stóp do głów.

- No, i dobrze - powiedział J.T. Wspólnie z Arią wykąpał czternaścioro dzieci, po czym oddali je pod opiekę dam dworu, by je nakarmiono i ubrano we wszystko, co tylko może pasować na dzieci. Gdy wreszcie zostali sami, usiedli na wilgotnej, marmurowej posadzce w łazience Arii.

- Czemu tak na mnie patrzysz? - spytała Aria.

- Przypominam sobie tę kobietę na wyspie, która wszystkiego żądała. Nie chciałaś nawet pozwolić, żeby człowiek z ludu siedział obok ciebie, a teraz sama wykąpałaś tyle zwyczajnych dzieci.

- Lankonia potrzebuje dzieci. Cokolwiek zrobiłam, służy to mojemu krajowi.

- Naprawdę? Czy mam rozumieć, że wszystko robisz wyłącznie dla swojego kraju?

Sekundę później leżał na niej; ich ręce zdierały mokre, pochłapane mydłem ubrania. Gnało ich gorączkowe pragnienie.

- Dziecino, och, dziecino, stęskniłem się za tobą - powtarzał J.T., obejmując jej piersi.

Kochali się na zimnej, marmurowej podłodze. Potem J.T. podniósł ją z ziemi i posadził na krawędzi wanny. Tam rzucił się na nią z nową energią, aż w końcu Aria wpadła do wody, która pozostała po kąpieli. J.T. nie przerwał jednak, tylko szarpnął za łańcuszek i wyciągnął zatyczkę. Dalej powtarzał długie, mocne pchnięcia, a woda spływała do rur. Skończyli się kochać razem, spleceni na dnie marmurowej wanny.

J.T. poruszył się pierwszy. Nagle spojrzął na Arię, jakby była czymś odrażającym, i wygramolił się na posadzkę.

- Muszę iść. Muszę się stąd wynosić - wymamrotał, naciągając mundur. Pragnął oddalić się od Arii tak szybko, jak tylko potrafił. Wybąkał do widzenia i uciekł z jej apartamentów, jakby goniły go legiony diabłów.

Zlekceważył strażników przy drzwiach i pośpieszył korytarzem, zbiegł ze schodów i znalazł się na zewnątrz. Zatrzymał się dopiero w Królewskim Ogrodzie. Drżącymi rękami zapalił papierosa.

Uwiedzenie, pomyślał. W tym kraju wszystko jest uwodzicielskie.

Gdy tylko chciał coś zjeść, jedzenie na niego czekało. Rzucił ubranie gdziekolwiek bądź, a po minucie już go nie było. Zawsze w pobliżu czekali milczący ludzie, gotowi spełnić jego najdrobniejszy kaprys. Jeśli chciał, by przygotowano mu samochód, wystarczyło powiedzieć.

No, i wciąż miał wybór! Mógł prowadzić samochód sam albo zażyczyć sobie kierowcę. Mógł wstawać wcześniej albo spać do późna. Mógł nic nie robić albo pracować po dwadzieścia godzin dziennie. Mógł pływać, jeździć konno, wspinać się na góry, ćwiczyć z atletami, spacerować po bezkresnych ogrodach. Wolność, jaką dawały te wszystkie wybory, była upajająca. J.T. oparł się o drzewo i zaciągnął tytoniowym dymem.

Była też Aria, najbardziej uwodzicielska ze wszystkiego. Patrząc, jak wygląda w sukni zmoczonej wodą po kąpieli dzieci, przypominał sobie kobietę poznaną na wyspie. Król powiedział, że Aria jest dobra i pełna ciepła, ale J.T. do tej pory mu nie wierzył. A jednak taka była, choć skrywała to pod maską wyniosłości.

Teraz rozumiał ją lepiej. Przecież wychowano ją w przekonaniu, że świat istnieje po to, by jej służyć. Zastanowiło go, jaki on sam by był, gdyby wychowano go właśnie w ten sposób. Czy upodobniłby się do Toby'ego i urządził dąsy, gdyby znalazł skrawek listka w truskawkach? Czy przyzwyczaiłby się do kaszmirowych swetrów tak, że ciskałby je na podłogę jak Gena? Czy przywykłby do służących na tyle, że nie zauważałby ich obecności? Czy wierzyłby, że władzę nad innymi ma z woli Bożej?

Czuł zatechłą atmosferę tego pałacu, lecz mimo to pozwalał się jej uwodzić, stawał się jej częścią. Od dzieciństwa uwielbiał gorącą czekoladę. Nigdy o tym nie wspominał, bo wiedział, że nieprawdopodobnie wyćwiczona służba pałacowa przygląda się temu, co kto je, i dba o to, żeby ulubione produkty zawsze były pod ręką. Właśnie przed chwilą przerwał rozmyślenia i pociągnął za

sznur dzwonka przy łóżku, i natychmiast zjawił się Walters, który przyniósł mu filiżankę gorącej czekolady.

Przez ostatnie kilka dni, odkąd nabrał przekonania, że Straż Królewska jest w stanie zapewnić ochronę Arii, pracował po wiele godzin. Zatrudnił dwóch sekretarzy Arii, dwóch inteligentnych mężczyzn, którzy na ogół nie narzekali na nadmiar obowiązków. Pomagali mu w sprawdzaniu, kto potrzebuje pieniędzy lub kto skorzystałby na śmierci Arii. Wprawdzie Aria podróżowała po kraju, jakby nikt nigdy nie próbował jej zabić, ale J.T. nie zapominał o tym ani na chwilę. Swym zachowaniem wprawiał w ciężkie zakłopotanie kamerdynera Arii, który traktował go jak członka rodziny królewskiej. Tymczasem J.T. spędzał mnóstwo czasu z personelem kuchennym, chcąc usłyszeć jak najwięcej plotek. Miał jednak wrażenie, że nikt nic nie wie. Nie zbliżył się ani na krok do rozwiązania zagadki zamachów na życie Arii.

Starał się traktować swój pobyt w Lankonii jak pracę do wykonania i nic poza tym, ale mu się nie udawało. Po pierwszym rozstaniu z Arią był wściekły, prawie się cieszył, że udało mu się jej pozbyć. Wciąż pamiętał, w jaki gniew wpadł, gdy dowiedział się, że Aria go oszukała i przyjdzie mu zostać w Lankonii na zawsze. Wtedy myślał tylko o tym, że Aria domaga się od marynarza życia na lądzie. A poza tym wkurzyło go, że dał się zrobić w konia jak dziecko. Dziadek Arii, który polecił mu zostać w Lankonii, bynajmniej nie poprawił mu humoru.

Minęło jednak kilka tygodni i J.T. lepiej zrozumiał, co to znaczy być członkiem rodziny królewskiej. Widział, jakie znaczenie ma Aria dla zwykłych ludzi. Mieszał się z tłumem, więc słyszał ten szczególny ton poważania, który przybierano mówiąc o następczyni tronu.

Dopalił papierosa, zdeptał niedopałek i uśmiechnął się na wspomnienie dnia spędzonego z Arią w winnicy. Wtedy nie była księżniczką, tylko jego dziewczyną. Był z niej dumny. Patrzył na twarze ludzi, początkowo widział, jak nieufnie się do niej odnoszą, ale potem zobaczył też, jak bardzo ją lubią. Właśnie lubią, w staroświecki sposób, nie dlatego że to ich obowiązek, lecz dlatego, że Aria jest sympatyczna, wesoła i interesuje się ich życiem.

Tego wieczoru było mu bardzo, bardzo trudno się z nią rozstać. Naturalnym zakończeniem dnia byłoby iść z nią do łóżka, tak jak powinien zrobić prawdziwy mąż. Wiedział jednak, że nie wolno mu Arii dotykać, bo jest tylko pożyczona i będzie musiał ją oddać.

Od tej pory trzymał się na dystans. Starał się o niej zapomnieć i miał nadzieję, że również ona go zapomni. Za każdym razem, gdy widział ją z tym hrabciem, coś ścisnęło go w piersi, ale się nie wtrącał. Musiał jednak przyznać, że część plotek, które go doleciały, sprawiła mu niewysłowioną przyjemność. Aria przeszła przez tłum i poczęstowała się chlebem upieczonym przez wieśniaczkę, a potem z wdzięczności przesłała jej stadko kur. J.T. wątpił, czy Aria zdaje sobie sprawę z tego, jak takie zachowania przysparzają popularności wśród ludu.

Udawało mu się wytrwać w postanowieniu, choć czasem tracił panowanie nad sobą. Jakże podobała mu się Aria na placu ćwiczeń wojskowych, gdy zagroziła strażnikowi. Zupełnie jakby była wodzem na miarę Kowana. A potem ten wspaniały atak zazdrości o Genę! To kobieta, a nie następczyni tronu popędziła w gniewie do konia. Że też później musiał spokojnie patrzeć, jak porywa mu ją sprzed nosa ten nadęty hrabcio. Tępak nie pojmował, że to, co Aria robi poza oficjalnym

harmonogramem zajęć, jest o niebo ważniejsze od herbatek z tłustymi arystokratkami. J.T. miał ochotę rozgnieść tego afektowanego gnojka. Kapitan straży położył mu dłoń na ramieniu dosłownie w ostatniej chwili.

I w końcu stało się najgorsze ze wszystkiego, co mogło się stać: znowu się z nią kochał. Nie długo, bez pośpiechu, przez całą noc, tak jak mu się marzyło. Uległszy wreszcie pragnieniu, które musiał tłumić za każdym razem, gdy ją widział, po prostu rzucił się na nią. A ona odpowiedziała tą samą namiętnością co poprzednio.

Musiał z tym skończyć! Trzymać ręce z dala od Arii i skupić się na zadaniu, które należało wykonać. Strażnikom zalecił szczególną czujność, wyczuwał bowiem, że w najbliższych dniach szykuje się następny zamach na życie następczyni tronu. Był pewien, że tym razem sprawca zostanie ujęty. Natychmiast po tym zamierzał wrócić do Stanów.

Zamknął oczy, wciągnął w nozdrza zapach sosen i kwiatów. Wyobraził sobie morze. Ożeni się z jakąś miłą dziewczyną, która lubi morze, osiadzie w Warbrooke, będzie pracować w rodzinnej stoczni i wychowywać gromadkę dzieciaków. Chciał mieć zupełnie zwyczajne życie, nic szczególnego. Nie rządzić żadnym królestwem. Nie mieć złotego tronu. Nie mieć korony. Nie śmiać się z żartów pięknej księżniczki.

- Cholera jasna! - zaklął na głos. Pomyślał, żeby zbudzić Franka i porozmawiać z nim o jakimś projekcie albo jeszcze lepiej od razu wziąć się do przeróbki starych silników samochodowych. Nigdy nie widział ludzi, którzy wiedzieli o konserwacji maszyn tak mało jak Lankończycy. Stanowczo potrzeba tu było kilku szkół zawodowych, żeby młodzi ludzie mogli się dowiedzieć, jak dbać o sprzęt. Dlaczego właściwie w tym kraju nie ma przyzwoitej uczelni rolniczej? I dlaczego dziewczęta nie uczą się na sekretarki i pielęgniarki?

Przerwał ten potok myśli; wziął głęboki oddech. Nie jemu martwić się o Lankonię. Za parę tygodni już go tu nie będzie, a to, co zrobią król Julian i królowa Aria, nic go nie obchodzi.

Mijając garaż, zauważył, że wszystkie światła się palą. Usłyszał dudniący, gniewny głos Franka Taggerta:

- Mówiłem: klucz francuski, a nie kombinerki.

- Skąd mam wiedzieć, które jest które? - J.T. usłyszał niemniej rozzłoszczony głos Geny. - Jestem księżniczką, a nie mechanikiem samochodowym.

- Właśnie widzę, że do niczego się nie nadajesz. To jest klucz francuski. Ojej, żabko, nie płacz.

J.T. roześmiał się w mroku i pomyślał, że lepiej tym dwojgu nie przeszkadzać. Wyglądało na to, że Geną poszłaby za Frankiem na koniec świata. Jutro pewnie będzie się zastanawiać, co widziała w takim staruchu jak on, J.T.

Z uśmiechem wrócił do swej opustoszałej, smutnej sypialni. Przynajmniej ktoś gdzieś był

szczęśliwy.

Aria wolno wysiadła z samochodu, który zatrzymał się przed domkiem myśliwskim dziadka. Zmierzchało, była zmęczona całodziennymi rozmowami z Amerykanami, ale bardzo zależało jej na spotkaniu z dziadkiem. Miała za sobą potworną orkę. Bez końca targowała się o cenę wanadu. Julian nalegał, żeby spokojnie usiadła i pozwoliła mu poprowadzić negocjacje, ale Aria szybko zorientowała się, że wcale nie jest bardziej kompetentny od niej. Nierozważnie zaproponowała, żeby włączyć do spotkania porucznika Montgomery'ego, ale Julian spojrział na nią morderczym wzrokiem, więc zamilkła.

Po dwóch godzinach Julian wydawał się zadowolony, lecz Arie jeszcze sporo do tego brakowało. Posiała po porucznika Montgomery'ego. Zjawił się w przepoconym podkoszulku i na widok umowy proponowanej przez Amerykanów parsknął śmiechem. W pół godziny później sprzedał połowę wymienionej tam ilości wanadu za podwójną cenę.

- Resztę będziemy negocjować później - powiedział. Ku niedowierzaniu Arie Amerykanie sprawiali wrażenie uszczęśliwionych interesem i bardzo zadowolonych z J.T. Za to bardzo pogardliwie spoglądali na Juliana. Aria niczego z tego nie rozumiała, sądziła bowiem, że Amerykanie powinni woleć Juliana.

Po spotkaniu chciała porozmawiać z J.T., on jednak się wymówił - twierdził, że musi wracać do swoich silników. Poczula się odrzucona, a co najgorsze opuszczona. Przez resztę dnia skwapliwie wypełniała obowiązki, ale sercem była gdzie indziej. O czwartej po południu poleciała swojej pani sekretarz zatelefonować do króla i zapowiedzieć odwiedzin wnuczki.

Lady Werta omal nie umarła, gdy usłyszała o planowanej wizycie, ale Arie coraz lepiej wychodziło ignorowanie humorów damy dworu.

Pojechała więc na wieś i oto Ned otwierał przed nią drzwi.

- Jest w ogrodzie, wasza wysokość - powiedział z ukłonem. - Przygotowałem dla waszej wysokości kolację i kazałem podać do ogrodu. Jego Królewska Mość zabronił komukolwiek przeszkadzać podczas posiłku.

- Dobrze - powiedziała i wyminęła Neda. Bardzo chciała jak najszybciej zobaczyć dziadka. Stał pod wielkim wiązem i czekał na nią z otwartymi ramionami. Świat widział w nim króla, ale ona zawsze tylko dziadka, który trzymał ją na kolanach i opowiadał bajki. Dla matki i reszty świata musiała być księżniczką, dla dziadka mogła być małą dziewczynką.

Przytulił ją mocno do swego potężnego, masywnego ciała i pierwszy raz od dłuższego czasu poczuła się bezpieczna, chroniona. Łzy cisnęły jej się do oczu. Jeszcze parę miesięcy temu nie zdarzało się, by płakała, teraz miała wrażenie, że płacze prawie bez przerwy.

Dziadek odsunął ją na odległość ramienia i bacznie się jej przyjrzał.

- Usiądź i zjedz coś - powiedział szorstko. - Ned przygotował dla nas tyle, że moglibyśmy

nakarmić całą armię Rowana. Dobrze, że przyjechałaś. Najwyższy czas.

Aria uśmiechnęła się wątpliwe, jak człowiek, który coś zawinił. Nagle wydało jej się, że stała się znowu małą dziewczynką, zwłaszcza że zobaczyła talerz ciasteczek czekoladowych, które upiekł dla niej Ned, tak samo jak piekł je całe życie. Ale apetytu nie miała.

- Co cię dręczy? - spytał król.

Aria zawahała się. Jak mogła obarczać dziadka swoimi problemami? Był przecież starym człowiekiem, w dodatku chorym. Usiadła naprzeciwko niego.

Król uniósł brew.

- Tchorzysz przede mną? Czy ktoś znowu do ciebie strzelał? Albo próbował cię utopić? A jak sobie radzi z silnikami samochodowymi ten twój amerykański mąż?

Aria poczuła ściskanie w gardle. Oczy zaszyły jej mgłą, więc szybko przełknęła łyk gorącej herbaty. Dziadek się do niej uśmiechnął.

- Dlaczego młodym ludziom się wydaje, że wraz ze starością przychodzi głupota? Jesteśmy dość bystrzy, by wychować dzieci i żyć przez pięćdziesiąt kilka lat, ale kiedy kończymy sześćdziesiątkę, zaczyna się na nas patrzeć, jakbyśmy mieli uwiad starczy. Ario, wiem wszystko. Wiem, że porwano cię w Ameryce. Potem powiedziano mi o twojej śmierci. Byłby skandal, gdybyś zginęła na amerykańskiej ziemi, więc wysłałem Cissy, żeby zajęła twoje miejsce...

- Myślałam...

- Że Cissy chce być królową? Ona ma na to za wiele rozsądku.

Aria przez chwilę milczała.

- Rozumiem.

Dziadek wyciągnął rękę przez stół i ujął dłoń Arii.

- Wcale nie rozumiesz. Niełatwo cię zastąpić, jeśli o tym myślisz. Przeszedłem piekło myśląc, że nie żyjesz. - Uścisnął jej dłoń. - Nie wyobrażasz sobie, jak się ucieszyłem, gdy amerykański prezydent przekazał mi telegraficznie wiadomość, że jesteś cała i zdrowa. Oczywiście tymczasem byłaś już mężatką. Prezydent przeprosił mnie za to i zaproponował unieważnienie małżeństwa przed twoim powrotem do Lankonii.

Aria gwałtownie podniosła głowę.

- Nie skorzystałaś z tej propozycji.

- O ile było mi wiadomo, pobraliście się z miłości. Przecież ten człowiek uratował cię przed śmiercią. Byłem mu za to bardzo wdzięczny.

Aria niezgrabnie przekładała sobie na talerz cieniutki plasterek wołowiny.

- Więc pozwoliłeś mi zostać z tym człowiekiem i zakochać się w nim. - W jej głosie była gorycz.

Król nadział na widelec indycze udko.

- Może opowiesz mi coś o tym miejscu, w którym mieszkałaś? Potwornie tam gorąco, prawda? I co z tym zdjęciem w gazecie? Czy to naprawdę była matka twojego porucznika? Wydała mi się bardzo przystojną kobietą. Ze swoich źródeł wiem też, że gotowałaś obiady i prałaś. Niesamowite, Ario, to przechodzi moje wyobrażenia.

Aria przesiała dziadkowi szeroki, amerykański uśmiech i zaczęła mówić. Król nie tylko jej słuchał, lecz również bacznie się przyglądał. Zauważył, że wspominając Stany Zjednoczone i poznanych tam przyjaciół Aria wyraźnie się odprężyła. Śmiał się razem z nią, gdy opowiadała, jak się uczyła samodzielnie ubierać, jak myliła pieniądze i dawała taksówkarzom studolarowe napiwki. Natomiast Aria śmiała się z tego, jaka niezdolna była na wyspie. Przypomniała sobie, że chciała zjeść krewetkę na surowo. Potem zaczęła z ożywieniem rozprawiać o wspaniałym uczuciu, które ma się robiąc zakupy i wygłosiła dziesięciminutową tyradę potępiającą prace domowe.

I co drugie słowo powtarzała „Jarl”. Jarl się złościł, Jarl się cieszył, Jarl osłupiał widząc jej przebranie za Carmen Mirandę (tu wstała i przedstawiła skróconą wersję „Chica Chica”), Jarl wpadł we wściekłość, gdy dowiedział się, że ma zostać jej mężem na zawsze. I był z niej dumny, gdy wzięła pod opiekę osierocone dzieci. I był wspaniały, gdy uratował ją przed zamachem w górach.

Pół godziny zajęło jej opowiedzenie wszystkich czynów Jarla w Lankonii.

- Sprzedaje winogrona do Stanów Zjednoczonych, a z gór zwozi je maszynami. Dziś rano rozmawiał ze mną o organizacji szkół, w których uczyłoby się młodych Lankończyków, co robić, żeby nie wyjeżdżać z kraju. Twierdzi, że potrzeba wiele pracy do wprowadzenia Lankonii w dwudziesty wiek. Lankonia ma jego zdaniem wielki potencjał, tylko trzeba wiedzieć, jak z niego skorzystać. I wynegocjował z Amerykanami umowę kupna wanadu. Sprzedał im wyłącznie prawa do prowadzenia robót górniczych w jednym miejscu, bo powiedział, że potem cena może wzrosnąć. Amerykanie nazwali go głupcem, ale nie sądzę, żeby tak myśleli. Zresztą wcale nie wydawało się, że tak myślą. A dzisiaj rano Freddie dostał szału, bo nie było śniegu na krem. Minister skarbu powiedział, że Jarl obciął o piętnaście procent budżet pałacu. Cała Straż Królewska jest zachwycona Jarlem. Ćwiczy razem z nimi i nazywa hańbą to, że kazano im przez stulecia jedynie otwierać drzwi. - Zabrakło jej tchu, więc nagle przerwała, nieco zakłopotana. Upiła duży łyk herbaty.

- A jak się miewa hrabia Julian? - spytał król, spoglądając na nią znad kufła z piwem.

Ku swemu niedowierzaniu Aria ukryta twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem.

- Och, dziadku, tak bardzo kocham Jarla. Dlaczego on mnie nie kocha? Jest taki dobry dla Lankonii. Potrzebujemy go. Co mogę zrobić, żeby został?

Król był potężnej budowy, a Aria drobna i lekka, więc bez trudu posadził ją sobie na kolanach tak jak wtedy, gdy była małą dziewczynką.

- Domagasz się od niego, żeby opuścił ojczyznę. Chcesz zatrzymać to, co masz, ale od niego żądasz wielu poświęceń.

- Nasza sytuacja bardzo się różni - pociągnęła nosem Aria. - On jest w Stanach jednym z wielu zwyczajnych Amerykanów, nie królem ani księciem. Jego ojciec ma innych synów, którzy mogą prowadzić rodzinne interesy. Gdybym nie była następczynią tronu, wyjechałabym z nim do Stanów. Wyjechałabym z nim wszędzie. Zrezygnowałabym... zrezygnowałabym nawet z Lankonii.

Król przez chwilę milczał.

- Myślisz o abdykacji, co? - spytał cicho. - Wtedy Lankonia rządziłaby wkrótce Gena. Może udałoby jej się wprowadzić kraj w dwudziesty wiek.

- Gena będzie robić tylko to, co ktoś jej powie - mruknęła Aria z niechęcią. - Gdybym abdykowała, Julian bez wątplenia poprosiłby ją o rękę, a właściwie o tron.

- Ano właśnie - powiedział król. - Opowiedz mi o Julianie. Słyszałem, że ojciec przygotował go na króla.

Aria wyprostowała się na kolanach dziadka, wyciągnęła mu chustkę z kieszeni koszuli i głośno wydmuchała nos.

- Ojciec przygotował go na takiego króla, jakich jest wielu. Julian siedzi całymi dniami w pałacu i robi Bóg wie co, a tymczasem Lankończycy masowo emigrują, bo nie ma dla nich pracy. Złościł się na mnie, że jadłam wieśniaczy posiłek... posiłek przygotowany przez jedną z moich poddanych! Powiedział mi, że bardzo chce się ze mną ożenić, że...

- Że cię pożąda? - podsunął król.

- Tak, to też powiedział, ale kłamał. Zrobiłby wszystko, żeby zdobyć mój tron. Ale w Lankonii chce tylko zostać księciem małżonkiem i cieszyć się pałacowymi luksusami. Potwornie boi się biedy. A bieda wcale nie jest taka straszna, wiem to na pewno.

- Ario, czy sądzisz, że on mógłby cię zabić, gdyby sądził, że nie uda mu się z tobą ożenić? - spytał król bardzo cicho.

- Może, ale pierwszego zamachu dokonano, kiedy jeszcze nic nie groziło naszemu narzeczeństwu.

- A teraz grozi?

Znów do oczu napłynęły jej łzy.

- Będę żoną Jarla tak długo, jak to możliwe. On może mnie nie chceć, ale ja go chcę i zawsze

będę chciała.

Król ją uściskał.

- Wątpię, czy on cię nie chce. Wydaje mi się zresztą, że przeżywa teraz bardzo trudne chwile.

Odsunęła się od dziadka i uśmiechnęła.

- Tak myślisz? Naprawdę tak myślisz?

Król odwzajemnił uśmiech.

- Cierpienie. Męka. Ból nie do zniesienia.

Aria uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Co mogę zrobić, żeby ten ból był jeszcze gorszy? Jak mogę go w sobie rozkochać tak, żeby nigdy mnie nie opuścił?

Król ujął ją pod brodę.

- Poprosiłem go, żeby został i zapewnił ci ochronę. Teraz pilnuje cię Straż Królewska, więc po co on tu jeszcze siedzi? Dlaczego nie odleciał do domu w zeszłym tygodniu?

Aria zaczęła intensywnie myśleć.

- Chyba zgłodniałam. Zjem cały talerz ciasteczek. A może Ned mógłby otworzyć butelkę szampana? Lankońskiego szampana!

Król parsknął śmiechem.

- Idź powiedzić Nedowi, żeby otworzył dwie butelki. I zejdz z mojej nogi, zanim stracę w niej czucie na zawsze. A przy okazji przynieś mi świeżą chustkę do nosa. Tę całkiem zmoczyłaś. Słowo daję, Ario, czy nikt nigdy nie uczył cię manier?

Ze śmiechem stanęła na podłodze.

- Pewnie nauki poszły w las. - Obróciła się i pobiegła w stronę domu.

Król skrzyżował przed sobą ramiona i uśmiechnął się z zadowoleniem.

J.T. zbudził się natychmiast. Za płytą maskującą wejście do podziemnego korytarza ze schodami rozległ się głuchy odgłos. W milczeniu wstał i podszedł do płyty. W szufladce przy łóżku miał służbowy rewolwer; wyjął go po drodze.

Z rewolwerem gotowym do strzału czekał na otwarcie się drzwi. Zaskrzypiały zawiasy, zaraz

jednak zapadła cisza. Dopiero po chwili ktoś lekko pchnął drzwi znowu.

- Ciszej - powiedział J.T., opuszczając broń.

W odpowiedzi usłyszał czkawkę.

- Gena? - spytał.

- Gena! - powtórzyła Aria trochę niewyraźnie. - Gena!

J.T. cofnął się od niej, jakby rozsiewała zarazę, i zapalił lampę. Aria ścisnęła w dłoni butelkę szampana; miała na sobie cienutki, opinający figurę szlafroczek, który wyglądał tak, jakby pod nim nic już nie było.

- Wynoś się stąd - syknął.

Zrobiła krok w jego stronę.

- No wiesz, Jarl. Nie cieszysz się, że mnie widzisz?

- Jesteś pijana?

- To możliwe, ale dotąd nigdy nie byłam, więc nie jestem pewna. Po czym się to poznaje?

J.T. zrobił jeszcze kilka kroków do tyłu, a w końcu oparł się o szafę.

- Po co tu przyszedłaś? Ktoś mógł cię zobaczyć.

Aria zrobiła parę kroków, zatrzymała się dopiero tuż przed nim.

- Przyszłam spędzić z tobą noc - szepnęła.

Chciał wyrazić sprzeciw, ale zsunęła z ramion szlafroczek. Rzeczywiście nie miała nic pod spodem, więc widok jej nagiego ciała wybił mu z głowy wszelkie sprzeciwy. Sam miał na sobie tylko spodnie od piżamy. Objął Arię i poczuł na torsie ciepło jej piersi.

Zaczął całować ją w szyję, w policzki, w usta, coraz bardziej chciwie.

- Nie powinnaś tu przychodzić - powiedział, znacząc ustami gorący szlak na jej szyi i ramionach. - Musisz dbać o reputację. Następczyni tronu nie może...

Przytknęła usta do jego ust.

- Dziś wieczorem jestem twoją żoną, nie jej wysokością.

Odsunął się nieco i popatrzył na nią.

- To mi się podoba - szepnęła. - Bardzo mi się podoba.

Zaniósł ją do wielkiego łóżka, położył w pościeli i przez długą chwilę chłonał wzrokiem. Dopiero potem wyciągnął rękę. Aria pomyślała, że Jarl patrzy na nią tak, jakby chciał na zawsze zachować jej wspomnienie.

- Jak to wy, Amerykanie, mówicie? „Nie postawisz kobiecie drinka?” - spytała, unosząc butelkę szampana, którą nadal trzymała w dłoni.

J.T. nie spuszczał z niej wzroku, siedząc na krawędzi łóżka. Delikatnie przesuwał palcami po jej piersiach, żebrach i ramionach.

Aria podważyła korek, który z hukiem wystrzelił z butelki. Szampan polał jej się na brzuch i na plecy J.T. Roześmiała się i zaczęła wycierać strugę płynu, ale J.T. złapał ją za ręce i zaczął spijać szampana z jej ciała. Przesuwał się coraz wyżej i wyżej, aż zatrzymał usta na piersi.

Była upojona, czuła się cudownie wolna, zdolna do wszystkiego. Szybkim, zdecydowanym ruchem pociągnęła J.T. do łóżka, wysunęła się spod niego i zaczęła zlizywać kropelki szampana z jego nagich pleców. Uklękła nad nim w rozkroku, ciesząc się dotykiem mocnych, umięśnionych ud. Jednocześnie wędrowała ustami wzdłuż kręgosłupa. J.T. leżał pod nią całkowicie nieruchomo, jakby bał się, że gdy choćby drgnie, Aria przerwie pieszczotę. Jej jednak nie było to w głowie. Z rozkoszą dotykała jego pleców czubkami piersi. Potem ułożyła się na nim i otarta o niego, zachwycona bliskością ich ciał. Wtulała w jego plecy twarz i włosy, znowu i znowu, próbowała jego smaku, wdychała zapach.

Przeniosła pocałunki na pośladki, uda, dotarła do wewnętrznej strony kolan, zsunęła usta na łydki i stopy. Przytuliła jego stopy do twarzy, zaczerpnęła głęboki oddech i ruszyła w drogę powrotną, w górę ciała.

Gdy dotarła do szyi, J.T. obrócił głowę. Pocałowała go w policzek. Odchylił głowę jeszcze mocniej, ich usta się spotkały. J.T. przekręcił się na plecy. W oczach miał żar, nie był w stanie dłużej leżeć nieruchomo. Głaszcząc Arię, znalazł dla swej męskości miejsce w jej wnętrzu.

Wydała okrzyk rozkoszy i zaczęła się poruszać, chcąc zapomnieć o nachodzącym ją ostatnio poczuciu osamotnienia. Wreszcie poczuła zmęczenie mięśni. Zamienili się miejscami i J.T. wszedł w nią jeszcze kilka razy bardzo głęboko, póki obojgiem nie wstrząsnął wielki, zniewalający wybuch.

- Kocham cię - szepnęła Aria. - I chcę, żebyś ze mną został.

Na chwilę znieruchomiał, zaraz jednak zsunął się z niej i usiadłszy na krawędzi łóżka, naciągnął spodnie od pizamy.

- Aha, więc o to ci chodzi? Wskakujesz mi do łóżka, a potem żądasz zapłaty? Mamy dla takich kobiet specjalną nazwę. - Przeszedł przez pokój i podniósł jej szlafroczek. Cisnął go w jej stronę, nie odwracając głowy. - Wynoś się stąd!

Aria starała się zareagować godnie, ale była trochę za bardzo upojona szampanem i fizycznym zbliżeniem z mężczyzną, żeby zachować pełną jasność umysłu. Wstała z łóżka, potykając

się o szlafroczek, i chwiejnie doszła do ukrytych w ścianie drzwi. J.T. trzymał je dla niej otwarte. Z głową odwróconą w bok podał jej latarkę. Aria ruszyła schodami w dół. Zgrzyt zamykających się za nią drzwi zabrzmiał upiornie.

Była w połowie schodów, gdy ktoś zasłonił jej usta ręką i wsunął lufę pistoletu między zębra. Spróbowała się wyrwać.

- Więc tak spacerujesz po tym gnijącym zamczysku - odezwał się znajomy głos. - Trzymaj prosto latarkę.

Wbiła paznokcie w rękę zatykającą jej usta.

- Freddie!

- Jeszcze jedno słowo, Ario, i skręcę ci kark na miejscu. Tyle osób mnie zawiodło, że nie pozostaje mi nic innego, jak zrobić to samemu. - Włókł ją mrocznym korytarzem, odciągając od drzwi prowadzących do ogrodu. - Za parę dni znajdą twoje ciało, a kiedy to się stanie, sięgnę po koronę. Wystarczy, że pozbędę się Geny, wtedy stary król na pewno umrze z żalu. A ja jestem następny w kolejce do tronu.

Udało jej się odchylić głowę na tyle, że mogła się odezwać.

- Po co chcesz być królem?

- Pocziwa, głupia Aria. Ty interesujesz się tylko parobkami, niczym więcej. Ten kraj zdycha. Lepiej sprzedać go Niemcom, niż utrzymywać niepodległość. Uran, moja droga. W Lankonii jest pełno uranu. Sprzedam ten cały folwark temu, kto najwięcej zapłaci, i spokojnie zamieszkać we Francji. Cholera, ale twarda z ciebie sztuka. Trudno cię było zabić, Ario.

- Nadal jest trudno - rozległ się głos w mroku.

Aria widziała kilka amerykańskich filmów, skorzystała więc z westernowych doświadczeń i w chwili nieuwagi Freddiego rzuciła się w bok na ziemię. Latarka upadła z trzaskiem i potoczyła się dalej. Aria przyłgnęła do ziemi. Nad nią zagrzmiały strzały, echo w kamiennym tunelu powtórzyło je wielokrotnie z ogłuszającą siłą. Poleciały jej na głowę odłamki skały i kurz. Leżała nieruchomo, póki wszystko nie ucichło.

- Jarl! - krzyknęła, wcale nie cichszym głosem niż wystrzały z broni palnej.

- Jestem, dziecino - odezwał się. Podbiegła do niego w ciemności. - Już po wszystkim - szepnął. - Jesteś bezpieczna, a ja mogę wrócić do domu.

Nie było jej łatwo, ale zdołała odsunąć się od niego.

- Tak, musisz wrócić do siebie, a ja muszę zostać tutaj. Tak będzie lepiej. Sprowadzisz strażnika, żeby zajął się moim kuzynem?

- Rozkaz, wasza wysokość - powiedział kpiąco, odwrócił się i zostawił ją w mroku.

Aria wysiadła z limuzyny i sztywno wyprostowana przeszła na plac za budynkiem Akademii Nauk. Białe tynkowane ściany odbijały słoneczne światło bolesnie dla oczu. Wiedziała, że mimo woalki przy kapeluszu dobrze widać jej napuchnięte i zaczerwienione powieki.

Minęły dwa tygodnie od strzelaniny w podziemnym przejściu. Freddie nie zginął, Jarl tylko go zranił, ale strażnik królewski dał mu szansę, zostawiając go w bibliotece z nabitym pistoletem. Freddie wybrał więc honorowe wyjście i strzelił sobie w łeb. Oficjalnie podano, że zginął wskutek wypadku podczas czyszczenia broni. Jedna babka Sophie zakwestionowała tę wersję.

- Freddie miałby czyścić broń? Co za bzdura! Nigdy nie słyszałam niczego bardziej absurdalnego. Co się stało naprawdę? - Nikt z rodziny nie udzielił jej odpowiedzi.

Porucznik Montgomery wyjechał z Lankonii następnego ranka, nie pożegnawszy się z nikim. Natychmiast po jego wyjeździe Julian stał się taki zaborczy, że Aria nakazała mu opuścić Lankonię i dać jej święty spokój. Nie wiedziała, czy Julian chce władzy, czy może interesuje go uran, z pewnością jednak nie chodziło mu o nią.

Młody Frank Taggert został, by pomagać w mechanizacji pracy w winnicach, ale mimo swego wzrostu był przecież tylko zwykłym młodym człowiekiem. Gdy więc po nagłych opadach w wielu winnicach owoce zaczęły gnić, nie było siły, która przetransportowałaby je na dół dostatecznie szybko.

W parę godzin po odjeździe J.T. Aria znalazła się w myśliwskim domku dziadka. Była wściekła, że nie powiedział jej o uranie. Dziadek twierdził jednak, że przyczyną jej złości jest tchórzliwy wyjazd męża, a nie jakiegokolwiek sekrety. Aria próbowała bronić J.T., jednak bez przekonania. Po powrocie do pałacu dowiedziała się o samobójstwie Freddiego. Wydała rozkazy, żeby zorganizować mu królewski pochówek.

Potem w Sali Narad Wojennych spotkała się z wszystkimi osobami, które przyczyniły się do wcielenia Kathy Montgomery w postać księżniczki Arii. Nawet kajanie się i przeprosiny marszałka dworu nie wydobyły jej z głębokiej depresji. Lady Werta wyglądała tak, jakby miała zemdleć. Wszeptała, że chce zrezygnować ze służby u jej wysokości. Aria pocieszyła jednak dostojną damę dworu mówiąc, że wie, iż kierowała się wiernością wobec prawdziwej księżniczki. Przyznała jej Order Błękitnej Tarczy za patriotyzm.

Następne spotkanie odbyła z kuzynką Cissy, której serdecznie podziękowała za służbę dla dobra Lankonii. Cissy ucieszyła się, że Aria jest cała i zdrowa, a w nagrodę poprosiła jedynie o bankiet. Najpierw bowiem Lankończycy, którzy podstawili ją za następczynię tronu, a następnie Amerykanie, którzy ją trzymali pod kluczem, zaaplikowali jej solidną dietę. Wszyscy z wyjątkiem samej zainteresowanej uważali, że Cissy powinna schudnąć. Aria wydała więc na cześć Cissy ucztę, która trwała trzy dni.

Jakby nie dość było Arii zgryzot, zawiązał się komitet Lankończyków, który wystąpił do niej z petycją o sprowadzenie z powrotem porucznika Montgomery'ego, żeby ten dalej pomagał w

zarządzaniu winnicami. Aria wyjaśniła poddanym, że powrót porucznika jest niemożliwy, bo porucznik jest potrzebny w Stanach Zjednoczonych. Ku jej przerażeniu komitet wysłał jednak pismo do amerykańskiego prezydenta, a cała historia w jakiś sposób przeciekła do amerykańskiej prasy. Tam ukazał się artykuł, w którym przedstawiono Lankończyków jako ciemnych, zacofanych wieśniaków, którzy potrzebują Amerykanina z krwi i kości, żeby rządził za nich krajem. Aria z niechęcią zmięła gazetę, w której opublikowano te bzdury. Postanowiła znaleźć kogoś innego, kto nauczyłby jej ziomków melioracji, zorganizował szkoły zawodowe, zmechanizował pracę w winnicach i pomagał we wszystkim, w czym pomoc była potrzebna. Tylko w czym właściwie była potrzebna pomoc? Aria żałowała, że nie ma się kogo poradzić... doskwierało jej straszne osamotnienie...

Julian odjechał do siebie trzy dni temu, Gena nie widziała nikogo poza swoim młodym Amerykaninem, a Aria nie miała z kim porozmawiać ani się pośmiać. Przed wizytą w Stanach Zjednoczonych i poznaniem tego dziwnego człowieka nigdy nie czuła się samotna. Czemu więc coś w niej nagle pękło?

Bezmyślnie wypełniała swoje obowiązki. Jakoś nie miała już ochoty przechodzić przez tłum i pić koziego mleka. Przyjmowała wszystkie zaproszenia, które napływały, żeby nie mieć czasu na samotność... i na wspomnienia. W Lankonii zauważono jej przygnębienie. Przypisywano je zerwaniu zaręczyn z hrabią Julianem.

Tego dnia Aria miała odsłonić kolejny pomnik Rowana Wielkiego, siedmiometrową kamienną rzeźbę przedstawiającą mężczyznę z kanciastą szczęką, siedzącego na tronie z podłokietnikami w kształcie lwich głów. Ostatniej nocy nie spała dobrze, tak samo zresztą jak przedostatniej. Oczy miała więc zaczerwienione i podkrążone, bolała ją głowa.

Dla najdostojniejszych uczestników ceremonii zbudowano podium z mikrofonem (najnowszym nabytkiem z importu). Sześć krzeseł na podwyższeniu zajmowali autor pomnika i jego goście. Przyglądało się temu około trzystu widzów.

Aria weszła po trzech stopniach na podium, rozłożyła kartkę i zaczęła czytać przygotowaną mowę. Była właśnie w połowie przypominania bohaterskich czynów Rowana, gdy jej uwagę odwrócił jakiś hałas z lewej strony.

J.T. rozparł się na krześle w wielkim salonie. Składał wizytę rodzicom w nadmorskim domu, w stanie Maine. Słyszał wiatr gwizdzący na dworze, niedaleko rozdarła się okrętowa syrena. Nie miał jednak ochoty podejść do okna i sprawdzić, jaki statek wpływa do portu. W gruncie rzeczy przez ostatnie dziesięć dni niewiele go interesowało. Udało mu się opuścić Lankonię pierwszym samolotem z ładunkiem wanadu. Wiedział, że tchórzy, rezygnując z pożegnania Arii, ale raz już powiedział jej do widzenia i sądził, że więcej tego nie zniesie.

Nie miał od dowództwa żadnego rozkazu, więc po przylocie do Stanów okazją dotarł na Key West. Tam stwierdził, że wuj Jason poczyna sobie dużo lepiej od niego. Tego wieczoru spotkał się z Billem i Doiły, ale przyjaciele przypominali mu Arię, dlatego poczuł się jeszcze gorzej. Prawdę mówiąc, miał wrażenie, że absolutnie wszystko przypomina mu Arię. Setki pytań Doiły nie

polepszyły sytuacji. Skończyło się na tym, że wyszedł w połowie kolacji i całą noc włączył się nad brzegiem oceanu.

Następnego rana przez komandora Daviesa otrzymał rozkaz, że ma stawić się z meldunkiem u generała Brooksa w Waszyngtonie.

Podczas długiej podróży pociągiem J.T. gapił się przez okno i myślał o zmianach w Lankonii. Za pieniądze ze sprzedaży uranu można by zbudować szkoły, może nawet uniwersytet. Kraj był tak piękny, że niewątpliwie miał wielką szansę przyciągnąć turystów.

Im więcej myślał, w tym głębsze przygnębienie popadał. Zastanawiał się, czy Arii dobrze układają się sprawy z hrabią Julianem.

W Waszyngtonie generał Brooks powiedział mu, że Stany Zjednoczone bardzo się na nim zawiodły, że jest potrzebny w Lankonii. J.T. bez przekonania próbował tłumaczyć, że Aria nie dzieliłaby tronu z Amerykaninem, a naród lankoński nie pogodziłby się z amerykańskim królem. Aria musiałaby abdykować.

- No, chyba że naród wystąpiłby z petycją, że chce mnie na króla - wymamrotał na koniec.

- Nie został tam pan, poruczniku, zrezygnował pan bez walki - powiedział generał z niesmakiem, po czym odesłał go do Maine do czasu, aż znajdzie mu „stosowny” przydział. J.T. domyślał się, że będzie to albo zadanie na linii frontu, albo najgorsza nuda za biurkiem, jaką można znaleźć. Było mu wszystko jedno.

Wrócił do domu, ale tak naprawdę wcale się z tego nie cieszył. Nic go nie cieszyło: ani widok rodziny, ani oceanu, ani nawet samotna wyprawa łodzią wiosłową na wyspę. Dosłownie nic.

- Odsuńże się.

J.T. podniósł wzrok i zobaczył swego brata Adama, nadjeżdżającego wózkiem inwalidzkim. Gojąca się noga Adama sterczała wyprostowana. Adam wykazywał wyjątkowo mało zrozumienia dla posępnych nastrojów J.T., tym bardziej że J.T. nie chciał nikomu powiedzieć, co go gryzie.

- Dostałeś polecony od generała Brooksa - powiedział Adam, ciskając mu na kolana kopertę.

- Rozkazy - mruknął J.T., nie przejmując się zbytnio. Nawet nie spojrzał na list.

Adam pochylił się i odebrał mu kopertę.

- Mnie interesuje, dokąd cię wysyłają. Może trafisz do diabła. Przydałbyś się tam ze swym słonecznym nastrojem do dręczenia stałych mieszkańców. - Otworzył kopertę. - Masz tu wycinek z gazety. Ej! To o tobie. Podobno naród lankoński wystąpił z petycją do prezydenta Roosevelta o umożliwienie ci powrotu do ich kraju. To miłe, że ktoś jednak cię chce.

J.T. potrzebował dobrej chwili, żeby zareagować. Wyrwał wycinek z rąk Adama.

- Wystąpili z petycją - powiedział cicho. - Naród lankoński wystąpił z petycją.

Adam znalazł podstawowe fakty z pobytu brata w Lankonii.

- Według autora artykułu Lankończycy chcą, żebyś pomógł im w produkcji rodzynek i mechanizacji pracy. Nie domagają się twojej osoby na tronie.

Pierwszy raz od wielu dni w oczach J.T. zabłyśły oznaki życia.

- Ale może jest jakiś kruczek w ich konstytucji, może nie ma konstytucji, może naród nie będzie się sprzeciwiał osadzeniu Amerykanina na tronie. - J.T. wstał.

- Zdawało mi się, że nie chcesz być królem. Bill Frazier powiedział tacie, że uważasz to za idiotyczny pomysł. Ja też bym tak uważał. Nijakiej swobody, ciągle uściski dłoni, nadąsana królowa za żonę i morze herbatek. Fuj.

- Guzik wiesz! - krzyknął J.T. na brata. - Nie wiesz, jak to jest, kiedy czujesz się potrzebny. Tam mnie potrzebują, a... - zawahał się - a ja potrzebuję Lankonii... i Arii. - Ruszył do drzwi.

- Dokąd się wybierasz?

- Do domu - odkrzyknął J.T. - Do domu, do żony. Może nie pozwolą mi zostać królem, ale będę o to walczył do upadłego.

Adam z uśmiechem zaczął się gimnastykować, próbując podrapać miejsce pod gipsowym opatrunkiem.

Aria odwróciła się i ujrzała na obrzeżu podium porucznika Montgomery'ego. Prawie zatkało ją ze złości, ale czytała dalej, tylko lekko zadrżał jej głos. Porucznik podszedł bliżej i wsunął głowę między nią a mikrofon.

- Ludu Lankonii - zaczął, nic sobie nie robiąc z Arii. - Chcę coś powiedzieć. Kilka tygodni temu wasza następczyni tronu odwiedziła Stany Zjednoczone. Długo nie było jej w ojczyźnie, a wam powiedziano, że jest chora. Nieprawda. Nie było jej z wami tyle czasu dlatego, że wyszła za mnie za mąż.

Aria usiłowała go odepchnąć, ale J.T. nie ustąpił. W tłumie zaczęto szemrać z niedowierzaniem.

- Wiem, że jestem Amerykaninem, i wiem, że nie pochodzę z królewskiego rodu, ale jeśli mnie przyjmiecie, zostanę waszym królem.

Tłum znieruchomiał w milczeniu. Wreszcie jakiś mężczyzna zawołał pełną piersią.

- Co na to jej wysokość?

- Nie! - powiedziała Aria. - Wyjechałeś z Lankonii i mnie zostawiłeś. Nie mogłabym nigdy zaufać...

J.T. wziął ją w objęcia i pocałował, a tłum zaczął wiwatować.

- Nie mogłem wytrzymać bez ciebie - zawołał do niej, żeby przekrzyczeć gwar. - A naród lankoński wystąpił z petycją o mnie, więc nie musisz abdykować. Czy słyszałaś kiedyś o Warbrooke Shipping?

Była zanadto oszołomiona, by w pełni zrozumieć jego słowa.

- Nie. Czy to ma coś wspólnego z łodziami? Jarl, my nie potrzebujemy łodzi. Potrzebujemy szkół i wody, i...

Pocałował ją znowu.

- Niech żyje król Jarl - wykrzyknął tłum.

- Książę - wrzasnęła Aria do mikrofonu. - Książę Jarl - powtórzyła, ale nikt jej nie słyszał.

- Chodź dziecino, wracamy do domu - zawołał J.T. - przywiozłem z sobą kilka osób z rodziny. Wprowadzimy ten nasz kraj w dwudziesty wiek.

Aria objęła go ramieniem, zapominając, że jest w publicznym miejscu jako następczyni tronu.

- Tak, nasz - powiedziała z uśmiechem. - Nasz kraj.